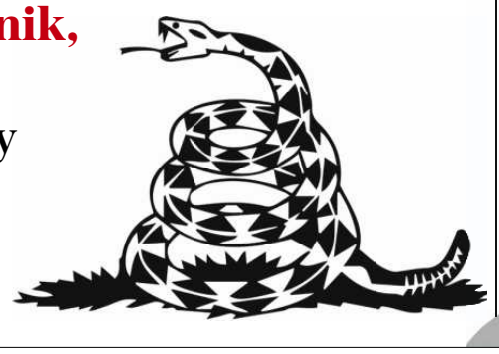
Grzechotnik, nie orzeł
Prawdziwy symbol Ameryki
▶ 43





Wszyscy krytykują nastolatki,
nikt ich nie pyta
▶ 20

WYSOKIE OBCASY
Pokojowa noblistka
Dobra aktywistka potrafi cieszyć się życiem



FOT. SHUTTERSTOCK, GETTY IMAGES

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Cała Polska szczeka

Jak żyć w kraju, w którym psom wybacza się więcej niż dzieciom ▶ 8

FOT. GETTY IMAGES

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 47>

„Onuce” w Sejmie to kwestia czasu
▶ 4

Czy nowi kongresmani polubią Polskę
▶ 12

Andrzej Chyra: Nie chcę przyprawiać gęby papieżowi Polakowi
▶ 26



Bądź jak wyczynowy asceta. Zdrowizm zamiast zdrowia
▶ 34

FOT. MAURYCY STANKIEWICZ

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 21-26 listopada 2026 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 272.11371, 1 | Nakład 69 tys. + **298,5 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl b47d9d91db

Michał Olszewski



Kraków jako źródło cierpień

Nawet 60 mln złotych – tyle, według szacunków Polskiego Alarmu Smogowego, straci w ciągu dwóch lat zadłużony po uszy Kraków. Nowy prezydent miasta postanowił okroić do ogryzka Strefę Czystego Transportu. Oznacza to, że właściciele niespełniających norm emisji samochodów, które wjeżdżają do miasta, nie będą musieli płacić dotychczasowej taksy.

Dlaczego Łukasz Gibała lekką ręką rezygnuje z tych pieniędzy? Nie zostałby prezydentem, gdyby nie referendum, którego motorem stały się protesty przeciwko SCT właśnie.

Gibała w referendum stał się częścią szerokiego frontu, w którym szedł ręka w rękę z politykami PiS, Konfederacją, Kamratami, ale również mieszkańcami niezadowolonymi z polityki transportowej miasta, w tym wysokich cen biletów. Ta koalicja doprowadziła do wyrzucenia z urzędu prezydenta KO Aleksandra Miszalskiego. Właśnie nadchodzi czas spłaty politycznych długów.

Jak się czują ci, którzy uwierzyli w ponadpartyjność Łukasza Gibały?

Gibała nie spłaca zobowiązań wobec wspierającej go prawicy jedynie pieniędzmi Krakowian, ale również gestami symbolicznymi.

Jedną z jego pierwszych decyzji było zdjęcie magistrackiego patronatu z Marszu Równości. Uznaje bowiem, że wydarzenie ma „charakter partyjny". To słaba wymówka – krakowski Marsz Równości od początku miał wyraźną agendę polityczną i jednocześnie był imprezą ponadpartyjną. Gibała zdecydował więc, że stanie po stronie przeciwników Marszu, tych samych, których głosy dały mu władzę.

Prezydent chce też zawieszenia współpracy Krakowa z Radą Miejską Lwowa. Pretekstem stała się decyzja Lwowskiej Rady Obwodowej, która w październiku przyjęła uchwałę ogłaszającą rok 2027 rokiem UPA oraz Roma Szuchewycza, odpowiedzialnego za rzeź wołyńską.

Po awanturze politycznej uchwała nie weszła w życie, ale Gibała postanowił wykorzystać okazję i zażądał od krakowskich radnych zerwania współpracy ze Lwowem. Nic to, że uchwałę podjął odpowiednik naszego sejmiku wojewódzkiego, z którym Kraków nie współpracuje.

Gibała postanowił pogalopować na antyukraińskiej retoryce, która przynosi niemałe polityczne frukta. I znowu przemówił tym samym głosem, którym mówi prawica. Nie ma znaczenia, że na Lwów spadają rosyjskie rakiety, że miasto trzeszczy pod ciężarem wojny: najważniejsze, żeby mer miasta posypał głowę popiołem.

Wszystko to, wzięte w całość, pokazuje, jakie interesy polityczne realizuje na razie nowy prezydent Krakowa Łukasz Gibała.

Do władzy wyniosło go ponadpartyjne niezadowolenie mieszkańców, ale realizuje wyłącznie agendę prawicową. Bardzo jestem ciekaw, jak czują się teraz ci, którzy uwierzyli w bajania o niezależnym kandydacie, który jednakowo czujnie wsłuchuje się w głosy wszystkich obywateli. Na razie słucha Konfederacji, PiS i Kamratów. ●

Berlin
Żeby było na co czekać



FOT. REUTERS/NADJA WOHLLEBEN

94-letni Gerhard Guttler karmi alpaki w swoim pokoju w domu opieki MANA Residenz. Alpakoterapia, czyli zajęcia z łagodnymi wielbłądowatymi, wspiera osoby ze spektrum autyzmu, ADHD czy aspergerem, depresją czy nerwicą. U starych ludzi łagodzi samotność i aktywizuje. Średnio pobyt w berlińskich DPS-ach kosztuje 3,3 tys. euro, częściowo jest dotowany.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Sygnalista czy gaduła
Generał Brett Sylvia

Aż właściwie emerytowany generał, bo Pete Hegseth zdymisjonował go za – według źródeł w Pentagonie – „nieautoryzowane ujawnienia informacji do mediów". Czyli za rozmowy z dziennikarzami, m.in. o wojnie z Iranem i wojnie w Ukrainie. Generał porucznik miał kilkukrotnie nie przejść badania wariografem. Niewykluczone, że stanie przed sądem wojennym. Za Hegsetha Departament Wojny ograniczył mediom dostęp do Pentagonu.

Prawnicy mają wątpliwości, czy da się pociągnąć Sylvię do odpowiedzialności za samo złamanie zakazu, ale ludzie sekretarza wojny zarzucają mu poważniejsze przewinienie – dzielenie się z reporterami tajnymi informacjami.

54-letni Sylvia tod blisko roku był dyrektorem ds. strategii i planów w Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, czyli głównym strategiem, a wcześniej dowodził 101. Dywizją Powietrznodesantową, czyli słynnymi od czasu II wojny światowej „Krzyczącymi Orłami".



FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

Ma dyplomy z inżynierii środowiska, zarządzania w inżynierii i akademii wojskowej, w armii spędził 32 lata, służył w Afganistanie i Iraku, gdzie zdobył przyznawaną za odwagę Brązową Gwiazdę oraz – za rany odniesione w potyczce z talibami – Purpurowe Serce.

W ciągu niespełna dwóch lat na urzędzie Hegseth zmusił do odejścia lub wysłał na emeryturę przeszło dwudziestu najwyższych dowódców, w tym poprzednika Sylvii na stanowisku głównego stratega, generała broni Josepha McGee. ● **Maciej Czarnecki**

Andrzej rysuje



Cytat tygodnia

Krew tych braci woła do Boga i domaga się sprawiedliwości od ludzi



PAPIEŻ LEON XIV
o zabójstwach tubylczych obrońców Amazonii podczas pielgrzymki do Ameryki Łacińskiej

FOT. PAP/EPA/ETTORE FERRARI

Liczba tygodnia

52
MILIONY



FOT. REUTERS

O tyle baryłek wzrosły w październiku światowe zapasy ropy. Jeszcze niedawno – wskutek pełzającej wojny z Iranem i ataków Hutich na saudyjskie rurociągi – je brakowało, teraz podaż przewyższa popyt, a ceny spadają. Pod eskortą US Navy tankowce znów pływają przez cieśninę Ormuz, a do tego kto żyw, zwiększył wydobycie. Saudowie chwalą się 9,2 mln baryłek dziennie, aż 2 mln więcej niż latem, a dogania ich – mimo że Ukraińcy regularnie uszkadzają największe rafinerie i terminale naftowe – Rosja z 8,7 mln baryłek. **Więcej ▶ Wyborcza.biz**

eprasa.pl b47d9d91db

Gra nerwów z Tuskiem czy realny plan Nawrockiego?

Czołem, panie prezydencie

Przemówienia głowy państwa do generałów nie można lekceważyć

Dominika Wielowieyska



Kiedy Karol Nawrocki usiłował interweniować po odsunięciu Bogdana Święczkowskiego od zarządzania Trybunałem Konstytucyjnym, zawrócił z podróży do Senegalu i pamiętnej nocy w piątek 30 października przepchnął się do budynku w alei Szucha, widzieliśmy bezradność i dezorganizację Pałacu Prezydenckiego.

Prezydent biegał po schodach w górę i w dół, posiedział w saloniku w towarzystwiewspółpracowników, po kilku godzinach opuścił gmach, ale nie wyszedł do przejętych demonstrantów stojących przed bramą. Wycofał się tą samą drogą, którą do Trybunału weszli sędziowie pod wodzą Anny Korwin-Piotrowskiej, czyli tyłami, przez teren kancelarii premiera.

Chaos, potrząsanie szabelką, przegrywane potyczki retoryczne z Donaldem Tuskiem – wszystko to wywołuje głęboką frustrację w obozie prawicy. I podczas desperackich poszukiwań sposobów na odzyskanie inicjatywy wyłągł się groźny pomysł: prezydent jako zwierzchnik sił zbrojnych miałby wezwać żołnierzy do usunięcia policji spod Trybunału i wprowadzić tam siłowo Święczkowskiego. Co oznaczałoby wojskowy zamach stanu, gdyż prezydent sprawuje kontrolę nad armią za pośrednictwem szefa MON i nie ma prawa wzywać generałów do ochrony interesów tej czy innej partii.

Nawrocki to wie, on i jego otoczenie nie są kompletnie nieodpowiedzialni, lecz boi się, że w najtwardszym elektoracie zostanie uznany za mięczaka, więc próbuje straszyć rząd. Wykorzystał do tego przemówienie z okazji Dnia Niepodległości. Niemniej roztrząsanie takich scenariuszy to już skandal sam w sobie.

„W polskiej historii generałowie Wojska Polskiego stawali przed różnymi decyzjami. Nie zawsze decyzje najłatwiejsze, najprostsze były najlepszymi decyzjami dla Rzeczpospolitej Polskiej. A polscy generałowie i polscy oficerowie odpowiadają tylko przed Rzeczpospolitą i przed właścicielem Rzeczy Wspólnej, czyli Suwerenem, czyli narodem Rzeczpospolitej Polskiej" – mówił na placu Piłsudskiego, nieopodal Grobu Nieznanego Żołnierza i monumentu smoleńskiego.

„O odpowiedzialność wobec narodu i Polski was proszę, jej żądam i jej dzisiaj od panów generałów oczekuję z głębi serca. Chcę też, żebyście panowie generałowie, oficerowie i wszyscy żołnierze mieli głębokie przekonanie, że za ciągłość państwa polskiego, za trwanie narodu polskiego odpowiada Prezydent Polski, Zwierzchnik Sił Zbrojnych razem z generałami Wojska Polskiego i z polskim narodem. Proszę, żebyście każdego dnia podejmując decyzje trudne i ciężkie, mieli to w głębi swojego serca".

●

Nawrocki usiłuje leczyć swoją urażoną dumę groźbami puczu wojskowego, a państwo stało się zakładnikiem jego frustracji. Gdy w radiu Zet Bogdan Rymanowski trzykrotnie pytał Zbigniewa Boguckiego, czy prezydent wyśle wojsko pod Trybunał, szef kancelarii prezydenta nie zdobył się na jednoznaczne zaprzeczenie. Pozostawiając wrażenie, że prezydent faktycznie nie wykluczał zamachu na polską demokrację.

Doradca prezydenta Jacek Saryusz-Wolski – niegdyś, gdy jako reprezentant polskich liberałów pełnił ważne funkcje w europarlamencie, a nawet po przejściu z PO do PiS, uchodzący za państwowca – reklamował w serwisach społecznościowych publikację Inteligenceonline.com. Który informował: „W miarę jak kryzys konstytucyjny w Polsce przybiera na sile, najbliższe otoczenie prezydenta prowadzi dyskretne rozmowy z wysokimi rangą przedstawicielami wojska i służb wywiadowczych, aby rozeznać ich stanowisko na wypadek, gdyby sytuacja w relacjach z rządem osiągnęła punkt krytyczny".

Tygodnik „Do Rzeczy" też cytuje francuski portal reklamowany przez Saryusza-Wolskiego: „Serwis przekonuje, że prezydent RP ma dobre i silne relacje w środowisku polskich wojsk specjalnych".

Według Inteligenceonline.com Nawrockiego „łączą bliskie kontakty z dowódcami jednostek GROM i Formoza – jednostki wojskowej z Gdyni, specjalizującej się w działaniach bojowych prowadzonych przez płetwonurków. Dowódca tej ostatniej, Jan Kwiatkowski, ma również należeć do grona jego przyjaciół z rodzinnego regionu prezydenta, czyli Trójmiasta". „Nasze źródła wskazują, że celem prowadzonych konsultacji jest ustalenie indywidualnych stanowisk kluczowych przedstawicieli wojska i służb wywiadowczych wobec możliwej eskalacji kryzysu między dwoma ośrodkami władzy" – czytamy w przytoczonych przez „Do Rzeczy" fragmentach.

„W konsultacjach uczestniczą przede wszystkim Sławomir Cenckiewicz, były szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, oraz Karol Piskorski, były żołnierz jednostki specjalnej GROM, obecnie doradca prezydenta. Jak twierdzą nasze źródła, do generałów i wysoko postawionych przedstawicieli aparatu bezpieczeństwa wysyłani są emisariusze. Za zamkniętymi drzwiami odbywają się również spotkania w bazach wojskowych w Warszawie i Krakowie, gdzie znajduje się dowództwo polskich wojsk specjalnych".

Tygodnik Sieci piórem Marka Pyzy chwali te zabiegi ludzi prezydenta i zachęca go do rozważenia scenariusza wykorzystującego status zwierzchnika sił zbrojnych. „Choć prezydent nie ma zbyt wielu kart, trzyma tę najmocniejszą: zwierzchnictwa nad armią".

Pyza zauważa, że wprawdzie to zwierzchnictwo jest dane głowie państwa na czas wojny, ale jego zdaniem wojnę „w zasadzie" mamy. „Oby nie musiał po to sięgać. Jeśli jednak będzie do tego przez premiera zmuszony, musi mieć wsparcie w dowódcach".

●

Jednocześnie obóz PiS snuje opowieści o rządowym zamachu stanu: od polityków i publicystów związanych z Nowogrodzką dowiadujemy się, że nastąpi siłowe wejście do Sądu Najwyższego. Do tego dochodzi wizja wprowadzenia stanu wojennego, przesunięcia wyborów parlamentarnych, a przed 11 listopada aktywiści PiS prorokowali, że Tusk zakaże narodowcom Marszu Niepodległości.

Rozprzestrzeniano fałszywe plotki rodem z thrillerów politycznych, że gdy Nawrocki na wieść o wydarzeniach w Trybunale zawrócił samolot z drogi do Senegalu, wojskowi utrudniali mu lądowanie w Warszawie. Lecz najbarwniejsza opowieść dotyczy kradzieży złota, które prezes NBP Adam Glapiński zgromadził w sejfach banku centralnego.

Jak stwierdził szef klubu PiS Mariusz Błaszczak, to „łakomy kąsek", choć trzeba przyznać, że nie rozwinął obserwacji w myśl, którą snują PiS-owskie media – że Tusk to złoto wywiezie do Niemiec.

W kontekście rojeń o wyprowadzeniu wojska przeciwko policji pod Trybunałem Konstytucyjnym, których Pałac Prezydencki nie rozwiewa, niepokoją wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego o „przelewaniu polskiej krwi"

Informacji francuskiego serwisu – które reklamuje w końcu nie byle kto, bo prezydencki doradca, w dodatku człowiek nie z nowego, nieopierzonego IPN-owskiego zaciągu, lecz doświadczony polityczny wyjadacz rozumiejący znaczenie słów w różnych kontekstach – nie można lekceważyć, zważywszy, że padają w nich konkretne nazwiska i powiązania.

W tym świetle przemówienie Karola Nawrockiego do generałów, które część komentatorów bagatelizowała jako nieodpowiedzialne, lecz retoryczne prężenie muskułów, nabiera ciężaru.

Ale czy doniesienia francuskiego portalu są miarodajne? Dla równowagi trzeba przywołać rozmowę Andrzeja Gajcego ze Sławomirem Cenckiewiczem w Republice 13 listopada.

Gajcy: – Czy wchodzi w grę odwołanie się prezydenta Karola Nawrockiego do wojska, skoro jest zwierzchnikiem sił zbrojnych?

Cenckiewicz: – Zwierzchnictwo nie polega na tym, że prezydent Rzeczypospolitej w systemie ustrojowym państwa jest dowódcą Wojska Polskiego i mówi tam: „O panie tutaj, szefie sztabu generalnego, musimy odblokować zajęte nielegalnie instytucje państwa przez rząd".

Gajcy: – Ale czy wyobraża sobie pan taką sytuację, że takie odwołanie się prezydenta Karola Nawrockiego do wojska jest w ogóle rozważane i możliwe?

Cenckiewicz: – Nie. I roztropność prezydenta jest też taka, że on się do tego moim zdaniem nie odwoła.

Były szef BBN i dawny mentor Nawrockiego, promotor jego kariery w IPN, nie zdementował jednak informacji kolportowanych przez Saryusza-Wolskiego. Kancelaria Prezydenta także ich nie zdementowała. Czy jest to rodzaj jakiejś gry: polityk jedno robi, co innego mówi?

●

Są liderzy prawicy, na przykład Krzysztof Bosak, krytyczni wobec tego, co wydarzyło się w Trybunale Konstytucyjnym, kwestionujący legalność decyzji sędzi Anny Korwin-Piotrowskiej, ale zajmujący jasne legalistyczne stanowisko: będziemy starali się przekonać Polaków, że ekipa Tuska działa bezprawnie, więc trzeba ją pozbawić władzy w wyborach parlamentarnych w przyszłym roku.

Można się nie zgadzać z opinią o „bezprawiu", ale ona mieści się w demokratycznym porządku, podobnie jak zamiar przejęcia władzy czy odsunięcia od niej tego lub innego obozu drogą demokratycznego głosowania – w odróżnieniu od rojeń o wyprowadzeniu wojska przeciwko policji.

W tym kontekście niepokojące były wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego, który stwierdził, że „ta władza jest tak bezwzględna i brutalna, i tak bardzo realizuje obce interesy, że być może jest gotowa nawet do przelewania polskiej krwi". Kaczyński sufluje tezę o stanie wojennym i wojnie domowej, żeby podkręcić atmosferę. To skrajnie nieodpowiedzialne, zważywszy, że część wyborców, a nawet polityków prawicy, jest autentycznie przejęta i wierzy w eorie o Tusku planującym powtórkę z 13 grudnia 1981.

●

Czy prokuratura nie powinna sprawdzić tych doniesień, przesłuchać wzmiankowanych przez Francuzów wojskowych i polityków?

Środowisko PiS rozprzestrzenia różne brednie po to, aby utrzymać elektorat w stanie wrzenia. Narracja o siłowym przejęciu Trybunału ma w tym pomóc. Dlatego trzeba wciąż tłumaczyć opinii publicznej fundamentalną kwestię: jeżeli mówimy o zmianie ustroju Rzeczpospolitej przemocą, to właśnie zachowanie prezydenta wpisuje się w tę kategorię. To prezydent łamie prawo, odmawiając przyjęcia ślubowania od legalnie wybranych sędziów i chce sobie wybierać tych, którzy mogą orzekać, choć konstytucja jasno stanowi, że sędziów TK wskazuje Sejm.

Tak więc to Karol Nawrocki z pomocą Bogdana Święczkowskiego zastosował rozwiązanie siłowe, by poszerzyć swoje prerogatywy wbrew konstytucji. I by, nie zmieniając ustawy zasadniczej, zastąpić wynikający z ustawy zasadniczej system gabinetowo-parlamentarny systemem prezydenckim.

To, co wydarzyło się w Trybunale pod koniec października za sprawą ośmiorga sędziów pod przewodnictwem Anny Korwin-Piotrowskiej, jest zablokowaniem zmiany ustroju Polski.

Wierzę, że sądy powszechne, które w przyszłości być może będą musiały zająć jakimś aspektem tych wydarzeń, zastosują rozproszoną kontrolę konstytucyjną, nie będą miały wątpliwości. ●

Dominika Wielowieyska

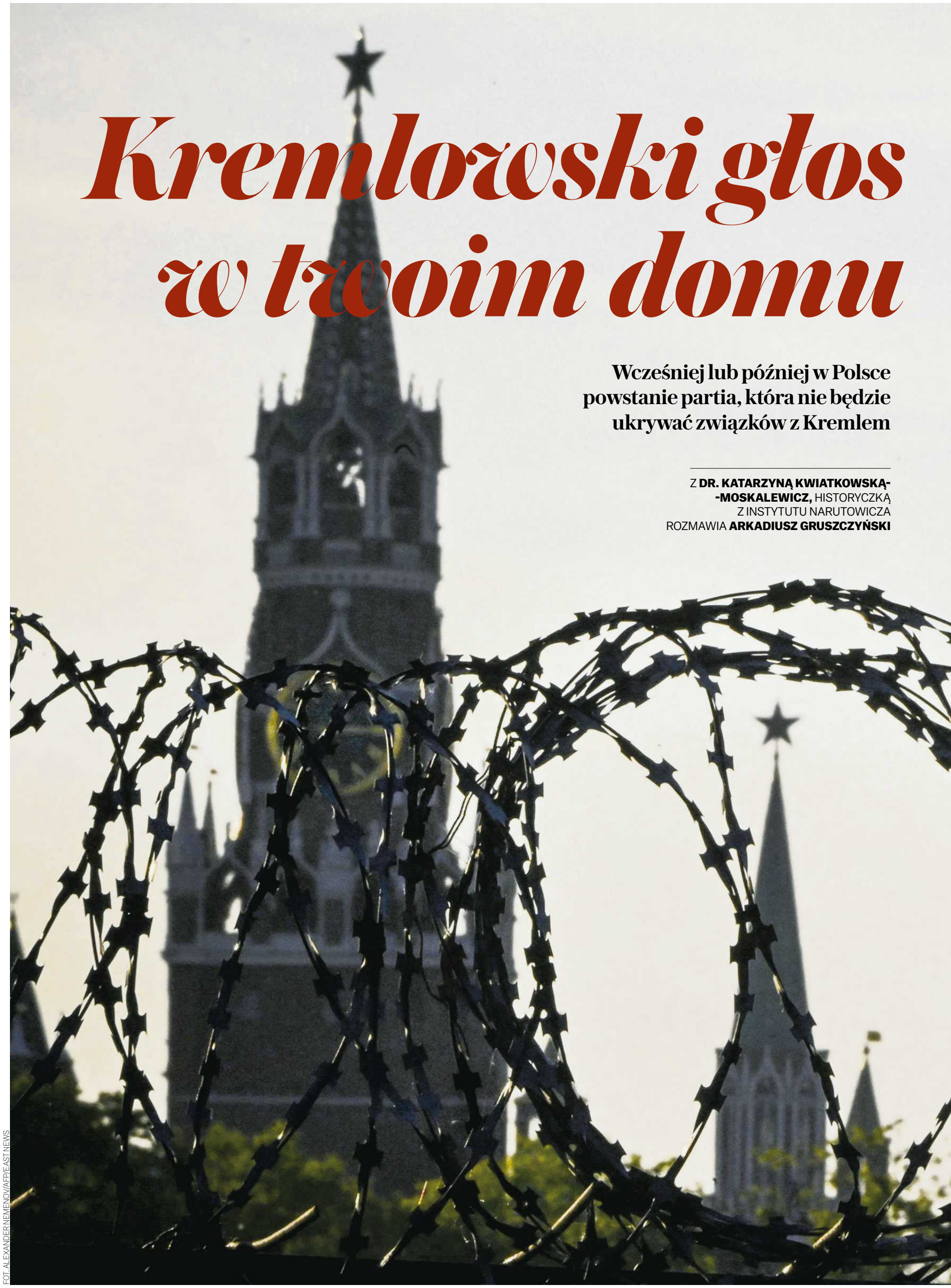
eprasa.pl b47d9d91db

TEMAT WAŻNY

Kremlowski głos w twoim domu

Wcześniej lub później w Polsce powstanie partia, która nie będzie ukrywać związków z Kremlem

Z **DR. KATARZYNĄ KWIATKOWSKĄ-MOSKALEWICZ,** HISTORYCZKĄ Z INSTYTUTU NARUTOWICZA
ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**



FOT. ALEXANDER NEMENOV/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b47d9d91db

Czy za wszystko odpowiada dzisiaj Rosja?
– Nie.

Porównuję obecną sytuację do opowieści o wilku, w której ciągle ktoś krzyczy, że do osady zbliżają się niebezpieczne zwierzęta, choć tak naprawdę nikt ich nie widzi, nie można ich dotknąć czy złapać. Czujność przed realnym niebezpieczeństwem słabnie: bo przecież wataha w końcu podejdzie pod wieś i zagryzie wszystkich mieszkańców.

I dokładnie to samo obserwujemy dzisiaj, kiedy rosyjską propagandą może stać się każda informacja, wydarzenie społeczne, decyzja rządu i opozycji. Dosłownie wszystko, co nam się nie podoba, może zostać zakwalifikowane jako działanie Kremla. Wszyscy więc krzyczą, że widzą wilka, każde „zagrożenie" staje się ważne, a zarazem niebezpieczne.

Zawsze się mylimy, kiedy oceniamy wpływ rosyjskiej dezinformacji?
– Nie, ponieważ działania Kremla są ulotne, rozproszone, a jednocześnie pasożytnicze.

Musimy to po kolei wyjaśnić. Zacznijmy od pasożytnictwa.
– Metody kremlowskiej propagandy zostały zapożyczone od ruchów protestacyjnych w byłych republikach radzieckich z początków XXI wieku. Dla Moskwy najważniejszym, przełomowym i formującym wydarzeniem dla współczesnej polityki były kolorowe rewolucje w Serbii, Gruzji, Ukrainie i – niedoszła – w Białorusi. Po ich wybuchu rosyjska elita polityczna skonsolidowała się wokół Władimira Putina, ponieważ aparat władzy przestraszył się, że może stracić stanowiska i wynikające z nich przywileje.

Kolektywnym szokiem dla rosyjskiej elity były szczególnie wydarzenia w Ukrainie z 2004 roku, kiedy ludzie wyszli na ulice Kijowa, nie zgadzając się z próbą sfałszowania wyborów prezydenckich. Jeszcze w ubiegłym roku rzecznik prezydenta Dmitrij Pieskow wspominał o pomarańczowej rewolucji z 2004 roku – po dwóch dekadach od wydarzenia. Moskwa uważa, że Zachód w połowie lat dwutysięcznych wszedł w jej strefę wpływów, wykorzystując słabość państwa rosyjskiego. Pamięć o poczuciu zagrożenia i związane z nim upokorzenie najwyraźniej wciąż są żywe.

Po 10 lat Ukraińcy znowu wyszli na ulice i zamanifestowali swoje przywiązanie do idei europejskich. Kreml, a więc ministrowie, urzędnicy, kierownicy oficjalnych mediów i ważnych instytucji, uznał to za bezpośrednie zagrożenie. Nie tylko swoich interesów w Ukrainie, ale także stabilności putinowskiej Rosji.

Tak więc kremlowska elita, obserwując uważnie dynamikę protestów antyrządowych, skopiowała pewne mechanizmy czy know-how. Odpowiadał za to głównie Władysław Surkow, rosyjski technokrata o artystycznym zacięciu, który mobilizował młodzież, zakładał „niezależne" organizacje, które miały dać młodym poczucie politycznej sprawczości.

Z tą różnicą, że Putin z Surkowem odwrócili wektor społeczny, ponieważ protestujący w Gruzji czy Ukrainie zakładali niezależne organizacje pozarządowe, przyciągając młodzież kontestacją. Część z nich chciała wywołać rewolucję wymierzoną w coraz bardziej skorumpowaną i autorytarną elitę rządzącą.

Tymczasem Kreml – posługując się dokładnie tymi samymi metodami – scementował władzę. To działanie okazało się nadzwyczaj skuteczne.

A kiedy Putin zdaje sobie sprawę z tego, że może siać chaos na Zachodzie?
– Te procesy dzieją się jednocześnie.

Kiedy w okolicy 2004 roku zakończył się pierwszy etap konsolidacji władzy, Rosja wzmocniła się ekonomicznie, a pozycja Putina stała się niekwestionowana, zlikwidowano wybory na gubernatorów, którzy zarządzają obwodami, rozpoczęto akcje zagraniczne. Pierwszym miejscem, gdzie Kreml przetestował mechanizmy propagandowe mające na celu ingerencję w wewnętrzne sprawy innych państw, było Naddniestrze w 2008 roku. Stworzono tam pierwszą organizację młodzieżową poza granicami Rosji, która działała na rzecz separatystów.

Byłam wtedy w Naddniestrzu i odwiedziłam ich biuro, w którym wszyscy pracowali na sprzęcie Apple'a. W tym czasie w Moskwie wszyscy bogaci ludzie, a także urzędnicy państwowi i opozycjoniści pracowali na Macach. A w Naddniestrzu, czyli parapaństwie biedniejszym niż Mołdawia, gdzie przecież działo się gorzej niż w Ukrainie, w nowo powołanej organizacji młodzieżowej wszyscy pracowali na bardzo drogim sprzęcie w nowocześnie urządzonym biurze. Nawet nie rosyjska, a właśnie mołdawska enklawa. To było jak wizytówka Kremla, a ściślej Surkowa.

Czyli brexit w 2016 roku, kiedy Rosja opłacała polityków i boty, nie był pierwszy?
– Nie. Naddniestrze było eksperymentem, który zaczął rozlewać się na tak zwaną „bliską zagranicę", czyli „ruski mir", a następnie na Zachód.

Warto przy okazji wspomnieć, że Kreml jest reżimem aideologicznym, choć na pierwszy rzut oka ta teza wydaje się niezgodna ze stanem faktycznym. „Przecież Putin od 2019 roku mówi Aleksandrem Duginem", można słusznie zauważyć. Czyli używa skrajnie konserwatywnej narracji na użytek wewnętrzny i europejski. Jednocześnie Moskwa w krajach globalnego Południa posługuje się pojęciami emancypacji, postkolonializmu i wyzwolenia, kopiując narrację ideologiczną ZSRR.

W obu przypadkach równie instrumentalnie. To pokłosie chaosu lat 90. – kiedy po rozpadzie Związku Radzieckiego nowa Rosja rozpaczliwie szukała idei zdolnej skonsolidować państwo. To, co się wtedy działo, doskonale oddał Wiktor Pielewin w „Generacji P". Wspominam o tej powieści często, bo jest profetyczna: Pielewin już w 1999 r. wskazał, że dla nowych elit politycznych liczy się wyłącznie utrzymanie władzy, za wszelką cenę. I ta władza jest pustką, totalnym nihilizmem.

Wracając do referendum w Wielkiej Brytanii, które doprowadziło do wyjścia tego kraju z Unii Europejskiej: osłabienie Europy Zachodniej leżało w interesie Kremla, choć trudno osądzić, czy ingerencje Moskwy miały charakter przesądzający o wynikach głosowania. One przecież były odbiciem głębokiego kryzysu polityczno-społecznego na Wyspach, który przekładał się na rosnący nacjonalizm i izolacjonizm – nie od dziś wiadomo, że gdy dzieje się źle, najłatwiej winić „obcych", np. przybyszów z Polski i innych państw Unii.

Gdybym odpowiadała za państwo, to chciałabym się dowiedzieć, kim są wyborcy Brauna, dlaczego głosują na antysemicką i antyukraińską partię. I czego nie dostarczają im instytucje publiczne

Tymczasem Rosja twierdzi, że – jak każdy duży gracz na arenie międzynarodowej – próbuje zabezpieczać swoje interesy, gra więc na cudzym polu, zresztą tak jak pozostałe mocarstwa.

Ale jakie są to interesy? Inne mocarstwa wykorzystują służby specjalne w innych krajach, ale działają też miękko, promując swoje wartości za granicą. Rosja działa tępą siłą.
– Rosja nauczyła się długo przed innymi wykorzystywać chaos. W rozważaniach o współczesnej Moskwie za mało czasu poświęcamy latom 90. W publicystycznym dyskursie, zwłaszcza czysto antyrosyjskim, pewne kwestie postrzega się jako wynik „długiego trwania": Putin zachowuje się tak, a nie inaczej, ponieważ w podobny sposób działała Złota Orda, caryca Katarzyna albo Józef Stalin w latach 30.

Tymczasem kluczowa dla zrozumienia elity rosyjskiej jest trauma lat 90. XX wieku, a więc rozpad Związku Radzieckiego. Nie chodzi wyłącznie o imperium, które rozpadło się na oczach świata w ciągu kilku lat, ale też o rozszczepienie się rzeczywistości. W rosyjskich wspomnieniach często na nazwanie tamtego okresu używa się określenia „Neopredelonnost". To egzystencjalna nieokreśloność wynikająca z niestabilności, charakterystyczna w czasach ruchów tektonicznych, kiedy praktycznie niczego nie da się przewidzieć.

Tak więc ziemia zaczęła się trząść, runęło radzieckie państwo, zmienił się horyzont ideowy, chaos opanował życie polityczne, gospodarcze i rodzinne. Rosjanie musieli sobie jakoś poradzić i nauczyć się pływać w mętnej wodzie lat 90.


FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

***Dr Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz**

• Historyczka, badaczka Europy Wschodniej. Pracuje w Instytucie Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza oraz w Polskiej Akademii Nauk. Jest autorką raportów o wpływach rosyjskiej propagandy, m.in. „Kto straszy »Ukropolin«? Analiza pojęciowa rosyjskiej narracji w Polsce", a także książki „Stygmat", która jest biografią Heleny Wolińskiej i Włodzimierza Brusa (2026).

Dzisiaj cały świat stał się Rosją sprzed 30 lat: żyjemy w kryzysowych czasach, sieczki medialnej, rosnących kosztów życia, spadku zaufania do państwa i elit, ze zbiorowym poczuciem, że jutro jest trudne do przewidzenia.

Kreml doskonale wyczuwa chaos i potrafi w nim funkcjonować. Mylenie tropów, niepewna atmosfera, strach przed wojną, wszechobecna dezinformacja – to wszystko sprzyja Rosji. Widzieliśmy to dokładnie w 2014 roku w Donbasie: Rosjanie twierdzili, że chcą zadbać o swoich obywateli żyjących po ukraińskiej stronie granicy, dlatego zaanektowali część jej terytorium. A przecież po swojej stronie mieli dokładnie takich samych ludzi, z których wielu żyło biedniej niż w ukraińskim Donbasie. Im państwo rosyjskie nie chciało pomóc. Do Donbasu jeździły kremlowskie furgonetki z jedzeniem, a obywatele Federacji Rosyjskiej patrzyli na nie z zazdrością. Cel został jednak osiągnięty: Ukrainę ogarnął chaos, a kraj z nierozstrzygniętą sprawą granic nie wejdzie do Unii Europejskiej ani NATO.

Zatrzymajmy się na chwilę w roku 2014, bo to, co się rozgrywało, w Donbasie, było eksperymentalną implementacją nowych narracji. Mówiąc krótko – sprawdzano, jak daleko można się posunąć w absurdzie.

W lipcu rosyjski Pierwyj Kanał wyemitował materiał, w którym rzekoma świadkini ze Słowiańska opowiadała, że ukraińscy nacjonaliści po odbiciu miasta ukrzyżowali na Placu Lenina trzylatka. Przybili chłopca do tablicy ogłoszeń, a następnie przywiązali jego matkę do czołgu i ją również zamordowali. To były nowe, nieznane dotąd wyżyny rosyjskiej propagandy: ukraińscy żołnierze zostali obsadzeni w roli oprawców nie tylko bezwzględnych, lecz także bezbożnych, co miało nadać rosyjskiej interwencji wymiar krucjaty, biblijnej walki ze złem.

Wtedy pojawił się nowy narracyjny trend – już od drugiego Majdanu Kreml trąbił o sojuszu „żydobanderowskim", a po ucieczce prezydenta Janukowycza o „żydowskiej juncie w Kijowie". W słynnym na cały świat fejku ze Słowiańska gołym okiem widać nawiązania do mitu o mordzie rytualnym, którego ofiarą są niewinne dzieci chrześcijańskie, i do ukrzyżowania Jezusa. Wszak jednym z filarów antysemityzmu jest oskarżenie Żydów o „bogobójstwo".

Trudno powiedzieć, ile osób uwierzyło w tę grubymi nićmi szytą brednię, ale rezonans w Rosji, a także poza jej granicami, był ogromny.

A po co Rosja wywołuje chaos we Francji?
– W krajach Europy Zachodniej Rosja zazwyczaj przyjmuje inną taktykę: jej propagandyści reagują na wydarzenia, czyli w tym wypadku na masowe protesty społeczne. Kreml nie wyprowadził ludzi na ulice Paryża – licealiści wyszli sami, ponieważ w ich szkołach brakuje nauczycieli, a klasy są zbyt liczne.

Jednak w publicystyce i w narracji niektórych polityków „długie macki Kremla" idealnie pasują do wielu wydarzeń społecznych. Ale u ich podłoża leżą inne procesy, o których mówiłam wcześniej, czyli spadek zaufania do elit, silna polaryzacja społeczna i wielokryzysowość. Moskwa wykorzystuje tę sytuację i stara się pogłębić chaos w zachodnim świecie.

Rosja wykorzystuje też działania sabotażowe: w Polsce próbowała wysadzić w powietrze tory, drony wlatują na nasze niebo, podkładane są bomby w przesyłkach kurierskich. Ale interesuje mnie coś jeszcze: jak to działa w praktyce? Ktoś w rosyjskim ministerstwie spraw zagranicznych widzi protesty w Paryżu albo przed Trybunałem Konstytucyjnym i zleca swoim pracownikom publikowanie dezinformacyjnych wpisów i filmików na X czy YouTubie?
– Intuicja badawcza podpowiada mi, że nie mamy do czynienia z centralizacją działań. O ile platforma informacyjna Sputnik powielała do 2022 roku w wielu krajach kremlowską propagandę, o tyle w ostatnich latach zainwestowano sporo pieniędzy w rozproszone mikrodziałania na portalach społecznościowych. Ich sposób działania przypomina, jak się wydaje, program grantowy: państwo wyznacza cel, przekazuje wielu graczom pieniądze, a te – niezależnie od siebie – reagują na wydarzenia w Europie Zachodniej.

eprasa.pl b47d9d91db

Trudno też sobie wyobrazić, że jedna instytucja w Moskwie śledzi uważnie wszystkie wydarzenia polityczne na całym kontynencie. Wielu ekspertów podkreśla na przykład, że Polska jest obserwowana przez agentów propagandy z Białorusi, którzy dużo lepiej znają nasz kraj niż Rosjanie.

Propagandyści posługują się workami narracyjnymi. Kiedy we wrześniu ubiegłego roku na polskim niebie pojawiały się rosyjskie drony, wówczas ta rozproszona sieć bez problemu zaczęła powtarzać, że stoi za tym Ukraina. Sięgnięto po narracje, które odpowiadają polskim lękom, czyli o rosnącej niechęci wobec Ukrainy, o tym, że największe koszty wojny biorą na siebie Polacy i że zalewa nas fala uchodźców. „Ukraińcy walczą, ale my w tym konflikcie jesteśmy bankomatem", przekonuje nas rosyjska propaganda i część z nas kupuje tę narrację.

Albo: elity polityczne odseparowały się od swojego narodu, dlatego cały czas wspierają Ukrainę mimo wyraźnego sprzeciwu zwykłych ludzi. Propaganda trafia też do Ukraińców, którzy „płacą krwią, a na wojnie zarabia Zachód i lobby przemysłowe".

Podsumujmy: Rosja wykorzystuje rozproszoną sieć, jej narracja jest ulotna, cały czas eksperymentuje na żywym, społecznym organizmie. Skoro wiemy o tym od lat, to dlaczego państwa zachodnie nic nie robią?
– Nie jest prawdą, że państwa zachodnie, w tym Polska nic nie robią. Powinniśmy raczej pytać o skuteczność tych wciąż rozproszonych działań. Dzisiaj przeznaczamy większość pieniędzy na obronność, w tym hybrydową, czyli obejmującą przeciwdziałanie wrogiej propagandzie i dezinformacji, lecz odnoszę wrażenie, że polskie instytucje zajmujące się tematem wciąż nie skoordynowały działań. Co prawda powstało mnóstwo raportów o rosyjskiej propagandzie, ale nie przekłada się to na konkretne procedury państwowe.

Polska nie wyróżnia się w szczególny sposób na tle innych krajów, wszyscy mają kłopot w znalezieniu dobrej metody na wrogie działania Rosji, która doskonale poznała podglebie naszych problemów. A te nie zostały wykreowane przez Kreml, tylko wynikają z dekad błędów polityków, procesów społecznych i ekonomicznych, które tak ostro dały o sobie znać w latach 20. naszego wieku. Poglądy osób, do których trafia rosyjska propaganda, wynikają z szeregu różnych strukturalnych przyczyn, w tym kryzysu zaufania do elit i działalności portali społecznościowych, gdzie liczą się emocje, a nie fakty.

Odkręcenie procesów, które rozpoczęły się 30 lat temu, nie jest łatwe. I łatwiej jest rozniecać chaos, niż mu przeciwdziałać.

Spójrzmy na określenie „Ukropolin". W jaki sposób to pojęcie, za którym stoi teoria spiskowa o stworzeniu nowego państwa żydowskiego, przedostało się z niszowych pism do debaty publicznej?
– Skoro wcześniej sporo mówiliśmy o podglebiu i kontekście, w jakim działa rosyjska propaganda, musimy zwrócić uwagę, że kluczowe jest społeczne postrzeganie „obcego". Czasy są niepewne, a rosnące koszty życia czy problemy na rynku pracy i z dostępem do usług publicznych budzą zrozumiały niepokój. U części z nas zaś potrzebę szukania winnych.

Grają na tym politycy, którzy tych winnych wskazują. Część z nas staje się podatna na teorie spiskowe, które w stabilniejszych i spokojniejszych czasach tkwiłyby nadal w niszowych pisemkach.

Kilka miesięcy temu maszynista w warszawskim tramwaju słuchał głośno filmu, który – po polsku! – wychwalał Putina i nazywał go mężem stanu. Niby drobiazg, ale mówi, jak szybko w Polsce zmienia się klimat

W latach 90., jako efekt uboczny wprowadzonej właśnie wolności słowa, w Rosji pojawiła się teoria o „nowej" Chazarii, a więc odrodzonym państwie, odwiecznym wrogu Świętej Rusi, ponieważ elity tego koczowniczego państwa w VIII w. przyjęły judaizm. Chazaria w nowej odsłonie miała powstać na zgliszczach Związku Radzieckiego. Ta spiskowa teoria odżyła po aneksji Krymu, kiedy zaczęto uparcie przekonywać, że Ukraina jest rządzona przez Żydów, którzy nie tylko chcą zniszczyć Rosję, ale zalać południe Ukrainy – które Kreml zaczął nazywać „Noworosją" – przybyszami z Izraela.

Na własne uszy słyszałam w Odessie na placu, gdzie zbierali się prorosyjscy separatyści, o dwóch porządkach światowych – prawosławnym komunizmie reprezentującym siły dobra oraz syjonistycznym nazizmie. Właśnie wtedy pojawiły się głosy o ściąganiu Żydów do Ukrainy, którzy mieli założyć w 2027 roku nowe państwo.

Antyukraińskość normalizują, niestety, także politycy liberalnego centrum, o czym mogliśmy się przekonać podczas zeszłorocznej kampanii prezydenckiej

Po kilku latach teoria o „Nowej Jerozolimie" trafiła do Polski w zmodyfikowanej dla lokalnych potrzeb wersji: skoro Żydzi zajmą Ukrainę, to jej dotychczasowi obywatele zostaną wypchnięci do naszego kraju i tutaj bardzo szybko powołają nowe państwo, a my zostaniemy zdominowani przez Ukraińców. Nowym obszarem mieliby kierować Żydzi. Nazwano to wszystko „Ukropolinem".

Absurd.
– Totalny – jak ukrzyżowanie trzylatka w Słowiańsku. A jednak spiskowe teorie o „Ukropolinie" zyskują popularność. Grzegorz Braun i związani z nim ludzie – politycy i publicyści – wykorzystują w ten sposób rosnącą niechęć do przybywających z terenów wojennych Ukraińców. Wykorzystują także strach przed konfliktem, który już trwa piąty rok i nie widać perspektyw jego zakończenia.

I jak to zwykle bywa, wskazują winnych. A Ukraińcy stali się widoczną mniejszością w Polsce. Część społeczeństwa ma z tym wyraźny problem. Więc już w trakcie kampanii prezydenckiej Braun zaczął opowiadać otwartym tekstem o spisku żydowsko-ukraińskim, a wojnę wywołaną przez Rosję nazywa narzędziem, którym zniszczy się naród polski, odpowiedzialnością za to obarcza – tu nie ma niespodzianki – Żydów.

Tego typu teorie krążą od dawna na obrzeżach internetu i nie byłoby o czym mówić, gdyby nie fakt, że Braun odniósł sukces – zdobył 6,5 proc. w wyborach, a jego partii rośnie poparcie.

Dodajmy od razu, że nie każdy wyborca Grzegorza Brauna wierzy w „Ukropolin". Jego wysokie poparcie wynika przede wszystkim z antymainstreamowego wizerunku lidera Konfederacji Korony Polskiej. Dodajmy: wizerunku wykreowanego – Braun jako europoseł jest beneficjentem systemu politycznego, który rzekomo chce zwalczać, co nie zmienia faktu, że jest to wizerunek dla wielu wiarygodny.

Pytanie, na ile jego poparcie będzie trwałe, a na ile Braun podzieli los innych, efemerycznych sił politycznych. Niemniej to właśnie ten polityk zaczął posługiwać się w oficjalnej debacie publicznej narracjami zbieżnymi z rosyjską propagandą.

Jaka powinna być odpowiedź państwa?
– Odwiecznym problemem i słabością, a jednocześnie siłą demokracji jest przywiązanie do wolności słowa. Z drugiej strony opieszałość polskich instytucji i wymiaru sprawiedliwości niepokoi mnie jako obywatelkę. To, że Braun publicznie nazywa prokuratora „banderowcem", jest skandaliczne. Lider Konfederacji czuje się bezkarny.

Gdybym odpowiadała za państwo, to chciałabym się dowiedzieć, kim są wyborcy Brauna, dlaczego głosują na antysemicką i antyukraińską partię, czego nie dostarczają im instytucje publiczne, czego się obawiają. Dlaczego jedna dziesiąta naszego społeczeństwa nie wyklucza głosowania na polityka kreującego się na XIX-wiecznego patriotę, który wyraża skrajne poglądy polityczne? Państwo mogłoby zamówić bardzo duże, pogłębione badania, a następnie znaleźć klucz do tej grupy społecznej.

Bez rosyjskich wpływów Braun nie mógłby liczyć na tak wysokie poparcie?
– Na pewno Braunowi, jak i rosyjskiej propagandzie sprzyja masowe przejście życia publicznego do online'u wraz z początkiem pandemii w 2020 roku, zbiorowa trauma związana z covidową izolacją, a następnie atak Putina na Ukrainę. Czyli wszystko to, co sprawia, że świat, w tym ten najbliższy, wydaje się nam chaosem.

Ciekawi mnie, w jaki sposób poruszasz się w sieci – które konta omijasz jako użytkowniczka internetu, czego na pewno byś nie czytała w sytuacji kryzysowej?
– Jest, niestety, odwrotnie – jako badaczka staram się wbijać w najczarniejsze odmęty „runetu", czasami ze szkodą dla zdrowia.

W jaki sposób można uczyć młodych ludzi, że nie wszystko, co oglądają na YouTubie, jest prawdą?
– Nie mam pojęcia. I myślę, że tak naprawdę mało kto wie, jak skutecznie bronić młodych i nie tylko młodych przed dezinformacją, zwłaszcza jeśli ci chcą w nią wierzyć.

No dobrze, to może po prostu rząd musi wykupić reklamy w Telewizji Republika albo w mediach narodowych i powoli, konsekwentnie tłumaczyć, że Braun się myli, a jego narracja jest niebezpieczna?
– Nie wiem, czy komukolwiek udałoby się przekonać ludzi, którzy wierzą w teorie spiskowe. Edukacja też nie wystarczy. Z drugiej strony nie należy się poddawać. Dlatego m.in. Instytut Narutowicza bada wpływy rosyjskiej propagandy i dezinformacji. Wydajemy dostępne publicznie raporty, ostatni właśnie o tym, „Kto straszy »Ukropolinem«".

I państwo nie ma tu żadnych narzędzi?
– Kolejne rządy nie mają pomysłów, jak radzić sobie z dezinformacją. Poza tym Polska jest wciąż jeszcze dość młodą demokracją, o nierozwiniętej w pełni kulturze państwa prawa, ze słabymi, bo upolitycznionymi instytucjami, które latami przygotowują się do podjęcia strategicznych decyzji, a to, kto nimi kieruje, często jest uwarunkowane partyjnie, a nie merytorycznie. To na pewno nie pomaga w znalezieniu odpowiedzi na wojnę hybrydową, którą wypowiedziała nam Federacja Rosyjska. W Polsce wiele dzieje się na poziomie publicystki z pominięciem pracy instytucjonalnej.

Fakty są takie, że treści jawnie prorosyjskie są sukcesywnie normalizowane, choć jeszcze parę lat temu wydawało się to niemożliwe. Kreml, jak w wielu innych państwach, postawił sobie jeden cel: w Polsce ma powstać partia politycznie otwarcie namawiająca do współpracy z Moskwą.

Mówiąc inaczej: Putin chce zbudować u nas jawnie prorosyjskie ugrupowanie. Drogą do tego jest antyukraińskość, a tę narrację normalizują, niestety, także politycy liberalnego centrum, o czym mogliśmy się przekonać podczas zeszłorocznej kampanii prezydenckiej.

Zmienia się atmosfera społeczna: kilka miesięcy temu maszynista w warszawskim tramwaju słuchał głośno filmu, który – po polsku! – wychwalał Putina i nazywał go mężem stanu. Niby drobiazg, ale mówi, jak szybko w Polsce zmienia się klimat.

Jeśli Rosja nie zaatakuje w najbliższych latach jednego z krajów NATO, to wcześniej lub później w Polsce powstanie prorosyjska partia, czyli taka, która nie będzie ukrywać związków z Kremlem ani proputinowskich narracji. I która będzie mówiła: zakończmy w końcu wojnę w Ukrainie i zaprośmy Rosję do stołu rokowań, Putin to mąż stanu, który ma prawo bronić interesów swojego narodu.

To szokujący, ale prawdopodobny scenariusz. Nie jest jednak za późno, żeby temu przeciwdziałać.

Może są przykłady innych państw albo organizacji pozarządowych, które mają opracowane i sprawdzone metody walki z rosyjską dezinformacją?
– Najważniejsze są działania transnarodowe. Ostatni raport Alliance4Europe, organizacji wspierającej wartości europejskie, o manipulacjach medialnych – przede wszystkim Rosji i radykalnej prawicy – wokół wydarzeń we Francji, który odbił się szerokim echem w mediach, także polskich, jest przykładem skuteczności merytorycznej analizy.

Skutecznością odznaczają się też działania ukraińskich organizacji w państwach Unii, np. w Niemczech. Niedługo po wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie wyjechałam na długie stypendium badawcze na Uniwersytecie w Heidelbergu. Miałam tam okazję obserwować widoczną obecność Ukrainy w sferze publicznej. Ukraińcom udało się przebić ze swoim przekazem, choć narracja w Niemczech była zdominowana przez przedstawicieli interesów rosyjskich.

Jedną z organizacji walczących z rosyjską propagandą poprzez uświadamianie jej mechanizmów niemieckiemu społeczeństwu jest Vitsche Berlin, założone przez aktywistów ukraińskiej diaspory. To, że Niemcy dokonali zwrotu w polityce wschodniej, jest też ich zasługą.

Z drugiej strony, na przykładzie niedawnych sukcesów prorosyjskiej AfD widać, jak bardzo sytuacja polityczna jest labilna: metody walki z dezinformacją mogą być skuteczne, ale krótkoterminowo, cały czas trzeba wymyślać nowe sposoby walki. W tym sensie jesteśmy na froncie. ●

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński, Paula Skalnicka
MAGAZYN WYBORCZEJ: Michał Olszewski (szef), Marek Markowski (zastępca), Mirosław Maciorowski, Jan Cywiński, Ewa Wieczorek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press

PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl b47d9d91db

Ojciec z Ikei

Ryzykując po raz kolejny łatkę wuja na weselu, mówiącego „kiedyś to były czasy, teraz to nie ma czasów", zapraszam do rozmowy o autorytecie, który się chwieje.



Marcin Matczak

Każdy ma chyba taki moment w życiu, kiedy dociera do niego, że świat oszalał. Następuje wtedy zbieg intelektualnych i moralnych uderzeń w twarz, siarczystych policzków, które rzeczywistość nam wymierza na tyle mocno, że przestaje się chcieć chcieć.

Ja mam tak teraz. Widzę, jak kłamcy w rodzaju Trumpa czy Brauna otrzymują od ludzi niewiarygodnie szerokie poparcie. Widzę, jak nauka nie radzi sobie z teoriami spiskowymi, z różnymi płaskoziemcami i antyszczepionkowcami, którzy są święcie przekonani, że ktoś wstrzykuje nam w krwiobieg nanoboty.

Widzę, jak upada autorytet prawa, cierpliwie rozmontowywany przez rządy PiS przez 11 lat. Zrealizował się plan Jarosława Kaczyńskiego, żeby nikt nie wierzył nikomu i żeby władzę każdego sędziego dało się zneutralizować zarzutem o polityczność. Dzisiaj więc nie mamy już żadnego arbitra, który mógłby rozstrzygać nasze konflikty, co skazuje nas na życie w wiecznym konflikcie. A konflikt wewnętrzny czyni nas słabymi na zewnątrz, gdzie już czyhają inne potwory.

Do tego wszystkiego chłopak w wieku mojego syna morduje rodziców i siostrę, a potem przeprowadza zamach terrorystyczny, w którym giną przypadkowi, niewinni ludzie. A żeby nie można było o nim zapomnieć, prezydent Krakowa odmawia mu pochówku.

Irena Kwiatkowska przekonywała ongiś, że kiedy świat się wali, piec trzeba placek ze śliwkami. „Wszyscy dookoła szaleją, popłakują po kątach, a kobieta nic – wypieka".

Ja nie umiem piec, więc ponieważ wszystko się wali, napisałem książkę o upadku autorytetów i o tym, czy jest szansa je odbudować. Tytuł to „12 ojców, czyli memem w autorytet".

To książka o kpinie z wszystkiego, co ważne, i o braku szacunku, który zżera nasze społeczeństwo. Tak rzeczywiście jest, że filozofowie nazywają epokę, w której żyjemy, epoką braku szacunku. Nic dzisiaj nie jest święte, a im bardziej święte się wydaje, tym bardziej komuś przychodzi ochota, żeby to zbrukać.

Myśl lewicowa zawsze buntowała się wobec autorytetów, ale dzisiaj nawet ci, którzy nazywają się konserwatystami, atakują autorytet w każdej postaci. Popatrzcie na PiS i obie Konfederacje, którzy, jak wszyscy populiści, muszą atakować elity, żeby pokazać ludowi, że są jego trybunami. Na liście autorytetów podważanych są lekarze, atakowani już w 2007 r, potem w okolicach pandemii i teraz znowu (za zarobki), prawnicy i sędziowie (permanentnie), urzędnicy (zwłaszcza brukselscy), a nawet nauczyciele („Broniarze!").

W „12 ojcach" stawiam tezę, że w interesie manipulatorów jest, aby każdy autorytet przedstawić jako podejrzany. Bo kiedy już nie ma nikogo, komu można by zaufać, chaos się pogłębia i obraz świata staje się całkiem nieprzejrzysty. A, jak wiadomo, w mętnej wodzie łatwiej łapać ryby.

Do tego dochodzi Internet i mem, który z papieża robi papaja, z ojca, kiedyś głowy rodziny, boomera, a z prezydenta debila. I jeśli mówicie sobie teraz w duchu „i dobrze!", to znaczy, że ta wszechogarniająca akcja niszczenia jakichkolwiek drogowskazów się udaje, tylko że nie do końca chyba rozumiemy jej skutki.

W pierwszym rozdziale „12 ojców" piszę o „ojcu z Ikei" – powszechnym dzisiaj modelu autorytetu, który każdy składa sobie sam, z dostępnych materiałów: kawałków idei, fragmentów moralności i kilku mądrych słów, często zobaczonych na internetowej rolce. Ale jeśli każdy robi to sam, niewiele nas łączy, a już na pewno nie łączy nas jakiś obraz świata, w którym można by wspólnie żyć.

Czy z tej kpiny i tej rozsypki można się czegoś nauczyć? W „12 ojcach" twierdzę, że tak. Michaił Bachtin kiedyś pisał, że średniowieczny karnawał, oparty na kpinie z autorytetów i władzy w ogólności, miał terapeutyczny charakter: król uczył się od błazna czegoś, czego w normalnym czasie nie mógłby się nauczyć, i dzięki temu stawał się mądrzejszym i lepszym autorytetem.

Opowiadam więc dwanaście historii o autorytecie wykpionym, żeby zastanowić się, jak go przywrócić. Opowiadam nie abstrakcyjnie, ale na podstawie przykładów z kultury wysokiej i niskiej. Co łączy ojca, który w znanym memie „poszedł po mleko" z Abrahamem i Cooperem z „Interstellar"? Co wspólnego mają Demeter i Evelyn z nagrodzonego Oscarem „Wszystko wszędzie naraz"? Czego męski autorytet może nauczyć się od kobiecego i co o tym mówią dwie różne dłonie ojca syna marnotrawnego na obrazie Rembrandta, wiszącym w Ermitażu? I czym jest „kumplicielstwo" – pomieszanie rodzicielstwa z byciem kumplem, którego mistrzem jest bohater serialu „Modern Family"?



• Marcin Matczak **„12 ojców, czyli memem w autorytet"**

Dochodzę do konkluzji dwojakiej. Po pierwsze, to nie autorytet umiera, ale skostniałe przekonanie, że należy się on z urzędu. Autorytet formalny, z nadania, jak na przykład autorytet generała czy profesora, zostaje zastąpiony autorytetem relacyjnym. Jego uosobieniem jest terapeuta uzależnień, który sam był kiedyś uzależniony, więc wie i rozumie, co przeżywa osoba zwracająca się do niego o radę.

Po drugie, prawdziwe znaczenie autorytetu tkwi w jego źródłosłowie. „Augere" oznacza „pomnażać", „wzmacniać". Rzeczywisty autorytet powoduje więc, że dziecko, podwładny czy uczeń ma siebie więcej, nie mniej, i to w najlepszej możliwej wersji. Nie o manipulację czy indoktrynację więc tu chodzi, ale o współpracę. Problem w tym, że o nią trudno w epoce braku szacunku i zaufania.

W 1968 roku na murach Sorbony studenci pisali „Zabrania się zabraniać!". Dzisiaj to hasło wciąż pobrzmiewa w różnych wersjach, na przykład wtedy, gdy

stary mówi „Wam się oczy otworzą, jak mi się zamkną", a młody odpowiada „nie będziesz mi mówił, jak mam żyć".

Ryzykując po raz kolejny łatkę wuja na weselu, mówiącego „kiedyś to były czasy, teraz to nie ma czasów", zapraszam państwa do rozmowy o autorytecie, który się chwieje, upada, ale ciągle jest potrzebny. Życie jest przecież zbyt krótkie, żeby wszystkie najważniejsze decyzje podejmować samemu, bez oparcia w kimś, kto kiedyś już w podobnej sytuacji był. ●

Miłość marszowa

**„Rano zlinczowali pracownika rzeźni.
Brutalnie kroił mięso na porcje.
A już nocą ci sami dobroczyńcy
legalizowali dla ludzi aborcję"
– brzmiało na Scenie Niepodległości.**



Michał Rusinek

Pomijając frywolne transparenty, które nieśli uczestnicy Marszu Niepodległości („Legiony Nawrockiego", „Polak w Polsce gospodarzem", „Tak dla Polski, nie dla Tuska", „Tusk = Dictator", „Nie będzie Tusk pluł nam w twarz", „Nie będzie innowacji w kraju masowej imigracji" oraz najpopularniejszy w zagranicznych mediach „Make Europe White Again"), a także ich formę graficzną (przy tym ostatnim były postacie z gier Nintendo: Super Mario walczący chyba z Donkey Kongiem, a nad nim powiewał transparent z przekreślonym ciemnoskórym dostawcą jedzenia na rowerze), zajrzyjmy na Scenę Niepodległości, czyli do tekstów artystów, którzy – jak piszą na stronie internetowej organizatorzy – „tak jak my miłują Ojczyznę, a wyrażają tę miłość poprzez muzykę".

Należy do nich np. raper Basti pochodzący z Łodzi, „znany z mocno patriotycznego przekazu i bezkompromisowego podejścia do rzeczywistości". Jego album „Mowa nienawiści" (2014) to „manifest patriotyzmu i sprzeciwu wobec politycznej poprawności".

W utworach Bastiego „często pojawia się wątek dumy narodowej, tradycji i walki o zachowanie normalnych wartości". W 2013 r. nagrał utwór „11 listopada", w którym ma „męstwo", „zwycięstwo", „dumę", „krew", ale też „zioma" i „dupę": „Do ostatniej kropli krwi będziemy walczyć, bo lepiej być martwym,/ niż bez honoru, bez fasonu, poddać się komuś,/ a jeszcze gorzej sprzedać swoich ziomów,/ swoich braci, zrozum! Są tysiące powodów,/ by 11 listopada ruszyć dupę z domu".

Pojawia się też słowo „tyrada", ale chyba autor w patriotycznym uniesieniu pomylił ją z tyranią: „Tego dnia widzimy się w Warszawie,/ pójdziemy w Marszu Niepodległości ramię w ramię,/ w słusznej sprawie, by przeciwstawić się tyradzie,/ którą fundują nam od lat te pseudopolskie władze". I dalej: „W Polsce władza antypolska jest i media są antypolskie./ Robią z nas faszystów na łamach »Wyborczej«./ Już dość tych oszczerstw! To walka o Polskę".

W utworze „Islamizacja" natomiast Basti twierdzi, że „islam zalewa nasze ziemie", a my „nie chcemy być islamskim państwem", tylko „chcemy spokojnie żyć według naszych zasad", więc nawołuje: „Wszyscy na ulice! Polska przeciw imigrantom!". Dzięki temu oporowi „nasze dzieci nie będą ginęły w zamachach". No cóż, w Krakowie mamy nieco inne doświadczenia.

Gwiazdą Sceny Niepodległości był też rockowy zespół z Poznania Luxtorpeda założony przez gitarzystę i wokalistę Roberta „Litzę" Friedricha, znanego m.in. z Arki Noego.

Ich teksty bywają ciekawe pod względem literackim. W utworze „Za wolność" odwołują się np. do „Przesłania Pana Cogito" Zbigniewa Herberta, choć to nie tyle zabieg intertekstualny, ile sugestia, co Herbert powinien był napisać: „Idź wyprostowany wśród tych, co na kolanach,/ choć będą kopać, bić i sypać sól po ranach./ Dla katów jest twoja pogarda,/ poniżonym, bitym nadzieja dodaje światła./ Bezsilność trzyma za gardła wśród skamleń,/ ale wiara się tli i jeszcze nie umarła./ Krew, błoto na ulicy. Odwaga, walka. Męczennicy".

W utworze „Persona non grata" pojawia się puchatkowy Stumilowy Las, ale w nim niszczycielski „reformatorski duch/ królestwo zwierząt pcha ku nowoczesności". W efekcie „Rano zlinczowali pracownika rzeźni./ Brutalnie kroił mięso na porcje./ A już nocą ci sami dobroczyńcy/ legalizowali dla ludzi aborcję".

O innych dekretach reformatorów traktuje utwór „Rauchen": „Nowa religia, kult wyznawców zdrowia,/ dogmat nieomylności papieża naukowca". Autor wyznaje: „Ja przejęty strachem, tym tak bezpiecznym światem,/ kiedy kupuję fajki, no to wybieram te z rakiem./ Tych z impotencją to nie biorę raczej./ Jak umrę, to stojąc, a nie jak smutny wacek". Doceńmy innowacyjne posłużenie się romantycznym toposem śmierci na stojąco.

I wreszcie Irydion – „patriotyczny zespół rockowy z Brzegu, znany z bezkompromisowego przekazu i mocnego brzmienia. Grupa porusza tematykę narodową, tożsamościową i historyczną, stając w kontrze do współczesnych ideologii i nurtów społecznych. Nie przepadają za nim ani lewacy, ani feministki, ani dziennikarze propagandowych mediów. Od lat Irydion gości na Scenie Niepodległości, gdzie energetycznym występem rozgrzewa publiczność nawet w chłodne listopadowe wieczory".

Polska jawi się tu nie jako ukochana, ale jako zakładniczka: bynajmniej nie wolna i na pewno nie niepodległa. A jak jawią się zakochani w Polsce artyści?

W piosence „Serce i kotwice" śpiewa, że „tu nasze są ulice, tu nasze kamienice są", czyli odwołuje się do międzywojennego antysemickiego stereotypu, po czym opowiada z dumą: „Ledwo przeżyłem inwazję paranormandzich bandytów./ Oj, bardzo wtedy przydał się mój wierny nóż./ Ale te czarne, jak tamta noc, skurwysyny/ do końca życia zapamiętają mnie już".

Kultowym, ponoć wyczekiwanym na Scenie Niepodległości utworem są „Dni, dla których milczenie tylko". Nie wiemy, czy w tym roku został wykonany, ale z pewnością niegdyś bywał. Pieśń opowiada o sytuacji po wyzwoleniu: „To właśnie wtedy semicki chwast/ podniósł się, by zniszczyć nas,/ by do końca zniewolić nasz kraj./ To właśnie wtedy w plecy cios/ miał zdławić polskiej dumy głos,/ żydowskim kłamstwem stając się". Wtedy „wyległa na ulice dzicz/ żądna władzy, żądna krwi". Ale my się im nie damy: „żadna siła nie pokona nigdy nas!/ Żadna obca moc nie wygna nas stąd! Bo – jak zapewnia autor – „tu jest nasz kraj!".

Przypomnijmy, że organizatorzy koncertu zapewniali, że zaproszeni artyści kochają Polskę i wyrażają tę miłość przez muzykę. Istnieją oczywiście różne rodzaje miłości. W cytowanych tu tekstach jawi się miłość toksyczna, zaborcza, oparta na przemocy, lęku i panicznej potrzebie dumy, bez cienia autorefleksji.

Polska jawi się tu nie jako ukochana, ale jako zakładniczka: bynajmniej nie wolna i na pewno nie niepodległa. A jak jawią się zakochani w Polsce artyści? Oczywiście jak przemocowi, zakompleksieni kochankowie. Gdyby doczytali wiersz Herberta, który cytują, zobaczyliby tam samych siebie: „strzeż się jednak dumy niepotrzebnej/ oglądaj w lustrze swą błazeńską twarz". ●

eprasa.pl b47d9d91db

KRAJ



NIE LUBIĘ PSÓW

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

Taka szczerość brzmi jak prowokacja albo deklaracja światopoglądowa. Kiedy pies podbiega, obwąchuje, ludzie wolą powiedzieć „mam alergię” albo „kiedyś mnie pogryzły”.

W Polsce pies jest w połowie domów. Dla jednych to psiecko, dla drugich towarzysz, dla trzecich – zwierzę, którego nie chcą w pobliżu. Wszyscy spotykają się w windzie, autobusie, na chodniku. Nikt nie jest tam wyłącznie u siebie, lecz każdy ma wyobrażenie o tym, jak powinni się zachowywać inni.

Jedni uważają, że pies daje im społeczne fory. Drudzy, że z psem wolno mniej. Jak spotkać się pośrodku?

•

W jesienny poranek na warszawskim Powiślu czarny pies w typie szpica zatrzymuje się przy skrzynkach na pieczywo. Jest na smyczy. Towarzyszą mu starszy mężczyzna i młoda kobieta. Pies oddaje mocz.

Tak opisuje zdarzenie uczestniczka osiedlowej grupy na Facebooku. Zwróciła uwagę opiekunom. Relacjonuje, że kobieta spuściła wzrok, a mężczyzna wzruszył ramionami. Powiadomiła pracowników piekarni. Post zakończyła: „Smacznego!”. Pod wpisem zrobiło się tłoczno.

Ktoś wymyślił „bułeczkę z nutą szpica”, ktoś napisał, że jego motocykl regularnie znaczą obce psy. Jednocześnie pytano, dlaczego pojemniki na pieczywo stoją na chodniku, skoro mają do nich dostęp ptaki czy gryzonie.

Odezwała się właścicielka psa, który „dosyć często zaznacza teren”, ale to nie znaczy, że gdzie popadnie, na chodniku trzyma go krótko. „Dla mnie takie zachowanie jest obrzydliwe” – oceniła opiekunów szpica.

Najbardziej dostało się jednak samej autorce wpisu. Czy przypadkiem „nie ma nudnego życia”? I poszło z górki: „donosicielce” wytknięto złośliwość, nazwano „wredną osobą”, a nawet „patolką społeczną”.

Ostatecznie – nie przymierzając: jak strużki psich sików na betonie – dyskusja rozlała się we wszystkie strony. Oprócz wychowania psów i zachowania ich właścicieli spierano się o czystość w miejscach publicznych, czystość w gastronomii i spożywce, odpowiedzialność piekarni oraz o to, kto komu i kiedy ma prawo zwracać uwagę.

Nic dziwnego, że historia dotarła na Wykop, jeden z najpopularniejszych krajowych portali dyskusyjnych, gdzie rozpoczął się przegląd moralności.

Na przemian lakoniczny – „Psiarska hołota wciąż daje radę mnie zadziwić” – i publicystyczny jak wtedy, gdy po inwokacji: „Jedna z najbardziej obrzydliwych grup społecznych”, ktoś rozpisał się na temat psów z brudnymi łapami chodzących po łóżkach, obwąchujących odchody, a później całujących swoich właścicieli.

Kolejni dyskutanci dorzucali „oblechów” jedzących z psami z tych samych talerzy oraz impresję o psie, który na bazarku nasikał na śliwki w skrzynce. Przy okazji dostało się bezstresowemu wychowaniu dzieci i kotów.

Policzyliśmy posty na powiślańskiej grupie od szpicowego siknięcia w połowie września do 11 listopada. Blisko 50 wpisów. Osiem dotyczy kultury, edukacji i lokalnej historii, pięć transportu, remontów i parkowania, siedem zwierząt: sześć – psów, jeden – gołębi. A zatem *Canis familiaris*, pies domowy, zdobywa srebro.

•

Znów Warszawa, Mokotów. Późny wieczór, Marta wychodzi ze sklepu. Przed drzwiami drogę zastępuje jej ogromny pies bez kagańca. Właściciela nie widać. Marta cofa się do środka i niemal wpada na drugiego brytana, również bez kagańca. Przy nim stoi mężczyzna. Z osiedla, lat 60, normals. I teraz jak w klinczu: jeden pies przed nią, drugi za plecami, a wszystko przy sklepowych drzwiach.

– Może pan pierwszy, bo ja się boję – prosi Marta.

Mężczyzna obrzuca ją spojrzeniem. Marta wraca między półki. Może i by zaryzykowała przeciśnięcie się przy psie numer jeden, ale co, jeśli akurat jeden i drugi zdążą się sobą zainteresować?

Kiedy o tym opowiada, jest jednocześnie zirytowana i zawstydzona. Bo czuła się zagrożona, ale może jest przewrażliwiona, może reaguje przesadnie, ulegając popsychologicznej modzie na zakreślanie własnych granic?

Przecież „kiedyś” psy latały sobie po trawnikach, buszowały w chaszczach, podbiegały, obwąchiwały i nikt nie robił z tego tematu. Po prostu były codziennym tłem jak pokrzywy, gołębie, krzywy chodnik i przepalony neon.

A może nikt nie robił, bo nie miał jak? Przestraszony „psofob” mógł co najwyżej napisać list do redakcji, wszak nie było Facebooka czy X. No i psów nie było aż tyle.

Tylko czy na pewno? Grzebiemy w archiwaliach dostępnych w sieci i proszę: w grudniu 1959 roku Ministerstwo Rolnictwa szacowało ich liczbę na 7,5 mln, z czego aż 6 mln żyło na wsi. Wiadomo, większość to psy łańcuchowe, pracujące.

Carri Westgarth, behawiorystka z University of Liverpool przypomina, że każdy pies, nie tylko pitbull czy bulterier, nawet ledwo drepcący buldożek francuski, może ugryźć

W 1996 roku „Rzeczpospolita” pisała o 7 mln, a w 2024 według FEDIAF, europejskiej organizacji zrzeszającej producentów karmy dla zwierząt domowych, trzymaliśmy ich około 8,28 mln.

To szacunki z różnych epok, nie w pełni porównywalne, bo w latach 90., o tużpowojniu nie mówiąc, nie było ani takich regulacji, nakazów rejestracji ani możliwości technicznych namierzania czworonogów.

Z tymi ambiwalencjami zgłaszamy się do Jean Donaldson, założycielki amerykańskiej Academy for Dog Trainers, trenerki psów i autorki książek poświęconych ich zachowaniu.

Marta oddycha z ulgą. Nie jest „pieniaczką”, która „zawsze do czegoś musi się przyczepić”. Donaldson nie widzi powodu, dla którego obcy człowiek miałby poznawać psa tylko dlatego, że jego właściciel uważa zwierzę za przyjazne. Krytykuje opiekunów, którzy pozwalają zwierzęciu podejść, czasem nawet dotknąć obcej osoby, a dopiero potem wołają: „Spokojnie, on jest przyjazny!”. Człowiek nie ma przecież obowiązku witać się z cudzym psem ani pozwalać mu się obwąchiwać.

I nie, nie trzeba mieć wyrzutów sumienia, że stawiając granicę, komuś wyrządzi się przykrość. To nie szkrab, który nieporadnie podbiega do obcej osoby i nie wypada się zezłościć na małego człowieka, który jeszcze nie nauczył się nieufności, jest ciekaw innych i bezpośrednio nawiązuje relacje z przedstawicielem swojego gatunku.

Właściciel może dobrze znać psa, mieć za sobą setki spokojnych spacerów i nie spodziewać się niczego złego. Natomiast Marta widzi dwa obce, potencjalnie niebezpieczne zwierzęta zastawiające przejście.

Czy psy są sympatyczne? Być może. Tyle że nie ma obowiązku tego sprawdzać. To jak z paleniem w obecności innych, tylko bardziej – zważywszy na możliwe konsekwencje, to na opiekunie psa ciąży odpowiedzialność za komfort psychiczny i fizyczny otoczenia.

Tu rysuje się nieoczywisty sojusz – oczekiwanie, że opiekunowie psów uszanują podstawowe zasady przestrzegania granic we wspólnej przestrzeni, mają sami psiarze. Ci świadomi, oczytani w fachowej literaturze albo po szkoleniach z psim behawiorystą. Oni też nie lubią – jak nazywają ich na tematycznych forach – „podbiegaczy”. Bo z psami jak z dziećmi – to nie jest tak, jak wiele osób sobie wyobraża, że, widząc drugiego przedstawiciela gatunku, nie mogą się doczekać kontaktu. Mój pies może powoli się oswajać z nowym towarzystwem. Może się przestraszyć. Może poczuć się zaatakowany. Albo zirytowany nadmierną familiarnością. A może być zwyczajnie nieprzysiadalny, czyli nie przepadać za interakcją z nieznajomymi. W sumie jak u ludzi.

Donaldson proponuje prostą zasadę. Jeśli ktoś nie chce nawiązać kontaktu, prosi o odsunięcie psa, wypada przeprosić i natychmiast go przywołać. Nie trzeba przy okazji przedstawiać listy psich zalet. Tyle rozmawiamy o zgodzie na kontakt fizyczny, choćby przy okazji seksu, a w przypadku cudzego „łagodnego” psa nadal miewamy kłopot z przyjęciem do wiadomości zwykłego „nie”.

Przy czym zauważa, że to powinno działać i w drugą stronę. Jeśli ktoś lubi psy i ma odruch pogłaskania nieznanego zwierzaka, nim przywita się z psem, powinien dać sygnał, że chce nawiązać kontakt.

•

Profesor Carri Westgarth z University of Liverpool, behawiorystka zajmująca się relacjami ludzi i zwierząt, uwypukla inny problem: skłonność właścicieli do zapewniania, że ich pies nikogo by nie ugryzł, nawet w przypadku zwierząt, które wcześniej kogoś zaatakowały.

– Klnę się na wszystkie świętości, mój Ares muchy by nie skrzywdził! – Andrzej przypomina sobie, jak dawno temu takprzekonywał przechodniów w Bielsku Podlaskim. Ares był owczarkiem niemieckim, „świetnie ułożonym”, którego wyprowadzał bez smyczy. Wielu to nie uspokajało, przechodzili na drugą stronę chodnika.

Wtedy wzruszał ramionami z politowaniem, dziś rozumie. Zwierzę nie przeżywa każdego spotkania tak samo. Może być chore, obolałe lub przestraszone, może się zamyślić czy zagapić i poczuć zaskoczone. Kiedyś właściciele psa sami uprzedzili nas, żeby nie podchodzić. Właśnie wrócił od psiego dentysty i był bardzo zestresowany.

Westgarth przypomina, że każdy pies, nie tylko pitbull czy bulterier wyhodowany do walki albo – jak wolą miłośnicy tej rasy – „energiczny i lojalny”, nawet buldożek francuski, może ugryźć. I że nie wszyscy właściciele potrafią skutecznie przywołać swoje zwierzę, a część przedkłada jego swobodę i dobrostan nad obawy innych ludzi.

Dlatego behawiorystka radzi osobom, do których zbliża się obcy pies, by nie reagowały impulsywnie ani na zwierzę, ani na opiekuna. Bo co z tego, że irytacja jest zrozumiała, a racja po naszej stronie, gdy ryzyko też. Należy zachować spokój, unikać gwałtownych gestów i w miarę możliwości nie wdawać się ze zwierzęciem w interakcję.

O tym, jak uciążliwe bywają niechciane spotkania nawet dla samych opiekunów psów, opowiada nam pani

FOT. GETTY IMAGES

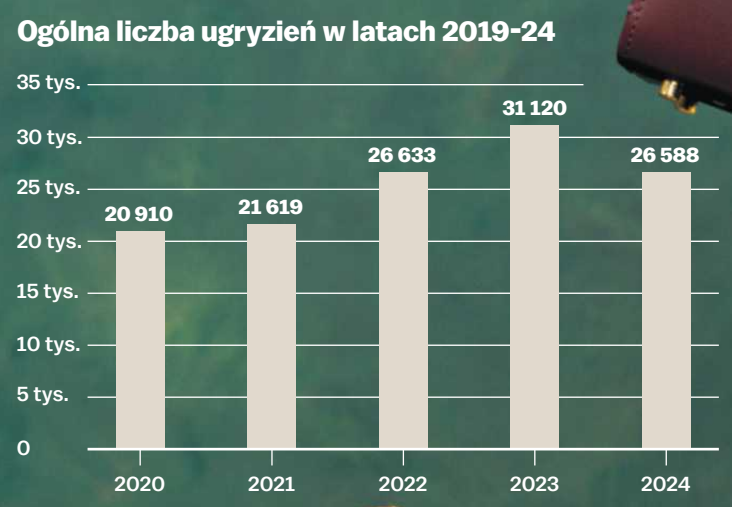
eprasa.pl b47d9d91db

Liczba psów w Polsce

Dane w mln



Ogólna liczba ugryzień w latach 2019-24



Liczba psów w Europie

Dane z 2024 r. w mln



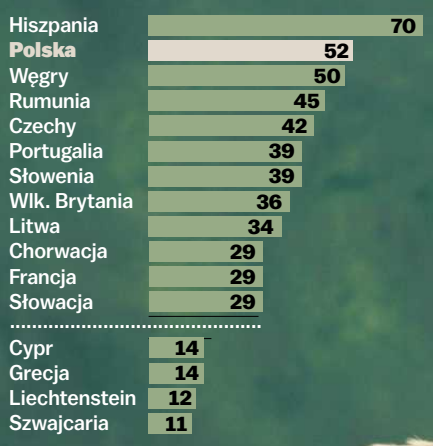
Ugryzienia w miastach i na wsi w latach 2019-24

Dane w proc.



Gospodarstwa domowe w Europie z co najmniej jednym psem

Dane z 2024 r. w proc.

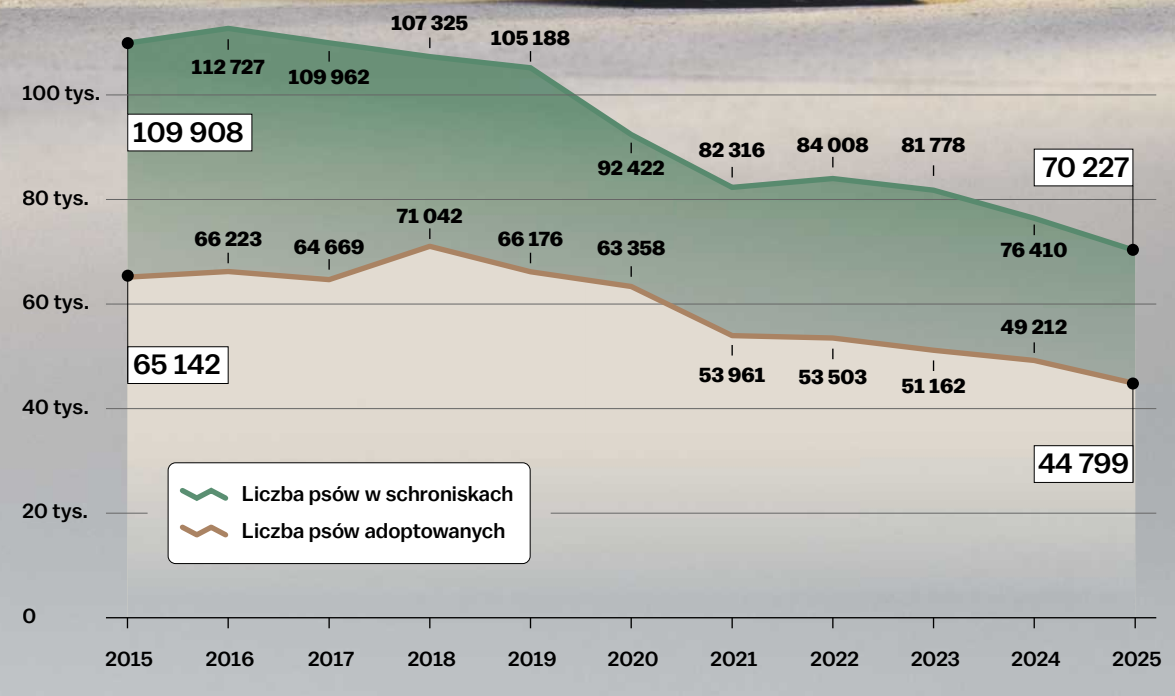


Ogółem liczba psów w Europie

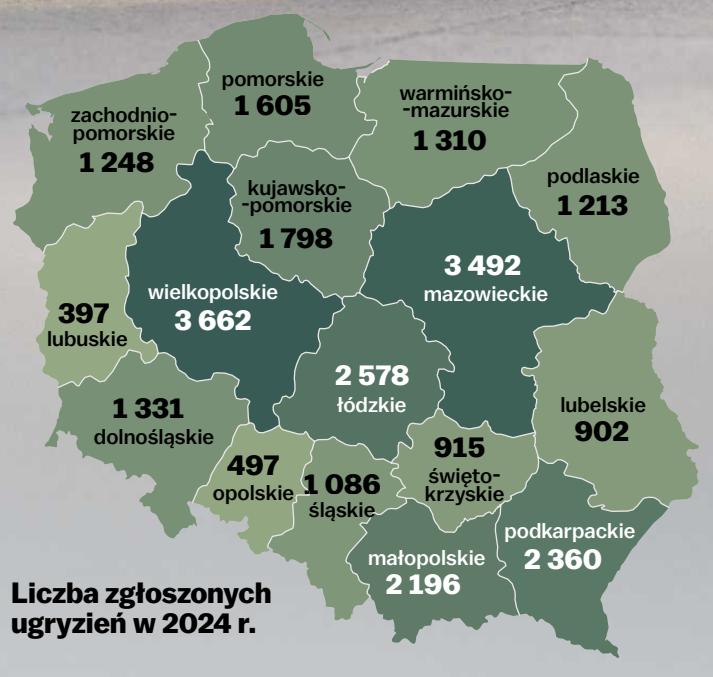
91,205 mln

Dane z 2024 r.

Psy objęte opieką schronisk w Polsce



Liczba zgłoszonych ugryzień w 2024 r.



INFOGRAFIKI:
ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA;
MAGDALENA BIRSKA / WYBORCZA.PL/BIQDATA.
PRZYGOTOWANIE WERSJI DO DRUKU:
ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA.
ŹRÓDŁA: PSSE, GŁÓWNY INSPEKTORAT WETERYNARII, FEDIAF.
FOT. GETTY IMAGES.
SYLWETKI PSÓW: ADOBE STOCK

eprasa.pl b47d9d91db

Lucyna z Lublina. Co jakiś czas zajmuje się pieskiem syna, który zostaje u niej na kilka dni.

Gdy wyprowadza go na spacery, stresują ją spotkania z obcymi psami, których właściciele pozwalają im podejść bardzo blisko: „Dlaczego ma mnie obchodzić, czy cudzy pies ma opinię łagodnego?". Nie chce, żeby obce zwierzęta, których charakteru nie zna, podbiegały do psa.

•

• Według danych FEDIAF z 2026 r. co najmniej jednego psa ma 52 proc. polskich gospodarstw domowych.
• To znacznie więcej niż średnia europejska – 31 proc.
• Rekordzistami są Hiszpanie - 70 proc.
• W Niemczech psa ma 21 proc. gospodarstw.

Przy czym w Niemczech – pozostańmy przy najbliższych sąsiadach, skoro jako Polacy odnosimy się do nich przy każdej innej okazji – bynajmniej nie króluje owczarek niemiecki.
• Według danych tamtejszej branży zoologicznej za 2025 rok aż 43 proc. psów stanowią kundelki. Labradory, owczarki niemieckie i chihuahua mają po 5 proc., a golden retrievery, jamniki i jack russell terriery po 3 proc.
• U nas mieszańce także prowadzą, choć w polskim sondażu z 2024 roku miało je 22 proc. ankietowanych, podczas gdy yorki i owczarki niemieckie – po 4 proc., labradory – 3 proc., a golden retrievery i maltańczyki – po 2 proc.

Wniosek: wśród rodowodowych wcale nie dominują te rasy, które spotykamy na trawnikach apartamentowców: corgi, chihuahua, border collie. Innymi słowy, nowe osiedla i podmiejskie willowe kolonie to nie cała Polska.

Polska jednak nie stała się psiarska dopiero ostatnio wskutek mody na psiecka odgrywające role lifestyle'owych atrybutów. Ani za sprawą pandemii, kiedy po kilku dniach lockdownów wszyscy uznali, że życie zamarło w zamknięciu już na dobre, więc trzeba znaleźć sobie pretekst pozwalający opuścić cztery ściany.

W 2003 r. CBOS podawało, że pies był w domach 36 proc. ankietowanych, i to nie uwzględniając niepoliczalnych zwierząt podwórkowych i gospodarskich. Z kolei w badaniu Cognosco z 2017 r. 62 proc. mieszkańców wsi i 35 proc. miast powyżej pół miliona ludzi deklarowało, że ma psa. Czyli psiarzami byliśmy od zawsze, tyle że wielu ulubieńców wcale nimi nie było, spędzając życie na łańcuchu czy w obejściu, a nie na posłaniu w mieszkaniu.

I tu pojawia się problem. Pies, czy to york, czy labrador, inaczej niż chomik, patyczak albo nawet kot, nie da rady spędzić całego życia w czterech ścianach. A poza domem spotyka ludzi, którzy sami psa nie mają, nie chcą mieć albo wolą się trzymać od niego z daleka.

Pewnego dnia Lucyna wsiadła z tymczasowym podpiecznym do autobusu. Pies nie miał kagańca, choć jest mały, merdający, kąsa co najwyżej kiełbaski. Kierowca zwrócił jej uwagę. Lucyna nie miała kagańca, więc wysiadła.

– Nie robiłam awantury, choć nieraz byłam świadkiem, jak właściciele psów wykłócali się z kierowcami czy współpasażerami. A nabrałam wyrozumiałości, bo teraz wiem, że są różne sytuacje, nie każdy, kto prowadzi psa bez kagańca albo dopuści go zbyt blisko przechodniów, jest bezczelny czy bezmyślny.

•

W komunikacji publicznej sprawa jest jasna: czy to pociągi, czy tramwaje, czy metro, regulaminy wymagają kagańca i krótkiej smyczy. Ciekawsza sprawa jest ze sklepami.

Przepisy sanitarne wcale nie zabraniają wpuszczania psów do spożywczaków. Decyzję pozostawiają prowadzącemu placówkę, który musi zapewnić bezpieczeństwo żywności, a jak, jego sprawa. Dlatego dwa sklepy tuż obok mogą zupełnie inaczej traktować klientów z czworonogami.

Na naszym warszawskim Grochowie jest sklep z płazem w logo. Tam psy mają status klientów premium. Pracownicy znają stałych bywalców, rozmawiają z właścicielami, a jeden z pracowników hali częstuje zwierzęta kawałkami parówki.



FOT. GETTY IMAGES

Psiecko, adoptowanie psa, pies umarł – rażące wielu uczłowieczenie psów po części wynika nie z samej zmiany natury relacji, a języka, jakim ją opisujemy

A w sklepie z biblijnym potworem w nazwie, po drugiej stronie skwerku, obowiązuje twardy zakaz. Klienci, którzy próbują, „ja tylko po bułkę", wejść z czworonogiem, są wypraszani. Kierowniczka mówi wprost, że nie chce mieć problemów z sanepidem. Nie życzy sobie nawet, żeby psy stały przy wejściu i smętnie zaglądały przez szybę.

Ma powód. Tuż przy drzwiach stoi metalowa skrzynka na prasę, a obok jest krata, aż prosi się przywiązać smycz. Gdybyśmy byli psami, sami pewnie byśmy na tę skrzynkę nasikali.

Pewnego dnia szliśmy z córką obok sklepu z psimi restrykcjami, kiedy usłyszeliśmy starszą panią: – Babcia, do torby! Okazało się, że komenda nie była żartobliwie czy kłótliwie adresowana do innej nestorki. Kobieta zwracała się do psa. Zwierzę bez zwłoki wskoczyło do torby, a właścicielka wmaszerowała do sklepu.

W restauracjach obowiązuje podobna zasada jak w sklepach. O tym, czy pies może towarzyszyć gościom, decyduje właściciel lokalu. Co ciekawe, te restauracje, gdzie psy są mile widziane, częściej obserwują konflikty nie na ich tle. ale między nimi. – Nieporozumienia zdarzają się między samymi czworonogami. – Uśmiecha się Agnieszka Bojar, menedżerka lubelskiej restauracji Bona.

•

Za sporami o obecność psów w sklepach czy restauracjach kryje się coś więcej niż tylko kwestie higieny czy zasady pożycia społecznego. Również pytanie o to, jakie miejsce zajmują w naszym życiu. Dla wielu właścicieli pies jest dziś po prostu członkiem rodziny.

Łatwo opowiedzieć tę zmianę triggerująco jako drogę od Burka przy budzie do psiecka, wylegującego się na kanapie i zastępującego dziecko infantylnym, uciekającym od prawdziwej odpowiedzialności zetkom.

Tyle że taki obraz jest historycznie uproszczony. James Serpell z University of Pennsylvania przypomina oczywistość, która w ferworze sporów o klimat, edukację seksualną, aborcję, samochody, rowery, jedzenie mięsa i psiecka – bo to wszystko fronty wojny kulturowej – że w różnych kulturach psy bywały bliskimi towarzyszami ludzi od stuleci.

W Europie upowszechnienie traktowania ich jak członków rodziny, a co najmniej przyjaciół czy bliskich towarzyszy łączy z Oświeceniem i powstaniem miejskiej klasy średniej, która oddalała się od wiejskiego życia i codziennego kontaktu ze zwierzętami gospodarskimi. Dzisiejszą nowością jest w dużej mierze jedynie skala i widzialność tej bliskości.

Serpell przywołuje także scenę z „Mahabharaty". Jeden z głównych bohaterów staroindyjskiego eposu, król Yudhishthira, po długiej wędrówce dociera do bram nieba. Towarzyszy mu już tylko pies, który nie opuścił go w drodze. Kiedy bóg Indra odmawia wpuszczenia zwierzęcia, król nie zgadza się wejść sam. Ostatecznie okazuje się, że pies był wcieleniem Dharmy, bóstwa uosabiającego prawo moralne i sprawiedliwość, a całe zdarzenie stanowiło próbę wierności i charakteru bohatera.

Tu przypomina się Argos, pies Odyseusza z „Odysei". Kiedy po latach król Itaki wraca w przebraniu żebraka, Argos rozpoznaje pana i ostatni raz merda ogonem. Chwilę później umiera. Ta historia nie jest z nowojorskiego Williamsburga A.D. 2026, tylko z patriarchalnego świata wczesnych Hellenów.

Serpell dostrzega osobliwą sprzeczność. „Kochamy psy i przyznajemy im niemal ludzki status, ale tylko dopóty, dopóki nie zachowują się jak psy". Argos rozczula, bo jest taki człowieczy, ale szpic z Powiśla, kiedy obsikuje skrzynki na pieczywo, już nie. Choć, na marginesie, faceta bez ceregieli „odcedzającego kartofelki" pod płotem – co wciąż jest normą – też mamy ochotę potraktować gorzej nawet niż szpica.

Rażące wielu uczłowieczenie psów po części wynika nie ze zmiany natury relacji, ale języka, jakim ją opisujemy. Jeszcze do niedawna w powszechnej świadomości jej leksykalny obraz nie był zbyt rozbudowany. Dziadek Marty Marian bardzo lubił psy. Zawsze jakiś mu towarzyszył. Ale miał tylko dwa określenia: kiedy pies był grzeczny, stawał się „piesą", kiedy nabroił albo nie słuchał – „sobaką". Grzeczny – niegrzeczny, posłuszny – niesforny, łagodny – groźny. Tertium non datur. Taki pies mógł być co najwyżej przyjacielem.

W dzisiejszym rzutowaniu na psy ludzkich zachowań, emocji i potrzeb najmniej istotne są drażniące wielu, lecz anegdotyczne objawy w rodzaju urządzania im urodzin, wożenia na wycieczki w przyczepkach rowerowych, hotelach – nie przechowalniach czy azylach – z wszelkimi wygodami czy psim menu w restauracjach. Clou polega na tym, że, rozrastając się, nasz słownik sięgnął do najgłębszych, fundamentalnych ludzkich relacji. Niektórzy opiekunowie mówią o sobie „psia mama", „psi tata", a o zwierzęciu „psynek" lub „psiecko".

Prof. Magdalena Żadkowska i dr Magdalena Gajewska z Uniwersytetu Gdańskiego od 2023 r. badają relacje rodzinne ze zwierzętami. Badani często nazywają psa albo kota członkiem rodziny, choć niekoniecznie własnym dzieckiem. Pies z miską i legowiskiem dostaje miejsce w codziennym życiu rodziny. Zmienia rozkład dnia, domowy budżet, wakacyjne plany, podział obowiązków. A także rozmowy – ich temat i adresata. Gada się o zwierzęciu i do zwierzęcia, dzieląc się opiniami, komentując rzeczywistość, opowiadając o planach na jutro, jakby było jednym z domowników.

Stąd już blisko do psiecka – które w dużej mierze jest chochołem wykreowanym przez reakcyjną prawicę. Owszem, Żadkowska opowiada o parach, które szukają porad specjalistów, żeby lepiej zajmować się zwierzęciem. Ale opieka nad zależną istotą może być sprawdzianem dla młodych zamierzających razem zamieszkać czy planujących rodzinę: kto naprawdę wstaje o świcie, kto odkłada swoje plany, kto pamięta o kolejnym posiłku.

No i czy traktowanie psa jako coś – kogoś? – więcej niż zwierzę, to taka nowinka? Historia sprzed pokolenia: ponad 20 lat temu znajomy profesor zasłynął na KUL-u tym, że na zajęcia przychodził z psem. Z żoną przygarnęli bezdomne zwierzę, które tak źle znosiło samotność, że pozostawione w domu godzinami płakało/skamlało (zostawiamy czytelnikom światopoglądowy wybór). Badacz zaczął zabierać psa na wykłady. Ku wielkiej uciesze studentów i kolegów, gdyż traktowano to jako profesorską cudaczność. Dziś nikt nawet by się nie obejrzał, zwłaszcza wśród kadry menedżerskiej.

Andrzej pamięta, że w agencji medialnej i w administracji rządowej, gdzie pracował, przychodzenie do pracy z psem było wręcz dobrze widziane. „O, dba o zwierzę, to i zadba o nas" – mówili pracownicy. Szefowie zaś postrzegali to jako przejaw odpowiedzialności lub bonus, a dla wielu było przezroczyste, bo wpisywało się w ich własny styl życia.

•

Taka troska o zwierzę nie musi jednak oznaczać traktowania go jak dziecka. Jedni mówią o psiecku bez cienia zażenowania, innych to określenie drażni, nawet jeśli ktoś używa go na wpół żartobliwie czy w neutralnym kontekście.

I znów kłania się język. W lipcu 2024 wystarczył jeden czasownik, żeby wywołać ogólnopolską awanturę. Profesor Jerzy Bralczyk powiedział w TVP Info, że nie odpowiada mu mówienie o „adoptowaniu" zwierząt, a nawet najukochańszy pies nie umiera: „Nie, pies niestety zdechł". Dla jednych było to zwykłe rozróżnienie językowe, dla innych – odmowa uznania więzi, jaką człowiek tworzy ze zwierzęciem.

Spór zainteresował badaczkę komunikacji Agatę Kostrzewę i medioznawcę prof. Jacka Wasilewskiego. Kostrzewa przedstawiła na konferencji medioznawców referat o metodach badania zjawiska rosnącego statusu psów i kotów. Kilka dni później jej zdjęcie na tle slajdu o „psynku", „psurce" i „psim rodzicu" zaczęli udostępniać politycy Konfederacji, opatrując je własną interpretacją.

„Nasz referat dotyczył metodologii badania tego zjawiska, a nie oceny zjawiska" – podkreśla Kostrzewa. W hejterskich komentarzach przypisywano jej promowanie psów zamiast dzieci, podważano kompetencje, atakowa-

eprasa.pl b47d9d91db

no wygląd i życzono śmierci. „Wykorzystano mnie, by straszyć ludzi zmyśloną wizją, w której polskie rodziny wymierają, bo ludzie wolą psy i koty".

Gdy pytamy o psi wymiar wojny polityczno-kulturowej Żadkowską i Gajewską, odwołują się do koncepcji socjologa Clintona R. Sandersa, który opisywał tożsamość kształtowaną także przez relację z psem. Rozszerzają ten sposób myślenia na parę i rodzinę. Zwierzę może się stać częścią odpowiedzi na pytanie „kim jestem", a nawet „kim jesteśmy razem". Kiedy więc ktoś zwraca uwagę na zachowanie psa, opiekun może usłyszeć ocenę samego siebie.

Przy okazji Gajewska wspomina o wstydzie. W badaniach projektu „Para i pies" opiekunowie opowiadali, że wstydzili się, kiedy ich zwierzę szczekało, zachowywało się agresywnie, skoczyło na kogoś albo załatwiło się w niewłaściwym miejscu. Pies staje się wówczas – jak mówi badaczka – „społeczną wizytówką" właściciela. Świadczy o jego kompetencjach i dobrym wychowaniu.

Rzecz jasna pies nie jest przedłużeniem osobowości właściciela. Ma własną odrębność i właściwe swojemu gatunkowi sposoby komunikowania się. Nie wszystkie jego reakcje opiekun potrafi przewidzieć. Dlaczego tak łatwo przechodzimy od oceny tego zachowania do sądu nad człowiekiem?

Kostrzewa podaje przykład restauracji. Jeden gość uważa, że psów nie powinno się wpuszczać, drugi wystawi negatywną opinię, bo nie przygotowano miski z wodą dla czworonoga. Każdy jest przekonany, że to jego oczekiwania są rozsądne. Podobne spory znamy z dyskusji o dzieciach w restauracjach, samolotach, hotelach. Ile hałasu, swobody i niedogodności powinni znosić inni, a ile wymagań można stawiać opiekunowi? Praw dziecka i psa nie sposób stawiać na jednej płaszczyźnie. Ale mechanizm konfliktu jest podobny: chodzi o granice wyrozumiałości we wspólnej przestrzeni.

To ma na myśli Marcin, znajomy redaktor, który psów się nie boi ani nic do nich nie ma, a jednak bywa, że skacze mu ciśnienie. Jak wtedy, gdy latem kolega przyprowadza psa.

– Żaden tam beagle czy cavalier, zwykły kundelek, przyjazny, pełen energii. Taki psi kumpel. I w tym problem, bo wpada między biurka, urządza slalom między krzesłami, obwąchuje plecaki, trąca ludzi nosem, merda ogonem i zagląda we wszystkie kąty. Właściciel próbuje go okiełznać, ale bez większego przekonania.

W zasadzie Marcinowi bardziej niż pies przeszkadza reakcja otoczenia. – Za każdym razem zbiegowisko, piski, śmiechy, gromadne drapanie za uszami, „Pufciu, słodziaku!", a pies, rzecz jasna, tylko bardziej się nakręca.

Marcin nie dołącza do głaskania ani podkarmiania. Siedzi z kamienną twarzą, czując się jak psujzabawa. Taki sąsiad, który już o 21.50 trzyma telefon gotów wzywać policję do sobotniej imprezy z powodu zakłócania ciszy nocnej. Albo uczeń, który jako jedyny wracał do szkoły, kiedy cała klasa szła na wagary.

Sam miał psy, bywało, że trzy naraz. Do tego koty, przetrącone kawki. – Lubię zwierzęta, one lubią mnie. Ale nie lubię, kiedy ktoś spoufala się bez zaproszenia – tłumaczy. Porównuje to do poklepywania po plecach przez świeżo poznanego człowieka albo napierania na plecy w kolejce do kasy.

Marcin się zastanawia, czy to sprawa pokoleniowa. Należy do późnych iksów, a z psami przychodzą ludzie o 10, 20 lat młodsi. – Może inaczej rozumieją granice prywatności?

●

Jest i druga, progresywna strona medalu. „Nie lubię psów" – w niektórych towarzystwach takie wyznanie brzmi jak prowokacja. Albo gorzej, jak deklaracja światopoglądowa. Bezpieczniej powiedzieć „mam alergię" albo „kiedyś mnie pogryzły".

Może dlatego tak trudno znaleźć kogoś, kto powie pod nazwiskiem, że nie lubi i dlaczego.

– No co mam powiedzieć, po prostu nie lubię psów. Śmierdzą, ślinią się. Ale nigdzie nie jest napisane, że każdy musi je lubić – mówi Piotr, prosząc o anonimowość.

Co ciekawe, wychował się na wsi, gdzie psy były częścią codziennego życia. Nie jest więc tak, że ich nie zna albo nie miał z nimi do czynienia. – Dzisiaj, gdybym miał wybierać, wolałbym nawet te głupie kury.

Tymczasem żona i dziecko coraz bardziej naciskają na wizytę w schronisku. Marzy im się piesek, najlepiej mały, taki na kolanka.

Kostrzewa zwraca uwagę, że sympatia do zwierząt bywa niemal świadectwem dobrego charakteru. „W dziełach kultury widzimy silnie zakorzenione przekonanie, że osoba lubiana przez zwierzęta lub sama je darząca sympatią jest z natury dobrym człowiekiem". Królewna Śnieżka śpiewa z ptakami, a Kopciuszkowi w przygotowaniach do balu pomagają myszy.

Niezależnie od tego nikt nie powinien musieć się zwierzać z przykrych doświadczeń ani tłumaczyć alergią, by poprosić o zatrzymanie obcego psa. – Pies może być dla mnie rodziną, ale nie musi być rodziną dla ciebie.

Jest jednak różnica między odmową kontaktu z psem a sprzeciwem wobec samej jego obecności. Czy ktoś, kto nie lubi zwierząt, może żądać, żeby spokojny pies zniknął z parku? Albo żeby opuścił kawiarnię, która wpuszcza czworonogi? Jeszcze ciekawszym przykładem jest plaża, gdzie samo prawo psa do obecności bywa przedmiotem sporu. Co samorząd, to zasada, nawet nad Bałtykiem nie obowiązuje jeden zakaz lub zgoda; specjalne plaże dla psów znajdują się m.in.w Świnoujściu oraz w Gdyni – w Babich Dołach i Kolibkach. A w kwietniu 2024 po skardze rzecznika praw obywatelskich Wojewódzki Sąd Administracyjny w Szczecinie stwierdził nieważność zakazu wprowadzania psów na plaże w Ustroniu Morskim.

Napisaliśmy do Yihan Yan z University of Manchester, która bada relacje między zwierzętami, ich opiekunami a przestrzenią miejską na przykładzie chińskich miast. Dlaczego w jednym miejscu obecność psa uznajemy za oczywistą, a w innym za problem wymagający uzasadnienia? No i kto ma prawo decydować, że zwierzę narusza porządek, choć nikomu nie wyrządza krzywdy?

Yan zgadza się, że przestrzeń otwarta na psy może być mniej komfortowa dla niektórych ludzi. Nie uważa, że w mieście przyjaznym zwierzętom psy powinny mieć wstęp wszędzie. Właściciele muszą się liczyć z potrzebami innych, zmieniać trasę spaceru albo godzinę wyjścia.

Jednocześnie – zauważa trzeźwiąco – nie da się urządzić miasta tak, aby nikt nigdy nie spotkał kogoś lub czegoś, czego nie lubi.

Z badań w chińskich miastach płynie jeszcze jeden wniosek, który wskazuje na kolejny problem. Kiedy zasady są niejasne, konflikt nie znika, lecz zostaje „zepchnięty w dół" – na ochroniarzy, pracowników sklepów, urzędników. To oni muszą za każdym razem rozstrzygać, czy pies może wejść, czy skarga jest uzasadniona i kto powinien ustąpić. Co oznacza, że gniew tej czy tamtej pokrzywdzonej w jej mniemaniu połowy skupia się na nich. A przecież trudno wymagać, żebyśmy przy każdej wizycie w sklepie czy każdym spotkaniu na schodach od nowa ustalali zasady współżycia.

I to może być jednym z ważniejszych problemów miast niedalekiej przyszłości. Pies może się stać swoistym papierkiem lakmusowym tego, czy potrafimy urządzać wspólną przestrzeń dla ludzi i innych gatunków.

Nie wszystko rozstrzygają obyczaje. Artykuł 77 kodeksu wykroczeń przewiduje odpowiedzialność za niezachowanie zwykłych lub nakazanych środków ostrożności przy trzymaniu zwierzęcia. W podstawowym wariancie grzywna może wynieść do tysiąca złotych.

A z drugiej strony przepisy nie rozstrzygną historii takiej jak ta z Powiśla. Warszawski obowiązek usuwania odchodów dotyczy zanieczyszczeń stałych, mocz umknął uwadze.

Najpiękniejszy widok na początku marca? Śnieg stopniał, odsłaniając połacie psich kup. Przez zimę leżały sobie spokojnie, przykrywane kolejnymi warstwami puchu. Teraz są na trawnikach, pod balkonami, przy wejściach do klatek. Zdarzają się nawet na wycieraczkach.

Żeby oddać sprawiedliwość właścicielom psów, z roku na rok jest coraz lepiej. Ludzie naprawdę sprzątają po swoich pupilach, przynajmniej wtedy, kiedy ktoś patrzy. Lecz trudno uwierzyć, że te wszystkie kupy zostawiają po sobie mityczne bezpańskie psy, które przemierzają polskie miasta i miasteczka, srając, excuse le mot, gdzie popadnie.

●

Monika ma 10 lat i jest nieśmiała. Uwielbia psy. Jej rodzice są dumni, że potrafi sama podejść do obcego człowieka, powiedzieć „dzień dobry" i zapytać, jak pies ma na imię i czy można go pogłaskać.

Nie zawsze tak było. Kiedyś na widok psa biegła do niego bez zastanowienia. Rodzice długo tłumaczyli jej, że najpierw trzeba zapytać właściciela o zgodę. Nie tylko dlatego, że tak wypada – przecież nie wsiada się do cudzego samochodu, bo wpadł nam w oko – tylko z myślą o własnym bezpieczeństwie.

Teraz dziewczynka ma gotową formułkę: „Dzień dobry, przepraszam, czy mogę...?". Zazwyczaj odpowiedź jest twierdząca. Ale nie zawsze. Zdarza się, że człowiek nie pozwala pogłaskać psa. Z początku Monice było przykro, teraz już wie, że to nie musi być nic osobistego, ktoś może być akurat nie w humorze, mieć gorszy dzień czy nie chcieć tak po prostu – tak samo, jak ktoś może nie chcieć znaleźć się w kadrze na zdjęciu – dziękuje i idzie dalej.

W tym miejscu Victoria Stilwell, trenerka psów znana z programu „It's Me or the Dog", upomina się o potrzeby samego psa, o których w sporach między ludźmi łatwo zapomnieć.
– A co, jeśli to pies nie chce kontaktu?

Stilwell dostrzega w zmianie stosunku ludzi do psów wiele dobrego: większą troskę o ich potrzeby,. Jednocześnie przestrzega przed przypisywaniem zwierzętom ludzkich oczekiwań. To, że człowiek lubi siedzieć w pełnej kawiarni, nie znaczy jeszcze, że jego pies dobrze znosi hałas, tłum i ciągły ruch. To, że właściciel cieszy się z kolejnych spotkań ze znajomymi, nie oznacza, że zwierzę pragnie być głaskane przez wszystkich przy stoliku.

Opiekun powinien rozpoznawać takie sytuacje i nie zmuszać zwierzęcia do kontaktów, które sprawiają mu dyskomfort. Bliskość z psem wymaga znajomości jego potrzeb, a nie tylko zabierania go wszędzie ze sobą.

Zatem człowiek obawiający się obcych psów i pies niechętny dotykowi obcych ludzi mogą potrzebować tego samego: odpowiedniego dystansu, przestrzeni dla siebie. Trenerka zauważa, że w tym miejscu mogą się spotkać „psofobi" i ludzie bojący się psów oraz zapaleni psiarze szczerze przekonani, że każdy chce nawiązać znajomość z ich przyjacielem.

●

Kuba z narzeczoną, oboje po trzydziestce, przeprowadzili się do Krakowa. Zamieszkali w starej kamienicy, w której sąsiedzi znają się od lat. Są nowi, do tego z kundelkiem średniej wielkości.

W kamienicy jest jedna winda, a część mieszkańców nie chce z niej korzystać, kiedy w kabinie znajduje się zwierzę. Kilka razy powiedzieli, że poczekają na następny kurs. Nie domagają się pierwszeństwa, niemniej zrobiło się niezręcznie, kiedy sąsiedzi zostają na korytarzu. Czasem więc przepuszczają innych, choć nikt ich o to nie prosi.

Ale z tym też im niekomfortowo. Bo ile razy można? Owszem, są tu nowi, ale przecież są u siebie. Tak samo jak sąsiedzi, którzy mieszkają w kamienicy od pięciu dekad.

A na drugą windę nie ma miejsca. Zresztą czy ktoś gdzieś już buduje osobne windy dla psów? Może w Dubaju... Ale dla kundelków? ●

Odyseusz żyje

Dziś, kiedy przez Polskę przemienionych kołodziejów przetoczyła się już fala zainteresowania „Odyseją", możemy znowu zwrócić się do ukochanych lektur.



Jarosław Mikołajewski

FELIETON Z CYKLU „ZA PIĘĆ TRZYNASTA"

Wrócić z poziomu dyskusji obsadowych na plan znaczeń, homeryckiej potęgi wywoływania sugestii, porównań wędrówki bohatera do naszych prywatnych wypraw w życiu i wyobraźni.

I oto z podręcznych zakamarków odniesień wysypują się sylwetki Odyseusza / Ulissesa, które w wierszach – tych kieszonkowych odysejach – pozostawili poeci. Np. Dante, dla którego Ulisses był z jednej strony gigantem poznania, wyzwaniem dla gnuśności, herosem, któremu chciało się eksplorować, z drugiej – zdrajcą i potworem poznawczej pychy, która pchnęła go do przekroczenia dopuszczalnych granic.

Lub bardziej współczesny Umberto Saba, którego Odys jest człowiekiem u kresu życia, porzuca przybrzeżne archipelagi i gubi się w morskim bezmiarze.

Albo Cesare Pavese, którego Ulisses to zmęczony starzec, przekonany po wielu podróżach, że świat wystarczy zgłębiać siedząc w oknie domu, patrzący z goryczą międzypokoleniowego niezrozumienia na syna, który pragnie poznawać na własny rachunek i co chwilę wychodzi z domu po nowe, błahe przygody.

Lecz spośród lekturowych powrotów najsilniej powraca dziś do mnie inny wiersz – „Nikt" Krzysztofa Karaska, opublikowany w 1991 roku w zbiorze „Poeta nie spóźnia się na poemat" (Wydawnictwo Dolnośląskie).

●

Wiersz wybitnego, rzadko dziś wspominanego poety (urodzonego w 1937 roku), przywołuje podstęp Odyseusza, który na początku znajomości z Cyklopem Polifemem przedstawia się jako Nikt, potem oślepia jednookiego potwora, i na jego pytanie o imię sprawcy cierpienia konsekwentnie odpowiada właśnie tym swoim wymyślonym imieniem – Nikt. I teraz zakończenie wiersza, które przyprawia o drżenie:

... Skąd przybywasz / i dokąd płyniesz, Nikt? Przyczyno naszego bólu, góro naszych strapień / i nienawiści? Budzimy się wśród nocy, / okaleczeni, obolali, budzimy się / z płonącą głownią w oku / i krzyczymy. Każdy / w swoją noc. Lecz nikt nam nie może pomóc. / Bowiem przyczyną naszych nieszczęść jest ów ciemny / Nikt, / czuwający we wnętrznościach jaskini. // Biedny Cyklop.

●

A oto epilog, który pisze życie. Homer i Odyseusz, poeta i bohater w jednej postaci, mieszka dziś w domu opieki, nazywanym domem spokojnej starości. Jeżeli uda się wsłuchać, jego słowa bardzo wiele mówią. Kiedy ktoś go odwiedza, pyta gościa o imię. W notce biograficznej sztuczna inteligencja informuje, że umarł w 2021 roku. Ale on żyje, życiem własnym i życiem homeryckich postaci. Odwiedziłem go wczoraj, więc wiem. Jeżeli to, że się kogoś widziało, jest wystarczającym dowodem na jego istnienie. ●

eprasa.pl b47d9d91db

ŚWIAT



FOT. GUY SMALLMAN, L. WILLINGER/FPG/HULTON ARCHIVE//GETTY IMAGES

Zazdroszczę wam, mamo, tato



Dla młodych opowieści rodziców i dziadków o ich trudnym życiu w trudnych czasach **brzmią jak piękna baśń.**

Z **IWANEM KRASTEWEM*** ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

W tak zmiennych czasach myślisz jeszcze w ogóle o przyszłości?

– Zależy, jak definiujemy przyszłość. Dotychczas ludzkość opisywała ją w kategoriach projektu do zrealizowania: coś chcemy osiągnąć, coś będziemy budować. W związku z tym naturalne było założenie, że w tej przyszłości, którą chcemy stworzyć, życie naszych dzieci będzie odmienne od naszego, w domyśle – lepsze.

Problem w tym, że dziś mało kto wierzy, że kolejne pokolenia będą szły w górę drabiny społecznej. Spójrz na tych wszystkich młodych ludzi, którzy dzisiaj protestują na ulicach Europy i nie tylko. Ta mobilizacja ma kilka znaczących cech.

Po pierwsze, demonstrantów jest naprawdę mało. Nie są w stanie stworzyć żadnej masy krytycznej, w związku z czym nie wywołają trwałej zmiany.

Bo na ulicach są dzisiaj pokolenia niżu demograficznego. Wszystkie bogate społeczeństwa mają dzisiaj odwróconą piramidę demograficzną.

– Oczywistość tego faktu nie umniejsza jego znaczenia. Jesteśmy w takiej sytuacji po raz pierwszy w historii: młodzi ludzie stanowią wyraźną mniejszość.

Po drugie – to mniejszość znajdująca się w stanie ekonomicznego prekariatu. Wielu z nich nie ma zatrudnienia ani szans na nie, o stabilności wynikającej z regularnej pracy najemnej mogą zapomnieć. Więc nie wierzą, że ich życie może być lepsze niż życie ich rodziców.

Chociażby z tego względu te protesty nie wywołają efektu podobnego do maja 1968. Wtedy na ulice wyszły olbrzymie kohorty młodych, bo ich roczniki były bardzo liczne. Na to nałożyła się zmiana technologiczna oraz wejście w erę gospodarki usług, ekonomii wiedzy i społeczeństwa masowej konsumpcji. Nagle na Zachodzie odsetek ludzi z dyplomem szkół wyższych uległ potrojeniu.

Hasłem tamtych demonstrantów była walka o życie radykalnie inne niż to, które było udziałem ich rodziców. Dzisiejsi protestujący mówią, że chcieliby takie samo życie, jakie mieli rodzice.

Każdy z tych protestów ma specyficzne dla danego kraju konkretne, strukturalne przyczyny, ale łączy je bardzo silne doświadczenie pokoleniowe. Dzisiejsze nastolatki dotknęło kilka poważnych kryzysów jednocześnie.

Są dziećmi pierwszych lat po kryzysie 2008 roku, który spustoszył zachodnie społeczeństwa, wiele gospodarek nigdy się po nim porządnie nie odbiło.

Nie zapominaj też, że dzisiaj są na ulicy ci, których zamknęliśmy w domach w czasie pandemii, często na kilka lat. Koronawirus miał olbrzymie przełożenie na konflikt generacyjny, a w ogóle nie poruszamy tego w debacie publicznej. Owszem, zabił najwięcej starych ludzi, ale życia społecznego najbardziej pozbawił młodych.

Siedząc w domach, stracili bezpośrednie uczestnictwo w ważnych cezurach życiowych, jak przejście z jednej szkoły do drugiej, bale maturalne, pierwsze randki. Ich socjalizacja została zatrzymana, czasem uwstecznione.

Poza tym wepchnęliśmy ich do internetu. To, że ich życie toczy się głównie tam, że to ich pierwotne środowisko względem świata analogowego, to nasza zasługa.

Właśnie po wyjściu z pandemii, ci ludzie zaczęli mówić o sobie w kategoriach pokoleniowych. Co jest o tyle ciekawe, że to przecież bardzo zróżnicowane pokolenie.

Są skrajnie podzieleni politycznie, mało ich jednoczy, różnią się pod każdym względem. Młodzi mężczyźni przechodzą na pozycje bardziej radykalne, często autorytarne, gdy kobiety trzymają się idei progresywnych. One częściej migrują do dużych miast, inwestują w dodatkowe kwalifikacje, kształcą się, zmieniają swoje oczekiwania wobec mężczyzn – a oni trzymają się dawnych norm i zasad społecznych, bo były dla nich korzystniejsze.

W tym miejscu podział płciowy nakłada się na geograficzny, bo duże miasta mają więcej progresywnych młodych kobiet, a mniejsze – konserwatywnych, rozczarowanych współczesnością młodych mężczyzn.

Najbardziej jednak wyróżniają się tym, że niespecjalnie interesuje ich przeszłość, w tym przeszłość ich własnej rodziny. Nawet jeśli mieszkają dalej pod jednym da-

eprasa.pl b47d9d91db

chem z rodzicami, często mają wrażenie, że opowieści mamy i taty o ich życiu i czasach są piękną bajką. Czymś uroczym, ale fikcyjnym, bo dla nich nieosiągalnym.

Jeśli nałożysz na to fakt, że oni z wielu różnych powodów, od słabych perspektyw finansowych, przez brak własnego mieszkania, po lęki o przyszłość w świecie katastrofy klimatycznej, nie chcą mieć dzieci, otrzymasz portret pokolenia, które nie jest gotowe niczego poświęcać w imię przyszłości, bo przyszłość nie jest dla nich żadnym projektem.

Pytam o przyszłość, bo wśród dominujących interpretacji ostatnich lat jest przekonanie, że żyjemy w czasach końca. Sam pisałeś rok temu o liberalizmie czasów końca. Naomi Klein, najważniejsza autorka ruchu alterglobalistycznego, wydała właśnie książkę o faszyzmie czasów końca. Coś się naprawdę kończy, czy skończyła się nasza zdolność do wyobrażenia sobie przyszłości?
– Jedno i drugie, bo jedno napędza drugie.

Na pewno mamy olbrzymi kryzys wyobraźni politycznej.

Przede wszystkim zmieniła się społeczna percepcja czasu. Jednym ze źródeł całkowitej dysfunkcji dzisiejszej polityki demokratycznej jest rozjazd pomiędzy tym, jak doświadczamy czasu na poziomie jednostki, zwłaszcza w gospodarce rynkowej, i działaniem czasu w polityce.

Dzisiaj na Amazonie możesz zamówić z własnego telefonu dosłownie każdy produkt na świecie, może poza bombą nuklearną – i Amazon ci ten produkt dostarczy, często następnego dnia. A polityka demokratyczna żyje w cyklach wyborczych, które trwają cztery, pięć lat.

Rządy nadal komunikują wyborcom, że jak dostaną czas, to wprowadzą reformy, które przyniosą efekty. A wyborcy stracili cierpliwość, bo każdą inną usługę czy produkt dostają – mimo całego skomplikowanego procesu za nimi stojącego – od ręki. A rozwiązanie naprawdę żywotnych problemów obiecuje im już kolejna ekipa.

Z jednej strony ta irytacja wyborców-konsumentów jest zrozumiała, z drugiej, zachowania konsumenckie w polityce szkodzą demokracji i paradoksalnie jeszcze bardziej utrudniają działanie tym nieruchawym politykom.

Kupujesz sukienkę w sklepie internetowym, odbierasz po dwóch dniach. Jeśli ci się nie podoba, oddajesz za darmo, bez podania powodu. Nie ma żadnego kosztu, więzi z marką, odpowiedzialności.

A teraz spójrz na europejską politykę. Friedricha Merza krytykuje 5 na 6 Niemców, ale mało kto wie, że on stracił połowę poparcia społecznego, jeszcze zanim został zaprzysiężony na kanclerza. Czyli pomiędzy wygraniem wyborów a rozpoczęciem rządów, kiedy nie miał nawet szansy cokolwiek zrobić, przestał się podobać co drugiemu wyborcy.

To jest esencja dysfunkcji dzisiejszej demokracji – nie jesteś w stanie zrobić absolutnie nic, bo ludzie chcą od razu cię wymienić. A chcą, bo wymieniają wszystko całkowicie bezkosztowo.

Na co nakłada się ów wymiar pokoleniowy – bo jeśli nie wierzysz w przyszłość, to na co niby miałbyś czekać?

Pamiętasz eksperyment z odroczoną gratyfikacją?

Ten z lat 70., kiedy na Uniwersytecie Stanforda dawano dzieciom słodycze i obiecano, że jeśli powstrzymają się i nie zjedzą ich, za godzinę dostaną kolejne?
– Właśnie. Konkluzje z tego eksperymentu stały się jednymi z podstaw wychowania dzieci w zachodnich społeczeństwach: ci, którzy poczekają, wykażą się umiarkowaniem, poświęceniem i strategią, będą lepiej sobie radzić w życiu.

A teraz rozejrzyj się po współczesnym świecie. Kto jest najpotężniejszym człowiekiem na planecie?

Prezydent USA. Czyli Donald Trump.
– A myślisz, że Donald Trump czekał godzinę?

Przekonanie, że warto poczekać, jednocześnie poświęcając jakąś nawet małą przyjemność w imię powodzenia, które nadejdzie w przyszłości, już nie istnieje w społeczeństwie.

Co więcej, te dawne wizje przyszłości, o których rozmawiamy, były optymistyczne bez względu na ich orientację ideologiczną. Zarówno kapitalizm, jak i komunizm obiecywał zmianę na lepsze.

Dzisiaj mamy w to miejsce wizję totalnej apokalipsy – i nawet nie uniwersalistyczną, bo przekonanie, co nią będzie, zależy od orientacji politycznej. A to katastrofa klimatyczna, a to sztuczna inteligencja, a to napływ migrantów z innych kultur, w Europie może niektórzy jeszcze boją się zagłady nuklearnej, bo na kontynent wróciła wojna.

• **Plac Republiki w Paryżu, 17 października br. Uczniowie i studenci protestują m.in. przeciwko niedofinansowaniu edukacji i rosnącym kosztom życia**
FOT. GUY SMALLMAN / GETTY IMAGES

• **Rodzina dostatnia i szczęśliwa. Zdjęcie reklamowe z lat 60. XX wieku.**
FOT. GETTY IMAGES



***Iwan Krastew**

• Rocznik 1965, bułgarski politolog i ekspert w dziedzinie stosunków międzynarodowych jeden z najważniejszych obecnie europejskich intelektualistów. Kierownik Centre for Liberal Strategies w Sofii oraz stały członek Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. Współzałożyciel oraz członek zarządu Europejskiej Rady Stosunków Międzynarodowych (ECFR). Członek globalnej rady doradczej Open Society Foundations, stały felietonista „The New York Times", autor wielu cenionych książek, w tym głośnej książki „After Europe".

• Za pomoc w realizacji wywiadu dziękujemy organizatorom Igrzysk Wolności w Łodzi.

Ale to z powodu tego katastrofizmu zmiana percepcji czasu jest tak niebezpieczna.

Kiedy rozpisujemy wybory, mamy rywalizujących kandydatów. Dlaczego ten u władzy w ogóle pozwala drugiemu startować? Bo jest przekonany, że nawet jeśli rywal wygra, to go nie zabije, a za cztery lata będzie okazja spróbować go pokonać, a potem odwrócić jego reformy. A teraz wyobraź sobie, że nikt już nie wierzy w przyszłość, więc nikt nie zakłada, że dostanie kolejną szansę.

Wtedy każde głosowanie jest z definicji najważniejszym, bo ostatnim. Co uświęca wszelkie środki.
– W takim układzie nie ma miejsca na myślenie o przyszłości, więc demokracja przestaje istnieć.

Dzisiaj coraz częściej słyszy się w różnych krajach, że właściwie każde wybory są decydujące: dla miasta, dla państwa, dla kontynentu, dla planety, dla przyszłości. Próbuje się więc jakoś temperować te zagrożenia, skracać cykle polityczne, odwoływać rządy, przyspieszać wybory, ale to sprawia wyłącznie, że państwa są coraz bardziej rozedrgane i nie realizują swoich zadań.

Jednocześnie, na poziomie indywidualnym, w wydaniu bardzo konkretnych jednostek, coraz więcej osób publicznie mówi, że chcą i będą w stanie żyć wiecznie. Zauważyłeś, że jeszcze trzy, cztery lata temu regularnie dyskutowano o sukcesji w Rosji, a teraz ten temat zamarł?

Apokalipsa naszych rodziców i dziadków była wspólna. Wojna atomowa zabiłaby wszystkich. A czy apokalipsa sztucznej inteligencji będzie totalna. Może ktoś przetrwa? Albo wręcz podniesie swój status społeczny? Z apokalipsą klimatyczną tak samo. Zanim planeta umrze, warunki bytowe w części krajów się polepszą

Nie dlatego, że Putin pozbył się wszystkich potencjalnych delfinów? Po prostu nie ma o kim rozmawiać?
– To powierzchowna interpretacja. Nikt w Rosji nie mówi o tym, co będzie, jak Putin odejdzie, bo nikt nie myśli o odejściu Putina. Postęp w medycynie spowodował, że on spokojnie może być u władzy nawet jeszcze 20 lat. A potem? Już rozmawiał z Xi Jinpingiem o perspektywach na nieśmiertelność.

Z jednej strony więc niesamowicie rozciąga się perspektywa czasu, w którym żyjemy. Z drugiej zaś kurczy się perspektywa czasu, w którym możemy działać politycznie. Cała społeczna percepcja czasu ulega załamaniu i stąd przekonanie, że żyjemy w czasach końca.

A czy to przekonanie o braku przyszłości nie wynika również z braku wymiaru ideologicznego w naszym życiu? Wielkie ideologie XIX i XX wieku wyznawcom zawsze jakiś koncept człowieka przyszłości. Nie wdając się w ich ocenę, mieliśmy jakąś perspektywę – był nazistowski Übermensch, był człowiek socjalistyczny, była jednostka liberalna w końcu historii. Dzisiaj wizję człowieka przyszłości oferuje jedynie Dolina Krzemowa, ale to przecież nie ideologia.
– To wynika z traumy XX wieku. Zachowujemy się, jakbyśmy nie dawali już sobie prawa nawet do myślenia o człowieku przyszłości.

Jesteśmy aż tak straumatyzowani totalitaryzmami?
– Jedyny projekt człowieka przyszłości, jaki mamy, to klient. Zbudowanie społeczeństwa wokół ludzi jako klientów.

Logika wolnego rynku przedostała się do polityki i ją przejęła. W powiedzonku „klient nasz pan" zamień „klient" na „wyborca" i otrzymasz obraz współczesnych demokracji. Przekaz populistów jest do bólu kapitalistyczny. Populistyczny polityk mówi: „nie będę was zmieniać, bo nie musicie się zmieniać. Możecie robić, co chcecie". To konsekwencja społeczeństwa konsumenckiego, w którym jest jedna zasada: nikt nie może mi mówić, co mam robić, jak mam wybierać i kim mogę być.

Skutkiem jest zanik jakiejkolwiek zbiorowości politycznej, i na prawicy, i na lewicy. Myślenie o zbiorowości staje się wręcz zakazane, piętnowane.

Dlatego liberalizm jest tak zagrożony i tak bezradny. On nigdy nie był ideologią jakoś szczególnie utopijną, nie składał porywających obietnic, proponował: żyj i pozwól żyć. Ale że rywalizował z komunizmem, który oferował opowieść o świetlanej przyszłości, też musiał dać jakąś obietnicę, więc skupił się na obietnicy poprawy teraźniejszości. Komuniści mówili, jak będzie, więc liberałowie zajęli się tym, co jest teraz, rozwiązywali dzisiejsze problemy, żeby następnym pokoleniom żyło się lepiej.

A dzisiaj liberałowie już tą kartą optymistycznego pragmatyzmu nie zagrają, bo który wyborca uwierzy, że jeśli będzie ciężko pracował, to jego dzieciom będzie żyło się lepiej?

Tylko czy sama możliwość myślenia o końcu świata nie jest elitarnym przywilejem? Joan Williams, socjolożka z Uniwersytetu Kalifornijskiego, zauważa, że trudno jest myśleć o końcu świata, kiedy nie ma się pewności przetrwania do końca miesiąca.
– Owszem, twój koniec świata zależy od pozycji społecznej. Większość ludzi obawia się nie końca świata w sensie zbiorowej apokalipsy, ale końca swojego świata. Zagrożona jest moja pozycja w społeczeństwie, mój status, moje przywileje albo po prostu to, co jest dla mnie cenne.

Dlatego w niemałym stopniu lęk przed apokalipsą to lęk starzejących się zachodnich społeczeństw. Nie spotkasz się z nim w Afryce czy w Indiach. To bardzo zachodnia narracja.

Myślimy, że świat się kończy dla nas, ludzi Zachodu, więc automatycznie skończy się dla wszystkich?
– A jednocześnie wizje apokalipsy, która może naprawdę być uniwersalna, są bardzo niekonkretne.

W XX wieku lęk przed zagładą nuklearną zakładał, że jeśli umrzemy, to wszyscy i w tym samym momencie. W dodatku to była apokalipsa kontrolowana – jednak wszystko w niej zależało od decyzji ludzkich, nie mogła wydarzyć się sama z siebie.

A spójrzmy na apokalipsę wywołaną przez sztuczną inteligencję. Nie wiemy, czy będzie totalna. Może ktoś przetrwa? Albo wręcz podniesie swój status społeczny? To generuje potężne napięcia i lęki. Co więcej, to nie będzie apokalipsa kontrolowana przez człowieka, tylko chaotyczna, dokonywana przez siły, których nie rozumiemy.

Apokalipsa klimatyczna jest jeszcze mniej uniwersalna. Bo okej, planeta umrze, ale na pewno nie nagle i nie wszyscy zginą jednocześnie. Wręcz przeciwnie, będzie okres przejściowy, w którym warunki bytowe w części krajów się polepszą, można nawet mówić o beneficjentach zmian klimatu.

Krótko mówiąc, nasze apokalipsy, w przeciwieństwie do apokalips poprzednich pokoleń, nie są totalne i powszechne, dlatego mogły nabrać wymiaru klasowego czy tożsamościowego.

Ale każdej apokalipsie towarzyszą mesjasze i rewolucjoniści. I tu docieramy do ideologów technoprawicy z Doliny Krzemowej. Niby są rewolucjonistami, ale nie do końca, bo do tej pory każdy ruch rewolucyjny zakładał jakieś ulepszenia dla ludzkości. Poprawę warunków życiowych, utopię moralną czy równościową, ale zawsze prezentowaną jako coś masowego, co obejmie wszystkich.

Tymczasem Dolina Krzemowa jest zaprzeczeniem masowości. Weźmy Muska, który obiecuje, że przeniesie ludzkość na Marsa. Wiadomo, że ma na myśli garstkę, a nie osiem miliardów ludzi. Technoprawica mówi więc nam wprost, że zamierza nas wszystkich czymś zastąpić, a nawet wyeliminować.

Ale to w pewnym sensie nic nowego, jedna z odnóg transhumanizmu, ideologii sprzed stu lat. Racjonalna utopia dla wybranych, technologia przełamująca ograniczenia biologiczne ludzkości, żeby mogła dalej ewoluować – wszystko już było.
– Ale zawsze dotyczyło jakiejś szerokiej zbiorowości, nawet jeśli nie ludu. A utopia Dolinie Krzemowej jest bardzo elitarystyczna, to oferta dla wybranych.

Bardzo nielicznych wybranych, bo splot wielkich procesów technologicznych, gospodarczych i politycznych sugeruje, że nawet wielu ludzi uprzywilejowanych, z klasy średniej wyższej, nie będzie miało gdzie się podziać.

Weźmy Europę. Jeśli nasz kontynent wróci do realiów międzywojnia, pogrąży się w konfliktach, dokąd pójdziemy? Raczej nie do rozwarstwionych, skrajnie indywidualistycznych Stanów Zjednoczonych. Ani do RPA. Ani do Indii, o Chinach nie mówiąc. Nawet spora część naszych elit nie znajduje dla siebie żadnej perspektywy jutra. Ma ją jeszcze chyba tylko arystokracja pieniądza.

Uderzyło mnie to, co mówiłeś o czasie. Chyba tu zaszła największa zmiana, bo mam wrażenie, że nie tylko

eprasa.pl b47d9d91db

rozjechały się nasz czas społeczny i konsumencki z czasem politycznym, ale już w ogóle nie wiemy, czym jest czas, bo każdy odczuwa go skrajnie odmiennie. Żadna książka nie ilustruje tego lepiej niż „Lata". Annie Ernaux najpierw opowiada o latach 40., 50., kiedy wszyscy mają ten sam punkt odniesienia – wojnę. A potem nagle każdy ma swoje azymuty, bo ludzie mierzą czas już nie wspólnymi wydarzeniami, tylko konsumpcją nowych produktów pojawiających się na rynku.

– Owszem, zanika doświadczenie zbiorowe, takie, jakim był Wielki Kryzys przełomu lat 20. i 30 XX wieku, czy właśnie II wojna światowa. Dziś nasze życie składa się z całej masy indywidualnych doświadczeń, a tych zbiorowych już nie mamy – bo przecież nawet wojna w Ukrainie nie jest wspólnym mianownikiem nawet dla całej Europy, o globie nie mówiąc.

Z wyjątkiem pandemii. Koronawirus był zbiorowym doświadczeniem.

– Ale bardzo nietypowym i dlatego interesującym. Jestem przekonany, że pandemia odegrała olbrzymią rolę w katalizowaniu przemian, które dzisiaj obserwujemy.

Jeśli zapytasz ludzi na ulicy, czy Covid-19 był ważny, powiedzą, że tak, bo pamiętają kwarantanny, restrykcje i to, jak zmieniło się ich życie. Ale już na poziomie społeczeństw nie za bardzo umiemy w ogóle o tym okresie mówić.

A przecież covid był kluczowy na przykład dla myślenia Władimira Putina.

Dlaczego?

– Bo w pandemii niemożliwe stało się możliwe, wręcz prawdopodobne. Rzeczy, jakie oglądaliśmy w dystopijnych filmach, weszły do rezerwuaru codziennej polityki. Miliony ludzi zamkniętych w domach.

Puste ulice, puste samoloty, praca zdalna, edukacja przez internet dla milionów ludzi, kwarantanny, różne przymusy, kontrole, patrole, przestawianie wajchy w codziennym funkcjonowaniu całych społeczeństw z godziny na godzinę, i to kilka razy z rzędu – pandemia zmieniła naszą wyobraźnię polityczną.

W takich warunkach łatwiej jest podjąć próbę radykalnego działania, a tym przecież jest inwazja na Ukrainę. Skoro nagle wokół nas dzieją się rzeczy, które jeszcze chwilę temu były trudne do wyobrażenia, może warto zaryzykować i zrobić coś, co dotychczas tkwiło jedynie w strefie marzeń, fantazji. Cała putinowska opowieść o nowej Jałcie czy zmianie architektury bezpieczeństwa w Europie – to produkt zmiany wyobraźni politycznej, wynikającej również z pandemii.

W dodatku pandemia jako zjawisko polityczne splata się z kwestią pokoleniową, właśnie dlatego, że działania rządów zaczęły w bardzo wyraźny sposób przedkładać dobro starszych ludzi nad potrzeby młodych. Priorytetem byli ludzie w podeszłym wieku, o kosztach poniesionych przez nastolatki nikt nie mówił.

Jakiś czas temu ukazała się „Gerontocracy in America", fantastyczna książka Samuela Moyne'a z Yale o amerykańskiej gerontokracji, czyli rządach starych ludzi.

W momencie, w którym zdasz sobie sprawę, jak wiele zasobów finansowych i władzy politycznej zakumulowali najstarsi i jak mało mają woli przekazania tych zasobów, zrozumiesz, że konflikt klasowy ma się dobrze – tylko przybrał wymiar generacyjny. Proletariatem są młodzi, wielką burżuazją i fabrykantami – starzy.

W dodatku ten konflikt klasowo-generacyjny dotyka teraz spraw fundamentalnych, jak natura życia, ale też natura śmierci.

Natura śmierci? Zawsze myślałem, że śmierć jest tym wielkim wyrównywaczem, bo wszyscy jesteśmy równi poprzez sam fakt umierania.

– Otóż mylisz się. Opieka paliatywna, dostęp do najnowocześniejszych leków, do niemal eksperymentalnych, kosztownych procedur medycznych – dzisiaj majątek nie decyduje tylko o jakości twojego życia, ale i o jakości twojej śmierci.

Spójrz, jak to się odbija w debacie migracyjnej. A dokładniej w rozmowie o tym, do czego migranci nam są w ogóle potrzebni.

Właściwie jedyny skuteczny sposób przekonania ludzi na Zachodzie do imigrantów to tak zwany argument szpitalny. Ponieważ tak wielu imigrantów pracuje w ochronie zdrowia, jako pielęgniarki czy lekarze, politycy mówią wprost: jeśli ich nie ściągniemy albo wyrzucimy z naszych krajów, nie będzie nikogo, kto zajmie się naszymi emerytami.

Z kolei argument przeciw imigracji też jest instytucjonalny i pokoleniowy, ale odwrotny – bo dotyczy szkół. We Włoszech protesty wybuchły także dlatego, że Giorgia Meloni chciała wprowadzić ograniczenie liczby obcokrajowców w pojedynczych klasach, co lewica uznała za próbę segregacji etnicznej, wręcz rasowej. Uczniowie wyszli na ulicę, bo nie chcieli być rozdzielani, nie mówiąc o tym, że akurat we Włoszech wprowadzanie kryteriów narodowościowych do edukacji źle się kojarzy, bo wybrzmiewa w tym echo faszyzmu. We Francji protesty uczniowskie też mają wymiar migracyjny, bo szkoły w najgorszym stanie znajdują się często w zgettoizowanych i niedofinansowanych dzielnicach zamieszkałych przez wielu imigrantów.

To zestawienie samo w sobie jest ciekawe, bo w tak skonstruowanej opowieści dostęp do opieki zdrowotnej staje się orężem sił progresywnych, ale dotyczy starych ludzi. Z kolei na edukacji najbardziej zależy konserwatystom, choć obejmuje życie najmłodszych.

A jednocześnie to dwie płaszczyzny działania państwa, które najbardziej zmieni rewolucja sztucznej inteligencji.

W edukacji już to bardzo dobrze widać, technooptymiści dążą do eliminacji powszechnego szkolnictwa, indywidualnego nauczania z asystentem AI i zaniku jakiejkolwiek wspólnoty szkolnej. Z kolei nowa technologia w medycynie gwałtownie przyspieszy diagnostykę, stworzy nowe leki, uprości procedury – możliwe więc, że doprowadzi też do redukcji zatrudnienia. Nie ma więc pewności, że te kierunki polityczne są słuszne i że się utrzymają.

Kolejną rzeczą, która mocno wpływa na konflikt pokoleniowy, jest podejście do seksu. Wystarczy pojechać do Azji, na Daleki Wschód, żeby zobaczyć, że młodzi ludzie są w tych krajach seksem zwyczajnie znudzeni, niezainteresowani. Rośnie natomiast liczba osób, które deklarują bycie w związku z jakimś podmiotem cyfrowym – czatbotem czy agentem AI.

W skali makro to oznacza koniec społeczeństw z powodu braku dzieci. Dziecko to nieodwracalna decyzja obciążona olbrzymimi kosztami. A skoro nie rezygnujemy z niczego i chcemy móc wszystko zwrócić, to na dzieci nie ma w tym świecie miejsca. Mam wrażenie, że najgłębszy podział naszych społeczeństw to nie kobiety kontra mężczyźni czy młodzi kontra starzy, ale ludzie z dziećmi kontra bezdzietni. Ci drudzy tych pierwszych w ogóle nie rozumieją.

– Nieco zapomnieliśmy, że rodzina była zawsze wielkim przeciwnikiem każdej rewolucji społecznej. Wszyscy rewolucjoniści brali na cel strukturę rodzinną. Przeciwnicy Kościoła, komuniści, hipisi – każdy chciał z nią zerwać.

Tylko to się okazywało bardzo trudne, bo nikt nie wiedział, co zrobić z dziećmi, a projekty w rodzaju nacjonalizacji dzieci niczym z „Nowego wspaniałego świata" Huxleya okazywały się zbyt radykalne. W rezultacie struktura rodzinna trwa w niemal niezmienionej formie od stuleci, okazała się odporna na wszystkie wielkie zmiany społeczne.

Jednocześnie brak dzieci napędza poczucie, że żyjesz w czasach końca – bo jeśli nie masz dzieci, koniec twojego życia oznacza koniec świata. Wszystko, co twoje, kończy się z twoją śmiercią.

Zresztą to dotyczy nie tylko ludzi bez dzieci. Coraz więcej osób myśli tylko o sobie w kontekście czasu, w którym żyje. Trump jest najlepszym przykładem. On autentycznie zachowuje się, jakby świat miał skończyć się wraz z jego śmiercią. Woli sam nazywać budynki swoim imieniem niż zdać się na potomnych, bo chce, żeby to się wydarzyło za jego życia – skoro po śmierci nie będzie jego, to nie będzie niczego.

A może on na jakimś poziomie ma rację? Przyszłość jest ludzką koncepcją. Rośliny nie mają przyszłości, maszyny też nie. Koniec przyszłości jest w takim razie końcem ludzkości?

– Może nie ludzkości jako takiej, ale ludzkości w jej obecnym kształcie już tak.

O kryzysie demograficznym często opowiada się, przywołując figurę kobiety bez dzieci – ale dla mnie znacznie lepszą ilustracją tego procesu jest babcia bez wnuków.

Nie licząc kilku gatunków ssaków morskich, właściwie nigdzie poza homo sapiens nie występuje menopauza. „Hipoteza babci" zakłada, że ludzkie potomstwo długo się usamodzielnia, trudno je wychować, więc ewolucja wytworzyła instytucję kobiety już niezdolnej do rozrodu, ale wciąż spełniającej ważną funkcję biologiczną i społeczną. Ale jeśli jest coraz mniej dzieci, to nie potrzeba babć. Starsze kobiety tracą więc swoją główną funkcję w zbiorowości ludzkiej.

Opieka paliatywna, dostęp do najnowocześniejszych leków, do niemal eksperymentalnych, kosztownych procedur medycznych – dzisiaj majątek nie decyduje tylko o jakości twojego życia, ale i o jakości twojej śmierci

Oczywiście babcie bez wnucząt mogą się realizować i realizują na wielu polach – ale w momencie, w którym dochodzisz do kresu życia, wszystko blaknie, chcesz mieć przekonanie, że coś po tobie zostanie, a potem przyjdą kolejne pokolenia, które z tego skorzystają. Na tym opiera się cała umowa społeczna – robimy coś dla ludzi, których nigdy nie poznamy, także tych, którzy pojawią się po naszej śmierci

Śmiertelność jednostki zawsze nam towarzyszyła, bo każdy umierał – ale pocieszaliśmy się nieśmiertelnością zbiorowości. Ty umrzesz, ale twoja rodzina przetrwa w kolejnych pokoleniach. Albo twoja wieś, twój naród, twoja społeczność językowa. Tymczasem dzisiaj z jednej strony mamy ludzi w Dolinie Krzemowej głęboko przekonanych, że będą żyć wiecznie, a z drugiej – rzesze ludzi, którzy są ostatni z rodu i małe narody, które boją się, że przestaną istnieć za kilkanaście lat.

To powiedz szczerze, czy wierzysz, że demokracja jest w stanie przetrwać te wszystkie zmiany? Rozmawiam o tym często z studentami, którzy mają 18, 20 czy 22 lata. Dla nich przeszłość, która nam czy naszym rodzicom wydawała się tak burzliwa, jest wręcz abstrakcyjna w swoim dobrobycie i przewidywalności. Przyszłość zaś w ogóle nie istnieje, więc oni tkwią w jakimś wiecznym „dzisiaj", ciągłej byle jakiej teraźniejszości. A przecież Heidegger pisał, że człowiek jest „istotą wiecznie wychyloną w przyszłość". Zmienia się sama natura ludzka?

– Ciężko myśleć o demokracji bez współdzielonej rzeczywistości, a ta nie istnieje, jeśli ludzie w tym samym społeczeństwie zamieszkują inne przestrzenie czasowe.

Weźmy Trumpa. On wszystko mierzy w tygodniach, najczęściej dwóch. Jeśli prześledzisz jego wypowiedzi, zobaczysz, że u niego wszystko wydarzy się za dwa tygodnie, bez względu na kwestię. Z kolei Putin mierzy czas w stuleciach. To nie przypadek, że on przed inwazją na Ukrainę zamknął się w archiwach Kremla i czytał dokumenty z IX wieku, w których szukał potwierdzenia na jedność etniczną i narodową Ukraińców i Rosjan. Tak samo, jak całkowicie nieśmieszny jest żart o tym, że w sprawie wojny konsultuje się tylko z Katarzyną Wielką, Piotrem Wielkim i Iwanem Groźnym.

Mnie to nie śmieszy, bo jest to całkowicie trafny opis jego postrzegania rzeczywistości.

Jak na tle tych dwóch cywilizacji – bo Trump i Putin je, jak rozumiem, ucieleśniają – wypada Europa?

– Wypada dziwnie, bo my się nie odnajdujemy ani w hiperkrótkiej perspektywie Trumpa, ani w stuleciach Putina.

Z punktu widzenia europejskiej cywilizacji, zwłaszcza w XX wieku, definiowanie przyszłości było zawsze bardzo proste, bo przyszłość była po prostu odrzuceniem przeszłości. Zaprzeczeniem tego, co było. Unia Europejska powstała, żeby zapobiec konfliktom, państwo dobrobytu – żeby wyrównywać nierówności społeczne, do tego hasło „nigdy więcej" jako pamięć i przestroga przed totalitarnym ludobójstwem.

Tyle że z upływem czasu w naturalny sposób ta pamięć traci sprawczość, słabnie jako paliwo polityczne. Coraz mniej ludzi o tym pamięta, coraz mniej odnosi to do siebie czy swojej rodziny, przeszłość staje się abstrakcyjna. A jeśli żywa przeszłość, do której Europa się odwoływała, przechodzi do muzeum, to na bazie czego stworzyć jakąś nową przyszłość?

Pochodzę z Bułgarii, czyli kraju, który ma prawdopodobnie najwięcej wróżbitów na jednego mieszkańca. Jeśli idziesz do wróżki, ona zawsze opowie ci o jakimś wydarzeniu, ale nie sprecyzuje, czy ono już było, czy dopiero się wydarzy. To dobra analogia do tej dziwnej teraźniejszości, w której wszyscy teraz żyjemy. Wczoraj, dzisiaj i jutro stapia się w jedno. A bez wyraźnej perspektywy czasowej demokracja nie może funkcjonować. Jeśli nie jestem pewien, że przyszłość jest otwarta, nie widzę sensu w demokratycznych wyborach. Odkładam swoje decyzje, nie podejmuję ryzyka, nie mam dzieci, nie realizuję żadnego planu. Trwam.

Nie wszyscy są takimi pesymistami. Są ludzie, którzy szukają sposobów na przywrócenie energii i pokoleniowej równowagi w demokracji. Samuel Moyn proponuje głosowanie nieletnich przez pośrednika, którym miałby być najmłodszy członek rodziny z czynnym prawem wyborczym. Martin Wolf z „Financial Timesa" pisze o przyznaniu matkom dodatkowego głosu za każde nieletnie dziecko. Komisja Europejska badała możliwość dewaluacji pojedynczego głosu wyborczego wraz z wiekiem.

– Sam fakt, że o tym rozmawiamy, ma ogromną wartość. Jesteśmy szalenie przywiązani do tego, że każdy z nas ma jeden, identyczny głos w wyborach. Ale przecież nie zawsze tak było i nie wszędzie jest to przestrzegane do końca. Są kraje, gdzie reprezentacja parlamentarna jest równa bez względu na populację okręgu, jak w wyborach do amerykańskiego senatu. Te głosy nie ważą więc tyle samo.

Poza tym historia demokracji to historia przyznawania prawa głosu kolejnym grupom społecznym. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zmienić jej zasady, tak jak zmieniano je setki razy. Powinniśmy zacząć eksperymentować, bo demokracja jest ustrojem wziętym z eksperymentu. Owszem, niektóre eksperymenty demokratyczne nie wypaliły, referenda, demokracja bezpośrednia, zgromadzenia obywatelskie nie zawsze trwale zmieniają politykę, ale też dopiero po wprowadzeniu eksperymentu widzisz, jak ludzie na niego reagują.

Zresztą nie mamy wyjścia, musimy eksperymentować, bo świat się zmienia. Sztuczna inteligencja będzie zaraz podejmować część decyzji w polityce, a nasze systemy nie są do tego dostosowane. Takiej przyszłości, jaką dotychczas sobie wyobrażaliśmy, nie będzie. Czas wyobrazić sobie coś nowego. ●

eprasa.pl b47d9d91db

NASI NOWI PRZYJACIELE W KONGRESIE

Którzy nie wiedzą, że nimi są. Okno na lobbowanie na rzecz Polski i Europy Środkowo-Wschodniej wśród kongresmenów pierwszej kadencji, całkowicie zielonych w sprawach zagranicznych, szybko się zamyka.



FOT. JAMES TALARICO VIA X VIA REUTERS

• **Nowy senator James Talarico i nowa gubernatorka Gina Hinojosa – dwoje Demokratów ze stanu Teksas świętuje wyborcze zwycięstwo w restauracji Whataburger w Austin , 4 listopada br.**

Mateusz Mazzini

Jak Stany Zjednoczone długie i szerokie, trwają analizy sukcesu Partii Demokratycznej. A jest co roztrząsać, bo niemal z każdego punktu widzenia ten triumf można uznać za historyczny.

Jak wynika z raportu Nate'a Silvera, znanego statystyka politycznego, przechył elektoratu na stronę opozycji wyniósł równo 13 punktów procentowych.

Biorąc pod uwagę, że mediana tej zmiany w wyborach połówkowych przez ostatnie trzy dekady wyniosła 7,3 punktów, widać gołym okiem, że Demokratom udało się coś więcej niż zwykłe wykorzystanie niskich notowań urzędującego prezydenta i słabej polityki administracji federalnej.

Ostatni raz większa liczba Amerykanów oddała tyle głosów na jedną partię w 1976 roku. Co samo w sobie jest bardzo wymowne, bo tamte wybory były pierwszym głosowaniem od największej hańby we współczesnej amerykańskiej historii politycznej, czyli afery Watergate.

Richard Nixon odchodził z urzędu w niesławie, desperacko próbując przekonać obywateli, że „nie jest oszustem". Pociągnął za sobą całą Partię Republikańską, która odbudowała się dopiero wraz z nadejściem ery neoliberalnej polityki gospodarczej Ronalda Reagana, wspartej konserwatywnym zwrotem obyczajowym, rozkwitem coraz bardziej radykalnych społeczności religijnych i brutalizacją życia publicznego.

Jeśli wtedy Republikanie spadli na dno, to dzisiaj pukają w nie od spodu. Nie tylko dlatego, że Demokraci mają bardzo stabilną większość w obu izbach Kongresu. Ten sukces jest rozleglejszy i głębszy, widać go na dużo niższych poziomach władzy i administracji państwowej.

• Blisko trzy czwarte Amerykanów od stycznia będzie mieszkać w stanach, których gubernatorami będą politycy Partii Demokratycznej i w których leży dziewięć z dziesięciu największych miast USA.

• Wstępne opracowania serwisu Cook Political Report pokazują przejście na pozycje bardziej centrowe i progresywne właściwie wszystkich części amerykańskiego społeczeństwa.

• Wśród wyborców podających pochodzenie latynoskie Republikanie stracili aż 29 pkt proc.

• Demokraci zyskali 17 pkt proc. wśród mężczyzn oraz 34 pkt proc. w grupie wiekowej 18-29.

Te trzy frakcje wyborcze są szczególnie ważne, bo właśnie dzięki głosom Latynosów, młodych i białych mężczyzn Trump wrócił dwa lata temu do Białego Domu.

A to tylko najbardziej znaczące grupy, bo nie ma ani jednego segmentu, obszaru geograficznego czy nawet subkultury, w której Partia Demokratyczna nie odbiłaby Grand Old Party kilkunastu punktów poparcia.

Doradca Hakeema Jeffriesa, prawdopodobnego spikera nowej Izby Reprezentantów: Kto wie, może nawet dogadamy się z Trumpem? Przecież ten facet jest pozbawiony jakiejkolwiek ideologii. 20 lat temu mógł nawet być Demokratą

Nic dziwnego, że przybywa diagnoz socjologicznych wskazujących na głęboką, wręcz na poziomie normatywnym, zmianę amerykańskiego społeczeństwa.

Ezra Klein, jeden z najważniejszych komentatorów „New York Timesa", od dawna główny adwokat strategii „szerokiego namiotu", czyli zastąpienia przez Demokratów ideologicznego doktrynerstwa pragmatyczną strategią dobierania kandydatów do warunków panujących w danym okręgu, stwierdził wręcz, że „mapa polityczna Stanów Zjednoczonych jest fałszywa".

Jego zdaniem główny wniosek z tegorocznej elekcji jest taki, że Demokraci nie powinni rezygnować z żadnego okręgu wyborczego, bo przy dobrych wiatrach, z silnym kandydatem są w stanie rywalizować o zwycięstwo w każdym bastionie prawicy – nawet na głębokim Południu czy coraz bardziej konserwatywnej Florydzie.

Jego redakcyjny kolega David Wallace-Wells stwierdza, że Ameryka „przestała być krajem uznającym sam siebie za centroprawicowy". Jego zdaniem dziś politycznym punktem odniesienia, podług którego Amerykanie definiują, co jest prawicą, a co lewicą, jest Barack Obama.

Ba, słychać – po obu stronach – diagnozy jeszcze bardziej radykalne.

Tim Miller, były konsultant polityczny związany z republikańskimi „neokonami", dzisiaj podkaster i publicysta portalu The Bulwark, ogłasza „koniec ruchu MAGA".

Jacob Heilbrunn, konserwatywny komentator piszący między innymi dla amerykańskiej odsłony „Spectatora", wieszczy wojnę domową w Partii Republikańskiej pomiędzy tymi, którzy chcą korekty kursu na bardziej umiarkowany, a radykałami przekonanymi, że problemem Trumpa była zbytnia powściągliwość w zwalczaniu nielegalnej imigracji i wojnie kulturowej.

A Jack Posobiec, pozujący na politycznego i medialnego outsidera popularny influencer współpracujący z sekretarzem wojny Pete'em Hegsethem, uważa, że rozdział pod tytułem „Ameryka Trumpa" trzeba jak najszybciej zamknąć i szukać nowego przywódcy dla prawicy.

eprasa.pl b47d9d91db

Choć jeszcze niedawno wydawało się to marzeniem ściętej głowy, oto ni stąd, ni zowąd Stany Zjednoczone stoją na progu ery posttrumpowskiej.

●

Ale wpierw trzeba jeszcze przetrwać dwa lata rządów tej administracji.

Kluczowi politycy Partii Demokratycznej twierdzą, że nie będzie to okres przejściowy. Zamierzają przejść do ofensywy od początku nowej kadencji Kongresu. Kiedy o plany Demokratów zapytałem byłego dyrektora administracyjnego jednej z komisji w Izbie Reprezentantów, który najpewniej wróci w styczniu na Kapitol, odpisał wymownie zwięźle: – It's showtime.

Nie wiadomo jeszcze, kto pokieruje obomа izbami. Faworytami są nestorzy, senator Chuck Schumer i deputowany do Izby Reprezentantów Hakeem Jeffries.

Ten pierwszy jest jednak od kilku lat bardzo krytykowany zarówno przez młodych centrystów, jak i lewe skrzydło partii, ma też rywala. Rękawicę rzucił mu Chris Van Hollen, senator z Maryland. Spośród siedmiorga moich rozmówców związanych z Partią Demokratyczną aż pięcioro przyznało otwarcie, że woleliby jego na czele Senatu.

Jeffries jest w znacznie lepszej sytuacji, z dwóch powodów.

Po pierwsze, ma reputację walczaka, który kocha tarzać się w polityczno-prawniczym błocie i nie używa eufemizmów, jeśli chodzi o wykroczenia ludzi Trumpa.

Po drugie – blokować mogliby go właściwie tylko progresywni deputowani, a dla nich to byłoby politycznie kosztowne.

Młodzi socjaliści i socjaldemokraci najgorzej radzą sobie wśród czarnych wyborców, więc blokowanie kandydatury czarnoskórego polityka na szefa Izby Reprezentantów byłoby strzałem w stopę.

Sam Jeffries powiedział niedawno w „New Yorkerze", że nie zamierza rezygnować ze ścigania administracji Trumpa, ale jednocześnie doskonale zdaje sobie sprawę, że wyborcy oczekują działań poprawiających ich warunki bytowe, więc jedno nie może odbywać się kosztem drugiego.

– Jeffries przejdzie do ofensywy. Wiemy, co robić. Ludzie nas wybrali dzięki obietnicom rozliczeń i my je przeprowadzimy. Kto wie, może nawet dogadamy się z Trumpem? Przecież ten facet jest pozbawiony jakiejkolwiek ideologii. 20 lat temu mógł nawet być Demokratą – mówi mi prawnik pracujący dla Partii Demokratycznej, który na codzień doradza Jeffriesowi.

– Pół żartem, pół serio rozsyłamy sobie teraz wiadomości, żeby w nowym Kongresie hurtem akceptować wszystkie jego głupie wydatki, jak sala balowa, pole golfowe, co tylko będzie chciał. Ważne, żeby był zadowolony, to może nam kogoś wyda, a przynajmniej nie będzie rzucać kłód pod nogi.

Prawnik na rozmowę, w której zapowiada ostre rozliczenia, zgadza się bez problemu, gdyż „ma teraz dużo wolnego czasu, bo wcześniej zarezerwował sobie kilka tygodni po wyborach na walkę z administracją, tymczasem walki nie ma".

Co podsumowuje całkiem paradoksalną sytuację, w której znaleźli się Demokraci. Z jednej strony cieszą się z olbrzymiego zwycięstwa, z drugiej, zdumiewająco letnia reakcja Trumpa – żadnego podważania wyniku wyborów, żadnej walki sądowej – wielu członków partii po prostu zaskoczyła.

●

W Waszyngtonie trwają już przygotowania do zmiany warty i wszystkie informacje, które płyną ze stolicy, potwierdzają strategię nakreśloną przez Jeffriesa oraz opisywaną przez moich rozmówców. Celem numer jeden jest rozliczenie ile się da przestępstw ludzi z administracji, przede wszystkim tych związanych z korupcją i konfliktem interesów.

Co oznacza festiwal komisji śledczych, na które wzywani będą nie tylko czołowi politycy prawicy, ale też miliarderzy z Doliny Krzemowej – na czele z Elonem Muskiem.

Jeszcze przed wyborami połówkowymi przewidywała to Kara Swisher, bodaj najbardziej wpływowa reporterka i komentatorka zajmująca się stykiem polityki i nowych technologii. W rozmowie z Davidem Frumem z „The Atlantic" przypomniała, że jedną z głównych przyczyn powołania pseudodepartamentu DOGE, mającego szukać oszczędności i poprawić wydajność rządu federalnego, było tak naprawdę wybicie zębów instytucjom prowadzącym postępowania w sprawie firm Muska.

Swisher wylicza, że toczyło się ich dwanaście, kiedy Trump wrócił do Białego Domu.

Z kolei Quinn Slobodian, historyk z Boston University, współautor „Muskizmu", intelektualnej biografii założyciela Tesli i SpaceX, przypomniał niedawno, że w prospekcie inwestycyjnym tej drugiej spółki jako główne ryzyko dla sukcesu giełdowego wymieniono zwiększenie regulacji i nadzoru legislacyjnego Kongresu nad całym sektorem technologicznym.

Więc niekoniecznie światopogląd kierował Muskiem, gdy wydawał 400 mln dolarów na wsparcie kampanii wyborczej Republikanów. Jego straty w razie dokręcenia śruby przez Demokratów będą bowiem setki razy wyższe.

A politykom zwycięskiej opozycji wzięcie na cel Muska i podobnych mu luminarzy Doliny Krzemowej będzie się bardzo opłacać.

Wszyscy oni są szalenie niepopularni za sprawą bezwzględnej ekspansji sztucznej inteligencji, a ich notowania mogą się nawet pogorszyć. Bo nieodpowiedzialne zachowania, jak utrzymywanie jednocześnie kilku kochanek, w tym prawdopodobnie chińskiej agentki – to przypadek Jensena Huanga, twórcy Nvidii, monopolistki na rynku najbardziej zaawansowanych mikroprocesorów – czy kolejne wypowiedzi o rychłej apokalipsie – w jakich lubuje się Dario Amodei, szef Anthropica, największego rywala OpenAI – mogą wywołać panikę na rynkach kapitałowych, a w rezultacie globalny kryzys ekonomiczny.

Wtedy jakikolwiek związek, a zwłaszcza finansowy, z Doliną Krzemową, będzie dla polityków prawicy pocałunkiem śmierci. Dlatego Demokraci będą Republikanów sklejać z technooligarchami i ich pieniędzmi na każdym kroku.

Zwłaszcza że to już raz zadziałało. James Talarico, wschodząca „niebieska" gwiazda, wygrał mandat senacki w Teksasie, prowadząc kampanię w takim samym stopniu przeciwko Muskowi, co przeciwko formalnemu rywalowi, Kenowi Paxtonowi. Czas tę walkę przenieść do Waszyngtonu.

●

Zwłaszcza w Izbie Reprezentantów Demokraci będą mieli dużą swobodę działania, bo wywalczyli tam aż 256 mandatów – prawie 40 ponad minimum potrzebne do kontroli nad tą izbą. Oznacza to, że Jeffries nie będzie musiał liczyć głosów i handlować obietnicami za poparcie. Dzięki tak komfortowej większości na znaczeniu tracą frakcje bardziej radykalne, jak Demokratyczni Socjaliści.

O tym, jak kosztowne bywa bycie zakładnikiem poszczególnych obozów w partii, przekonał się odchodzący republikański spiker Izby Reprezentantów Mike Johnson. Żeby przepchać przez Kongres jakąkolwiek legislację, musiał za każdym razem zadowalać radykałów MAGA, bo Republikanie mieli w izbie tylko cztery mandaty więcej niż Demokraci.

Ponieważ opozycja chce być przygotowana do rozliczeń od pierwszego dnia nowej kadencji, na Kapitolu zaczęła się już karuzela personalna.

Partyjni weterani od tygodnia zamieszczają w serwisach społecznościowych wpisy kierujące kandydatów do pracy w Kongresie w konkretne miejsca. Co od razu pokazuje, jakich ludzi szukają.

– Każda komisja, każda frakcja, każda grupa regionalna w partii zatrudnia teraz prawników. Szukają po pięciu-sześciu na komisję. Szaleństwo, nigdy czegoś takiego nie widziałem – mówi mój rozmówca z przeszłością w Kongresie.

Wskazuje, że w cenie są zwłaszcza konstytucjonaliści, eksperci od prerogatyw prezydenckich, ale też spece od konkurencji i prawa spółek.

Kandydatów jest mnóstwo, także dlatego, że Trump i jego ludzie przetrzebili administrację i biurokrację federalną, wypychając z niej całą masę bezpartyjnych ekspertów. Spora część procesuje się zresztą o bezprawne zakończenie stosunku pracy. Nie dziwota, że chcą wrócić i odegrać się na facecie, który wywalił ich z roboty, nie mając podstaw.

●

Na pierwszy rzut oka to dobre wieści także dla sojuszników Ameryki. Przyspieszenie politycznej agonii Trumpa i MAGA, odbudowanie i wzmocnienie tkanki instytucjonalnej, pokazanie światu, że demokracja w USA żyje i ma się całkiem dobrze – to wszystko sygnały, na które demokratyczny świat czekał od kilkunastu miesięcy.

Ale rewers tej historii znacznie mniej podoba się europejskim partnerom Stanów Zjednoczonych. Gdy mój rozmówca opowiada o poszukiwaniu adwokatów, dodaje, że jednocześnie nikt nie chce zatrudniać – w domyśle: nie potrzebuje – ekspertów od polityki zagranicznej ani speców zajmujących się konkretnymi regionami. Na przykład Europą Środkowo-Wschodnią czy Ukrainą.

Dziś jakikolwiek związek, a zwłaszcza finansowy, z Doliną Krzemową, jest dla polityków prawicy pocałunkiem śmierci. Dlatego Demokraci będą Republikanów sklejać z technooligarchami i ich pieniędzmi na każdym kroku

Już teraz widać, że dla Polski zmiana warty na Kapitolu może nie okazać się zbawienna, głównie z powodu niepewności co do postawy USA w rosyjsko-ukraińskich rozmowach pokojowych. W Kongresie zabraknie kilku ważnych Republikanów, którzy nie tylko popierali pomoc dla Kijowa, ale też potrafili sprzeciwić się zapędom prezydenta i jego umizgom wobec Putina. Mitch McConnell, Don Bacon, Thom Tillis, Mike Turner – to doświadczeni politycy zainteresowani polityką zagraniczną, których już na Kapitolu nie będzie.

Ich miejsce zajmą Demokraci – bardziej progresywni, mniej otwarci na negocjacje z Moskwą, ale jednocześnie całkowicie zieloni w tematach dyplomatycznych. Dla kilkunastu z nich wygrana i znalezienia się w Kongresie było olbrzymią niespodzianką. Przyjemną, ale mimo wszystko niespodzianką – a więc czymś, na co nie byli przygotowani.

●

Z punktu widzenia Europy, a zwłaszcza Polski, zaczyna się więc wyścig z czasem, acz można na tę sytuację patrzeć z dwóch perspektyw.

Z jednej strony na Kapitolu zabraknie tradycyjnych i znajomych sojuszników, ale z drugiej – otwiera się szansa na uformowanie nowych transatlantyckich przyjaźni. I to takich, które będą trwały latami, jeśli uda się znaleźć młodego, nieopierzonego kongresmena i na samym początku jego kariery zaszczepić zainteresowanie Europą Środkowo-Wschodnią.

Problem w tym, że Polska, zarówno w oficjalnej dyplomacji, jak i w sferze nieformalnej współpracy politycznej czy kontaktów wykraczających poza kanały rządowe, sejmowe i partyjne, nie ma zasobów, zwłaszcza ludzkich, żeby rozkręcić budowę przyczółków w nowym Kongresie.

To wcale nie musi być trudne, jeśli taką operację poprzedziłoby odpowiednie rozpoznanie. Najlepiej sprawami polskimi zainteresować polityków, którzy już jakiś związek z naszym krajem mają, niechby i z racji pochodzenia.

Takim nowym przyjacielem mógłby być Josh Turek, nowo wybrany senator z Iowa. W swoim okręgu wygrał dość niespodziewanie, jeszcze kilka dni przed głosowaniem sondaże dawały mu przewagę w granicach błędu statystycznego. Turek jeździ na wózku, grał w koszykówkę, jest złotym medalistą paraolimpiady – i ma brata, który sporo czasu spędził w Polsce.

John Turek do 2015 roku był zawodowym koszykarzem, ma na koncie dwa wicemistrzostwa i jeden Puchar Polski. Nad Wisłą reprezentował barwy Turowa Zgorzelec, Trefla Sopot i Rosy Radom.

Rodzina Turków wywodzi się z okolic Krosna, wyemigrowała do USA trzy pokolenia temu. Trudno o lepszy materiał na kongresmena, którego można zarazić korzystnym dla Polski sposobem myślenia o relacjach transatlantyckich.

Takich przypadków jest jeszcze kilka, ale działać trzeba już teraz. Nowi kongresmeni i senatorowie Demokratów zaczynają kompletować zespoły i ustawiać hierarchię priorytetów na najbliższe miesiące i lata. Każdy przede wszystkim będzie chciał zaistnieć w rozliczeniach ekipy Trumpa, bo to jest popularne, skupia uwagę wyborców i mediów, więc daje kapitał polityczny.

Natomiast większość kongresmenów pierwszej kadencji jest całkowicie zielonych w kwestii polityki zagranicznej – więc tam, gdzie nie będą mieli zdania, narzuci im je partyjna starszyzna.

Okno na lobbowanie jest jeszcze otwarte, ale szybko się zamknie. Demokraci właśnie teraz, w połowie listopada, zaprosili nowych kongresmenów do Waszyngtonu.

Jason Crow, były żołnierz od 2019 roku zasiadający w Izbie Reprezentantów jako przedstawiciel Kolorado, odpowiada za warsztaty z polityki zagranicznej dla nowicjuszy. W chwili, gdy ten tekst trafia do druku, Crow mówi ludziom w rodzaju Talarico, Turka czy Adama Hamiltona, co ma być dla nich ważne w czasie głosowań na Kapitolu. Można jedynie mieć nadzieję, że w którejś chwili padnie słowo „Polska".

Polscy politycy próbują zwiększyć prawdopodobieństwo takiego scenariusza, ale pętają ich liczne ograniczenia.

MSZ nie ma dość ludzi, żeby regularnie latać za ocean w celach niezwiązanych z oficjalnymi wizytami czy wydarzeniami pokroju szczytów ONZ lub G20.

Lepiej jest na poziomie parlamentarnym – niedawno do USA pojechała posłanka KO Aleksandra Uznańska-Wiśniewska, bywa tam zajmujący się Polonią senator Adam Bodnar, bardzo często lata Paweł Kowal, przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych.

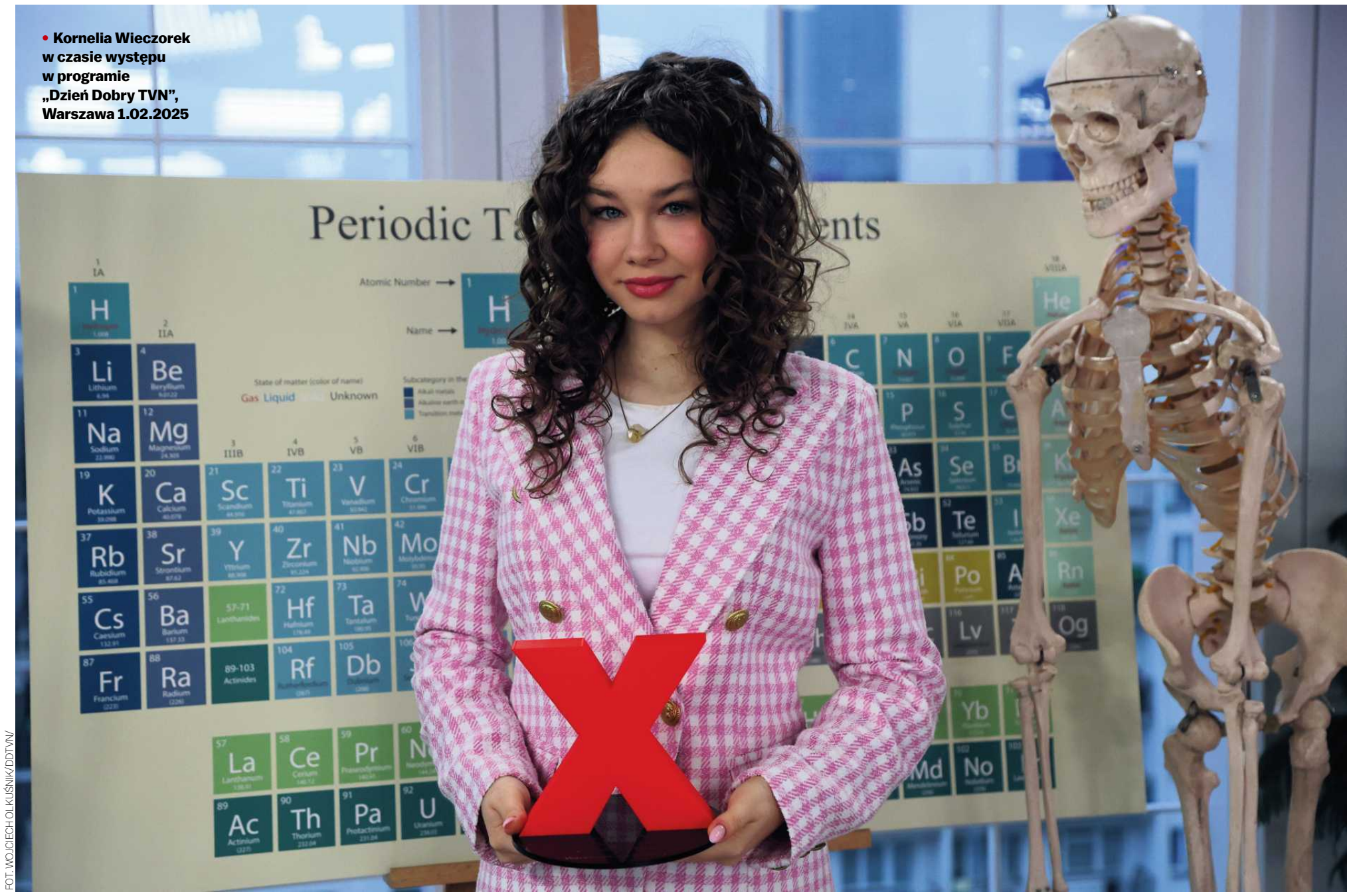
Problem w tym, że nikt niczego z nikim nie uzgadnia. Jak można usłyszeć w kręgach rządowych i przy alei Szucha, te wyjazdy są często pojedynczymi wyskokami, choć mogłyby być elementem szerszej strategii. Nawet jeśli MSZ przekazuje posłom jakieś instrukcje, oni nie zawsze rozmawiają o swoich planach między sobą.

Z kolei ludziom prezydenta Karola Nawrockiego zależy najbardziej na konserwatywnych influencerach i osobach z koneksjami w Białym Domu.

Nie pomaga też fakt, że polską placówką w Waszyngtonie kieruje Bogdan Klich – szef resortu obrony za rządów PO-PSL, polityk uznawany za „miłego", ale pozbawionego werwy czy inicjatywy.

A czasu zostało coraz mniej. Wielki triumf Partii Demokratycznej to także szansa dla Polski. Niestety, szanse mają to do siebie, że trzeba z nich skorzystać, żeby przyniosły realną zmianę. ●

eprasa.pl b47d9d91db



• **Kornelia Wieczorek w czasie występu w programie „Dzień Dobry TVN", Warszawa 1.02.2025**

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/DDTVN/

PRZYPADEK KORNELII WIECZOREK

„Nastolatka z Polski robi rewolucję w świecie nauki". Okazało się, że nie robi. Ale problem jest głębszy niż order od prezydenta Nawrockiego.

Franciszek Badziak

Dla wielu jest to historia o oszustce, ale to nieprawda. To historia o systemach skonstruowanych tak, że nagradzają dobre opowieści, które nie muszą być prawdziwe.

„Uprzejmie informuję, że Kornelia jest bardzo zdolną uczennicą III LO" – możemy przeczytać w nietypowym oświadczeniu wydanym przez dyrektora III Liceum Ogólnokształcącego w Gdyni. Szkołą od lat zajmuje czołowe miejsca w ogólnopolskich rankingach licealnych. Produkuje olimpijczyków, przedsiębiorców i wzorowych maturzystów, też międzynarodowych. Kornelia Wieczorek, której dotyczy oświadczenie, w marcu tego roku została przez prezydenta Karola Nawrockiego odznaczona Srebrnym Krzyżem „za zasługi w dziedzinie wynalazczości, za aktywność naukową i społeczną".

W uzasadnieniu czytamy między innymi, że Kornelia jest najmłodszą Polką w historii pośród 100 najbardziej wpływowych kobiet „Forbesa", że była w dziesiątce „Girls of the year 2025" magazynu TIME, że razem z koleżanką opracowała biodegradowalny nawóz na bazie bakterii Rhizobium, a także „zajmuje się chorobami neurodegeneracyjnymi w Cambridge".

Jak się potem okazało, to ostatnie osiągnięcie sprowadzało się do uczestnictwa w płatnym programie szkoły letniej prowadzonej w mieście Cambridge, na koniec którego Kornelia wystąpiła w budynku King's College. Do tego jeszcze wrócę.

W tym samym roku taki sam Srebrny Krzyż dostała biolożka z doktoratem zrobionym w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN, która obecnie wykłada na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym.

Nic dziwnego, że odznaczenie 17-latki wielu Polakom podniosło brwi w grymasie zaskoczenia. Szczególnie, że wokół nastolatki szum narastał od dłuższego czasu. „Nastolatka z Polski robi rewolucję w świecie nauki", „Sukces polskiej naukowczyni", „(...) prowadzi badania, które mogą zmienić świat" – to tylko niektóre z nagłówków w polskich mediach.

Forbes, Time, Lego, TEDx

Skupmy się na razie na faktach – bo Kornelia osiągnięć ma sporo. Najlepiej udokumentowane jest to, co dotyczy projektu nawozowego Rhizobiotic, który współtworzyła z koleżanką ze szkoły, Dianą Serjant. Co prawda, wykorzystanie tych mikroorganizmów (m.in. z rodzaju Rhizobium czy Azotobacter) do ograniczania sztucznych nawozów azotowych i fosforowych to absolutny standard. Na rynku od dawna istnieją dziesiątki komercyjnych biopreparatów i szczepionek bakteryjnych działających dokładnie w ten sposób.

W 2023 roku dotarły z tym projektem do finału Explory w Gdyni i dostały nagrodę Prezydenta Miasta Gdyni, mentoring Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego oraz akredytację na światowy konkurs – w 2024 roku reprezentowały Polskę na Regeneron ISEF w Los Angeles i zostały finalistkami. Za ten sam projekt trafiły na listę Forbes Women 100. Kornelia mówiła w podcaście Our Future Stars, że o wpisie na listę dowiedziała się przypadkiem, kilka miesięcy po publikacji.

W 2025 roku znalazła się na liście Time „Girls of the Year 2025", która jest powiązana z kampanią LEGO „She built that". Została też laureatką plebiscytu „Wszechmocne!" Wirtualnej Polski i dostała stypendium Fundacji Santander. Ministra edukacji wręczyła jej list gratulacyjny, a MEN tłumaczy, że sprawdził wcześniej jej tytuł laureatki Olimpiady Innowacji Technicznych w Mechanice. Tę olimpiadę wygrała w zespole z koleżankami, za projekt aplikatora do brachyterapii, czyli metody leczenia onkologicznego.

Poza nauką potwierdzone jest mistrzostwo świata juniorów w agility (2022) – Kornelia wystąpiła z psem Candy. I udział w wystąpieniu TEDxWarsawWomen oraz w programach edukacyjnych dla młodzieży.

Szycie myszy, czy szycie

To wszystko są osiągnięcia na poziomie licealnym, w większości zespołowe. Nie ma publikacji naukowych, patentów ani gotowej aplikacji. Wbrew temu, o czym pisały niektóre media – nie tylko polskie.

eprasa.pl b47d9d91db

W uzasadnieniu wyróżnienia na stronie magazynu TIME możemy przeczytać na przykład o jej współpracy z największym ośrodkiem onkologicznym w Polsce. W praktyce współpraca ta polegała na mentorstwie w ramach Olimpiady Innowacji Technicznych w kategorii „Mechanika". Gazeta.pl pisała, że oprócz wspomnianych już osiągnięć prowadzi bloga o tematyce neurochirurgicznej – bloga próżno szukać w sieci.

Na stronie uzasadniającej stypendium fundacji Santander napisano, że Kornelia „zdobywa doświadczenie kliniczne – wielokrotnie asystowała przy operacjach w Białostockim Centrum Onkologii". National Geographic w artykule z sierpnia 2025 twierdził, że „młoda naukowiec opracowała już między innymi biodegradowalny nawóz i aplikację do diagnozowania zmian skórnych".

Kornelia opisywała swoje osiągnięcia w wywiadach i podcastach w sposób, który – jak pokazują późniejsze dementi zaangażowanych instytucji – luźno trzymał się faktów. Na przykład w rozmowie z Iwoną Mocarską w „First Lady Podcast" opowiadała:

– Pamiętam, że jak wyszła informacja medialna o tym, że jestem jedną z dziesięciu dziewczyn Time, byłam wtedy na stażu w Amsterdamie w the Netherlands Institute of Neuroscience i to był dzień w którym mieliśmy zaplanowany blok operacyjny i zszywaliśmy myszy.

Zapytany przez „ Wyborczą" Niderlandzki Instytut Neuronauki odpowiedział, że choć nie może wypowiadać się, czy konkretna uczennica brała udział w stażu w ich placówce, to jakiekolwiek twierdzenia o uczestnictwie w eksperymentach i operacjach na zwierzętach są nieprawdą – bo do tych badań dopuszczeni zostają jedynie wykwalifikowani naukowcy.

Podobnie odpowiedziało nam Białostockie Centrum Onkologii – „nie asystowała przy żadnych operacjach. Jej obecność w szpitalu miała wyłącznie charakter edukacyjny. Była częścią grupy uzdolnionych uczniów z liceum w Gdyni, którzy w ramach projektu szkolnego odwiedzili naszą placówkę".

Usuwanie treści

Ciekawym zjawiskiem było tez regularne usuwanie treści. Artykuł o Kornelii Wieczorek usunął National Geographic, a odcinek podcastu – Iwona Mocarska. Bo rozgorzała dyskusja, że został opublikowany bez zgody mamy nieletniej Kornelii – choć, jak pisała Mocarska, mama była obecna w czasie wywiadu i zgodę wyraziła.

Informacje o Kornelii usunęła też fundacja Santander (teraz Erste), lecz zbiegło się to ze zmianą nazwy i wszystkich witryn internetowych. Erste odpowiedziało nam, że wszelkie informacje, na podstawie których przyznawane jest stypendium, pochodzą od aplikujących uczestników i ich opiekunów prawnych, a weryfikowane są „w dostępnych źródłach".



FOT. ALICJA STEFANIUK/KPRP

• **Kornelia Wieczorek odznaczona przez prezydenta Karola Nawrockiego Srebrnym Krzyżem „za zasługi w dziedzinie wynalazczości, za aktywność naukową i społeczną", 08.03.2026 r.**

Za promocję Kornelii Wieczorek przepraszał także dr Maciej Kawecki, znany popularyzator nauki, dziennikarz i prawnik. W sierpniu 2025 pisał o niej, że pisze bloga neurochirurgicznego, że w wieku 10 lat zaczęła pracę w laboratoriach badawczych, że tworzyła wspomnianą aplikację, i tak dalej. W kwietniu 2026 napisał na platformie X, że analiza debaty publicznej wokół Kornelii Wieczorek pokazuje „klasyczny przypadek hiperbolizacji PR-owej". Dodał: „Jest też jedynym znanym mi młodym człowiekiem, wyróżnionym przez Prezydenta RP Krzyżem Zasługi, co uważam za ogromny błąd."

Kornelia Wieczorek w istocie uczestniczyła w wielu programach edukacyjnych, zajęciach dodatkowych, czy kursach. W mediach masowo prezentowane były one jako „badania naukowe" czy też „zmienianie świata nauki". Sama zaś Kornelia określana jest mianem wynalazczyni, naukowczyni, innowatorki, czy geniusza. Sama też pompuje ten wizerunek, być może też rodzice. „Nikt nas nie pytał, co jest prawdą, a co kłamstwem", mówiła mama Kornerlii magazynowi Forbes w maju 2026 w odpowiedzi na hejt.

Ministerstwa chwalą jej działania w oparciu o źródła magazynowe i pudelkowe, a przekłada się to na szereg prestiżowych nagród i wyróżnień, w tym od głowy państwa.

Można tu zadać pytanie – ile w tym talentu i sukcesu, a ile naciągnięć alla Anna Delvey?

Polał się hejt

Osiągnięcia Kornelii są wyjątkowe, lecz nie sprawiają, że jest ona już naukowczynią czy badaczką – a raczej ambitną uczennicą. Ciężko było to odróżnić – szczególnie że sama Kornelia myliła wsparcie instytucjonalne z własnym wkładem w rozwój nauki. Wiele nagłaśnianych osiągnięć nie zostało też potwierdzonych – wieść o ich wybitności działa na zasadzie głuchego telefonu.

Nie znaleźliśmy ani my, ani internauci żadnych publicznie dostępnych dowodów na udział Kornelii Wieczorek w formalnych programach badawczych w rozumieniu akademickim – żadnych publikacji naukowych, patentów, specyfikacji ani dokumentacji lub wdrożeń produktów.

No i, jak twierdzą internauci, którzy próbowali dopytać o szczegóły, Kornelia blokuje na portalach społecznościowych osoby pytające o konkretne publikacje, bloga o neurochirurgii czy szczegóły współpracy z jednostkami naukowymi.

Odkrycie tych nieścisłości wywołało potężną falę hejtu i krytyki. Wciąż można odnaleźć filmiki ze śledztwami na temat Kornelii, prześmiewcze urywki jej wypowiedzi, reakcję naukowców na jej wystąpienie na TEDx, pełne przejęzyczeń i błędów.

W związku z tym jej liceum wydało oświadczenie, w którym informuje, że Kornelia jest bardzo zdolna, wylicza parę jej osiągnięć oraz krytykuje hejtu.

Podobne oświadczenie wydała Kancelaria Prezydenta RP – informujące o niezmienności decyzji o odznaczeniu Kornelii i zaniepokojeniu hejtem. Co ciekawe, powtarza wcześniejsze informacje chociażby o nawozie Kornelii i innowacyjności jego „konkretnego składu i konfiguracji biologicznych komponentów nawozu". Komponenty te w użyciu są zaś od lat.

Aplikacje zagraniczne

Nie dowiemy się – Kornelia nie odpowiedziała na prośby o rozmowę – czy niedopowiedzenia były celowe, czy sama tworzyła tę narrację.

Ale jedno jest dość jasne – historia Kornelii to nie anomalia, tylko produkt systemu, który nagradza opowieść o sukcesie bardziej niż sam sukces. I żeby zrozumieć, czemu to się opłaca, musimy zrozumieć naturę aplikacji zagranicznych.

W Polsce o przyjęciu na studia decyduje wynik matury, miejsca w olimpiadach przedmiotowych ze spisu ministerstwa edukacji, ewentualnie mniej popularne konkursy krajowe.

Przez brak standaryzacji wyników polskich matur za granicą, rekrutacja na uczelnie międzynarodowe, czyli takie, które większość kierunków prowadzą w języku angielskim, opiera się często na całokształcie aktywności kandydata – na przykład jego motywacjach, projektach, planach. Do wielu z nich trzeba pisać esej o swoich osiągnięciach.

W Wielkiej Brytanii jest to rozwiązane przeważnie dość rozsądnie – najpierw aplikuje się z wynikami matur próbnych, pisząc także tak zwany „Personal Statement", czyli list z opisem swoich osiągnięć i planów. Cała aplikacja wsparta jest listami rekomendacyjnymi od nauczycieli, a w przypadku najlepszych uczelni, takich jak Oxbridge czy Imperial College, może być również wymagany specjalny test przedmiotowy oraz rozmowa kwalifikacyjna.

Najbardziej niestandardowe są zaś aplikacje na uniwersytety w Stanach Zjednoczonych. Aplikuje się tam albo bezpośrednio na konkretny uniwersytet, albo do wielu uniwersytetów przez pośrednika Common App – można zgłaszać się do uniwersytetów publicznych lub prywatnych. Zgłoszenie kosztuje od 50 do 100 dolarów – oczywiście na poziomie licencjackim, bo wyższe są droższe.

Sama aplikacja ma charakter biograficzny. Choć niektóre uniwersytety wymagają przejścia standaryzowanych testów jak SAT czy ACT z matematyki oraz rozumienia tekstów w języku angielskim, centrum aplikacji jest raczej co innego. Liczą się projekty uczniowskie, zdobyte nagrody, sukcesy w konkursach i olimpiadach, własne aktywności czy osiągnięcia sportowe, które mogą okazać się dziką kartą, jeśli uczelnia kompletuje akurat drużynę danego sportu.

Właściwie w aplikacjach do USA może liczyć się wszystko. Miałem kiedyś okazję przeczytać książkę z zebranych esejów aplikantów na uczelnie Ivy League – zgodnie z poradnikami dla aplikantów, są to eseje o wszystkim. Kandydaci mogli opisać, jak siłą dyscypliny i postanowienia osiągnęli najwyższy poziom w wąskiej dziedzinie, jak przelatujący samolot zainspirował ich do założenia projektu walczącego z zanieczyszczeniem powietrza, jak udało im się mimo choroby czy innych przeciwności losu osiągnąć nieprawdopodobny sukces.

Punkty za narrację

Najważniejsza jest narracja – kiedy biuro rekrutacyjne dostaje ponad 70 tysięcy aplikacji, a tak się dzieje w Lidze Bluszczowej, kandydat musi się czymś wyróżnić. Oczywiście „geniuszy" wygrywających międzynarodowe olimpiady i dokonujących prawdziwych odkryć jest

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414015

W SPRZEDAŻY

Temat numeru:
Longevity – jak żyć dłużej, zachowując pełnię zdrowia, energii i sprawności umysłowej

Zamów na prenumerata24.pl z dostawą do domu lub z bezpłatną dostawą do paczkomatu



wysokieobcasy extra

Numer dostępny z kalendarzem ściennym na 2027 rok z pięknymi zdjęciami zjawisk astronomicznych i kalendarium obserwacji nieba

1 RP

eprasa.pl b47d9d91db

niewielu, więc trzeba przedstawić inne swoje zalety.

Temu służy liczba małych konkursów i nagród – komisja zobaczy, że kandydat jest doceniany i nagradzany. Temu pomoże artykuł o projekcie kandydata w mediach. Temu pomoże historia o spełnianiu marzeń, o zmianie świata i dokonywaniu przełomowych odkryć. Komisja nie sprawdzi, czy będzie to dokładna prawda, niedomówienie czy naciągnięcie – dopóki po ewentualnym przyjęciu nie będą potrzebne papiery, że cokolwiek takiego miało miejsce. Oczywiście o to, czy projekt był jak w eseju „przełomowy" czy tylko odkrywczy i rozwijający, nikt nie będzie się kłócił.

Na pierwszy rzut oka system może się wydawać idealny – w końcu nie patrzy tylko na surowe wyniki testów, na oceny, bierze kandydata jako osobę. Chce poznać jego historię, która może mówić o nim więcej niż 4 zamiast 6 na maturze. Liczą się nie liczby, a człowiek.

Systemy patrzące na liczby zmuszają do wzmożonej nauki, wykręcania wyników, sztuki zdawania testów. A te patrzące na człowieka... skłaniają kandydata do naciągania swojej historii. Na najlepsze uczelnie przyjmowanych jest koło 4 proc. aplikantów.

Zrozumiała jest więc pogoń za narracją – jeśli może być ona biletem wstępu na czołówki uniwersyteckich rankingów.

Wokół tego rozwinął się oddzielny biznes, w Polsce dopiero raczkuje. Firmy zajmujące się konsultacją edukacyjną pomagają wybrać uniwersytet, przygotować się do testów, napisać esej. Przede wszystkim doradzają jak kreować obraz studenta pod aplikację.

Czasem kończy się groteską. Jak w 2019 roku, kiedy pewien przedsiębiorczy człowiek, pracując pod szyldem elitarnej firmy doradztwa edukacyjnego w Stanach, zdołał zorganizować rozległą siatkę korupcyjną obsługującą najbogatszych – od inwestorów z Wall Street po gwiazdy Hollywood. Udało mu się wyłudzić 25 milionów dolarów, a siatkę rozpracowało FBI.

Znany jest też tzw. photoshopping. Ta zuchwała procedura, prowadzona przez co bardziej brawurowe firmy doradztwa edukacyjnego, polega na tworzeniu wizerunków sportowców dzieciom, które ze sportem miały do czynienia wyłącznie na WF-ie. Oprócz zdobywania listów rekomendacyjnych od znanych trenerów, firmy wklejały twarze dzieci na zdjęcia prawdziwych sportowców.

Wracając do publicznej wersji życiorysu Kornelii Wieczorek. Różnica jest taka, że Kornelia faktycznie wykonała pewną pracę, by mieć podstawy, by swój życiorys naciągać.

Idealiści i strategia marketingowa

Celem są studia na prestiżowych uczelniach. A co daje ten prestiż?

W 1965 roku amerykański socjolog Alexander W. Astin zaprojektował badanie znane dziś jako The CIRP Freshman Survey, prowadzone przez instytut HERI przy Uniwersytecie UCLA. Od tamtego czasu miejscowi naukowcy badają cele życiowe, wartości i plany setek tysięcy nowych amerykańskich studentów.

Ania: W Oxfordzie jest służba sprzątająca pokoje w akademikach, studenci nie są przyzwyczajeni do sprzątania nawet we wspólnych przestrzeniach

Pierwsze badania CIRP, w latach 60. i 70., wskazywały, że priorytetem ponad 80 proc. studentów było zbudowanie „sensownej filozofii życiowej". Młodzież stawiała na rozwój wewnętrzny, idealizm, zmienianie świata. Status materialny zdawał się być na dalszym planie.

Z czasem trendy się odwróciły. Już w latach 80. priorytetem dla młodzieży stawała się stabilność, uznanie, prestiż. Ostatnimi laty ponad 80 proc. studentów w ankietach CIRP zaznacza, że ich priorytetem jest „bycie bardzo dobrze usytuowanym finansowo".

Raport instytutu HERI z 2025 roku wskazuje, że obecnie studenci postrzegają studia w kontekście zwrotu z inwestycji. Mamy tu pewien bardzo przykry paradoks. Dla większości licealistów, którzy starają się o miejsce na prestiżowej uczelni i piszą pełne ideałów, postanowień i autorefleksji osobiste eseje, dla jest to po prostu część strategii marketingowej w drodze do celu.

Tylko – jakiego celu? Nie wykluczam, że istnieją prawdziwi, chcący zmieniać świat idealiści i także oni są na uniwersytety przyjmowani – być może jest ich więcej, niż myślę. Ale spójrzmy na dane o losach tych, którzy kończą najbardziej prestiżowe uniwersytety.

Na przykład w 2025 roku od razu po uzyskaniu licencjatu Harvardu 64 proc. studentów wkracza na rynek pracy, a tylko 23 proc. w jakiejś formie kontynuuje edukację. Z tych, którzy wybierają pracę, 21 proc. wybiera finanse, 14 proc – consulting, 18 proc. – branżę technologiczną. Reszta rozproszona jest między innymi branżami, od sztuki, przez inżynierię i badania naukowe, po politykę i prawo.

W przypadku Princeton 75 proc. absolwentów poszło od razu – większość do consultingu i finansów -18 kontynuowało studia.

Nasi idealiści, zamiast zajmować się zmianą świata, idą pracować w korporacjach. Zjawisko to ma nazwę: trójkąt bermudzki talentu – absolwenci najbardziej elitarnych uczelni w coraz większym stopniu trafiają tylko do trzech sektorów: finanse, consulting i prawo korporacyjne / technologie.

Czemu tak się dzieje? Powodów jest wiele. Na kampusach uczelni agresywnie rekrutują giganci rynku – McKinsey czy Goldman Sachs. Oferują chociażby programy mentoringowe i elastyczność na przyszłość i, oczywiście, prestiż. A dla studentów, którzy całe swoje niedługie życie gonili za prestiżem, to naturalny krok.

Nagrodą za pogoń za prestiżem jest więc kolejna pogoń za kolejnym prestiżem.

Z Oxfordu do Warszawy

Ale nie wszyscy wyjeżdżają z Polski w pogoni za studiami i dyplomami, mimo że mogliby wybierać pośród najlepszych uniwersytetów na świecie.

Weźmy takiego Andrzeja. Byłby doskonałym kandydatem do stworzenia narracji na uniwersytety amerykańskie.

Był laureatem olimpiady informatycznej, matematycznej, fizycznej, astronomicznej, a do tego zdobył złoty medal Międzynarodowej Olimpiady Astronomii i Astrofizyki. Nie chciał studiować w Stanach, a na Cambridge jakimś cudem się nie dostał. Przyjęto go na uniwersytety w Anglii – Warwick oraz UCL. Ostatecznie został w Warszawie.

Słyszał wcześniej bardzo dobre opinie o wydziale fizyki na UW. Znał też wcześniej specyfikację MISMaP-u – Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Matematyczno-Przyrodniczych, pozwalających na dowolność w wyborze przedmiotów również między wydziałami na studiach ścisłych na UW. I nie znalazł odpowiednika za granicą dającego tak dużą swobodę.

– Zakładałem, że z MISMaP-em na UW mogą ze mną rywalizować tylko topowe uczelnie na świecie – mówi. – Nie brałem ich pod uwagę: sądziłem, że dobry poziom fizyki, możliwość doboru przedmiotów, a także niska cena mieszkania w Warszawie i znajomość języka wygrywają.

Ania skończyła magisterkę z nauk ścisłych na Oxfordzie. Miała stypendium grupy ADAMED, którego tutorzy przekonywali ją, żeby zaaplikowała za granicę, i pomagali jej w tym. Wybrała właśnie Oxford, bo był blisko i miał atrakcyjny program. Teraz nie uważa, żeby te studia były na tyle lepsze od UW, żeby płacić tyle pieniędzy i żeby było to warte całego zachodu. Pewnie gdyby drugi raz miała wybierać, nie poszłaby tam.

Nie da się ukryć, że Oxford ma więcej pieniędzy, co ma przełożenie na wyposażenie laboratoriów czy mniejsze, 2–3-osobowe grupy ćwiczeniowe. Studia są bardzo zindywidualizowane i nie mają regularnych kolokwiów czy kartkówek – tylko prace domowe i sesje na koniec roku. Jej ten system odpowiadał, w przeciwieństwie do kultury studenckiej.

Uczelnie jak Oxford są centrum całego miasteczka – kampus skonstruowany jest tak, że wszyscy mieszkają w akademikach, jedzą na uczelnianych stołówkach, pokoje sprzątają im sprzątaczki, a na kampusie mają też kaplicę, bary, siłownie czy parki. Słowem – wszystko.

To oderwanie od świata, mówi Ania, widoczne jest też w zachowaniu.

– Kultura imprezowania i picia jest tam bardzo rozbudowana, a zasady takie jak cisza nocna w ogóle zdają się nie istnieć, nawet formalnie, bo uniwersytet zakłada, że wszędzie dookoła są studenci, więc nikomu nie przeszkadzają – tłumaczy. – A przez to, że jest służba sprzątająca pokoje w akademikach, studenci nie są przyzwyczajeni do sprzątania, nawet we wspólnych przestrzeniach. Generalnie w Oxfordzie panuje założenie, że całe miasto to kampus i można się zachowywać, jak się chce.

Ania chce zrobić doktorat. Dlatego też wróciła do Warszawy. Miejsc w Oxfordzie jest niewiele, a nawet jak się dostanie, to trzeba zdobyć finansowanie – nie jest jak na UW, gdzie dostaje się stypendium doktorskie i można się starać o granty. A tam jest droższe życie, i to o niższym standardzie.

Choć na Oxfordzie naukowcy mogą być „lepsi" (większe liczniki cytowań, wpływowe badania, badania z większymi budżetami), może być to pułapka. Na magisterce Ania miała znaną i cenioną promotorkę, ale ona nie miała czasu, by jej pomagać przy pracy naukowej. Wie, że tak samo wyglądałoby to na doktoracie, więc wróciła do Polski.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014



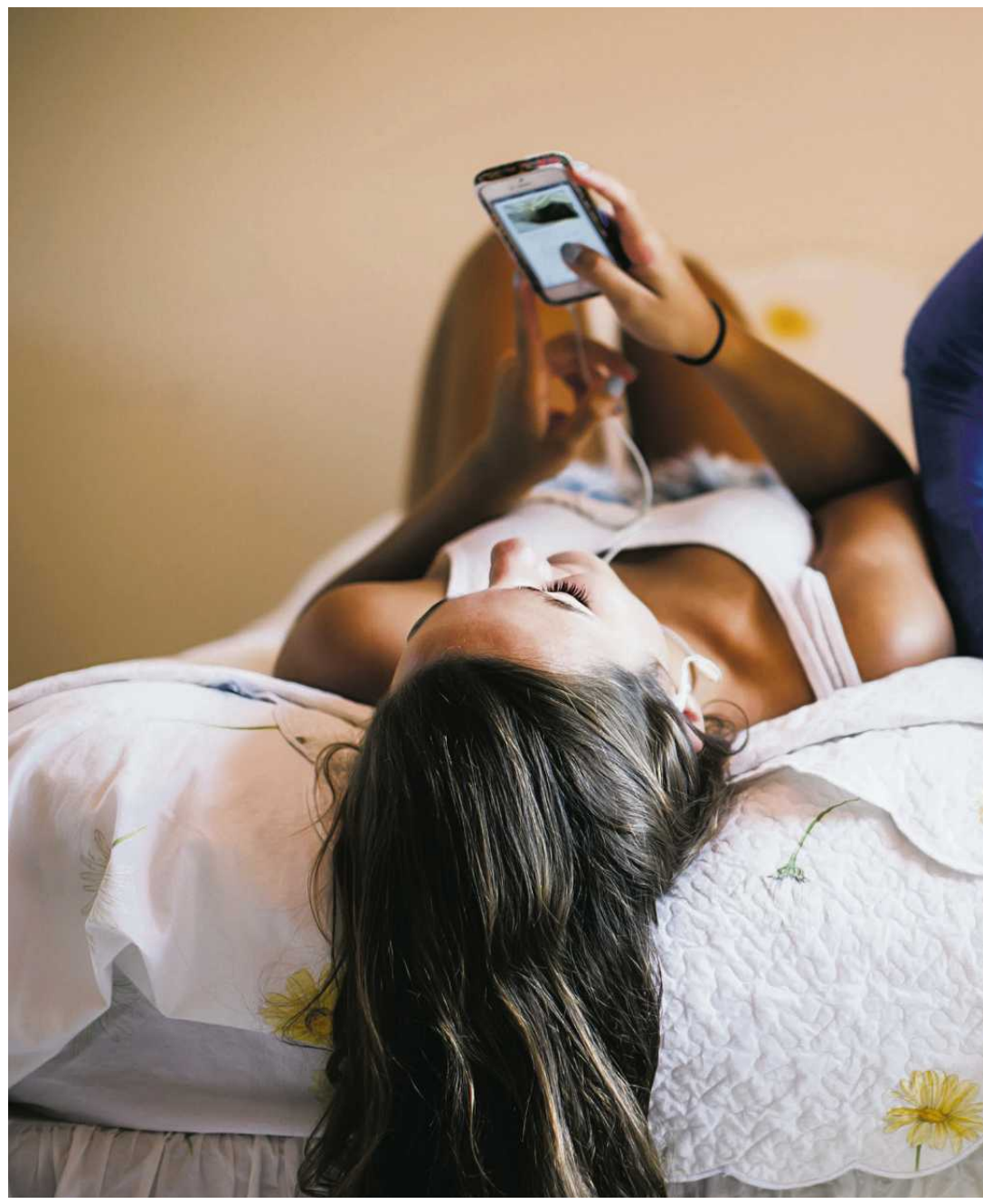
1 RP

eprasa.pl b47d9d91db

NIEPEWNOŚĆ NASTOLATKA

Kiedy słyszę, że „polskie nastolatki są najsmutniejsze w Europie”, pytam, czy rzeczywiście przeprowadzono porównywalne badania w poszczególnych krajach

Z **PROF. JACKIEM PYŻALSKIM,** PEDAGOGIEM, OD PONAD 20 LAT BADAJĄCYM ZACHOWANIA MŁODYCH LUDZI, ICH RELACJE I PROBLEMY
ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**



Przebadaliśmy już polską młodzież na wszystkie możliwe sposoby. Wiemy, ile godzin spędza w internecie, co ogląda, czego się boi, jak często jest samotna, nieszczęśliwa i narażona na przemoc. Wyłania się obraz pokolenia, z którym jest coś zasadniczo nie tak. A może szukamy przede wszystkim tego, co złe?

– Dotknęła pani ważnej kwestii. Gdybyśmy zaczęli szukać badań dotyczących pozytywnych zachowań młodych ludzi w środowisku cyfrowym, tego, co wartościowego tam robią, czego się uczą, jakie kompetencje rozwijają, okazałoby się, że takich badań jest niewiele. Zdecydowanie dominują te dotyczące zagrożeń, problemów i negatywnych konsekwencji korzystania z technologii.

Bo negatywne wyniki łatwiej przyciągają uwagę, budzą większe zainteresowanie, a przez to wpływają na pytania, jakie stawiają sobie badacze.

A nie jest tak, że od opisywania problemów młodzieży niepostrzeżenie przeszliśmy do traktowania samej młodzieży jako problemu? Pamięta pan, jak kiedyś straszono społeczeństwo potwornymi gimnazjalistami?

– Doskonale pamiętam! Można było odnieść wrażenie, że chodzi o jakichś najeźdźców. A przecież to były nasze dzieci, część naszej społeczności. Pracowałem wtedy w gimnazjum i wspominam ten okres bardzo dobrze. Nic strasznego mi się nie przydarzyło.

Właśnie na tym polega niebezpieczeństwo takiego sposobu myślenia. Nieustannie mówimy, że musimy z czymś walczyć, a czasami nawet przestajemy mówić o trudnych zjawiskach występujących wśród młodzieży i zaczynamy mówić o trudnej młodzieży. To zasadnicza różnica.

A jeżeli badania i debata publiczna koncentrują się niemal wyłącznie na zagrożeniach, to później programy edukacyjne i profilaktyczne sprowadzają się do walki z czymś. Zamiast się zastanawiać, jakie warunki stworzyć młodym ludziom, żeby mogli robić coś dobrego, rozwijać swoje możliwości, budować wartościowe relacje, skupiamy się na eliminowaniu kolejnych problemów.

Nie jest to oczywiście apel, żeby ignorować przemoc, kryzysy psychiczne czy inne trudności. Chodzi o to, że jeżeli widzimy tylko jeden fragment rzeczywistości, to nasze działania również będą dotyczyły tylko tego fragmentu. A wiele ważnych rzeczy pozostanie poza naszym polem widzenia.

Zastanawiam się, co się dzieje z młodym człowiekiem, który słyszy, że należy do najbardziej nieszczęśliwego, samotnego i pogubionego pokolenia w historii. Jak budować poczucie sprawczości, odwagę, wiarę we własne możliwości? Czy takie opowieści nie stają się w końcu samospełniającą się przepowiednią?

– Przede wszystkim musimy odróżniać wyniki badań od interpretacji, które później zaczynają funkcjonować w przestrzeni publicznej. Jeżeli ktoś mówi, że 70 procent młodzieży ma depresję, to trzeba zapytać, na jakiej podstawie stawia taką diagnozę. Badania kliniczne, w których analizuje się sytuację konkretnego człowieka, są czymś zupełnie innym niż badania przesiewowe pozwalające rozpoznać skalę pewnych zjawisk w większej populacji.

Jeżeli w badaniu przesiewowym pytamy młodych ludzi o samopoczucie w ostatnim tygodniu i korzystamy z odpowiednich narzędzi, możemy uzyskać wartościowe informacje, jaka część badanych doświadczała obniżonego nastroju. Ale nie możemy na tej podstawie powiedzieć, że wszyscy ci ludzie mają klinicznie rozpoznaną depresję. Diagnoza wymaga znacznie bardziej pogłębionej, indywidualnej i kontekstowej oceny, uwzględniającej różne perspektywy.

Dlatego, kiedy widzę w internecie kolejne spektakularne procenty, zawsze pytam: kogo zbadano, w jaki sposób, jak dobrano próbę i co właściwie można powiedzieć na podstawie uzyskanych wyników? Bez odpowiedzi na te pytania nawet najbardziej efektowny raport niewiele nam mówi.

Raportów mamy zatrzęsienie. Kolorowe wykresy, dramatyczne liczby, konferencje prasowe, kampanie społeczne. Wystarczy kilka tysięcy wypełnionych ankiet, żeby ogłosić, że poznaliśmy kondycję psychiczną polskiej młodzieży?

– Absolutnie nie. Liczba respondentów sama w sobie nie przesądza o jakości badania.

Jeżeli na przykład organizacja zajmująca się określonym problemem, na przykład depresją, udostępnia ankietę na swojej stronie, to można się spodziewać, że trafią na nią przede wszystkim ludzie szczególnie zainteresowani tym problemem albo go doświadczający. Możemy oczywiście badać taką grupę, ale nie możemy automatycznie przenosić tych wyników na całe społeczeństwo. Tymczasem często właśnie tak się dzieje.

W międzynarodowym projekcie EU Kids Online dużo wysiłku wkładamy w dobór i realizację próby. Losujemy szkoły, dbamy o strukturę rozkładu badanych, a także o porównywalność metodologii między krajami. Staramy się również unikać sytuacji, w której specyfika jednej szkoły nadmiernie wpływałaby na wyniki. To wymaga dużego nakładu pracy i jest kosztowne, ale właśnie dzięki temu możemy później odpowiedzialnie interpretować uzyskane dane.

Dzisiaj łatwo przygotować publikację, która wygląda jak raport naukowy: 50 stron, wykresy, profesjonalna oprawa graficzna i kampania medialna. Ale wygląd nie przesądza o wartości danych. Kiedy słyszę, że „polskie nastolatki są najsmutniejsze w Europie”, pytam, czy rzeczywiście przeprowadzono porównywalne badania w poszczególnych krajach.

Mam wrażenie, że ta katastroficzna opowieść o młodzieży mówi coś nie tylko o nastolatkach, ale również o nas, dorosłych. Czy ktoś w ogóle zapytał młodych ludzi, co myślą o tych wszystkich diagnozach, które im wystawiamy?



FOT. UNIWERSYTET IM. ADAMA MICKIEWICZA W POZNANIU

*Prof. Jacek Pyżalski

• Pedagog specjalny, badacz zachowań młodzieży, przemocy rówieśniczej i wpływu nowych technologii na rozwój młodych ludzi. Pracuje na Wydziale Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Uczestniczył w ponad 60 krajowych i międzynarodowych projektach badawczych, m.in. EU Kids Online i ySkills. Autor pierwszej w Polsce monografii naukowej poświęconej agresji elektronicznej wśród dzieci i młodzieży. Zajmuje się również edukacją medialną, kompetencjami cyfrowymi oraz wykorzystaniem sztucznej inteligencji w edukacji. Wiceprezes Polskiego Towarzystwa Edukacji Medialnej.

– Tak, i to było bardzo ciekawe doświadczenie. W jednym z projektów badawczych, gdzie współpracowałem z badaczami z Uczelni Korczaka, podczas wywiadów grupowych przedstawialiśmy młodym ludziom różne stereotypowe stwierdzenia dotyczące młodzieży i prosiliśmy, żeby się do nich odnieśli.

Ich reakcje były bardzo zróżnicowane. Z niektórymi opiniami zgadzali się bardziej, z innymi mniej, część uznawali za prawdziwe tylko w określonych sytuacjach. Ważne było również to, że potrafili wyjaśniać, dlaczego tak uważają. Nie było więc tak, że zestaw obiegowych przekonań na temat młodzieży okazał się po prostu prawdziwy.

Dla mnie najważniejszy wniosek był taki, że bardzo potrzebujemy rozmowy z młodymi ludźmi zamiast nieustannego opowiadania o nich. Posługujemy się różnymi uproszczeniami i skrótami myślowymi, które pomagają nam porządkować rzeczywistość, ale często niewiele mają wspólnego z jej rzeczywistym zróżnicowaniem.

Jednym z takich stereotypów jest przekonanie, że młodzi ludzie, ponieważ od dzieciństwa korzystają z internetu, doskonale znają świat cyfrowy.

– To bardzo dobry przykład. Często mylimy intensywność korzystania z technologii z kompetencjami potrzebnymi do jej świadomego wykorzystywania. Widzimy młodego człowieka, który niemal nie rozstaje się ze smartfonem, i zakładamy, że skoro spędza z nim tyle czasu, to świetnie zna jego możliwości i zagrożenia.

Wcale tak nie jest i pokazują to badania. Wielu młodych ludzi ma trudności z czynnościami, które wielu dorosłym wydają się zupełnie podstawowe, na przykład ze zmianą ustawień prywatności. Nie wszyscy potrafią ocenić wiarygodność informacji znalezionych w internecie. W jednym z naszych badań tylko około 16 procent respondentów wiedziało,

eprasa.pl b47d9d91db



FOT. GETTY IMAGES

Nastolatka opowiadała, że pokłóciła się z koleżanką i nie wiedziała, jak się z nią pogodzić. Poprosiła więc sztuczną inteligencję o napisanie przeprosin

że pierwszy wynik wyświetlony przez wyszukiwarkę niekoniecznie jest najlepszy. Bardzo duża grupa nie potrafiła w ogóle odpowiedzieć na to pytanie.

To pokazuje, jak niebezpieczne jest założenie, że samo dorastanie w otoczeniu technologii zapewnia odpowiednie kompetencje.

Może popełniamy jeszcze inny błąd? Sprowadzamy internet do patoinfluencerów, bezmyślnego scrollowania, kotków i głupich filmików. Tymczasem nastolatki potrafią z TikToka czy YouTube'a dowiadywać się o polityce, historii, kulturze, sprawach społecznych. Rozmawiają o rzeczach, o których my dowiadywaliśmy się z gazet albo telewizji. Czy przypadkiem nie deprecjonujemy wiedzy tylko dlatego, że dociera do nich w innej formie?

– Często przypisujemy pewnym zachowaniom młodych ludzi większą powszechność, niż wynika to z badań. W debacie publicznej pojawia się zjawisko spektakularne albo niepokojące i po pewnym czasie zaczynamy mówić o nim tak, jakby dotyczyło wszystkich nastolatków.

Tymczasem korzystanie z internetu jest bardzo zróżnicowane. W naszych badaniach dominują funkcje komunikacyjne i rozrywkowe: kontakty z rówieśnikami, rozmowy z dorosłymi, oglądanie filmów, spędzanie wolnego czasu. Nie oznacza to, że wszyscy robią to samo ani że ich aktywność ogranicza się do tych kategorii.

Z najnowszego badania EU Kids Online wynika, że ponad trzy czwarte dzieci w wieku od 10 do 16 lat ma konta w mediach społecznościowych. Również te, które zgodnie z regulaminami platform nie powinny jeszcze ich mieć. Rozumiem, że granica 13 lat jest, a właściwie zawsze była, fikcją?

– Nie jest to zjawisko marginalne. W porównaniu z wcześniejszymi badaniami widzimy nawet, że wśród najmłodszych użytkowników posiadanie takich kont jest częstsze.

Dziewczęta częściej posiadają konta w serwisach społecznościowych, natomiast chłopcy częściej korzystają z platform dla graczy. To kolejny przykład pokazujący, że nie istnieje jeden uniwersalny sposób funkcjonowania młodych ludzi w internecie.

Skoro już jesteśmy przy tym, co nastolatki naprawdę robią w sieci, chciałabym zapytać o sztuczną inteligencję. Można odnieść wrażenie, że młodzież wykorzystuje ją głównie do oszukiwania nauczycieli, produkowania deepfake'ów i innych niecnych celów.

– To właśnie przykład zjawiska, któremu łatwo przypisać powszechność. W naszym najnowszym badaniu około 80 procent młodych ludzi korzystało w ciągu miesiąca z narzędzi generatywnej sztucznej inteligencji. To rzeczywiście duży odsetek, pokazujący, jak szybko technologia upowszechniła się w tej grupie.

Ale kiedy pytaliśmy o konkretne zastosowania, obraz stawał się znacznie bardziej zróżnicowany. Tylko około 4 procent użytkowników tych narzędzi deklarowało tworzenie deepfake'ów. Zjawisko istnieje, może być bardzo poważne w skutkach, ale nie jest powszechne.

Z kolei blisko jedna czwarta badanych wykorzystywała te narzędzia do redagowania, skracania czy streszczanie tekstów.

Czy rzeczywiście internet sprawił, że nastolatki nie potrafią ze sobą rozmawiać, a ich życie towarzyskie przeniosło się do komunikatorów. Tylko czy my trochę nie idealizujemy własnej młodości? Na szkolnych korytarzach i podwórkach też były przemoc, wykluczanie, nagonki, klasowe ofiary. Nie żyliśmy w Bullerbyn...

– To bardzo ważne, żeby nie traktować internetu jako źródła wszystkich zachowań, które w nim obserwujemy. Od wielu lat zajmuję się badaniem przemocy tradycyjnej i cyberprzemocy rówieśniczej. We wszystkich krajowych i międzynarodowych badaniach, które przeprowadziłem, wyniki pokazują bardzo silny związek między tymi zjawiskami.

W naszych badaniach właściwie nie spotykamy młodych ludzi, którzy stosowaliby cyberprzemoc wobec rówieśników, a jednocześnie nie stosowali przemocy tradycyjnej. Oczywiście środowisko cyfrowe ma własną specyfikę, a niektóre mechanizmy mogą zwiększać zasięg czy konsekwencje określonych działań. Nie oznacza to jednak, że wszystko zaczyna się od technologii.

Jeżeli młody człowiek zachowuje się agresywnie wobec rówieśników, to musimy się przyjrzeć jego funkcjonowaniu znacznie szerzej, a nie ograniczać wyjaśnienie do tego, że korzysta z internetu.

Wierzę, że internet służy również podtrzymywaniu przyjaźni. Dawniej dzieci chodziły do osiedlowej szkoły, spotykały się na podwórku, a klub sportowy znajdował się dwie ulice dalej. Dzisiaj szkoła bywa na jednym końcu miasta, dom na drugim, zajęcia dodatkowe na trzecim. Może komunikatory nie tyle zastępują relacje, ile pozwalają je utrzymywać w świecie, który sami dorośli tak skomplikowali?

– W jednym z badań prowadzonych przez Fundację „Dbam o Mój Zasięg" sprawdzaliśmy, co młodzi ludzie robią w internecie, a co poza nim. Okazało się, że ci, którzy są aktywni w realnym życiu, zazwyczaj są też aktywni w sieci. Internet nie zastępuje im więc kontaktów z innymi ludźmi ani różnych zajęć, ale daje dodatkowe możliwości. Dlatego ostrożnie podchodziłbym do twierdzenia, że samo korzystanie z internetu oznacza wycofanie się z życia społecznego.

Coraz więcej badań pokazuje, że sam czas korzystania z internetu ma zazwyczaj słabe związki ze wskaźnikami zdrowia psychicznego. Są młodzi ludzie, którzy spędzają w sieci dużo czasu i dobrze funkcjonują, i tacy, którzy korzystają z niej krótko, a doświadczają poważnych trudności.

Po pierwsze, zdrowie psychiczne młodego człowieka zależy od wielu czynników. Ogromne znaczenie mają sytuacja rodzinna, relacje z rodzicami, kontakty z rówieśnikami i różne doświadczenia życiowe. Internet jest jednym z elementów tego obrazu, ale nie można przypisywać mu całej odpowiedzialności.

Po drugie, samo korzystanie z internetu jest niezwykle zróżnicowane. Liczy się to, jakie treści odbieramy, w jaki sposób z nich korzystamy, czy jesteśmy aktywni, czy bierni, z kim się komunikujemy i jakie emocje temu towarzyszą.

Dlatego w najnowszej odsłonie EU Kids Online zrezygnowaliśmy z badania samego czasu korzystania z internetu. Pytamy raczej o kontekst: czy młodzi ludzie korzystają z sieci, kiedy powinni spać albo podczas rodzinnych posiłków. Takie informacje mówią nam więcej niż liczba godzin.

Ale: jedna czwarta młodych ludzi korzysta z internetu w nocy, zamiast spać. To już brzmi niepokojąco.

– Dlatego zamiast pytać wyłącznie, ile czasu spędzamy w internecie, warto zapytać, kiedy z niego korzystamy i kosztem czego. Czy technologia przeszkadza nam w odpoczynku, czy odciąga nas od innych ludzi, czy utrudnia wykonywanie określonych zadań? Takie pytania pozwalają znacznie lepiej zrozumieć rzeczywiste problemy.

W takim razie co decyduje o tym, że dla jednego nastolatka internet jest miejscem przyjaźni, wiedzy i wsparcia, a dla innego źródłem cierpienia? Czy algorytmy mogą pogłębiać wcześniejsze problemy?

– Do internetu wchodzimy nie tylko z określonymi doświadczeniami, zainteresowaniami, ale też problemami. Nasze zachowania dostarczają algorytmom informacji, na podstawie których otrzymujemy kolejne treści. To sprzężenie zwrotne: trudności mogą kierować nas ku określonym materiałom, a algorytm może podsuwać ich coraz więcej.

Analizowaliśmy doświadczenia młodych ludzi mających poważne trudności psychiczne, w tym myśli czy próby samobójcze. Okazywało się, że byli oni znacznie częściej eksponowani na określone problemowe treści niż pozostali uczniowie. Jeżeli staniemy przed klasą 30 nastolatków, to każdy z nich może mieć trochę inny internet.

Sieć może więc wzmacniać to, z czym młody człowiek już do niej wchodzi. Nastolatek, który ma przyjaciół i zainteresowania, może dzięki niemu rozwijać swoje pasje i relacje. Ale ktoś, kto jest samotny albo przeżywa kryzys psychiczny, może trafiać na coraz więcej treści, które pogłębiają jego problemy. To taki efekt Świętego Mateusza: ci, którzy mają dobry punkt wyjścia, często zyskują jeszcze więcej, a ci, którzy już są w trudnej sytuacji, mogą się znaleźć w jeszcze gorszej.

Jeżeli nie będziemy interesować się tym, jakie treści młodzi ludzie oglądają, po co z nich korzystają, z kim się komunikują i co się w tym środowisku dzieje, to nasz wpływ na ich sytuację będzie bardzo ograniczony. Samo kontrolowanie godzin może się okazać działaniem w dużej mierze pozornym.

Ale istnieje pokusa prostych rozwiązań. Skoro problemem jest internet, to wystarczy ograniczyć dostęp do niego albo zakazać korzystania z telefonów i oczekiwać poprawy.

– Oczywiście mogę się mylić i bardzo chciałbym zobaczyć taką poprawę, ale na podstawie dostępnej wiedzy nie spodziewam się, żeby samo wprowadzenie zakazów przyniosło tak daleko idące rezultaty. Przypisujemy internetowi zbyt wielką siłę w porównaniu z innymi czynnikami wpływającymi na funkcjonowanie młodych ludzi. A kiedy przeceniamy znaczenie jednego czynnika, zaczynamy również przeceniać skuteczność działań skierowanych wyłącznie przeciwko niemu.

Po dramatycznych zdarzeniach z udziałem nastolatków wraca przekonanie, że młodzi ludzie oglądają przemoc w internecie, a potem idą z nożem do szkoły. To rzeczywiście działa w taki sposób?

– Nie ma podstaw, żeby wyjaśniać takie zdarzenia za pomocą jednego prostego mechanizmu. Przemoc była obecna też w tradycyjnych mediach na długo przed upowszechnieniem internetu. Gdyby sam kontakt z brutalnymi treściami prowadził bezpośrednio do podobnych zachowań, mielibyśmy do czynienia z masowym zjawiskiem, a nie z pojedynczymi, choć bardzo poważnymi incydentami.

Dramatyczne wydarzenia w szkołach zdarzały się też w czasach przedinternetowych. Duże statystyki nie pokazują takiego wzrostu przemocy, który odpowiadałby wrażeniu po-

eprasa.pl b47d9d91db

wstającemu na podstawie nagłaśnianych incydentów.

Kiedy dochodzi do skrajnych aktów przemocy, zwykle mamy do czynienia ze złożoną kombinacją czynników indywidualnych i środowiskowych. Nie da się ich sprowadzić do jednego filmu obejrzanego w internecie czy jednej aktywności w mediach społecznościowych.

Jest natomiast inna kwestia: jeżeli media szczegółowo opisują kolejne dramatyczne zdarzenia, pokazują sposoby działania i eksponują podobieństwa między przypadkami, to taki przekaz może sprzyjać zachowaniom naśladowczym. Dlatego sam staram się unikać przywoływania niepotrzebnych szczegółów dotyczących takich wydarzeń.

Zaczynamy się zastanawiać, czy w szkołach nie powinno być bramek do wykrywania metalu i policjantów.

– Przestrzegałbym przed budowaniem całej polityki bezpieczeństwa na podstawie pojedynczych, skrajnych wydarzeń. Bramki i podobne rozwiązania są kosztowne, a ich skuteczność nie musi być duża. Do przemocy może dojść także poza budynkiem szkoły.

Takie środki obejmują wszystkich uczniów, również ogromną większość, która nigdy nie dopuściłaby się podobnych czynów. Mogą wywoływać skutki uboczne związane np. ze sposobem postrzegania szkoły i młodych ludzi.

Zamiast coraz skuteczniej zabezpieczać się przed uczniami, powinniśmy zadbać o to, żeby uczniowie czuli się częścią wspólnoty.

Rozwiązywanie problemu przemocy polega w dużej mierze na budowaniu jej przeciwieństwa. A przeciwieństwem przemocy jest wspólnota, w której ludzie interesują się sobą nawzajem, reagują na krzywdę i czują odpowiedzialność za innych.

Jeżeli taka wspólnota istnieje, zauważamy drobne sygnały świadczące o tym, że dzieje się coś niedobrego. Nie przechodzimy obojętnie, gdy ktoś jest upokarzany albo wykluczany. Czujemy, że trzeba zareagować, wesprzeć osobę, której dzieje się krzywda.

Natomiast tam, gdzie wspólnoty nie ma, łatwo przyjąć postawę: skoro mnie nikt nie krzywdzi, to wszystko jest w porządku. Nie interesuje mnie, co dzieje się z innymi.

Budowanie wspólnoty jest trudne, wymaga codziennej pracy i nie daje spektakularnych efektów, które można pokazać na konferencji prasowej. Ale właśnie w tym widzę jeden z najważniejszych długofalowych sposobów ograniczania ryzyka przemocy.

Jak bardzo dzisiejszy, badany przez pana nastolatek różni się od tego sprzed 20 lat?

– Przede wszystkim zmienił się sposób obecności internetu w życiu. Kiedyś siadaliśmy przy komputerze, wchodziliśmy do sieci, a po odejściu od niego już nie byliśy online. Internet mobilny zniósł ten podział. Dzisiaj środowisko cyfrowe towarzyszy nam niemal bez przerwy.

Ale teraz obserwujemy kolejną zmianę, być może jeszcze bardziej znaczącą. Do naszego życia weszły modele językowe i generatywna sztuczna inteligencja. Zaczynają być wbudowywane w narzędzia, z których wcześniej korzystaliśmy: wyszukiwarki, komunikatory, edytory tekstu, programy do przygotowywania prezentacji.

W rezultacie młody człowiek ma właściwie nieustannie przy sobie narzędzie konwersacyjne, które może wspierać go poznawczo, pomagać w zdobywaniu informacji, ale również pełnić funkcje związane z komunikacją i emocjami. To zupełnie nowa sytuacja rozwojowa.

Przeraża to pana?

– Bardziej mnie ciekawi. Kiedy zaczynam bliżej badać te zjawiska, widzę zarówno poważne zagrożenia, jak i rzeczy pozytywne. Pamiętam też, że wokół wcześniejszych technologii powstawały rozmaite paniki moralne.

Ale oczywiście odczuwam niepokój, bo to coś zupełnie nowego. W naszym badaniu aż 65 procent młodych ludzi w Polsce odpowiedziało, że nie wie, jak sztuczna inteligencja wpłynie na ich życie w ciągu najbliższych 10 lat. To bardzo ciekawe, bo wobec wcześniejszych technologii młodzi ludzie byli zazwyczaj bardziej optymistyczni niż starsze pokolenia.

Coraz więcej badań pokazuje, że sam czas korzystania z internetu ma zazwyczaj słabe związki ze zdrowiem psychicznym

Tym razem wszyscy, niezależnie od wieku, jesteśmy trochę zdezorientowani. Niepewność odczuwają również nastolatki, po których moglibyśmy się spodziewać, że będą z entuzjazmem wkraczać w tę nową rzeczywistość. A jednak nie ma aż tak dużego entuzjazmu.

Znajome mi nastolatki wręcz ostentacyjnie odwracają się od AI, co więcej – dyscyplinują dorosłych, żeby się w tym AI nie zakochiwali. Ciekawe, czy na długo im tego sceptycyzmu starczy.

– Sam prowadzę badania nad tymi zjawiskami, śledzę wyniki prac innych zespołów i zastanawiam się, co musimy zmienić, żeby korzystać z tych narzędzi mądrze i etycznie. Tym bardziej że niepewność co do ich możliwości i konsekwencji wyrażają czasami nawet sami twórcy. A skoro oni nie potrafią wszystkiego przewidzieć, to trudno oczekiwać, że my będziemy znali odpowiedzi.

Nie mówiąc już o tym, że sztuczna inteligencja głęboko wchodzi w procesy kognitywne człowieka, czyli w to, jak myślimy, uczymy się, rozumujemy i rozwiązujemy problemy.

Ale w szkole sztuczna inteligencja rzeczywiście może być narzędziem do chodzenia na skróty. Kiedyś uczeń musiał przynajmniej przepisać wypracowanie z bryku, dzisiaj wystarczy, że poprosi o nie ChataGPT. Czyli tak jak Fukujama ogłosił koniec historii, już czas ogłosić koniec edukacji?

– Wręcz przeciwnie. Edukacja będzie potrzebna bardziej niż kiedykolwiek, tylko musimy nauczyć się korzystać ze sztucznej inteligencji tak, żeby rozwijała nasze myślenie, a nie nas z niego wyręczała.

W naszych badaniach widzimy, że polska młodzież rzadziej niż przeciętnie w badanych krajach europejskich wykorzystuje technologie cyfrowe do nauki szkolnej. Wykorzystywanie AI do nauki może bowiem oznaczać dwie zupełnie różne rzeczy. Uczeń może używać jej konstruktywnie, żeby lepiej zrozumieć jakieś zagadnienie, przeanalizować problem, uzyskać dodatkowe wyjaśnienia.

Ale może, tak jak pani sugeruje, całkowicie przekazać narzędziu wykonanie zadania.

Powstaje więc pytanie, jak korzystać z tej technologii, żeby rzeczywiście wspomagała rozwój poznawczy, zamiast go zastępować.

Czy szkoła ma w ogóle jakiś pomysł, jak sobie z tym poradzić? Bo na razie odnoszę wrażenie, że nauczyciele próbują wykrywać teksty napisane przez sztuczną inteligencję, a uczniowie uczą się coraz skuteczniej ukrywać, że z niej korzystają.

– Pytanie, czy sztuczna inteligencja jest dobra, czy zła dla edukacji, jest źle postawione. Trzeba ustalić, jak z niej korzystać, żeby wspierała procesy poznawcze. Mam poczucie, że każdy nauczyciel będzie musiał w pewnym stopniu stać się przewodnikiem po konstruktywnym wykorzystywaniu AI. Nie możemy zakładać, że młodzi ludzie sami odkryją najlepsze sposoby korzystania z tej technologii. To może prowadzić do pogłębiania nierówności edukacyjnych.

Sztuczna inteligencja to nie jest po prostu kolejny telewizor czy komputer w klasie. Skala możliwych zmian jest znacznie większa.

Ale jest jeszcze coś. Sztuczna inteligencja nie tylko ingeruje w nasze procesy kognitywne. Możemy wchodzić z nią w relacje parapersonalne, przypominające relacje z drugim człowiekiem, a niektórzy użytkownicy zaczynają nawet oceniać te kontakty jako lepsze od relacji międzyludzkich. A więc ta technologia wkracza w bardzo ważne procesy rozwojowe, edukacyjne i społeczne. Kluczowe pytanie brzmi: jaki mamy na to pomysł?

Podobno niektórzy rodzice podczas rozmowy z własnym dzieckiem pytają ChataGPT, co powinni odpowiedzieć.

– Nie oceniałbym ich tak surowo. Ważniejsze jest, jak skorzystają z otrzymanej odpowiedzi. Mogą potraktować ją jako inspirację, dodatkową perspektywę, coś, co pomoże im się zastanowić nad własnym postępowaniem. Ale, oczywiście, że można również zacząć delegować na technologię czynności, które są istotą relacji z innymi ludźmi.

Rozmawialiśmy z nastolatkami o wykorzystywaniu sztucznej inteligencji. I już widzimy, że to się w świecie nastolatkowym odbywa. Jednym z interesujących, rzadko omawianych zastosowań okazała się automatyzacja osobistej komunikacji.

Na przykład?

– Nastolatka opowiadała, że pokłóciła się z koleżanką i nie wiedziała, jak się z nią pogodzić. Poprosiła więc sztuczną inteligencję o napisanie przeprosin, wysłała je i konflikt został rozwiązany. Inne dziewczęta opowiadały, że kiedy jedna z nich korespondowała z chłopakiem, wspólnie wklejały jego wiadomości do narzędzia AI i korzystały z wygenerowanych odpowiedzi.

Na pierwszy rzut oka może się to wydawać dziwne, może sprytne i zabawne – oto młodzi ludzie znaleźli sobie wygodny sposób na poradzenie sobie z niezręczną sytuacją. Ale kiedy zastanowimy się nad tym głębiej, sprawa przestaje być taka niewinna.

Komunikacja jest jednym z podstawowych sposobów budowania relacji. Kiedy ktoś się zastanawia, jak kogoś przeprosić, próbuje zrozumieć drugą osobę, szuka słów, poprawia je, uczy się odpowiedzialności za własną wypowiedź.

Jeśli cały ten proces przekazuje maszynie, dostaje gotową wiadomość, ale równocześnie traci część doświadczenia, dzięki któremu rozwijają umiejętności społeczne.

Oczywiście, szybkość i wygoda są bardzo atrakcyjne. Ale jeśli przestajemy samodzielnie formułować ważne wiadomości, zastanawiać się nad własnymi emocjami i szukać sposobów porozumienia, to być może tracimy coś znacznie ważniejszego niż kilka minut zaoszczędzonego czasu.

Dla kogo takie relacje są najbardziej ryzykowne?

– Wstępne badania sugerują, że szczególnie dla osób, które już wcześniej doświadczały trudności w relacjach. Ktoś, kto ma dobre kontakty społeczne, może traktować AI jako narzędzie. Ktoś inny może zacząć mówić o swoich najważniejszych problemach wyłącznie maszynie i uznać tę relację za bardziej satysfakcjonującą niż kontakt z człowiekiem. To dotyczy raczej mniejszości, ale właśnie u niej technologia może utrwalać istniejące trudności.

Dlatego odpowiedź na pytanie, czy sztuczna inteligencja poprawi czy pogorszy funkcjonowanie młodych ludzi, wcale nie musi być jednoznaczna. Może się okazać, że jednym pomoże, a innym zaszkodzi. To zróżnicowanie powinno nas szczególnie interesować.

Badania pokazują również problemy, na przykład z koncentracją. Nastolatki mają trudności ze skupieniem uwagi, bez przerwy coś sprawdzają, przeskakują między zadaniami.

– Trudno jest ten problem lekceważyć, ale u dorosłych występuje on także na masową skalę. Koncentracja na jednej czynności ma istotne znaczenie dla uczenia się. Czy uczniowie równie dobrze odrabiają zadanie domowe przy włączonym telewizorze jak wtedy, kiedy nic ich nie rozprasza?

Warto tworzyć warunki sprzyjające skupieniu. Jeżeli uczeń wykonuje zadanie wymagające wysiłku poznawczego, to jednoczesne przeglądanie mediów społecznościowych czy odpowiadanie na wiadomości może utrudniać mu pracę. Dlatego ograniczanie takich rozpraszaczy w określonych sytuacjach edukacyjnych ma sens.

Jeżeli zabronimy korzystania z telefonów podczas lekcji, możemy uzyskać pewną poprawę koncentracji i warunków uczenia się. Nie oznacza to jednak automatycznie, że poprawi się zdrowie psychiczne uczniów, zmniejszy cyberprzemoc albo zmienią się ich całodobowe nawyki korzystania z internetu.

Wróćmy jeszcze na chwilę do zdrowia psychicznego, bo nie chciałabym, żeby z naszej rozmowy wynikało, że wszystkie doniesienia o pogarszającej się kondycji nastolatków są wyłącznie medialną przesadą. Czy rzeczywiście jest gorzej niż kiedyś?

– Z dobrych badań wynika, że pewne tendencje pogarszania się zdrowia psychicznego młodych ludzi są widoczne. Nie możemy ich ignorować. Nie oznacza to jednak, że wszyscy mają poważne trudności ani że we wszystkich obszarach sytuacja się pogarsza.

Musimy odróżniać konkretne problemy, analizować ich skalę i sprawdzać, jakie czynniki mogą mieć z nimi związek. Nie wystarczy powiedzieć, że młodzi ludzie są nieszczęśliwi, a następnie przypisać całą odpowiedzialność mediom społecznościowym. ●

1 RP

#NieMaMnieTutaj

Pomóż, zamiast się wzmagać

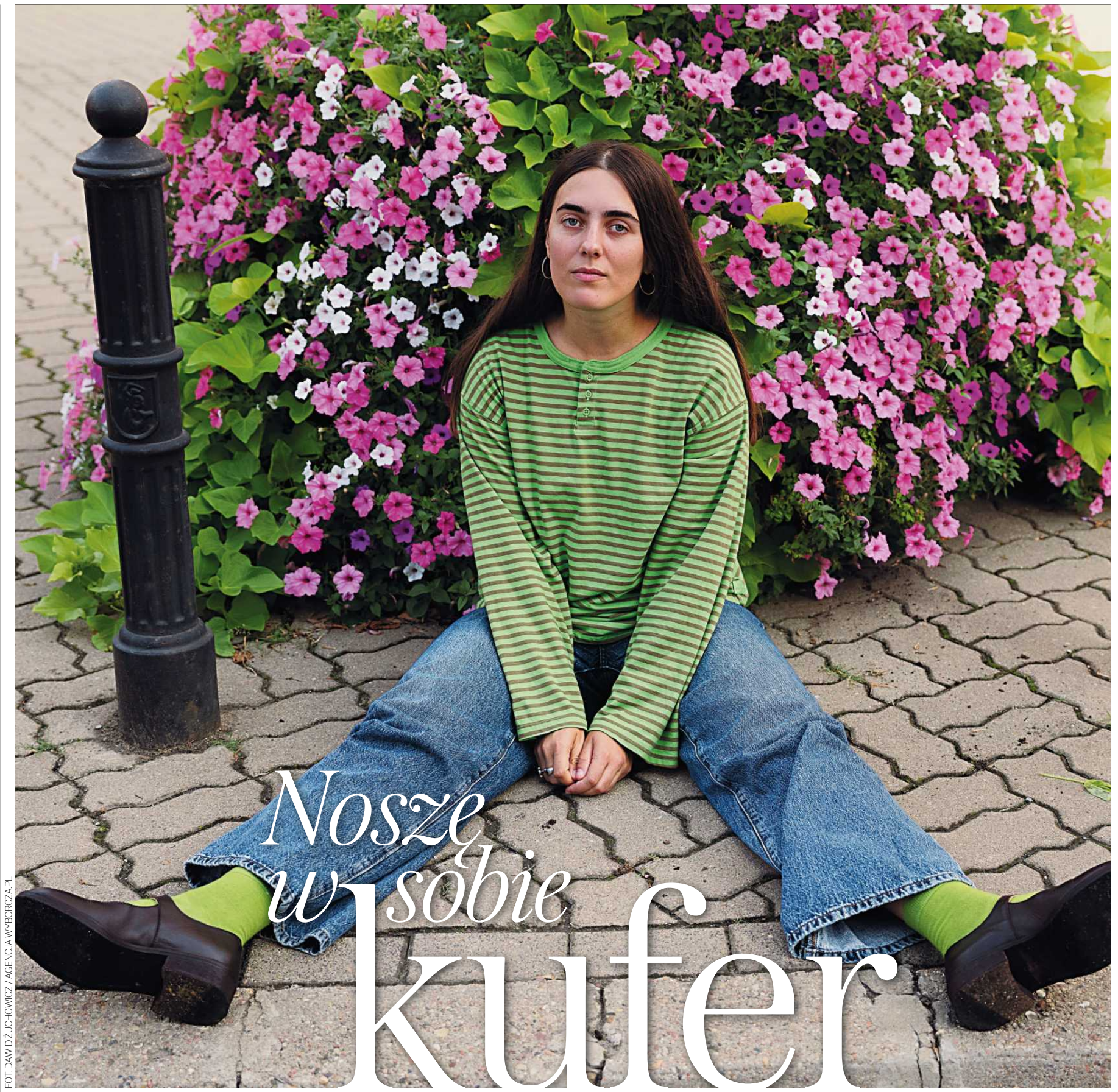
• **Tekst powstał w ramach akcji #NieMaMnieTutaj.** Zaczęliśmy ją z niepokoju o świat, w którym dorastają dzieci i młodzież: o to, kto kształtuje ich emocje, relacje i sposób myślenia. Przyglądamy się samotności, kondycji psychicznej, szkodliwym treściom i odpowiedzialności Big Techów, a także temu, co naprawdę dzieje się po drugiej stronie ekranu.
Zapraszamy na **Wyborcza.pl/multimedia/niemamnie**.

A na **Wyborcza.pl/magazyn m.in.:**

• Psycholog: Chłopcy odcięci od własnej agresywności, zaczynają ją romantyzować
• Państwo polskie czeka, aż zagubiony dzieciak zostanie nożownikiem
• Eskalacja przemocy zaczyna się od: „Nadepnij chomika", „Podtruj psa". I pokaż dowód, że to zrobiłeś
• Co Ballerina Cappuccina i Tralalero Tralala robią z umysłem dziecka?
• „Zróbcie coś, żebym nie musiała tego oglądać!" – prosi dziewczynka z podstawówki. Twarde porno na TikToku i WhatsAppie

eprasa.pl b47d9d91db

KULTURA OBYCZAJE



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nosze w sobie kufer

Zamknęłam w nim wszystkie emocje związane z Białorusią, domem, rodzicami i babcią. Wiem, że nie mogę go otworzyć, bo to mogłoby mnie zniszczyć.

Z **SASZĄ WIELICZKO*** BIAŁORUSKO-POLSKĄ ARTYSTKĄ ROZMAWIA **EMILIA DŁUŻEWSKA**

Kim są kobiety na twoich dywanach?
To więźniarki polityczne. Ich portrety pochodzą ze strony Wiasny, białoruskiej organizacji walczącej o prawa człowieka, część została nadesłana przez rodziny uwięzionych kobiet. Pierwszego dnia po osadzeniu więźniarkom robi się zdjęcia. Później przez cały czas muszą je nosić przypięte do ubrania wraz z nazwiskiem, datą osadzenia i paragrafem. Te fotografie są złej jakości, robione na tanim papierze. Dlatego moje dywany są szaro-czarne. Celowo rozmyłam też ich twarze.

Dlaczego nie chciałaś ich pokazać?
– Początkowo nie chciałam im zaszkodzić. Wiele z nich nadal przebywa w więzieniu. Zdecydowałam się nie pokazywać ich twarzy z obawy o ich bezpieczeństwo. Rozmycie tych portretów, sprowadzenie ich do abstrakcji jest też sposobem, by opowiedzieć o biopolitycznej kontroli, przemocy psychicznej, seksualnej i fizycznej, której poddawane są więźniarki. I o tym, jak państwo próbuje wymazać ich tożsamość i ukryć je przed światem.

Obecnie w Białorusi jest ponad 180 więźniarek politycznych. Dokładna liczba pozostaje nieznana, ponieważ państwo izoluje je od bliskich i organizacji broniących praw człowieka. Nawet te, które wyszły z więzienia, nie są bezpieczne.

W Białorusi nie ma czegoś takiego, jak eks-więzień. Możesz wrócić do domu, spać we własnym łóżku, ale już zawsze będziesz naznaczony. Poczujesz to na milicji, w instytucjach państwowych, w pracy. Twoja rodzina też.

Do końca życia będziesz wzywany na dywanik?
– To powiedzenie dobrze oddaje niekończącą się presję. Mówimy tak w Białorusi, dopiero potem odkryłam, że tak mówi się też po polsku i angielsku.

Wezwanie na dywanik samo w sobie jest już karą: ktoś stojący w hierarchii nad tobą chce cię widzieć, nie wiesz, co cię spotka, ale czujesz, że nic dobrego. Jeszcze nic się nie wydarzyło, ale już wiesz, że należy się bać.

Dywany mają też inne znaczenia. Tradycyjnie tkactwo było w Białorusi pracą kobiecą. Do dziś kobiety tkają dywany dla siebie i bliskich, jako podarunek. Dywan powieszony na ścianie kojarzy się z przytulnością, ciepłem, ochroną.

A jednocześnie w przypadku więźniarek politycznych tkanina jest elementem opresji – osadzone przymusowo szyją mundury dla rosyjskiej i białoruskiej armii.

Sytuacja więźniarek politycznych różni się od sytuacji więźniów?
– Po pierwsze, dużo częściej zostają same. Osadzeni mężczyźni mają wsparcie nie tylko ze strony organizacji broniących praw człowieka, ale też żon, które czekają na ich powrót, piszą listy, wysyłają do więzienia paczki. Tymczasem statystyki pokazują, że kiedy skazana zostaje kobieta, jej mąż najczęściej nie czeka. Rozwodzi się i układa sobie życie na nowo.

Po drugie, doświadczają rozbudowanej przemocy psychicznej. Więźniarki mają duże poczucie solidarności i opiekuńczości. Reżim wie, że musi je rozbić, więc torturuje je psychicznie. W celach więźniarek politycznych umieszczane są osoby współpracujące z ad-

eprasa.pl b47d9d91db

ministracją więzienia. Ich zadaniem jest wywoływanie konfliktów, skłócanie osadzonych i niszczenie wzajemnego zaufania. Reżim wykorzystuje też dzieci jako narzędzie nacisku. Kiedy oboje rodzice trafiają do więzienia, państwo często próbuje odebrać im dzieci, zamiast przekazać je pod tymczasową opiekę dziadków. To samo dzieje się w przypadku niepełnych rodzin, w których dziecko wychowuje samotna matka.

Nie znaczy to, że więźniarki nie doświadczają innych rodzajów przemocy: fizycznej czy seksualnej. Poza zdjęciem więźniarki muszą nosić na ubraniach żółty pasek, żeby z daleka było widać, że są „polityczne". W stosunku do takiej osoby służby mogą pozwolić sobie na więcej. Po wyjściu z celi są zmuszane do przechodzenia między ustawionymi w korytarzu pracownikami więzienia, którzy klepią je po pośladkach, grożą gwałtem albo każą im się rozebrać. Wiedzą, że odmowa może pociągnąć za sobą kolejne represje, więc wykonują te polecenia. Przemocy jest bardzo dużo.

Przy projekcie współpracowałam z organizacjami Politvyazynka i Pink Scarves, które opiekują się osadzonymi kobietami. Dostałam od nich ponad 50 świadectw: listów byłych więźniarek i grepsów przemycanych z więzienia. Czytałam je i nie mogłam przestać płakać. A jednocześnie wybierałam fragmenty, które mogę odtworzyć w projekcie.

Sfotografowałaś szczoteczkę do zębów i malutki kawałek mydła – tyle przypadało na 36 więźniarek zamkniętych w czteroosobowej celi. Kalosze – bo strażnicy torturują więźniarki, wlewając im zimą wodę do jedynej pary butów. Podpaski, które mogą dostać tylko dwa razy w roku.

– Duża część przemocy odbywa się w świetle więziennego prawa. Mówi ono na przykład, że więźniarki polityczne poza pracą w fabrykach mają obowiązek sprzątać więzienie, a potrzebne do tego środki i sprzęt kupować za własne pieniądze. Albo że w nocy nie wolno im wstawać z łóżka. Nie ma znaczenia, czy coś cię boli albo że musisz skorzystać z toalety – wstaniesz z łóżka, lądujesz w karcerze.

Kiedy osobie skazanej w procesie kryminalnym umiera bliski, dostaje przepustkę na pogrzeb. Więźniarki polityczne nie mają do niej prawa. Znam historię kobiety, której siostra została zabita na ulicy, gdy ona była w więzieniu. Ich matka nie była w stanie sobie z tym poradzić i popełniła samobójstwo. Kiedy w końcu ta dziewczyna wyszła z więzienia, wróciła do pustego domu. Nie mogła ich nawet pożegnać.

Część przedmiotów, które wybrałaś, jest mniej oczywista. Na przykład maseczki do twarzy zrobione z chleba. Albo pędzelki do makijażu.

– Kiedy zaczynałam pracę nad projektem, czytałam wspomnienia Krystyny Żywulskiej, polskiej Żydówki, która przeżyła Auschwitz i marsz śmierci. Kiedy do więźniarek dotarł szwedzki Czerwony Krzyż, dał im szminki. Dla nich to był moment humanizacji. Poczuły, że znów są kobietami, bo w obozie nie czuły się ani kobietami, ani w ogóle ludźmi. Zaczęłam myśleć, jak to wygląda w Białorusi. Co robią tamte więźniarki, żeby poczuć, że wciąż żyją, wciąż są sobą.

Nie porównuję doświadczenia więźniarek nazistowskich obozów koncentracyjnych z doświadczeniem więźniarek politycznych we współczesnej Białorusi – to inne okoliczności historyczne i nieporównywalna skala przemocy. Zainteresował mnie sam gest odzyskiwania ludzkiej godności i własnej tożsamości w warunkach, których celem jest ich zniszczenie. Fascynowało mnie, jakie więźniarki znajdują sposoby, żeby o siebie dbać: z własnych włosów, zapałek i nitek robią pędzelki, żeby malować sobie powieki, a kredki rozdrabniają na proszek, którego używają jako cieni do powiek. Używają kapsułek ze smakowych papierosów jako perfum, z więziennego chleba robią maseczki nawilżające.

Nie zajmuję się fotografią dokumentalną, dlatego odtwarzałam te przedmioty w pracowni, zachowując ich rzeczywiste rozmiary. Na przykład lepiłam szachy z chleba i robiłam pędzelki z własnych włosów. Wybrałam oszczędny, niemal sterylny język wizualny, starając się jednocześnie zachować wrażenie, że przedmioty te mogłyby znajdować się w przestrzeni więziennej. Chciałam, żeby te zdjęcia były atrakcyjne, przyciągały ludzi i żeby dopiero po przeczytaniu podpisu czuli zgrzyt: odkrywali, że za tym fajnym zdjęciem kryje się historia, której nie będą mogli zapomnieć.

Ten projekt dotyka mnie też na osobistym poziomie. Mogłam być jedną z tych kobiet.

W 2020 r. zostałaś aresztowana. Za co?

– Za nic. Stałam z przyjaciółmi przy Domu Kultury w Słonimiu, skąd pochodzę. Nie mieliśmy żadnych symboli, flag czy plakatów. Po prostu staliśmy. To było w czerwcu, po zatrzymaniu Wiktara Babaryki i Siarhieja Cichanouskiego, rywali Łukaszenki w wyborach prezydenckich. Białorusini w ramach protestów ustawiali się na ulicach w łańcuchy solidarności. Milicja uznała nas za taki łańcuch.

Spisano nasze dane, a później przyszli po mnie do domu. Dwóch milicjantów wsadziło mnie do samochodu i zabrało na przesłuchanie. Byłam przerażona. Później odbył się proces. Uznano nas za winnych naruszenia zasad organizowania lub przeprowadzania zgromadzeń masowych, dostaliśmy grzywnę i wróciliśmy do domu. W tamtym czasie władze nie bardzo jeszcze wiedziały, co robić z takimi ludźmi. Represje nie przybrały jeszcze tak przerażającej formy jak później.

Po wyborach brałam udział w protestach. Uczestniczyłam w marszach kobiet, fotografowałam ich przebieg. Rafał Milach przeprowadził wtedy dla serwisu agencji Magnum Photos wywiady z siedmioma białoruskimi fotografkami dokumentującymi protesty. Byłam jedną z nich.

W 2021 r. zaczęły mnie prześladować białoruskie władze. Zażądano ode mnie dostarczenia wyciągu bankowego obejmującego wszystkie transakcje kartą z ostatnich dziesięciu lat. Kazano mi wyjaśniać poszczególne wydatki – na przykład dlaczego kilka lat wcześniej kupiłam bilet na metro w Warszawie.

To w ogóle możliwe?

– Znalazłam prawnika i księgową, pomagał człowiek z organizacji broniącej praw człowieka. Powiedział mi do razu, żebym absolutnie nie chodziła na milicję, tylko wszystko załatwiała listownie. Cała procedura trwała pięć miesięcy. Wtedy przyszło kolejne pismo: jestem podejrzana w sprawie karnej, mam się stawić na komisariat na pobranie odcisków palców i śliny w związku.

Mój ojciec zadzwonił do przyjaciela, który pracował w milicji, w innym departamencie. Ten człowiek powiedział, że mam natychmiast wyjeżdżać. Bo jak tam pójdę, to już nie wyjdę.

Miałaś czas pożegnać się z bliskimi?

– Jak? Miałam półtora dnia, moja rodzina była w Słonimiu, a ja w Mińsku. Zebrałam dokumenty, spakowałam walizkę i zadzwoniłam na komisariat, że jestem chora. Był czwartek, powiedziałam, że przyjdę w poniedziałek. Prawdopodobnie dzięki temu nie wpisali mnie na listę poszukiwanych i nie zatrzymali na lotnisku. Od 2015 r. miałam Kartę Polaka oraz wydaną na jej podstawie wizę. Nie mogłam polecieć bezpośrednio do Polski, ponieważ granica była wtedy zamknięta, więc poleciałam do Turcji, a stamtąd do Polski.

Wiedziałam, że chcę jechać do Warszawy, bo tu mieszka wielu fotografek i fotografów. Zawsze kochałam fotografię, choć zrobiłam magisterkę z radiofizyki kwantowej i technologii laserowych – w mojej rodzinie nie było artystów, rodzice uważali, że trzeba mieć porządny zawód. Uznałam, że w Warszawie będę miała szansę się czegoś nauczyć, wejść w to środowisko.

Znałaś tu kogoś?

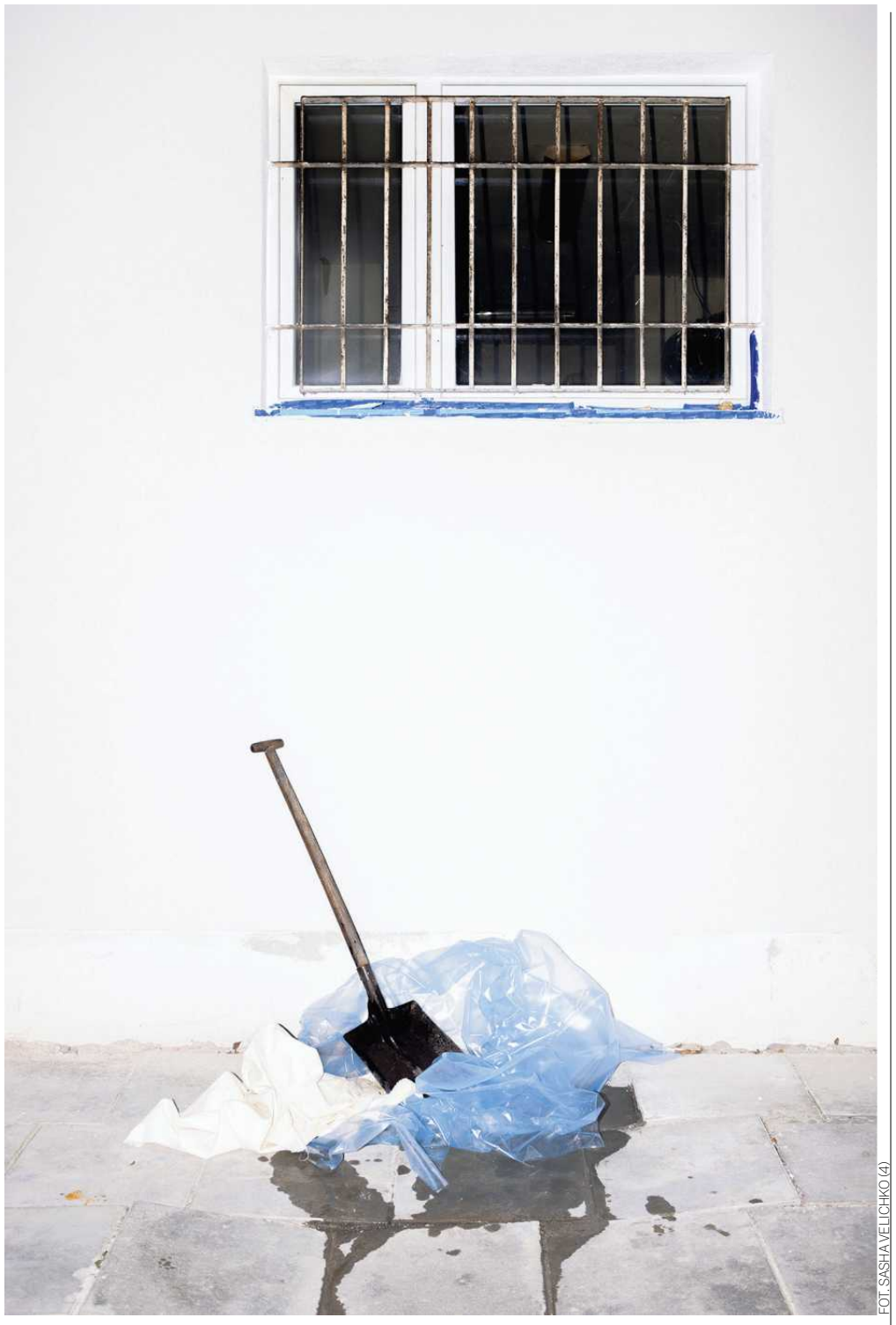
– Kilka osób, ale nie miałam nikogo bliskiego. Wynajęłam pokój na Airbnb, na jakiś czas pojechałam do przyjaciół w Krakowie, wróciłam w grudniu. To był dla mnie straszny okres. Miałam depresję i myśli samobójcze, nie jadłam, w ciągu tygodnia schudłam siedem kilogramów. Jeszcze w Białorusi zdiagnozowano u mnie chorobę afektywną dwubiegunową. Tutaj, bez leków, było mi niezwykle trudno.

Pamiętam, jak dzwoniłam na ogłoszenia o wynajmie mieszkań. Nie mówiłam wtedy po polsku, więc zaczynałam po angielsku. Ludzie rzucali słuchawką, czasem mnie wyzywali za to, że nie mówię po polsku – młodzi, starzy, kobiety, mężczyźni. Ja wiem, że nie wszyscy mówią po angielsku albo nie chcą wynajmować cudzoziemcom, ale przecież można to normalnie powiedzieć.

W końcu udało się umówić na oglądanie mieszkania. Przyjeżdżam i widzę, że na ścianie wisi błyskawica, symbol kobiecych protestów. Opowiedziałam właścicielce swoją historię. Mieszkam tam do dziś.

Urodziłaś się w Słonimiu, sto kilometrów od polskiej granicy. Twój ojciec jest Polakiem, a mama Rosjanką. Od zawsze czułaś się Białorusinką?

– Poczułam się nią dopiero jako osoba dorosła. Zaczęło się od projektu, który robiłam w Archangielsku na północy Rosji. Fotografowałam tam ludzi, pytałam o ich zwyczaje, tradycje. To mnie zainspirowało do odkrywania kultury Białorusi. Czytałam Ewę Felińską, Ałojzę Paszkiewicz, Zoskę Wieras i Uładzimira Karatkiewicza, poznawałam badania Michała Ramaniuka, teksty o kulturze intymnej w Wielkim Księstwie Litewskim. To by-



FOT. SASHA VELICHKO (4)

*Sasza Wieliczko (Sasha Velichko)

• Rocznik 1993, białorusko-polska artystka. Jej projekty były pokazywane m.in. na festiwalach fotografii w Arles, Paryżu, Kopenhadze, Singapurze, Tokio, Amsterdamie, Atenach i Łodzi.
W 2026 r. została jedną z 15 osób wyróżnionych prestiżowym tytułem Foam Talent przyznawanym najbardziej obiecującym młodym fotografom. Wybierano spośród 3 tys. artystów ze 107 państw.
• Wiasnę, działającą od 1996 r. białoruską organizację broniącą praw człowieka (m.in. wspierającą więźniów politycznych, reprezentujących przed sądem osoby represjonowana, dokumentująca tortury i łamanie praw człowieka w aresztach) można wesprzeć na **donate.spring96.org/en/.**
• Białorusinom i Białorusinkom zmuszonym do ucieczki z kraju po protestach w 2020 r. w Polsce pomaga Fundacja Partyzanka. Można ją wesprzeć na **partyzanka.org/support-us**

eprasa.pl b47d9d91db



Ojciec, który wbijał mi do głowy, że muszę wyjechać z Białorusi, chyba jest szczęśliwy, że mieszkam w Warszawie. Ale ja nie jestem



ło dla mnie odkrycie: wow, mamy tyle własnej historii, kultury, poetów, o których wcześniej prawie nic nie wiedziałam. Bogactwo.

Do 25. roku życia wpajano mi, że jestem wyłącznie Polką i dlatego powinnam wyjechać z Białorusi. Tak mówiła mi moja rodzina, a w białoruskim paszporcie miałam wpisaną narodowość polską, nawet, gdy już myślałam o sobie jako Białorusince. Kiedy przyjechałam do Polski, szybko odczułam, że dla ludzi stąd nigdy nie będę Polką. Nie jestem taka sama jak wy, jestem migrantką. Nawet wśród artystów, artystek.

Kiedy zaczęła się pełnoskalowa inwazja Rosji na Ukrainę, usłyszałam pytanie, czemu jestem tu, a nie stoję przed czołgami, które jadą tam z Białorusi.

Spotkałam tu też wielu dobrych ludzi. Jestem wdzięczna, że mogę w Polsce mieszkać, pracować, żyć. Tu zaczęłam świadomie rozwijać swoją praktykę artystyczną, uwierzyłam w siebie, zyskałam możliwość realizowania projektów. Dziś uważam się za białorusko-polską artystkę.

Ojciec, który wbijał mi do głowy, że muszę wyjechać z Białorusi, chyba jest szczęśliwy, że mieszkam w Warszawie. Ale ja nie jestem. Chciałabym mieszkać w Białorusi, tylko nowej, wolnej od Łukaszenki.

Takiej Białorusi nie znasz.

– Urodziłam się w 1993 r., rok przed tym, jak Łukaszenka został prezydentem. Całe moje życie to propaganda z telewizora i w szkole. Rodzice powtarzający, że muszę wyjechać. Przekonywanie, że język białoruski to język prowincji, a prawdziwy język to rosyjski.

W 2011 r. w Mińsku doszło do ataku bombowego w metrze. Mój ówczesny chłopak tam był. To, co mi opowiadał, zupełnie nie przystawało do tego, co czytałam w mediach. Kiedy w 2013 r. zaczął się Majdan, byłam w kontakcie z ukraińskimi przyjaciółkami. Mówiły coś zupełnie odwrotnego niż to, co opowiadała białoruska telewizja. Zaczęłam wtedy szukać różnych źródeł, porównywać rosyjskie czy białoruskie artykuły z tym, co piszą inne media.



◀ **Prawo w Białorusi mówi, że „polityczne" mają obowiązek sprzątać więzienie, a potrzebne środki muszą kupować za własne pieniądze**

▶ **Z więziennego chleba osadzone w białoruskich więzieniach kobiety robią maseczki nawilżające. Zdjęcie z projektu ‚State of Denial'**

▲ **Więźniarki walczą o podmiotowość m.in. robiąc sobie makijaż pędzelkami z własnych włosów. Zdj. z projektu „Wezwane na dywanik"**

▼ **W niektórych więzieniach strażnicy torturują osadzone kobiety wlewając im zimą wodę do ich jedynej pary butów**

O propagandzie jest twój wcześniejszy projekt „State of Denial" (stan zaprzeczenia), pokazywany na festiwalach fotografii od Kopenhagi po Tokio. Zestawiasz w nim fotografie odwołujące się do procesów politycznych w Białorusi ze ścianą nagłówków i ilustracjami wygenerowanymi przez AI.

– Zaczęłam nad nim pracować po przyjeździe do Polski. W 2023 r. wysłałam zgłoszenie na festiwal Circulations w Paryżu. Nie miałam w CV żadnych wystaw, niczego, czym mogłabym się pochwalić. Przyjęli mnie.

Do „State of Denial" zrobiłam zdjęcia, które metaforycznie odnoszą się do sytuacji, kiedy ludzie w Białorusi byli skazywani za nic: za kolor skarpetek, biało-czerwone pudło po telewizorze wystawione na balkon, niesienie bukietu kwiatów, mówienie po białorusku. Dołączam do nich opisy tych spraw – zanonimizowane, żeby nikomu nie zaszkodzić.

Wybrałam nagłówki z białoruskich mediów z dnia, kiedy ci ludzie zostali skazani i na ich podstawie kazałam AI wygenerować ilustracje. Białoruska propaganda jest podobna do rosyjskiej, ale bardziej toporna: „Czechy straciły kontakt z rzeczywistością", „Rasizm po litewsku", „Zachód przez lata trzymał Polskę na krótkiej smyczy". A między nimi „Lekarz radzi, kto może się kąpać w przeręblu" albo quiz: „Jadalne czy niejadalne. Jakim grzybiarzem jesteś?". Ludzie na Zachodzie często myślą, że te nagłówki to też fake.

Chciałam, żeby ta praca była dla widza konfundująca – żeby nie wiedział, co jest tu prawdą, a co jest zmyślone. Tak, jak nie wie tego osoba zanurzona w propagandzie. Nie udoskonalałam tych zdjęć, wpisywałam jeden prompt i używałam tego, co podsunęło AI. Powstały wizualne śmieci, czysty szum.

Wiele osób myśli, że to projekt o Białorusi, ale to nieprawda. Jestem Białorusinką, więc korzystałam z takich przykładów, ale „State of Denial" opowiada o tym, jak funkcjonujemy w przestrzeni cyfrowej, która jest pełna manipulacji i propagandy. Nie tylko w Białorusi.

Mieszkasz w Polsce już od pięciu lat, masz prawo stałego pobytu, czekasz na polski paszport. Tego wywiadu udzielasz po polsku. Jak się tu czujesz dziś, gdy nacjonaliści podsycają ksenofobiczne nastroje?

– Nijak. Jestem na lekach i staram się po prostu funkcjonować. W Polsce potwierdzono u mnie diagnozę choroby afektywnej dwubiegunowej, przez dwa miesiące codziennie chodziłam na oddział dzienny. Staram się po prostu żyć, pracować, jeśli mam siłę, pomagać innym. Kiedy słyszę o tym, co spotyka migrantów, myślę raczej o tym, jak pomóc im, nie sobie.

Przeraża mnie narastająca ksenofobia. Przykro mi, że ludzie, którzy często już wcześniej doświadczyli przemocy, wojny lub przymusowej emigracji, spotykają się tu z kolejną wrogością. Chciałabym, żeby wojna Rosji przeciwko Ukrainie jak najszybciej się skończyła, żeby mogli wreszcie żyć bez strachu, wrócić do swoich domów.

A jeśli chodzi o mnie, to noszę w sobie kufer, w którym zamknęłam wszystkie emocje związane z Białorusią, domem rodzinnym, rodzicami i babcią. Wiem, że nie mogę go otworzyć, bo to mogłoby mnie zniszczyć.

Myślisz, że kiedyś go otworzysz?

– Nie wiem. Przeraża mnie, że nie pamiętam, jak pachnie u mojej mamy w domu. Albo że mój dziadek zmarł trzy lata temu, a ja nie mogłam pojechać na pogrzeb, więc wydaje mi się, że żyje, tylko nie używa telefonu. Z rodzicami udaje się czasem zobaczyć w innym kraju. Za każdym razem mają więcej siwych włosów, zmarszczek, mniej sił. Kiedy widzisz kogoś często, te zmiany nie są tak uderzające.

Może kiedyś, jeśli uda mi się wrócić do Białorusi, będę mogła ten kufer otworzyć. Póki co staram się o nim nie myśleć. ●

eprasa.pl b47d9d91db

ILE MOŻNA UMIERAĆ? W OPERZE DŁUGO



Jesteśmy dziś na czarodziejskiej górze tak jak bohaterowie. I chcielibyśmy na niej zostać, a nie pchać się w okopy, prawda?

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z AKTOREM **ANDRZEJM CHYRĄ*** ROZMAWIA **ANNA S. DĘBOWSKA**

O czym śni Andrzej Chyra?
– Dzisiaj mi się śniło, że napisałem książkę. To była powieść, chyba całkiem niezła, przynajmniej jak na mój gust. Pamiętam, że ją pisałem, a potem mi się śniło, że ktoś mi ją tanio wydrukował. W efekcie dźwigałem całą paletę tych książek i mogłem obdarować znajomych.

A nie była to czasem „Czarodziejska góra”?
– Nie, chociaż to jedna z najbliższych mi książek. Taka głęboko uwewnętrzniona. Ostatnio moje myśli znów krążą wokół niej, od momentu, kiedy w Nowym Teatrze wznawiamy operę Pawła Mykietyna, którą reżyseruję. Ta książka ze snu to była jakaś współczesna historia. Taka, można powiedzieć, moja. Osadzona gdzieś blisko miejsc, które znam, w otoczeniu ludzi, których znam, z dziennikarsko-artystycznego środowiska, których spotykam np. w filharmonii, dokąd chętnie chodzę. No a potem się obudziłem. Z bólem pleców.

Myśli pan o napisaniu książki?
– Może po siedemdziesiątce jak Giuseppe Tomasi di Lampedusa, ten od „Lamparta”. A mówiąc serio, pisanie to nie jest moja naturalna ekspresja. Jestem zbyt lapidarny w słowach.

Ale za to muzyka jest najwyraźniej pana naturalną ekspresją. Widuję pana na koncertach w Filharmonii Narodowej, w Studio Koncertowym Polskiego Radia. Zawsze mnie ciekawiło, kiedy zaczęła się pana fascynacja muzyką poważną.
– To przyszło w zupełnie naturalny sposób, chociaż nikt w mojej rodzinie muzyką się nie zajmował. Taki się urodziłem i sam sobie szukałem ścieżek poznania. Rodzina widziała, że jest to we mnie na tyle silne, że nie przeszkadzała, ale też nie zachęcała.

Trochę grałem na flecie poprzecznym, trochę na skrzypcach. W Polkowicach dołączyłem do orkiestry górniczej. To nie były poważne zajęcia, ale dały mi wgląd w muzykę. Bardzo dużo słuchałem. Polowałem na płyty, wtedy jeszcze czarne, analogowe. Dużego wyboru nie było, ale jak się pojawiały w księgarni, to się stawało w kolejce i kupowało, co akurat rzucili.

W mojej ówczesnej płytotece były kontrasty – płyta z symfoniami „Włoską” i „Szkocką” Mendelssohna i płyta z Pendereckim, a na niej „Tren ofiarom Hiroszimy”. Ale poza tym mnóstwo innych rzeczy. Tylko to wszystko z płyt albo z radia, bo w Polkowicach ani opery, ani filharmonii. Muzykę na żywo usłyszałem dopiero jako uczeń szkoły średniej. Nie pamiętam co to było, pewnie przyjechała orkiestra z Lubina.

Kiedy już zacząłem studiować aktorstwo, a później reżyserię, muzyka wciąż była dla mnie ważna, dla przyjemności, rozrywki, ale też jako coś bardzo inspirującego.

Ma pan ulubionego kompozytora?
– Dymitra Szostakowicza. Kiedy pierwszy raz usłyszałem jego utwór, poczułem, że ta muzyka jest mi bardzo bliska. To musiał być „VIII Kwartet smyczkowy”, ten najbardziej popularny, chwytliwy. I tak to już we mnie zostało, że najmocniej działa na mnie muzyka XX wieku.

Bardzo lubię kwartety smyczkowe. Mam wrażenie, że kompozytorzy najbardziej się w nich otwierają. Beethoven, Szostakowicz, prawda? Lutosławski. Ja tam widzę, jak kompozytor myśli, jak konstruuje, w jaki sposób tworzy I miesza ze sobą tematy. Uwielbiam się temu przysłuchiwać, przyglądać.

Słuchając płyt czy w sali koncertowej?
– Chyba jednak w domu, z płyt. Na sali ostatnio zamykam oczy, kiedy słucham. Żeby się nie rozpraszać.

A kiedy zainteresował się pan operą?
– Do świata opery wszedłem na zaproszenie reżysera Marka Weissa, kiedy kierował Operą Bałtycką w Gdańsku. To było 15 lat temu. Zaproponował, żebym reżyserował „Graczy” Szostakowicza na podstawie zgryźliwej komedii Gogola. Szostakowicz tej opery nie ukończył, w pewnym momencie przestał to pisać, a w 1981 roku ukończył „Graczy” Krzysztof Meyer, zaprzyjaźniony z Szostakowiczem biograf tego kompozytora.

I zaraz po tym spektaklu spotkanie zaproponowała mi jedna z osób zaproszonych na premierę. To był Michał Merczyński, wówczas szef Narodowego Instytutu Audiowizualnego i dyrektor festiwalu Malta w Poznaniu [obecnie dyrektor Nowego Teatru w Warszawie].

Zaproponował mi reżyserię „Czarodziejskiej góry”, operowej adaptacji. Powiedział, że do skomponowania muzyki namawia właśnie Pawła Mykietyna.

To musiała być szokująca propozycja?
– Była dość zaskakująca, ale ja w swojej bezczelności natychmiast powiedziałem „tak”. A to dlatego, że powieść Manna rzeczywiście głęboko we mnie siedziała. Widziałem w niej dużo teatralnego potencjału. Uznałem więc natychmiast, że ta próba ma szansę powodzenia.

Zawsze intrygowała mnie postać Amerykanki, która zmarła przed przyjazdem głównego bohatera do sanatorium. A on został zakwaterowany w jej pokoju. Podobnie jak Hans Castorp z wypiekami na twarzy śledziłem każdy krok Kławdii Chauchat. Ale intrygowała mnie też historia z Joachimem Ziemssenem, kuzynem Hansa. Opera potrzebuje takich sytuacji jak zdrada czy trójkąt miłosny.

*Andrzej Chyra

- Rocznik 1964. Studiował na wydziale aktorskim i reżyserii w warszawskiej PWST (obecnie Akademia Teatralna). Uznany aktor filmowy i teatralny. W latach 2000-07 w Teatrze Rozmaitości (TR Warszawa), gdzie występował m.in. w spektaklach Krzysztofa Warlikowskiego (m.in. „Bachantki”) oraz Grzegorza Jarzyny („Uroczystość”).
- Od 2008 r. w Nowym Teatrze, gdzie można go zobaczyć w sztuakch Warlikowskiego m.in. „(A)pollonia”, „Anioły w Ameryce”, „Odyseja. Historia dla Hollywoodu” i „Europa”.
- Do świata opery wkroczył w 2013 r., reżyserując w Operze Bałtyckiej „Graczy” Szostakowicza/Meyera. Za inscenizację „Czarodziejskiej góry” Pawła Mykietyna otrzymał Nagrodę im. Konrada Swinarskiego. W Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w 2018 r. przygotował premierę „Carmen” Bizeta.

eprasa.pl b47d9d91db

Jak zmieścić 800-stronicową powieść w dwie godziny?
– Dokonaliśmy z Małgosią Sikorską-Miszczuk pewnego adaptacyjnego zabiegu. Wprowadziliśmy postać Amerykanki – w powieści się jedynie o niej wspomina – i przywołując jej śmierć, która jest uczłowieczona tutaj, opowiadamy o namiętnościach i o sprawach, które się tam dzieją w inny sposób. Ja mówię: apokryficzny.

A gdyby teraz ktoś przyszedł z podobną propozycją, co by pan odpowiedział?
– Nadal mam w sobie tę buńczuczność, więc znów bym się zgodził. Wychowałem się na Gombrowiczu, wierzę we własne spojrzenie, własną interpretację tego, co zwykło się nazywać wielkim dziełem. Daję sobie do tego prawo. Nie zmienia to faktu, że zmierzenie się z Mannem było zadaniem karkołomnym.

Paweł napisał dwie godziny muzyki. Musieliśmy znaleźć klucz, odpowiednią perspektywę, która otworzy nam tę książkę w nieoczywisty sposób. Praca nad samym spektaklem była tego konsekwencją.

Co pana fascynuje w operze?
– Czas. I to, że organizuje go w operze muzyka. Coś, co w teatrze trwa pięć sekund, w operze może trwać minutę. I teraz zadanie dla reżysera – stworzyć taką sytuację, w której dla widza ta minuta jest czymś naturalnym.

W jaki sposób przystosować ten czas – rozciągnięty przez muzykę, przez kompozytora i przez całą konstrukcję opery, żeby widz odczuwał to zdarzenie jako wiarygodne. Ile można iść przez scenę, ile można umierać? W operze długo. Ale widz nie powinien tak tego odczuwać.

To jest ograniczenie, które narzuca ów gatunek, ja jednak uważam, że im bardziej jesteśmy ograniczeni w twórczości, tym więcej ta sytuacja wydobywa z nas wolności, a na pewno pomysłowości.

Dlatego cieszę się, że wracam do reżyserowania. Przerwa trwała trzy lata. Widocznie mój organizm potrzebował się ponudzić.

Miałem kiedyś zajęcia z Tadeuszem Łomnickim w warszawskiej PWST. To były lata 80. XX wieku. Akurat wszyscy byli wtedy zachwyceni Starym Teatrem z Krakowa. To była wówczas firma nad firmami. W Warszawie wszyscy cmokali z zachwytu, ale też z pewnym zakłopotaniem, a Łomnicki na to: „Wiecie, dlaczego oni w Krakowie są tacy dobrzy? Z nudów!". Jest w tym ukryta głęboka prawda.

Żeby nie przegrzać umysłu?
– Przerwa jest potrzebna. Czuję, że mogę ruszyć z większym zapałem do pracy nad wznowieniem „Czarodziejskiej góry". 11 lat temu przygotowałem jej prawykonanie na festiwalu Malta w Poznaniu. Rok później graliśmy ją tutaj, w Nowym Teatrze, na festiwalu Warszawska Jesień. A później zapadła cisza. Utworu nie grano. Nie rozumiem dlaczego, bo to wybitna muzyka.

„Czarodziejska góra" wydana w 1924 r. odnosi się do I wojny światowej. Przerwała stan zawieszenia, w którym znajdowała się Europa, w książce zaś kuracjusze sanatorium Berghof. Nie jest dziś nawet bardziej aktualna niż 10 lat temu?
– Jesteśmy dziś wszyscy na czarodziejskiej górze jak bohaterowie. I chcielibyśmy na niej zostać, a nie pchać się w okopy, prawda? Czy być wrzuceni w okopy, bo to nie jest kwestia tego, czy my się pchamy czy nie. One po prostu się pojawiają.

Zanim zaczęliśmy próby wznowieniowe, przejrzałem libretto i poczułem, jak ta opera inaczej dziś wibruje. I wydawało mi się, że to, co będzie – nazwijmy to – twórczym powtórzeniem tamtego spektaklu, tak naprawdę może uderzyć z większą siłą. Choć tak naprawdę jest to utwór oparty na niuansach i detalach.

Współcześnie mamy do czynienia z wieloma poważnymi konfliktami zbrojnymi. Wyrastają wokół nas jak grzyby po deszczu. Trudno o wyrazistą cezurę, jaką dla pokolenia Manna była I wojna światowa.
– Wieszczono nam koniec historii, a tymczasem wojen przybywa. Mnie to nie dziwi, skoro dziś rządzą światem ludzie, dla których wojna jest stanem naturalnym, może nawet pożądanym.

Czy nie jest tak, że ilekroć świat skręca w prawo, tylekroć wybuchają wojny?

Zauważyłem, że politycy o prawicowych poglądach chętnie zakładają, że konflikt jest immanentną częścią życia. Dla nich liczy się tylko walka o dominację. Dlatego tak chętnie wywołują wojny. Przykładów nie trzeba szukać daleko – Trump, Netanjahu czy Putin to przecież politycy prawego skrzydła, reprezentujący konserwatywny, patriarchalny punkt widzenia. Na prowadzonych przez nich wojnach giną miliony ludzi. Oni zaś zarabiają na nich pieniądze, załatwiając swoje interesy.

Rzecz jasna ani „Czarodziejska góra" Manna, ani opera Mykietyna nie są bieżącym komentarzem. Nie mówią wprost o wojnie. Ona czai się podprogowo. U Pawła jest obecna przede wszystkim w dźwiękach.

Partyturę tej opery tworzy muzyka na taśmę. Muzyka, która została nagrana, jest częściowo elektroniczna, częściowo są to nagrane instrumenty, a częściowo są to naturalne dźwięki, takie jak trzaśnięcia drzwi, przejazd pociągu czy wybuch bomb.

Wszystkie te dźwięki są jednakowo ważne i oddziałują na widza w rozmaity sposób. Mają go angażować rozmaitymi środkami. Paweł ma taką teorię, że opera w czasach swojej największej świetności była dla ludzi tym, czym później stało się kino, a wreszcie telewizja czy stream.

Muzyka jest więc na taśmie. Nie jest przez to łatwiejsza, ponieważ Paweł tam zastosował pewne algorytmy zwalniania muzyki, przyspieszania jej. Dyrygent pilnuje rytmu, żeby śpiewacy mogli się w tym odnaleźć.

Ja się już niejednokrotnie zastanawiałem, na czym to polega, że ta opera tak wchodzi pod skórę. Ona wchodzi właśnie przez muzykę Pawła, jej brzmienie.

Z prapremiery na festiwalu Malta pamiętam scenografię Mirosława Bałki. Okopy, w których stali bohaterowie zasłonięci od pasa w dół.
– Te okopy są czymś więcej. To pojemna metafora ujęta w konstrukcję Mirka Bałki. Inspirowałem się freskami z katedry w Orvieto. Jeden z nich przedstawia posadzkę dworską, płaszczyznę, w której częściowo zanurzone są postacie dworzan, jeszcze ludzi, a jednocześnie już szkieletów.

Ta wizja miejsca istniejącego pomiędzy życiem i śmiercią zrobiła na mnie wielkie wrażenie. I w naszej operze też są obecne takie byty pośrednie, duchy, które dopiero wyszły z ciała, ludzie, którzy niedługo staną się duchami. Gdy Amerykanka wchodzi w relację z Hansem, mamy przekroczenie bariery życia i śmierci.

Jestem ciekaw, jak to wszystko zostanie dziś odebrane. Bilety na listopadowe spektakle sprzedały się w trzy minuty, więc zainteresowanie jest.

Niedawno wrócił pan z planu francusko-włosko-polskiego filmu Bertranda Bonella „Santo Subito!", gdzie grał pan Jana Pawła II. To thriller?
– To opowieść o księdzu, ojcu Murolo, który wchodzi w rolę śledczego, adwokata diabła, tak się w tym filmie nazywa. Prowadzi śledztwo wewnętrzne w Watykanie, które ma wykazać, czy Jan Paweł II, który jest kandydatem na świętego, spełnia wszystkie warunki i na to zasługuje. Wszyscy czekają na jego werdykt.



• **Na planie francusko-włosko-polskiego filmu Bertranda Bonella „Santo Subito!" Andrzej Chyra w roli papieża Jana Pawła II. To thriller śledczy o procesie jego kanonizacji**
FOT. MIBA, FRVI/BACKGRID UK/EAST NEWS

To rodzaj political fiction, które ma ukazać to, co jest przed naszymi oczami zakryte, gdy Watykan podejmuje decyzje.

Tę rolę gra Mark Ruffalo. I to jest właściwie film o tym księdzu. Jako papież pojawiam się w scenach retrospekcji, a zatem nie w głównym nurcie scenariusza.

W tym filmie nie gloryfikuje się papieża?
– To jest bardzo uczciwy film. Niczym nie epatuje. Reżyser Bertrand Bonello i jego współscenarzysta Thomas Bidegain nie chcą dawać jednoznacznej odpowiedzi „za" lub „przeciw" pontyfikatowi Jana Pawła II. Ich celem nie było ani pastwienie się nad Karolem Wojtyłą, ani uwznioślenie jego osoby.

Chcieli pokazać, jak bardzo w życiu Watykanu ważna jest polityka. Papież jest władcą absolutnym olbrzymiego imperium katolickiego. Rzadko o tym myślimy, skupiając się na ogół na jego duchowym przywództwie.

Tymczasem sprawowane przez niego przywództwo polityczne jest być może dużo ważniejsze. I wiemy, jak te jednoosobowe, uchodzące za niepodważalne decyzje papieża zaważyły na losach kontynentów. Np. na losach Afryki w latach 90. XX wieku. Tam zakaz używania prezerwatyw spowodował ogromne rozprzestrzenienie się epidemii AIDS.

Problem w tym, że imperium, którym włada papież, jest – jak gdyby – bez granic i bez nadzoru jakiejś wyższej instancji, sądowniczej lub prawnej.

Twórcy filmu szukali polskiego aktora do roli Jana Pawła II i tak ustawili casting?
– Tak, poszukiwali aktora z biegłą polszczyzną. Przy czym gram i tak w tych wszystkich językach, których używał Karol Wojtyła. Mówię po włosku, angielsku, rosyjsku, hiszpańsku. Przy okazji przekonałem się, że nie wszystko, co dla nas, Polaków, jest oczywiste, miało znaczenie dla twórców filmu.

Na przykład – miałem ciekawą sytuację podczas przechadzki po Rzymie. To było na dwa dni przed rozpoczęciem zdjęć. Idę sobie uliczką, gdy podchodzi do mnie człowiek i się przedstawia: „Dzień dobry, nazywam się Jakub Firewicz, będę grał Dziwisza". Wyjaśnię, że jest w obsadzie dwóch aktorów, którzy grają tę postać: właśnie Jakub Firewicz oraz Cezary Żak.

Byłem kompletnie zaskoczony. Nie tylko zbiegiem okoliczności, który sprawił, że w obcym mieście spotykaliśmy się na tej samej ulicy i w tym samym czasie. Poczułem dysonans poznawczy. Dopiero po chwili dotarło do mnie, z czego to się wzięło. Jakub jest wyższy ode mnie, chociaż gra Dziwisza.

A było odwrotnie – Wojtyła był wysoki, Dziwisz niższy od niego.
– Dla nas w Polsce jest to oczywiste. Mamy ich w oczach, w pamięci. A Włosi, a tym bardziej Francuzi – nie. Wybrali nas do obsady, ignorując ten szczegół, dla nich bez większego znaczenia, dla nas jednak istotny.

Dlaczego w ogóle podjął się pan tej roli?
– Domyślam się, że w pani pytaniu zawiera się paradoksalność tej sytuacji, że papieża gra ateusz. Ale ona jest tylko pozorna. Kiedy Wojtyła został papieżem, byłem w ósmej klasie podstawówki. Nie chodziłem do kościoła, ale śledziłem mimochodem jego losy. Myślę, że poznałem intuicyjnie jego naturę, a przeczytawszy scenariusz, pomyślałem, że polska mentalność to mój niewątpliwy atut w tym kontekście.

Co może wiedzieć Francuz o świadomości i doświadczeniu człowieka urodzonego w czasach komuny, który przeżywa zmianę ustroju i widzi świat z tej perspektywy?

I właśnie to, że będąc ateistą, wcielam się w papieża, daje mi szansę na niezaangażowane spojrzenie. Nie chciałem przyprawiać papieżowi żadnej gęby – uczyniły to jego decyzje z czasów, gdy był jednym z władców naszego świata.

Ma pan wspólną scenę z Markiem Ruffalo? Spotkały się dwie różne szkoły aktorskie?
– Nie mam poczucia, że to dwie różne szkoły. Po skończeniu warszawskiej szkoły teatralnej nie od razu wszedłem w zawód. Jeśli grałem, to tylko drobne rzeczy. Pracowałem w telewizji, realizowałem różne programy rozrywkowe. Aktorstwo zacząłem uprawiać dopiero 10 lat później.

Przez ten czas, na szczęście, zdążyłem zapomnieć trochę z tego, czego nauczyłem się w szkole. A właściwie zdążyłem zapomnieć moich profesorów, bo o nich tutaj chodzi. Byli silnymi indywidualnościami. Z jednej strony mnie ukształtowali, z drugiej narzucili mi coś swojego.

Po dekadzie trochę się to ode mnie odkleiło. W tym czasie uczyłem się własnej wersji aktorstwa. W dużej części z amerykańskich filmów. Zastanawiałem się, na czym polega skuteczność amerykańskich aktorów, ich metody. I myślę, że w jakimś stopniu przejąłem to, co oni robią. A zatem, kiedy się spotkaliśmy z Markiem Ruffalo, absolutnie nie miałem poczucia, że przyszliśmy z innych światów.

To bezpośredni, fajny człowiek bez żadnego nalotu gwiazdorskiego. Gramy razem w jednej scenie, gdy jako papież śnię się ojcu Murolo – spotykamy się obaj w tym śnie. ●

„Czarodziejska Góra" w Nowym Teatrze

• Opera w II aktach, inspirowana powieścią Tomasza Manna. **Muzyka:** Paweł Mykietyn. **Libretto:** Małgorzata Sikorska-Miszczuk. **Scenografia:** Mirosław Bałka. **Reżyseria:** Andrzej Chyra. Prapremiera, przygotowana w 2015 r. dla festiwalu Malta – była wydarzeniem sezonu. **Obecna inscenizacja** jest produkcją Nowego Teatru, Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, Narodowego Centrum Kultury i Malta Festivalu. **W nowej obsadzie:** soliści i solistki z Akademii Operowej Teatru Wielkiego – Opery Narodowej.

Premiera: 20 listopada w Nowym Teatrze w Warszawie w ramach 7. Międzynarodowego Festiwalu „Nowa Europa: Uzdrowisko Opera". **Następne spektakle** 21 i 22 listopada. Biletów brak. **Kolejne pokazy:** 19-21 marca 2027 roku.

eprasa.pl b47d9d91db

Kulturalne weekendy

GIEREK MIAŁ TU DOSTAĆ APARTAMENT

Dlaczego na Zamku Królewskim w Warszawie niektórzy pracownicy muzeum mają biurka w marmurowych łazienkach i starych garderobach?



Justyna Bryczkowska

W ramach akcji „Darmowy listopad" Zamek Królewski udostępnia bezpłatnie stałe trasy zwiedzania: Apartamenty Królewskie, Sale Sejmowe, mieszkanie Stefana Żeromskiego i nowy „Pokój Zegarmistrzów Królewskich" oraz stałe ekspozycje w Pałacu pod Blachą m.in. apartamenty księcia Józefa Poniatowskiego. Akcja nie obejmuje wystawy czasowej „Sekretne komnaty władzy ludowej".

Te marmury to efekt projektu, który władza ludowa porzuciła na ostatniej prostej, na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku. Pomieszczenia były niemal gotowe: najwyższej klasy wyposażenie sprowadzone – głównie z Zachodu, a detale wymuskane. Jednak pogłębiający się kryzys gospodarczy końca dekady gierkowskiej i zmiana sytuacji politycznej – wymusił rezygnację z ambitnych planów.

Projekt z adnotacją „tajne"

Nikt już nie pamięta, że w czasie odbudowy Zamku Królewskiego (lata 1971- 84) toczyła się wewnętrzna wojna dwóch frakcji. Z jednej strony byli historycy i konserwatorzy skupieni wokół profesorów: Stanisława Lorentza, Jana Zachwatowicza i Aleksandra Gieysztora, którzy postulowali, żeby siedziba władców Polski była otwartym dla wszystkich muzeum. Z drugiej strony – partyjni decydenci, którzy chcieli zamek przejąć i stworzyć w nim luksusowe apartamenty dla najważniejszych gości zagranicznych przybywających do Warszawy. Podobno jako pierwszy miał tutaj nocować I sekretarz KC PZPR Edward Gierek z małżonką.

Koncepcja partyjna pojawiła się w 1974 r., gdy główna bryła zamku była już gotowa.

– A przecież gmach zbudowano zgodnie z założeniami programu funkcjonalnego zakładającego przeznaczenie go w całości na cele muzealne, jedynie z możliwością wykorzystania Sali Senatorskiej na okazjonalne cele recepcyjne. Co więcej, w planach Stanisława Lorentza Zamek miał być filią Muzeum Narodowego w Warszawie, a więc nie były potrzebne magazyny, pracownie konserwatorskie i rozbudowane biura dla pracowników – mówi prof. Małgorzata Omilanowska, dyrektorka Zamku Królewskiego.

Jednak przez sześć lat na ostatnim piętrze zamku – bez oszczędzania na kosztach – urządzano apartament z zapleczem reprezentacyjnym oraz technicznym. Marmurowe łazienki, osobne garderoby dla oficjeli i ich żon, mieszkanie dla ochrony – część gościnna miała zajmować jedną piątą powierzchni całego zamku. To ten narożnik od strony Kolumny Zygmunta. Jedna z łazienek ma okna z fantastycznym widokiem na wewnętrzny dziedziniec.

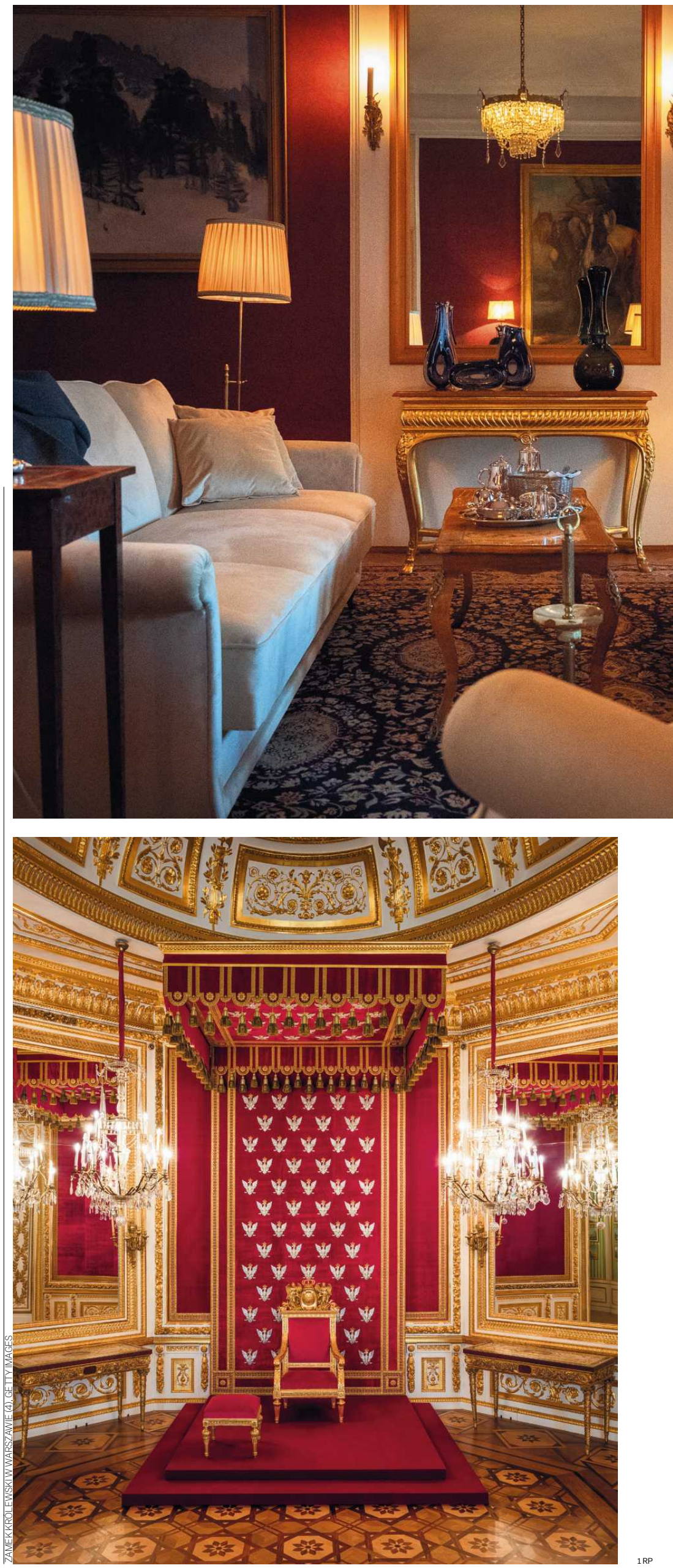
Miała do niego prowadzić osobna winda, tylko dla oficjalnych delegacji – w głównej bryle wybito więc dodatkowy szyb. Działała tylko przez kilka tygodni, później zamknięto ją na blisko 50 lat. Ponoć jej sufit był pierwotnie wysadzany kryształami od Swarovskiego.

W piwnicy powstała też kuchnia wyposażona tak nowocześnie, że pracownicy Hotelu Victoria mogli tylko zgrzytać zębami z zazdrości. Podobnie było z wnętrzami.

– Za opracowanie wystroju części gościnnej odpowiadali architekci Maria Referowska i Jan Maass. Nie projektowali historyzujących wnętrz ani rekonstrukcji królewskich apartamentów. Tworzyli nowoczesną rezydencję państwową, która miała prezentować najwyższy poziom polskiej architektury wnętrz i wzornictwa. Ich projekt obejmował wszystko – od układu funkcjonalnego pomieszczeń po najmniejsze elementy wyposażenia – mówi dr Jarosław Trybuś, zastępca dyrektora ds. muzealnych.

Apartamentu nigdy nie wykończono, choć zakupiono wszystkie potrzebne elementy wystroju. Kiedy władza z nich zrezygnowała w porzuconych pomieszczeniach zorganizowano biura dla pracowników Zamku. Niektórzy z nich pracowali więc w marmurowych łazienkach z zasłoniętymi wannami i w wykładanych boazerią garderobach. Tych pomieszczeń publiczność nigdy wcześniej nie widziała.

Teraz ma okazję. Po raz pierwszy w historii odbudowanego Zamku Królewskiego zaaran-



ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE (4); GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl b47d9d91db



▲ **Luksusowe apartamenty urządzane na Zamku Królewskim dla oficjeli partyjnych, można oglądać na wystawie „Sekretne komnaty władzy ludowej" do 17 stycznia 2027 r.**

◀ **Salę tronową w Zamku Królewskim urządzono w stylu klasycystycznym za panowania króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Główne dekoracje powstały w latach 1777–86, i zostały pieczołowicie odtworzone**

◀ **Zegary z ekspozycji w „Pokoju Zegarmistrzów Królewskich" w Wieży Zegarowej**

▼ **W mieszkaniu Stefana Żeromskiego regularnie odbywają się spotkania z wybitnymi polskimi pisarzami. Jednym z gości „Salonu Żeromskiego" był Szczepan Twardoch, tegoroczny laureat Nagrody Literackiej Nike**





żowano część tych wnętrz według pierwotnych planów w ramach tymczasowej wystawy „Sekretne komnaty władzy ludowej".

Muzealnicy na czas trwania wystawy przenieśli się do Biblioteki Królewskiej. Jednocześnie w drugiej części ekspozycji pokazują, jak wyglądają ich codzienne stanowiska pracy. Nawet zostawili ulubiony list ze skargą przypięty do tablicy korkowej.

Projekt można było zrealizować, bo w archiwach zachowała się kompletna dokumentacja apartamentu, na której oparli się kuratorzy wystawy – dr. Mikołaj Baliszewski i Zuzanna Potocka-Szawerdo. Dzięki niej wiedzieli np., które z mebli biurowych w pokojach ich współpracowników miały pierwotnie być wyposażeniem części hotelowej. Dodajmy, że dokumenty te były opatrzone klauzulą „poufne".

Te plany apartamentów też można obejrzeć na wystawie, której towarzyszą zdjęcia Chrisa Niedenthala. Ten wybitny fotoreporter nie tylko podzielił się niepublikowanymi wcześniej fotografiami z odbudowy zamku, ale zrobił także kilka nowych na potrzeby tej ekspozycji. Znakomicie uchwycił na nich kontrast pomiędzy pierwotnie luksusowo zaaranżowanym wnętrzem, a jego obecnym codzienno-biurowym wykorzystaniem.

Wystawę „Sekretne komnaty władzy ludowej" można oglądać do 17 stycznia 2027 roku.

Mieszkanie Stefana Żeromskiego

Stałą wystawą na Zamku jest odtworzone mieszkanie Stefana Żeromskiego, a nowym pomysłem „Salon Żeromskiego" czyli cykl spotkań z najwybitniejszymi polskimi pisarzami (*program na stronie Zamku, bo niektóre spotkania są bezpłatne*).

Żeromski mieszkanie na Zamku dostał z inicjatywy ówczesnego prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego. Wprowadził się do trzypokojowego apartamentu jesienią 1924 roku razem z córką Moniką, partnerką Anną Zawadzką i niesfornym psem o imieniu Puk. Zwierzak lubił szwendać się po zamkowych wnętrzach – Monika Żeromska w pamiętnikach wspomina, jak raz znalazła go śpiącego na podnóżku tronu w sali tronowej. Bo też rodzina zamieszkała nad salami stanisławowskimi, a z okien miała widok na Wisłę, panoramę Pragi i Pałac pod Blachą.

Chociaż Żeromski pod koniec życia był już bardzo schorowany, to w swoim mieszkaniu regularnie gościł wybitnych twórców tamtej epoki m.in. Władysława Reymonta i Juliana Tuwima. Do tej tradycji nawiązuje właśnie pomysł, by organizować w tej przestrzeni spotkania ze współczesnymi pisarzami.

Pisarz jest w historii Zamku Królewskiego postacią szczególną. Nie tylko dlatego, że tu mieszkał i zmarł 20 listopada 1925 roku. Fragment ściany jego mieszkania jako jedyny przetrwał wyburzenia w 1944 roku. Chodzi o tzw. Okno Żeromskiego, które w czasie odbudowy Zamku wkomponowano w nowe mury.

Teraz w mieszkaniu możemy zobaczyć uratowane z wojennej pożogi pamiątki po pisarzu: książki z odręcznymi dedykacjami, zdjęcia i przedmioty, których pisarz używał w pracy np. pojemnik na skuwki w kształcie muchy.

Z wizytą u księcia Pepi

Pałac pod Blachą to jeden nielicznych warszawskich budynków, który przetrwał hitlerowskie bombardowania i pożar. To też pierwszy w stolicy budynek kryty miedzianym dachem – stąd jego nazwa.

Król Stanisław August Poniatowski dał go w prezencie bratankowi księciu Józefowi Poniatowskiemu. W latach 1794-1813 pałac był jego warszawską rezydencją. Książę wprowadził się tu z siostrą Marią Teresą z Poniatowskich Tyszkiewiczową oraz słynną kochanką, Henriettą z Rarbatan hrabiną de Vauban (swoją drogą mieszkała w pałacu przez 17 lat).

Poniatowski był ministrem wojny Rzeczypospolitej, wodzem armii Księstwa Warszawskiego i jedynym Polakiem mianowanym marszałkiem Francji przez Napoleona Bonaparte. W pałacu prowadził jeden z najsłynniejszych salonów towarzyskich Warszawy. Gościł w nim także cesarza Francji na przełomie 1806 i 1807 roku. Kiedy Pepi był ministrem wojny zorganizował tu swoją kancelarię. Po jego śmierci w 1813 roku pałac odziedziczyła siostra, a potem często zmieniał właścicieli. Teraz można w nim zwiedzać odtworzony w oryginalnym układzie architektonicznym Apartament Księcia Józefa Poniatowskiego.

To duża gratka. Przez lata pałacowe wnętrza były bowiem niedostępne: po II wojnie światowej działało tam Archiwum Główne Akt Dawnych, później biuro odbudowy Trasy W-Z i biuro naczelnego architekta m.st. Warszawy. Dopiero w 1988 r. Pałac pod Blachą został przekazany Zamkowi Królewskiemu, a po remoncie w latach 2004-08 włączony do kompleksu muzealnego. ●

Pokój Zegarmistrzów Królewskich

• **To nowa ekspozycja stała, którą od października ma Zamek Królewski.** – Mieliśmy takie pomieszczenie, obok którego wszyscy państwo 100 razy przechodzili, ale nikt z was go nie widział. Znajduje się w Wieży Zegarowej. Podczas odbudowy Zamku zostało przeznaczone na kawiarenkę, ale pomysł nie wypalił. Ludzie z kawą chodzili do Sali Senatorskiej i trudno się tam sprzedawało, ruchu nie było. W efekcie pomieszczenie przez lata było zamknięte – opowiadała na konferencji prasowej prof. Małgorzata Omilanowska, dyrektorka Zamku Królewskiego.

• **Teraz stworzono w nim Pokój Zegarmistrzów Królewskich, który przypomina wnętrze zegara.** Autorką aranżacji jest Katarzyna Krakowiak-Bałka. Pokój wyłożono tkaninami, a stojąca centralnie gablota i zawieszona nad nią instalacja mają formę klepsydry. Zobaczymy tu zegary kaflowe, karetowe i kieszonkowe. Zwłaszcza te pierwsze są bardzo dekoracyjne, a warto wiedzieć, że były specjalnością polskich zegarmistrzów z XVII i XVIII wieku.

• **To nie koniec nowości, bo plany na przyszłość są bogate.** – Pokój Zegarmistrzów zapowiada nową ekspozycję zamkowych kolekcji rzemiosła artystycznego we współczesnych interpretacjach. Do współpracy przy kolejnych częściach Zamek zaprosił artystki i artystów, którzy opracowują autorskie prezentacje we współpracy z zespołem kustoszek i kustoszy – mówi dr Jarosław Trybuś, zastępca dyrektora ds. muzealnych i programowych.

• **Do projektu zaproszono** Krzysztofa Gila, Katarzynę Przezwańską, Olafa Brzeskiego, Annę Orbaczewską, Katarzynę Korzeniecką, Dianę Lelonek, Alicję Bielawską i Łukasza Stokłosę. Ich pomysły pozwolą spojrzeć z nowej perspektywy na miniatury malarskie i rzeźbiarskie, szkło, ceramikę, meble, tkaniny, kobierce i numizmaty, które znajdowały się do tej pory w magazynach.

Premiera wystawy z kolekcją dawnego rzemiosła artystycznego w 2027 roku na parterze w Pałacu Pod Blachą.

• **W cyklu „Kulturalne weekendy"** dziennikarze „Wyborczej" przedstawiają muzea, filharmonie, instytucje kultury. Odkrywają ich zasoby. Opowiadają o ludziach, którzy je tworzą. Odwiedziliśmy już Muzeum Warszawy, Filharmonię Łódzką, Oddział Muzeum Narodowego w Warszawie w Nieborowie i Arkadii i Muzeum Narodowe w Krakowie. **Nasze relacje na Wyborcza.pl łacznie z dzisiejszym spacerem** po Zamku Królewskim w Warszawie.

OGŁOSZENIE
Kraj/34452974



REKLAMA

ORGANIZATOR
wyborcza.pl

PARTNER PROJEKTU:
PGE POLSKA GRUPA ENERGETYCZNA
PGE

eprasa.pl b47d9d91db

1 RP

ZAWIESZONE W POWIETRZU

W Salonikach na targu sprzedawca wciskał mi paragon do ręki. Autobus z Trikali odjechał o czasie. Przejechałem kilkaset kilometrów do klasztorów Meteory, by sprawdzić, jak bardzo zmieniła się Grecja.

Bartosz T. Wieliński

Ale przecież ja jestem święty! – wykrzykiwał aktor Roger Moore do greckich mnichów, licząc na to, że wpuszczą go do swojego klasztoru. Słynny Anglik oczywiście świętym – w rozumieniu mnichów – nie był. W chwili, gdy stał pod bramą, miał na koncie dwa rozwody i wiele romansów. O jego cnotliwości miała jednak zaświadczyć rola prawego detektywa Simona Templara, bohatera kręconego w latach 60. serialu pt. „Święty", która przyniosła Moore'owi popularność na świecie.

Ale mnisi nie dali się nabrać i pozostali nieugięci. Nie tylko rygle klasztornej bramy pozostały zamknięte, ale też na aktora i towarzyszącą mu ekipę szykowali garnki z wrzącą wodą i olejem. W średniowieczu takie metody radzenia sobie z nieproszonymi gośćmi były nadzwyczaj skuteczne.

Był październik 1980 roku. Ekipa studia filmowego EON Productions z Londynu chciała w Klasztorze św. Trójcy w Meteorach kręcić sceny 12. części epopei o agencie 007 Jamesie Bondzie pt. „For Your Eyes Only" (Tylko dla twoich oczu). Bond miał się wspinać po pionowej skalnej ścianie, na której klasztor stoi, a potem w jego wnętrzu stoczyć walkę z pracującym dla sowieckiego KGB Aristotelem Kristatosem.

Na realizację zdjęć filmowcy mieli zgodę greckiego biskupa, który przyjął stosowną dotację. Jednak mnisi decyzję hierarchy zignorowali. – Film jest przepełniony strachem, przemocą i seksem – odpowiedzieli przez zatrzaśniętą bramę.

A to nie był koniec. By uniemożliwić ekipie pracę, na murach klasztoru zaczęli rozwieszać pranie i długie prześcieradła, a na dachach pojawiły się płachty foli. To samo – w akcie solidarności – robili mnisi z sąsiednich klasztorów. Wystarczyło, by mistyczny krajobraz Meteorów stracił filmowe walory. Poza tym na cały głos mnisi śpiewali religijne pieśni, co bardzo utrudniało pracę dźwiękowcom.

Moore był wstrząśnięty. Cierpiał na lęk wysokości i przebywanie na wysokich na kilkaset metrów skałach przyprawiało go o zawroty głowy. Sceny wspinaczki miał wprawdzie wykonać za niego kaskader, ale by nagrać zbliżenia, musiał zawisnąć przy pionowej skale. Upór mnichów i wizja opóźnień w produkcji tylko pogarszały jego nastrój. W ruch poszła brandy. I valium...

Klasztor św. Trójcy 25 lat później

Pierwszy raz w tym samym miejscu co Moore, stanąłem 25 lat później. Brama Klasztoru św. Trójcy była szeroko otwarta. Najprościej byłoby przyjechać tu z wycieczką. Autobus zawozi pod klasztor, trzeba tylko zejść po zboczu, a potem wdrapać się po 140 kamiennych schodach na szczyt skalnego słupa, na którym stoi.

Ale ja zrobiłem na przekór, bez autobusu, piechotą przez grecki las, wśród dębów i klonów. Zeszło z półtorej godziny marszu. Po schodach do klasztoru szedłem już w międzynarodowej grupie turystów. Wśród nich byli Amerykanie i pielgrzymki z Rosji w chustach na głowie. Dominowali emeryci – wczesną jesienią w Grecji nie ma już zabójczych upałów.

By wejść do klasztoru, trzeba zapłacić pięć euro. Trzeba być też odpowiednio ubranym. Kobiety, jeśli nie mają długich spódnic, muszą się przepasać długą chustą, którą obsługa wręcza na miejscu. Kolejna chusta musi zakryć ramiona. Samych mnichów raczej nie widać. W Klasztorze św. Trójcy żyje ich tylko czterech. Gdyby jakaś ekipa filmowa chciała się (teoretycznie) wedrzeć do klasztoru, do obrony potrzebne byłyby posiłki z miasta...

Grecja z katalogu i ta druga

Są dwie Grecje. Pierwsza to ta z katalogu biur podróży. Ogląda się ją zza szyby autokaru kursującego między lotniskiem a resortem, czyli turystycznym kombinatem typu all inclusive z własną plażą, basenami, restauracjami i muzyką na żywo każdego wieczoru. Przerób w kombinacie jest olbrzymi: autokary kursują na okrągło, codziennie ktoś wyjeżdża i ktoś przyjeżdża. Taka Grecja ma oczywiście swoje przysłowiowe plusy dodatnie, zwłaszcza gdy jest się rodzicem małych dzieci.

Drugą Grecję poznaje się przez bezdroża, ogląda przez szybę samochodów z wypożyczalni (pamiętam tego Daewoo Matiza, którym jeździliśmy po Rodos; gdy włączało się klimatyzację, spadały obroty). Tu jada się w wiejskich tawernach ze słabo mówiącymi po angielsku lokalsami (a grecki to trudny język, nawet jeśli chodzi o podstawy) i szerokim łukiem omija się wszystko, co wiąże się z turystycznym przemysłem. Taką Grecję cenię najbardziej. Uprawiam ją od dobrego ćwierćwiecza. Wokół Meteorów też można ją znaleźć.

1 RP

Poukładana Grecja?

Tej jesieni do Grecji przyjechałem przyglądać się miasteczkom i miastom oraz ich mieszkańcom. Zobaczyć, jak się zmieniła, bo w ostatniej dekadzie przeszła – delikatnie mówiąc – głęboką transformację. Chciałem zobaczyć jej efekty. A przy okazji pooglądać krajobrazy, pokontemplować historię.

I postanowiłem to zrobić bez korzystania z globalnych platform. Żadnego Ubera, Bookingu, wszystko miejscowe. Na stronie KTEL Trikalon, operującego w środkowej Grecji odpowiednika naszego PKS, kupiłem bilety na autobus z Salonik do Kalambaki. Cena: 25 euro w jedną stronę, czas podróży: trzy i pół godziny z przesiadką w Trikali, na którą – według rozkładu – było kilkanaście minut.

Z moich doświadczeń wynikało, że do rozkładów jazdy podchodzi się w Grecji z dużym dystansem, że autobusy odjeżdżają i dojeżdżają raczej później niż wcześniej i że bilety kupuje się u kierowcy, a gdy zabraknie miejsc, to jedzie się do celu na stojąco. A tymczasem w autobusie do Kalambaki można było – jak w samolocie – wybrać numer fotela. Ruszałem



eprasa.pl b47d9d91db

1 RP

w drogę troszkę niepewny i nerwowy. Poukładana Grecja to dla mnie nowość.

Siga, siga, halara

Pamiętam Saloniki sprzed 20 lat. Zakorkowane miasto śmierdzące spalinami. Kamienice o mocno zakurzonych ścianach pokrytych graffiti, nieuprzejmi taksówkarze. Milionowa metropolia, drugi co do wielkości grecki port i wielkie centrum uniwersyteckie próbowało radzić sobie z napływem turystów.

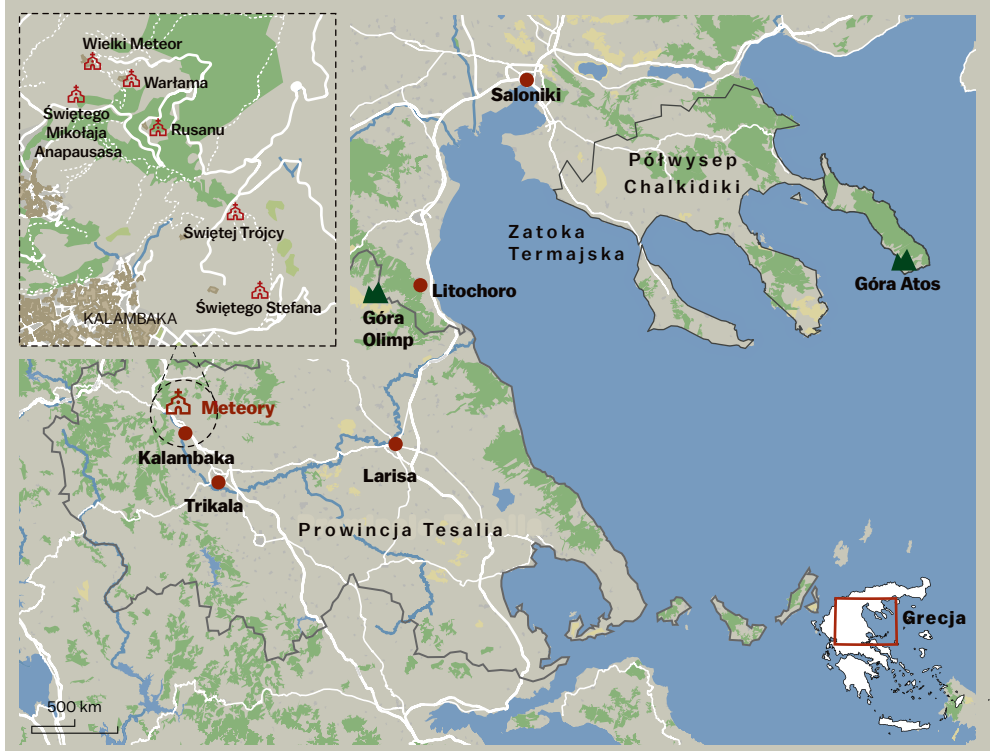
Szedłem wzdłuż Alei Zwycięstwa, bulwaru ciągnącego się przy brzegu Zatoki Termajskiej, nad którą leżą Saloniki. Mijałem nieciekawe, siedmiopiętrowe, betonowe apartamentowce. Zatrzymałem się przy arkadach na Placu Arystotelesa i pod Białą Wieżą, okrągłą basztą, która jest symbolem miasta. Wtedy w mieście bardzo się radowano, bo zaczęła się budowa metra.

Dla mnie nie była to atrakcja, raczej czułem ukłucie w sercu. Saloniki to taki grecki Kraków. Metro pod Wawelem wtedy było mrzonką. Odstałem swoje na dworcu autobusowym i pojechałem na Chalkidiki. Do hotelu, basenu, all inclusive.

W uszach miałem opowieści polskojęzycznej rezydentki, która z lubością opowiadała o tym, jak Grecy naciągają Unię Europejską na grubą kasę. Mówiła o dziadku, który wziął pieniądze na modernizację hodowli kóz, ale kasę dał wnuczce, żeby wyremontowała sobie mieszkanie. Opowiadała o kupowanych przez rolników za unijne pieniądze drogich pick-upach. I o budowaniu domów, tak by z ostatniej kondygnacji wystawały pręty zbrojeniowe. Był to znak, że choć w środku mieszkali już ludzie, budowa jeszcze się nie zakończyła i nie trzeba płacić podatków od nieruchomości. Podatku VAT też nie płacono, kasy fiskalne były rzadkością, pieniądze turystów wędrowały po prostu z rąk do rąk.

Polska była wtedy dopiero kilka lat w Unii Europejskiej. Każde euro przyznane nam z dotacji urzędnicy Komisji Europejskiej dwa razy pod światło oglądali. Jak każdy kraj dawnego bloku wschodniego uchodziliśmy za państwo niepewne i skorumpowane. A w Grecji, która we Wspólnocie była od 1981 r., do unijnych reguł podchodzono z typowym greckim dystansem. Siga, siga, halara. Powoli, powoli, wyluzuj. Autobus jeździł jak chciał, na mapie zaznaczono drogę, której jeszcze nie wybudowano, w pokoju czaił się karaluch, unijne pieniądze zainwestowano niezgodnie z przeznaczeniem. Wyluzuj, powoli. Jakoś będzie.

W cieniu Góry Olimp



© GAZETA WYBORCZA

Rezydentka, opowiadając o tym, nie czuła żadnego obciachu. Ale przyznała, że w kraju dzieje się coś złego. Że ludzie mają coraz mniej pieniędzy, że powstają niemieckie dyskonty spożywcze. W ogóle wtedy wielu Greków miało kaca.

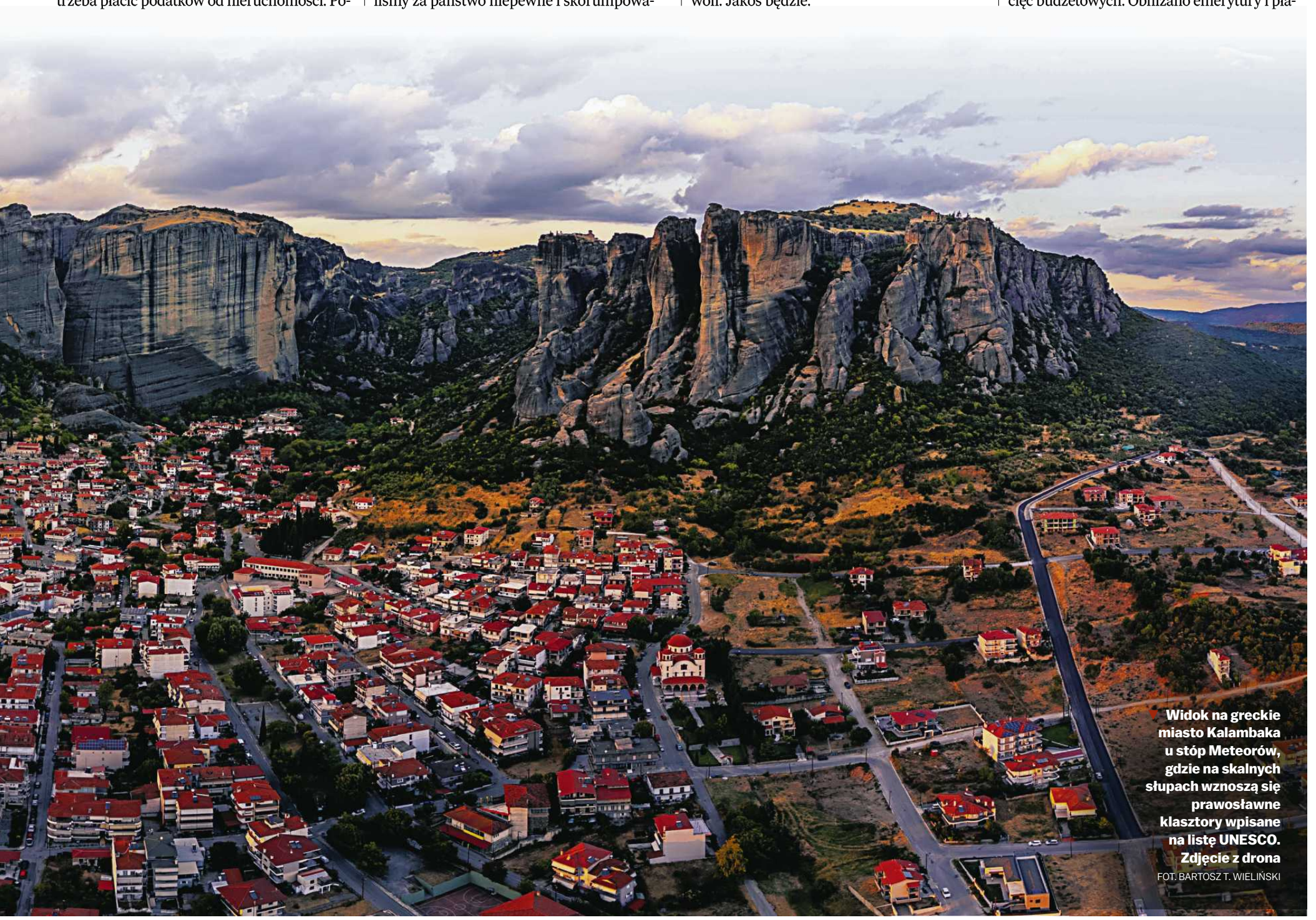
Latem 2004 r. w Atenach odbyła się olimpiada. Kosztowała kraj ok. 24 mld dol. Ponieważ koszty wcześniej oszacowano na niespełna 2 mld, kraj, by sprostać zadaniu, musiał się dodatkowo zadłużyć. Państwo, w którym unikanie podatków było sportem narodowym, pod ciężarem długu ledwo zipało. Igrzyska się skończyły, a potem się okazało, że wybudowane na igrzyska obiekty sportowe wcale nie generują – tak, jak zakładano – wielkich zysków, tylko potężne koszty. Stadiony, pływalnie stały puste, a trzeba było je utrzymywać.

Grecy, by ukryć prawdę o stanie finansów publicznych, fałszowali makroekonomiczne dane. Ale gdy w 2008 r. po plajcie amerykańskiego banku Lehman Brothers światowa gospodarka wpadła w poważne tarapaty, udawać zdrowego już się nie dało. Grecja stała się niewypłacalna i zaczęła ciągnąć w przepaść całą Unię Europejską. Pominę opisy targów między Atenami, Komisją Europejską i krajami strefy euro o kształt planu ratunkowego dla greckiej gospodarki.

Drakońska dieta

Faktem jest, że rachunek, który Grecy musieli zapłacić za życie ponad stan, olbrzymią fiskalną niefrasobliwość, korupcję i nieudaną olimpiadę, był potwornie słony. O wiele wyższy, niż przyszło płacić Polakom, gdy wdrażano plan Balcerowicza.

Grecji zaordynowano drakońską politykę cięć budżetowych. Obniżano emerytury i pła-



Widok na greckie miasto Kalambaka u stóp Meteorów, gdzie na skalnych słupach wznoszą się prawosławne klasztory wpisane na listę UNESCO. Zdjęcie z drona

FOT. BARTOSZ T. WIELIŃSKI

eprasa.pl b47d9d91db

cę, w sektorze państwowym masowo redukowano etaty. Jednocześnie wzrosły podatki i opłaty, których płacenie zaczęto rygorystycznie egzekwować. Bezrobocie wystrzeliło w górę, dobijając do 27 proc., pojawiła się bieda, gwałtownie – jak to podczas wielkich kryzysów bywa – wzrosła liczba chorób psychicznych i samobójstw.

Wówczas Saloniki tak jak inne greckie miasta przedstawiały sobą smutny widok. Nieustanne demonstracje wściekłych związkowców, którzy tłukli się z policją, powszechny brud, śmieci, graffiti. I ogólne poczucie beznadziei. Saloniki to główne greckie miasto uniwersyteckie, przed kryzysem napędzali je młodzi ludzie. Gdy Grecja zbankrutowała, bezrobocie wśród młodzieży przekroczyło 50 proc. Tysiące zdolnych absolwentów greckich uczelni wyjechało za chlebem na Zachód. Budowę metra oczywiście wstrzymano. Mówi się, że grecka stracona dekada była najgłębszym społecznym kryzysem w Europie po zakończeniu drugiej wojny światowej.

Przystanek Saloniki 2026

Myślałem o tym, jadąc z lotniska do centrum Salonik autobusem 70A. Byłem bardzo mile zaskoczony.

Ściany budynków w śródmieściu lśnią od świeżej, białej farby. Saloniki tętnią życiem, ulice są jak kiedyś pełne samochodów, ale spalin już nie czuć. Cóż, w motoryzacji sporo się zmieniło, wiele aut to elektryki. Do tego dobre sklepy, restauracje. Saloniki rozkwitły. W Grecji skończyły się lata chude, drakońskie reformy zaczęły przynosić efekty. Gospodarka zaczęła rosnąć, bezrobocie spadać, w budżecie dzięki powszechnej podatkowej dyscyplinie pojawiła się nadwyżka.

W Salonikach w kryzysie sprywatyzowano port i zainwestowano w jego rozwój, tak by mógł przyjmować wielkie kontenerowce. Miasto stało się morską bramą dla całych Bałkanów. Poza tym ściągnięto firmy z branży nowoczesnych technologii, które otwarły tu centra badawcze.

Do miasta napłynął strumień pieniędzy z Unii Europejskiej. Tym razem wydawano je rozsądnie i rozliczano co do centa. A z inwestorami przybyli turyści. Przyjmujące ich lotnisko też rozbudowano. Metro w Salonikach otwarto dwa lata temu. Zakończenie ciągnącej się dwie dekady budowy uznano za symboliczne zakończenie kryzysu.

Kasy na bazarze

Uwielbiam greckie targowiska. Stare, długie hale, gdzie mieści się kilkadziesiąt straganów, na których rolnicy z okolicy sprzedają warzywa i owoce. A obok na ladach wypełnionych lodem rybacy sprzedają ryby, ośmiornice, krewetki i kalmary. Marzy mi się zostać w Grecji na dłużej, obkupić się w świeże owoce morza i sobie samemu je przyrządzić – na miejscowej oliwie z oliwek, cebuli, soku z cytryny, czosnku, oregano i tymianku. W hotelowych pokojach nie ma jednak kuchenek.

W Salonikach hala targowa zwana Bazarem Kapsani znajduje się w pobliżu Placu Arystotelesa. Kupiłem tam sobie paczkę fig i reklamówkę pomarańczy. Jesienią to grecki zestaw obowiązkowy. Figi można tu zresztą zbierać prosto z drzewa, są słodkie jak miód. Skórkę pomarańczy wystarczy naciąć paznokciem by poczuć wspaniały zapach. Owoce z polskich supermarketów mogą się schować.

Na targu przeżyłem poważne zaskoczenie. Sprzedawca wybił cenę na kasie fiskalnej, po czym dosłownie wcisnął mi paragon do ręki. Tak wygląda ta podatkowa dyscyplina. Za niewydanie klientowi paragonu kontroler z urzędu skarbowego może zamknąć stragan, sklep czy restaurację na 48 godzin. Na drzwiach wywiesza się wówczas stosowną tabliczkę informacyjną po grecku i angielsku. A gdyby ktoś chciał oszukać fiskusa na większe kwoty, musi się liczyć z odsiadką. Dlatego determinację sprzedawców łatwo zrozumieć.

Przyjrzałem się paragonowi: na jego spodzie widniał kod QR. Prowadzi na stronę ministerstwa finansów, gdzie transakcja i odprowadzony od niej podatek zostają zarejestrowane. Odbudowa Grecji po kryzysie udała się właśnie dzięki bezprecedensowej digitalizacji systemu podatkowego.

Czas coś zjeść. A odrodzone Saloniki słyną z restauracji. Najciekawsze znajdują się w dzielnicy Ladadika położonej obok portu. W przeciwieństwie do ścisłego śródmieścia Salonik dominuje tu niska zabudowa. XIX-wieczne kamieniczki kuszą kolorowymi fasadami. Można zjeść typowo po grecku, można wybrać którąś z kuchni lokalnych, np. kreteńską. Mięso, ryby, mezze, czyli przekąski.

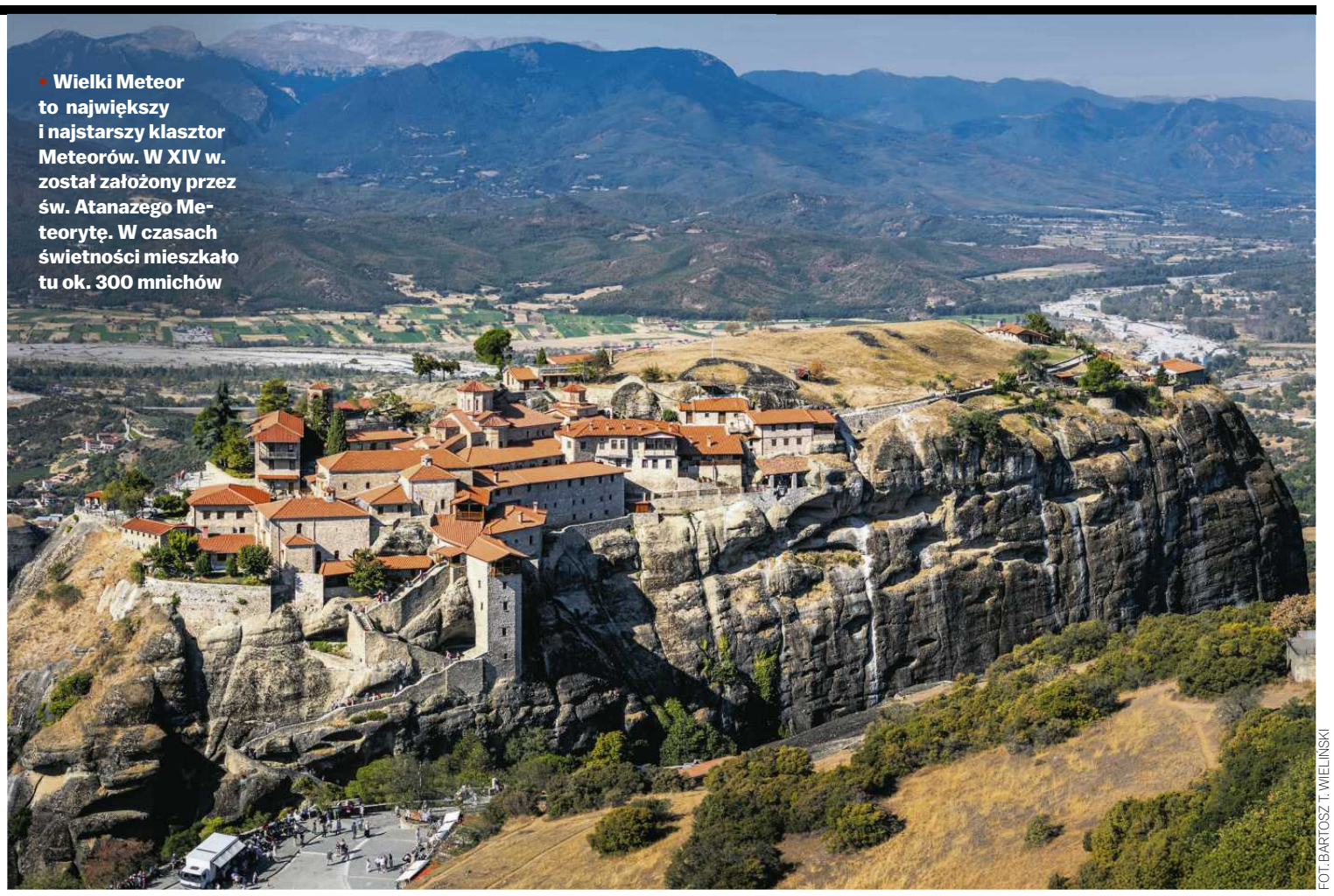
Ja wybieram klasykę, bo przepadam za souvlakami, grillowanymi podłużnymi kawałkami wieprzowiny, które smaruję tzatzikami, czyli gęstym, jogurtowym sosem z dodatkiem ogórków i czosnku. Souvlaki można jeść w całej Europie, w Warszawie w co najmniej kilku restauracjach. Ale tego, jak smakują pod greckim słońcem, nie da się z niczym porównać. Są soczyste, kruche. A do tego fawa (fava), pasta z gotowanego grochu podanego z kaparami. Próbowaliśmy fawę robić w domu. Przepis niby prosty, ale w polskich warunkach tak smaczna nie jest.

Jedno miasto i 15 miejsc na liście UNESCO

Saloniki to miasto, które można tygodniami odkrywać dzielnica po dzielnicy. Samych obiektów wpisanych na listę światowego dziedzictwa kultury UNESCO jest w sumie 15. To przede wszystkim słynna Rotunda św. Jerzego, która pamięta jeszcze czasy rzymskie. Są też łaźnie i mury obronne z czasów bizantyjskich. A także 12 średniowiecznych kościołów, których wnętrza zapierają dech w piersiach.

Historia Salonik jest złożona. Macedońskie miasto założone przez następców Aleksandra Wielkiego rozbudowywali Rzymianie. W czasach potęgi Bizancjum było drugim po Konstantynopolu miastem w cesarstwie. Od XV w. Saloniki znajdowały się pod panowaniem osmańskim i stały się tyglem kulturowym i religijnym, gdyż sułtan osiedlił tam wygnanych z Hiszpanii Żydów. Używany przez nich język – ladino – przez wieki dominował na ulicach miasta.

Zresztą to w Salonikach w 1881 r. urodził się ojciec nowoczesnej Turcji Kemal Attatürk. Mimo grecko-tureckich antagonizmów w mieście w jego rodzinnym domu obok drzewa granatowego, który zasadzili przodkowie Attatürka, działa muzeum jego imienia. Jedyne w mie-

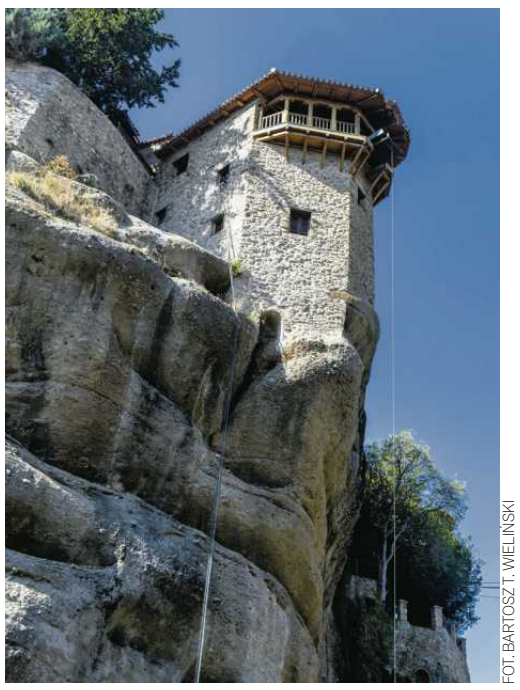


• Wielki Meteor to największy i najstarszy klasztor Meteorów. W XIV w. został założony przez św. Atanazego Meteorytę. W czasach świetności mieszkało tu ok. 300 mnichów

FOT. BARTOSZ T. WIELIŃSKI



FOT. GETTY IMAGES



FOT. BARTOSZ T. WIELIŃSKI

• Malowidło przedstawiające Chrystusa Pantokratora (Wszechwładcę) w kopule głównego kościoła (katholikonu) w klasztorze Warłama (Varlaam) oraz wieża klasztorna, z której kiedyś na linach mnisi wciągali do środka kosze z żywnością albo innymi towarami. Nazwa klasztoru pochodzi od pustelnika Warłama, który ok. XIV wieku osiedlił się na tej skale i zbudował kaplicę. Klasztor wzniesiono tu w latach 1517-41

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl b47d9d91db

ście, w którym od zwiedzających wymaga się pokazania dokumentu tożsamości

Mógłbym tak opowiadać o Salonikach, siedząc nad talerzem z fawą, ale przecież muszę jechać na południe. Ruszam na dworzec autobusowy. A tam kolejne zaskoczenie. Wchodzę do hali, w której parkują rejsowe autobusy – obok poczekalnia, kawiarnie. Komfort bez porównania do skromnych warunków na dworcu autobusowym przy Warszawie Zachodniej. Wydrukowane bilety internetowe pani w kasie zamienia mi na małe karteczki z kodem QR. Autobus rusza o czasie. Myślałem, że konduktor będzie skanował znaczek. Ale nie. Paski z kodem odrywał i chował do torebki. Grecka digitalizacja potrafi jednak zaskoczyć.

Bawełna w cieniu Olimpu

Po godzinie jazdy autobus mija masyw Olimpu. To najwyższa góra Grecji, jej najwyższy szczyt wznosi się na prawie 3 tys. m (2918 m n.p.m.). I w zasadzie z morza wychodzi – ośnieżone przez większość część roku szczyty Olimpu od brzegu Zatoki Termajskiej dzieli niespełna 20 km – co potęguje mistyczne wrażenie. Szczyty Olimpu zazwyczaj kryją chmury, pogoda wokół góry zmienia się gwałtownie, częste są burze. Ta monumentalność, bariera z chmur i pioruny wystarczyły, by starożytni Grecy uznawali Olimp za święte miejsce, w którym mieszkali Zeus i 11 głównych bóstw. Śmiertelnicy nie mieli tam wstępu. Kto ośmielił się naruszać boski spokój, spadał ze skał. Być może dlatego dopiero pod koniec XVII w. odnotowano pierwsze zdobycie góry?

Jako dziecko zaczytywałem się w greckiej mitologii, wyobrażałem sobie Olimp jako niezwykłe miejsce. Rzeczywistość nie rozczarowała. Na Olimp wchodzi się ze znajdującej się u podnóża góry miejscowości Litochoro. Bardzo stroma droga prowadzi wąwozem przez las, który przechodzi w łąkę. A wyżej są nagie, prawie pionowe skały. W takim otoczeniu człowiek czuje się taki malutki...

Autobus pod Olimpem jednak się nie zatrzymuje, jedzie dalej na południe. Z Macedonii wjeżdża do Tesalii, położonej w ograniczonej górami kotlinie ojczyzny Achillesa i mitycznych Centaurów, półludzi, półkoni, głównego spichlerza Grecji. Przez szybę widzę pola pełne roślin, na których wierzchołkach wyrastają białe kulki. Nie chce mi się wierzyć oczom. Bawełna! Sprawdzam w internecie: Tesalia to europejskie bawełniane zagłębie. Włókno z tego regionu jest wytrzymałe, dobrze chłonie wilgoć.

Przejeżdża przez Larisę, czwarte miasto kraju i grecką stolicę kawiarni i tawern (jest ich tam 1,6 tys.), gdzie znajduje się jeden z największych starożytnych teatrów w kraju. Kolejne miasto po drodze to Trikala. Na dworcu czeka już autobus, który zawiezie mnie do Kalambaki – odległego o godzinę drogi przyjemnego miasteczka – skąd ruszę do Meteorów.

Mnisi nad chmurami

Charakterystyczne, ciemne skały przypominające wielkie słupy widać z daleka. Powstały miliony lat temu, gdy Tesalia była wielkim jeziorem zasilanym przez sporą rzekę. Nanoszone przez nią w ciągu milionów lat osady złożone z piasku, żwiru i większych lub mniejszych kawałków skał kompresowały się, tworząc niezwykle twardy mineralny kompozyt. Gdy w wyniku trzęsień ziemi górska bariera pękła, a jezioro wylało się do morza, skały zostały odsłonięte.

Przez tysiąclecia rzeźbiły je wiatr i kolejne trzęsienia ziemi. Dziś mają ponad 300 m wysokości. To unikalne miejsce w skali globu. I pomyśleć, że dopóki do Meteorów nie przyjechali brytyjscy filmowcy, znajdowało się poza turystycznymi szlakami.

Roger Moore w końcu zawisł na skalnej ścianie pod Klasztorem św. Trójcy. Producenci „Bonda" walkę z krnąbrnymi mnichami, którzy za nic mieli swojego biskupa, przenieśli do Aten, do greckiego sądu najwyższego. Tam zapadł iście salomonowy wyrok. Sędziowie uznali, że mnisi wprawdzie mają prawo zabronić wstępu filmowcom do klasztoru, ale skała, na której klasztor stoi, należy do państwa i mnichom nic do tego, kto się po niej wspina i co filmuje.



FOT. GETTY IMAGES

• **Katedra św. Pawła to główna świątynia katolicka w Salonikach. Została wzniesiona pod koniec XIX w., a jej obecny wygląd jest efektem odbudowy po wielkim pożarze miasta w 1917 roku**



FOT. SHUTTERSTOCK

• **Uliczka w Ano Poli, historycznym tzw. Górnym Mieście, najstarszej i najlepiej zachowanej części Salonik, która ocalała z wielkiego pożaru miasta w 1917 roku**

Ekipa przystąpiła do zdjęć. Wnętrza klasztoru zbudowano zaś w londyńskim studio. „For Your Eyes Only" okazał się absolutnym hitem. Po premierze jesienią 1981 r. zarobił 195 mln dol., w kinach obejrzało go prawie 20 mln ludzi. Był to drugi pod względem dochodowości film o Jamesie Bondzie.

A potem do Tesalii nadciągnęła fala turystów spragnionych magicznych widoków, z portfelami dolarów, funtów czy zachodnioniemieckich marek. Rozmawiając z mieszkańcami Kalambaki, dowiedziałem się, że wielu z nich przeklina agenta 007. Twierdzą, że życie w miasteczku u podnóża skał, które biegło w symbiozie z klasztorami, wywróciło się do góry nogami. Choć moim zdaniem mimo turystów wszystko tutaj toczy się spokojnie, w sklepach nie sprzedaje się szmiry, w restauracjach się z gości nie zdziera i nie serwuje byle czego. To 8-tysięczne miasto ma klasę. Może to efekt tego, że znajduje się w środku lądu, nie ma tu plaż i turystycznych kombinatów. Jest za to sześć klasztorów na skałach.

Klasztory na słupach. Skąd ten pomysł?

Gdy do Meteorów przybył mnich Barnaba, rządzący ówczesnym państwem Polan Mieszko – od dwóch dekad chrześcijanin – szykował się do zagarnięcia Czechom Śląska. Był rok 985. Barnaba był eremitą, który szukał Boga w samotności. Zamieszkał w jednej ze skalnych jaskiń, żył w takiej ascezie, że mieszkańcy okolicy uznali go za świętego.

Barnaba szybko znalazł naśladowców, którzy zasiedlali jaskinie i szczeliny u podnóży skalnych filarów. Co niedzielę opuszczali swoje kryjówki i udawali się do kaplicy, by odprawić mszę i zjeść wspólny posiłek. Żyli w spokoju do XV w., gdy ku upadkowi zaczęło się chylić Cesarstwo Bizantyjskie. Uciekając przed atakami Turków, do Meteorów przeniosło się wielu mnichów ze świętej góry Atos (znajduje się na Półwyspie Chalcydyckim, działa tam centrum prawosławnego monastycyzmu). Gdy prześladowcy podążyli za nimi, opuścili jaskinie u podnóży skał i przenieśli się na ich szczyty, skąd byli w stanie odpierać ataki. Meteory w pewnym momencie stały się schronieniem dla mnichów z całych Bałkanów.



• **Stoisko ze świeżymi oliwkami na Bazarze Kapsani w pobliżu Placu Arystotelesa w Salonikach**

FOT. GETTY IMAGES

Duchowni od wieków żyli w symbiozie z okolicą. Mieszkańcy Kalambaki i okolicznych wiosek dostarczali im żywność i wodę pitną, którą przechowywano w klasztorach w wielkich beczkach. Zaopatrzenie wciągano na górę za pomocą zamocowanych na linach koszy. Jeszcze w XX w. w ten sposób do klasztoru dostawali się mnisi. Dziś korzystają z wagoników minikolejki linowej łączących klasztor z najbliższym wzniesieniem.

Jesienią nie ma tu tłumów

Meteorów nie trzeba zwiedzać piechotą. Pod każdy klasztor można dojechać samochodem, w Kalambace można wynająć taksówkę. Potem wystarczy przejść po schodach, kupić bilet i można zwiedzać czy podziwiać widoki.

W Wielkim Meteorze, najstarszym klasztorze, niesamowite wrażenie robią freski w katolikonie, czyli głównej klasztornej świątyni. Imponująca jest też wielka kolekcja szat liturgicznych.

Tuż obok znajduje się klasztor Warłama z równie pięknym głównym kościołem. W muzeum można oglądać bogactwa z mnisiego skarbca.

W Klasztorze św. Trójcy wystrój jest bardziej ascetyczny. Wszak skała, na której stoi, jest wysoka, ale wąska. Dech w piersiach zapiera za to widok na okolicę. Migawka mojego aparatu fotograficznego nieustannie trzaska. Jakiś amerykański turysta na parkingu rozkłada drona. Po kilku minutach przybiega pani w zielonym mundurze i dmie w gwizdek. – Tu nie wolno latać – strofuje turystę i każe mu skasować filmy, które nagrał. W Meteorach latać dronem nie wolno, dozwolone jest to tylko w Kalambace. Obecność strażnika także pokazuje, jak zmieniła się Grecja.

Dwa zakony: św. Barbary i św. Stefana, zamieszkują mniszki. I to widać od samej bramy, klasztory są bardzo zadbane, a jednocześnie skromne. Mniszki sprzedają turystom swoje rękodzieło.

W Klasztorze św. Stefana przechowywana jest najcenniejsza relikwia Meteorów – to czaszka św. Charalambosa, ściętego przez Rzymian męczennika, którego uznaje się za świętego chroniącego przed dżumą, tyfusem i innym chorobami zakaźnymi. Jesienią można usiąść w pokoju na klasztornej ławce albo pokontemplować polichromię w kościołach. Nie ma już tłumów, dni są jeszcze w miarę długie, widok tesalskiej równicy i gór napełnia dobrymi myślami.

Wymazywanie w „Grze o tron"

Turyści wrócą na wiosnę. Nową falę popularność Meteorom przyniósł serial „Gra o tron", w którym na skałach zawieszony wysoko nad przepaścią znajdował się zamek Orle Gniazdo (The Eyrie) będący siedzibą rodu Arrynów w Dolinie. W 2010 r. ekipa telewizji HBO, która kręciła serial, oczywiście chciała nakręcić ujęcia z klasztorów. Mnisi odpowiedzieli im to samo co 30 lat temu usłyszeli twórcy „Bonda": że ich film jest brutalny i rozpustny, a tego nie da się pogodzić ze świętością klasztorów.

Operatorzy HBO filmowali więc krajobraz z ogólnie dostępnych dróg i punktów widokowych. By uniknąć pozwów ze strony mnichów, klasztory komputerowo wymazano z kadrów. Efekt popularności Meteorów jest taki, że historia zatacza koło. Mnisi zniecierpliwieni tłumami turystów coraz częściej porzucają skały i przenoszą się do klasztorów na górze Atos. Tam, skąd uciekali w średniowieczu.

Wracałem do hotelu piechotą szlakiem wzdłuż pionowych ścian z czarnej skały. Człowiek i wszystkie jego problemy wydawały się w tym miejscu takie małe. ●

eprasa.pl b47d9d91db

Zdrowizm jest jak religia. Dyscyplinuje, uzasadnia wyrzeczenia, przerzuca winę i odpowiedzialność na ciebie, tłumaczy twoje powodzenie i cudze porażki, pozwala kontrolować innych i poczuć się lepszym

Z **DOMINIKIEM LEWIŃSKIM,** BADACZEM TEORII DYSKURSU ROZMAWIA **DOMINIKA SOSZYŃSKA**



FOT. HY PESKIN/GETTY IMAGES

ŚWIĘTA DIETO, MÓDL SIĘ ZA NAMI

W latach 80. socjolog Robert Crawford ukuł pojęcie zdrowizmu – healthism – opisujące koncentrację na zdrowiu jako moralny obowiązek amerykańskiej klasy średniej. Dziś to podejście ogarnęło już chyba cały świat upraszczająco nazywany „zachodnim". A próby jego krytyki łatwo kończą się troskliwo-napastliwym „lekceważysz wiedzę naukową, za kilka lat to się odbije na tobie" – lub zarzutem „bycia przeciwko zdrowiu". Czy pan jest przeciwko zdrowiu, panie doktorze?

– Właśnie o to chodzi, że przeciwko zdrowiu nie można być. Dlatego zdrowizm można uznać za ideologię hegemoniczną. Czyli tak silną, że nie da się przeciwko niej argumentować. Ani z lewa, ani z prawa, ani z żadnej innej pozycji. Nikt rozsądny nie może się jej sprzeciwiać.

To trochę jak ze średniowiecznym chrześcijaństwem: nie można było argumentować przeciwko wierze, człowieka mogła za to spotkać śmierć, choćby przez spalenie na stosie. Podobnie jest dzisiaj ze zdrowizmem, który stał się wiodącą ideologią naszych czasów, metaforycznie – taką współczesną religią. On nie zastępuje religii, ale jest równie dominujący, jak religia w średniowieczu.

Więc nie jestem przeciwko zdrowiu, natomiast mam argumenty przeciwko zdrowizmowi. Nie chodzi o zinstytucjonalizowany system ochrony zdrowia, tylko o system społeczny i komunikacyjny, pewien zestaw pojęć, poglądów, przekonań. Na tyle ważny, że należy do tych elementów społeczeństwa, które rządzą naszym aktualnym życiem.

W całej masie wartości w gruncie rzeczy wszyscy dążymy do dwóch głównych celów życiowych: do pieniędzy i do zdrowia. To one mają zagwarantować nam realizację innych celów, na przykład szczęścia.

Co widać w świątecznych czy urodzinowych życzeniach: w większości życzymy sobie właśnie zdrowia i pieniędzy.

– Wskazałbym pewną istotną różnicę. Kiedyś, w czasach sprzed dyskursu zdrowizmu, zdrowie było postrzegane głównie jako kwestia losu. Życzyliśmy go sobie w tym sensie, żeby zły los nie dotknął nas chorobą. Natomiast dzisiaj choroba przestała być „dopustem bożym", a zdrowie wyrokiem losu, czymś zewnętrznym, nad czym nie do końca mamy kontrolę. Stało się naszym codziennym wyzwaniem, codzienną pracą, codzienną dyscypliną czy nawet – niektórzy mogliby powiedzieć – po prostu przymusem.

Oczywiście obecnie wiele chorób wciąż jest losowych. Ale dominuje przekonanie, że za to, czy będziesz chory, czy zdrowy, odpowiadasz głównie ty sam.

Może kontrola stanu własnego zdrowia jest psychologiczną odpowiedzią na wolnopłynący w nas lęk?

– Owszem, zdrowizm staje się neurotycznym zajęciem dla mas. Dziś wszyscy żyjemy w niepokoju, mało tego, tych różnych lęków jest coraz więcej. Funkcją zdrowizmu wcale nie jest czynienie ludźmi zdrowymi, lecz właśnie organizacja indywidualnego niepokoju. Każdy z nas ma być nieustannie zaniepokojony o swoje zdrowie, teraźniejsze i przyszłe. Musimy robić wszystko, żeby to nasze ciało i ducha perfekcjonizować, optymalizować w kierunku zdrowotności właśnie.

Proszę zauważyć, jakie dokonało się przesunięcie: za losy naszego ciała i psychiki odpowiedzialni jesteśmy my sami. Co ma uczynić niewidzialnym, w jak dużym stopniu za nasze zdrowie odpowiedzialne jest całe społeczeństwo – model gospodarki, warunki społeczne i ekonomiczne, w jakich funkcjonujemy.

Ja nie doszukuję się tu jakiegoś spisku plutokratów. Stałe monitorowanie swojego stanu zdrowia jest po prostu o wiele łatwiejsze niż zmiana różnych zewnętrznych czynników, na przykład warunków pracy. Tu jesteśmy sprawczy, przynajmniej coś możemy.

– Odpowiem dwoma przykładami – jednym prostym, drugim bardziej dobitnym.

Chronimy się przed stresem, ponieważ stres ma rujnujące skutki dla naszego zdrowia. W związku z tym musimy codziennie wkładać gigantyczny wysiłek, żeby – a to za pomocą ćwiczeń fizycznych, a to medytacji, a to praktykowania mindfulness, dbania o to i o tamto – chronić się przed jego nadmiarem. A przecież nasze główne życiowe stresory są zupełnie niezależne od nas.

Wystarczy wspomnieć niepewność młodych ludzi co do znalezienia dobrej pracy, posiadania mieszkania czy w ogóle zbudowania stabilnej przyszłości. Ta niepewność jest w tym pokoleniu ogromna. To właśnie społeczeństwo generuje takie fundamentalne stresy, które potem dręczą poszczególne jednostki, ale zwalamy winę i obowiązek naprawy nie na społeczeństwo, które mogłoby dostarczać mniej tych stresów, na przykład poprzez lepszy dostęp do tanich mieszkań, tylko na ludzi.

Drugi, bardziej dobitny przykład również dotyczy zdrowia psychicznego i tego, że jesteśmy za nie odpowiedzialni.

Oczywiście na pewnych poziomach jesteśmy. Ale gdy pomyślimy o zjawisku samobójstw wśród młodych mężczyzn – a dane pokazują, że w ostatnich latach więcej młodych mężczyzn ginie w wyniku samobójstw niż w wypadkach samochodowych – warto postawić pytanie: czy to jest wina ich niedostatecznej pracy nad sobą, nad własnym zdrowiem psychicznym? Czy mamy potraktować ich jako nieudaczników, którzy nie umieli sobie z własnym życiem poradzić? Czy raczej powinniśmy pomyśleć o tym jako o wyniku tego, że społeczeństwo nakłada na nich takie presje, takie stresory i stwarza takie ciężkie warunki życia, że popełniają samobójstwo?

Zmierzam do tego, że system zdrowizmu ceduje na jednostkę odpowiedzialność, która w gruncie rzeczy leży gdzie indziej.

A więc zdrowizm zapewne ma też charakter klasowy. Bo to bogatych obywateli stać na nieprzetworzoną żywność, kursy mindfulness, smartwatche do monitorowania stanu zdrowia.

– Oczywiście. Zdrowizm to ideologia klasy średniej, która ma też uzasadniać wyższość nad klasami niższymi, które są zaniedbane, leniwe, piją, palą, żrą, nie mają dyscypliny, nie mają silnej woli.

Co wytwarza też określony rodzaj moralności?

– W jaki sposób możemy dzisiaj grzeszyć? Co jest naszym codziennym grzechem, który budzi w nas poczucie winy i wyrzuty sumienia? Właśnie występkiem przeciwko własnemu zdrowiu. „Boże, co ja zrobiłam? Cały weekend leżałam, oglądałam Netflixa i żarłam słodycze". Albo „Jezu, muszę wziąć się za siebie, nie ćwiczę i mam obwisłe boczki" – wielu i wiele z nas identyfikuje się z takimi myślami. Nie w kontekście czysto medycznym, a poczucia winy.

Podświadomie myślimy: grzeszę?

– Problem polega na tym, że przez taką postawę popadamy w sadyzm czy masochizm wobec własnej cielesności. Najpierw katujemy się dietami i sportem, żeby osiągnąć wymarzone zdrowie, sprawność, wydajność i piękno, a potem – w efekcie jojo – obserwujemy swój powolny upadek i pogrążamy się w tej klęsce, w tym samoupokorzeniu.

Myślę, że zdrowizm zrobił nam, jako społeczeństwu, coś jeszcze: wprowadził w miejsce tradycyjnej moralności coś, co moglibyśmy określić biomoralnością.

Czyli?

– Zauważmy, że dotychczas czyny niemoralne odnosiły się przede wszystkim do zachowań międzyludzkich. Wydawało się, że nie można być niemoralnym względem samego siebie. Obecnie moralność odnosi się także do traktowania naszych własnych ciał. Ocenia się ludzi pod kątem ich podejścia do zdrowia czy w ogóle zarządzania własną cielesnością.

W ten sposób moralność zostaje właściwie odspołeczniona. Ta dotychczasowa staje się coraz mniej ważna, w życiu codziennym służy nam głównie do różnych internetowych histerii: wielkich fal oburzenia na Olgę Tokarczuk, Dodę, jakiegoś polityka, kogokolwiek.

eprasa.pl b47d9d91db

Tyle że ta nieustanna panika moralna, która rozlewa się po mediach społecznościowych zdaje się powoli wyczerpywać. Coraz więcej osób jest już tym zmęczonych.

Natomiast biomoralność jako codzienna, taka praktyczna moralność, ma się dobrze. Każdy niech zajmuje się sobą, swoim ciałem i zdrowiem – to jest najważniejsze.

Dlaczego tak chętnie ulegamy tym przykazaniom zdrowizmu?
– Z psychoanalitycznego punktu widzenia za zdrowizmem stoi też pewien specyficzny rodzaj rozkoszy.

Płynącej z kontroli? Nad sobą, swoimi impulsami czy zachciankami?
– Nie tylko. Również z tego, że za pomocą zdrowizmu kontrolujemy innych.

Wszyscy dobrze wiemy, że mnóstwo życiowych przyjemności jest bardzo niezdrowe. Wszyscy też chcemy mieć życie wypełnione przyjemnościami. A propagując zdrowizm, odmawiamy innym prawa do tych przyjemności.

Kiedy widzimy ludzi, którzy w ogóle o zdrowie nie dbają, tylko cieszą się używkami czy niezdrowym jedzeniem, siłą rzeczy chcemy im jakoś tę rozkosz odebrać. Ja tu się codziennie męczę na siłowni, liczę kalorie, odmawiam procentów, unikam oksydantów, robię sobie zabiegi estetyczne za ciężkie pieniądze, a tam jeden z drugą oddają się perwersji sprawiania sobie przyjemności.

Podświadomie pojawia się myślenie: skoro ja nie mogę mieć tych przyjemności, niech inni też nie mają.

Każdy ma wokół siebie osoby, które nagle przestały pić alkohol, zaczęły chodzić na pilates czy przeszły na jakąś specyficzną dietę i zaczynają ewangelizować ludzi wokół siebie, często wręcz agresywnie narzucając im swój nowy styl życia. „Rano powinnaś zacząć posiłek od białka, wtedy…”.
– Co więcej, uruchamia to furtkę do tego, aby na tych, którzy nic sobie nie robią z nakazów zdrowizmu, patrzeć z irytacją. Albo z pogardą.

Jest w tym zdrowizmie też taki brzydki ascetyzm – zazdrosny, zawistny ascetyzm. Przyzwalanie sobie na pewną „brzydotę” ciała, zaniedbania czy niezdrowe zachowania zaczyna być postrzegane jako hańba i świadczy o pewnej słabości ducha.

Tę pogardę dobrze widać w badaniach wizerunku osób bardziej puszystych. Wyjąwszy sytuację, kiedy wiemy, że ktoś jest chory i to właśnie jakaś konkretna choroba jest przyczyną jego nadmiernych kilogramów…

…albo kiedy orientujemy się, że ma za sobą jakieś traumatyczne przeżycia, które tłumaczą kompulsje, ucieczkę czy odreagowanie przez jedzenie…
– …natomiast jeżeli ten ktoś chory nie jest i sam siebie doprowadził do nadwagi czy otyłości, to oznacza, że ten człowiek nie ma silnej woli. Dla wielu osób jest wręcz moralnie odrażający. Właściwości zarówno jego intelektu, jak i ducha postrzegane są jako słabe.

Robert Crawford pisał też o tym, że w ideologii zdrowizmu traktujemy osoby niezdrowe jako te, które obciążają system.
– A to szczególnie krzywdząca argumentacja. Pomija pewną oczywistość, że to właśnie system wytwarza różne problemy. Weźmy pod lupę na przykład otyłość. W krajach wysokorozwiniętych to ludzie najbiedniejsi są najbardziej otyli, między innymi dlatego, że nie stać ich na zdrowe jedzenie.

Nadmierne jedzenie bardzo często pełni też funkcję psychologiczną: jest sposobem na pocieszenie siebie, chwilowe ukojenie. Kiedy komuś źle się wiedzie i nie ma zbyt wielu perspektyw, jedną z najprostszych metod „zrobienia sobie dobrze” jest sięgnięcie po słodką eklerkę czy tłustego burgera.

Podobnie jest z innymi uzależnieniami: od alkoholu, narkotyków, papierosów, które bardzo często są właśnie wynikiem działania systemu.

Zresztą literatura naukowa coraz częściej nazywa narkomanię rodzajem „samobójstwa z rozpaczy” – nie traktuje się już alkoholizmu czy narkomanii jako wyniku indywidualnych wad czy ułomności, bo widzimy, że masowo pojawiają się one tam, gdzie warunki życia i perspektywy na przyszłość są szczególnie trudne. Ludzie po prostu wybierają ucieczkę w alkohol czy narkotyki, zamiast dalej znosić swoje cierpienie.

Dlaczego ideologia zdrowizmu powstała akurat w Stanach Zjednoczonych i tam się upowszechniła?
– Umasowienie wczesnych idei zdrowizmu lokowałbym gdzieś w okolicach pojawienia się pierwszych słynnych kampanii marki Nike, czyli w latach 70. i 80. Mam na myśli reklamy, które pokazywały sport w prozdrowotnym, autocoachingowym ujęciu.

Najpierw było hasło „There Is No Finish Line” z 1977 roku, któremu towarzyszył obraz samotnego biegacza, podkreślający wartość nieustannego wysiłku i samodoskonalenia. Z kolei słynna kampania „Just Do It” z 1988 roku, w której wystąpił osiemdziesięcioletni biegacz Walt Stack, przemierzający jeden z najbardziej rozpoznawalnych amerykańskich mostów, Golden Gate, akcentowała przekraczanie własnych ograniczeń i wychodzenie ze strefy komfortu.

Hasła znane z dzisiejszego coachingu mają źródła właśnie w tym okresie. Wtedy zaczęły się upowszechniać idee, że powinniśmy stale się rozwijać, że na zmianę nigdy nie jest za późno, że każdy jest kowalem własnego losu.

To rynek wykreował społeczne potrzeby?
– Popularność tego typu kampanii i samych marek casualowo-sportowych opierała się głównie na tym, że odpowiadały na niepokoje związane z rynkiem pracy i pogarszającymi się warunkami życia w Stanach. Zdrowizm, w ramach którego funkcjonował również coaching, stanowił jakieś wyjście z tej sytuacji.

Żeby osiągnąć sukces, nie wystarczało już po prostu ciężko pracować. Potrzebna stała się również nieustanna, trwająca właściwie przez całe życie, indywidualna praca nad sobą.

Ogromną rolę odegrały względy stricte ekonomiczne. W USA, gdzie system ochrony zdrowia w dużej mierze opiera się na prywatnych ubezpieczeniach, profilaktyczne dbanie o zdrowie stało się szczególnie istotne. Ludzie byli świadomi, że choroba może doprowadzić ich do finansowej katastrofy. Gdy zaniedbania zdrowotne wiążą się z ryzykiem bardzo poważnych konsekwencji finansowych, prewencyjna praca nad własnym zdrowiem siłą rzeczy staje się obowiązkiem.

Ta ściśle amerykańska ideologia dobrze przyjęła się w Polsce. Czy dlatego, że padła na grunt niedofinansowanego publicznego systemu ochrony zdrowia, który w oczach klasy średniej został kompletnie zdemonizowany? Odnoszę wrażenie, że to osoby korzystające głównie z komercyjnych usług najgłośniej mówią o niewydolności systemu, który w ich wyobrażeniach przypomina stajnię Augiasza.
– To prawda, że w polskiej klasie średniej istnieje cała mitologia NFZ-u, wedle której w przychodniach i szpitalach panują warunki niemalże XIX-wieczne – jakby było tam piekło, gdzie szatani podają margarynę z suchym chlebem – i że to właściwie tylko pozór opieki medycznej. Tacy ludzie panicznie boją się, że trafią do publicznej służby zdrowia, bo wyobrażają sobie, że umrą tam z głodu albo z braku opieki. W związku z tym chętnie poddają się zdrowizmowi.

Natomiast czynnik ekonomiczny jest u nas mniej istotny niż w Stanach Zjednoczonych, bo jednak ten NFZ istnieje. Myślę, że w Polsce mocniej działa jednak przeświadczenie, że my, klasa średnia, dbamy o siebie i tym właśnie różnimy się od prymitywnej i zaniedbanej klasy niższej, że mamy piękne, zadbane i zdrowe ciała oraz że chcemy patrzeć w przyszłość, planujemy nasze życie.

Skoro tak, to czemu klasowy wyznacznik zdrowia działa tym silniej w czasach, kiedy warunki ekonomiczne zdecydowanej większości społeczeństwa diametralnie się poprawiły? Dzisiaj pojęcie klasy średniej zostało przecież kompletnie rozmyte – z badań wynika, że 80 proc. Polaków uważa się za jej przedstawicieli. A dochodów klasy średniej i wykwalifikowanego robotnika czy pracowniczki sektora usług już nie dzieli przepaść.
– Faktycznie, to pojęcie zostało rozmyte, a wśród badaczy toczą się nawet spory, czy dziś klasa średnia w ogóle istnieje. Ale w jednym prostym sensie jest ono oczywiste: klasa średnia jest pewnym fantazmatem, konstrukcją wyobrażeniową. Wcale nie chodzi o to, że jest to klasa średnia, czyli znajdująca się pośrodku, tylko średnia, czyli wyższa od klas niższych. Chodzi o ten element wyobrażenia o nas samych, wedle którego jesteśmy wyraźnie lepsi od innych. Dziś właśnie zdrowizm daje nam ten rodzaj moralnej wyższości.

Bo już nie możemy wyróżnić się dobrym samochodem, sprzętem elektronicznym czy wakacjami za granicą. Coś w tym jest. Ale czy tylko kwestie klasowe sprawiają, że pewne społeczeństwa są na tę ideologię bardziej podatne od innych?
– Zdrowizm oczywiście wygląda różnie w różnych krajach, a to jaki ostatecznie przyjmie kształt zależy od wielu czynników, na przykład leżącej u podstaw niektórych społeczeństw etyki protestanckiej.

Kiedyś zdrowie było postrzegane jako kwestia losu. Dzisiaj stało się codzienną pracą, codzienną dyscypliną czy nawet przymusem. Wiele chorób wciąż jest losowych, ale dominuje przekonanie, że za to, czy będziesz chory, czy zdrowy, odpowiadasz głównie ty sam

Ale z całą pewnością – ponieważ służy on głównie dystynkcji klasowej – możemy powiedzieć, że jest silnie widoczny tam, gdzie te różnice klasowe są większe.

Na przykład w Wielkiej Brytanii?
– Zdrowizm jest tam bardzo widoczony, ale też w ciekawym ujęciu: cały tydzień turbo-zdrowego życia, a potem szalony weekend. Natomiast te nacje, które mają głębokie tradycje biesiadowania, gdzie duża część życia opiera się na wspólnym spędzaniu czasu – na przykład Francuzi, Gruzini czy Grecy – będą miały zdrowizmu trochę mniej.

Bo zdrowizm jest zawsze indywidualistyczny. To widać nawet po aktywnościach sportowych: ludzie ogarnięci zdrowizmem nie wybierają grupowych sportów, raczej samotne bieganie z zegarkiem, który ma dodatkowo wyliczać różne indywidualne parametry.

Wszędzie tam, gdzie istnieją silne tradycje zachowań wspólnotowych – spotykanie się w knajpach przy winie, spędzanie czasu wspólnie przy grach planszowych – zdrowizm będzie siłą rzeczy przyjmował się trudniej, bo zwyczajnie może już na niego brakować czasu.

W Polsce na przykład bardzo modne jest teraz zbieranie grzybów w lesie. Choć jest to aktywność prozdrowotna, to chyba jednak nie zdrowistyczna.
– To ważne, aby podkreślić, że nie każde prozdrowotne zachowania muszą się w ten zdrowizm wpisywać. Zbieranie grzybów jest akurat jednym z trendów przyjemnościowych. Chociaż także w przypadku tej aktywności motywacje mogą być różne. Inne w przypadku starszej pani z małej miejscowości, która robi to dla przyjemności od zawsze, a inne u młodego małżeństwa z Warszawy, które potem wrzuca triumfalne fotki na Instagrama, jakiego to borowika w lesie znaleźli. W ich przypadku to może być zdrowistyczne, że w ramach dbania o ciało i psychikę chodzą też na grzyby.

Podkreślę jeszcze raz: wszędzie tam, gdzie zdrowizm, tam rygor, samodyscyplina, etos pracy nad swoim ciałem, przeświadczenie, że nie można go zaniedbać. W związku z tym będę medytować, chodzić na spa, na siłownię, praktykować różne diety, pić półtora litra wody dziennie, zrezygnuję z alkoholu, ograniczę cukier – włożę w te wszystkie działania mnóstwo czasu i wysiłku.

Żyjemy też w kulturze psychiatrycznych diagnoz, coraz częściej zaczynamy myśleć o sobie w kategoriach zaburzeń psychicznych, na przykład: „mam ADHD”. Co ciekawe, mimo starań mniej więcej tej samej grupy społecznej, by w zgodzie z wiedzą naukową nie nazywać już ADHD zaburzeniem, tylko neuroatypowością.
– Mnie to zjawisko w ogóle nie dziwi. Skoro najpierw wmówiono ludziom, że są całkowicie odpowiedzialni za własne powodzenie, zdrowie, przyszłość i sukces, a potem oni czują, że wcale tego sukcesu nie osiągają i grozi im – przepraszam za wyrażenie – widmo bycia przegrywem, to w jaki inny sposób moglibyśmy się trochę ubezpieczać, tłumaczyć czy usprawiedliwiać, że jeszcze nie mamy tego, co już powinniśmy mieć? „Mam ADHD”, „jestem w spektrum”, „mam problemy z gospodarką hormonalną” – takie przeświadczenie może działać jako bezpiecznik.

Zresztą to jest osobny wątek, jak bardzo wiele ostatnio zaczęliśmy tłumaczyć hormonami. Za nasze niepowodzenia, kłopoty czy smutek, ale też za radość i inne pozytywne emocje nie odpowiadają już warunki, w jakich funkcjonujemy czy kontakt z innymi ludźmi, tylko właśnie nasza indywidualna biologia, na przykład hormony.

Dzisiaj mamy też ogromną plagę depresji, dwubiegunówek czy stanów lękowych. WHO podaje, że za chwilę depresja będzie najbardziej powszechną chorobą świata. I to jest choroba bardzo ciężka, trzeba to jasno powiedzieć.

Niektórzy lewicowi myśliciele rozpatrują tę masową zachorowalność na depresję w kontekście rosnącej świadomości rozdźwięku między naszymi oczekiwaniami a rzeczywistym położeniem.
– Przy czym to położenie jest specyficzne. Współczesny system społeczny rzeźbi ludzi w kierunku ich przyszłości. Nikt już tak prostu nie żyje tu i teraz. Żeby żyć tu i teraz, na przykład zobaczyć przelatującego nad nami ptaszka, trzeba zastosować specjalną technikę mindfulness.

Oczywiście ja to wszystko celowo trochę przerysowuję, ale chodzi o to, że w isto-

Dominik Lewiński

• doktor nauk humanistycznych, medioznawca i badacz komunikacji społecznej, szczególnie teorii dyskursów, adiunkt w Zakładzie Komunikacji Wizerunkowej Uniwersytetu Wrocławskiego. Zajmuje się m.in. mediami, tak zwanym brandingiem kulturowym, piarem i strategiami komunikacyjnymi.


FOT. SWPS

eprasa.pl b47d9d91db

REKLAMA Kraj/34458729



cie każdy z nas nieustannie krząta się wokół swojej przyszłości i w związku z tym też wokół swojego ciała. Bo to ciało ma nam służyć nie tylko teraz, ale też właśnie jak najdłużej, na przyszłość.

Podam prosty przykład ze studenckich opowieści. Coraz częściej piątkowa imprezka kończy się o 23, wszyscy trzeźwi rozchodzą się do domów, nie balują do rana, bo nie chcą mieć kaca w sobotę, nie chcą zmarnować dnia następnego. Bo on powinien być spędzony wydajnie, produktywnie, z zadbaniem o samorozwój, o swoje ciało, czyli o przyszłość.

Pytanie, co w tym złego, że młodzi ludzie chcą się rozwijać w optymalnej kondycji fizycznej i psychicznej.

– Chodzi o to, że te różne czynności związane z samorozwojem często wcale nie służą własnej przyjemności czy satysfakcji. One są podejmowane właśnie ze względu na przyszłość. Koncepcja rozwoju osobistego w dużej mierze nie służy rozwijaniu nas jako ludzi, tylko czynieniu z nas zoptymalizowanych produktów na rynku pracy. Ten samorozwój – nauka nowych języków, korzystanie z aplikacji do samodoskonalenia czy różne aktywności związane ze zdrowiem i sprawnością umysłową – bardzo często odnosi się już nie do pasji, zainteresowań czy szlachetnego samodoskonalenia dla samodoskonalenia, tylko właśnie do naszej przyszłej pracy.

Dotychczas jakoś to funkcjonowało, bo ta przyszłość rzeczywiście się przed nami rysowała. Jeszcze do niedawna wiele osób było przekonanych, że ich dzieci będą żyły w lepszych warunkach niż oni sami. Dziś ten brak pewności co do jasnej, świetlistej przyszłości jest jednym z ważnych źródeł depresji i lęku. Ładujemy więc życiową energię w indywidualne zdrowie, indywidualne kompetencje, indywidualne ciała i umysły. Robimy to wszystko ze względu na przyszłość, próbując zmniejszyć niepewność i lęk. Tyle że to bardzo często w niczym nie pomaga. Przyszłość wcale nie staje się bardziej pewna dlatego, że zadbam o zdrowie, sperfekcjonizuję ciało, uczynię je sprawnym, wydajnym, pięknym, także pięknym erotycznie.

Zauważmy, że obecnie kobiety intensywnie dbają o zdrowie, ale nie tylko w kontekście produktywności i wydajności, ale też piękna i pożądania. Chodzi o to, żeby móc traktować swoje ciało jako rodzaj towaru na rynku. Zrobię sobie kolejne zabiegi kosmetyczne, operacje plastyczne, poprawię piersi, to czy tamto, będę ćwiczyć, będę na diecie, będę dbać o idealność swojego ciała. W ten sposób wytwarzam pewien kapitał cielesno-erotyczny, który może zwiększyć moje życiowe szanse, na przykład tak, jak proponuje nam Caroline Derpienski i podobne influencerki.

Młodym chłopcom również proponuje się dyskurs zdrowistyczny. I to już nie są tylko „siłki", runmageddony i odmierzanie białka. Na prawicy widoczny jest trend „T-maxxingu", czyli przyjmowanie testosteronu, żeby być bardziej wydajnym, zdrowym, „męskim".

– Często, gdy mówimy o manosferze, myślimy o niej przede wszystkim w kategoriach jej toksyczności.

Tymczasem ci młodzi mężczyźni mają dużo mniej niż kiedyś możliwości nawiązywania wartościowych kontaktów z kobietami i to na nich zrzuca się odpowiedzialność za tę sytuację, mówi się na przykład: trzeba było się kształcić. A znowu, problem jest systemowy. Więc jedną z niewielu dostępnych im strategii staje się na przykład regulowanie własnej gospodarki hormonalnej w ramach właśnie zdrowizmu.

Z kolei na lewicy – tak zwanej nowej czy młodej, czyli kulturowej niż socjalnej, dominuje dziś narracja antyalkoholowa. To paradoks, bo środowiska progresywne są krytyczne wobec mód klasy średniej i urynkowania każdego aspektu naszej fizyczności, a ona też wpisuje się w zdrowizm.

– W tej narracji pomija się wspólnotową funkcję spożywania alkoholu. Historycznie różne środki psychoaktywne – czy to alkohol, czy inne używki – służyły budowaniu wspólnoty i zażyłości. Możemy wspomnieć chociażby o brytyjskim przesiadywaniu w pubach, czeskim przesiadywaniu w karczmach czy francuskim spędzaniu czasu w restauracjach, któremu zawsze towarzyszyło wino.

Dzisiejsze zwalczanie alkoholu ma też drugie dno, nie tylko zdrowistyczne. Jeżeli sięgniemy do korzeni różnych prohibicji, okaże się, że nie są wcale lewicowe. To żony angielskich fabrykantów zaczęły paternalistycznie, w poczuciu, że są warstwą oświeconą, głosić hasła antyalkoholowe. A właściciele fabryk się dołączyli, bo chodziło między innymi o wydajnych pracowników: masz być trzeźwy, żeby być sprawnym pracownikiem, masz być zdrowy, żeby nie siedzieć na chorobowym.

Obecnie procedowana jest w Polsce ustawa antyalkoholowa. Każdy, kto argumentuje krytycznie wobec niej, nawet jeśli używa argumentów filozoficznych, nierzadko spotyka się z komentarzami: „Ty alkoholiku", „bronisz uzależnień". Co ciekawe, takie słowa można usłyszeć od ludzi, którzy chwilę wcześniej pouczali, że nie wolno stygmatyzować językiem osób uzależnionych od alkoholu, zamiast „alkoholika" należy mówić „osoba w kryzysie alkoholowym".

Codziennie wkładamy gigantyczny wysiłek, żeby – za pomocą ćwiczeń fizycznych, amedytacji, mindfulness chronić się przed nadmiarem stresu. A przecież nasze główne życiowe stresory – dach nad głową, dobra praca, stabilna przyszłość – są zupełnie niezależne od nas

– To, co pani postrzega jako hipokryzję, idealnie ilustruje, na czym polega biomoralność: gardzimy wszystkimi, którzy występują przeciwko zdrowiu, w jakikolwiek sposób, choćby bardzo umiarkowany.

Mam podejrzenie, że gdyby nagle ogłosić projekt ustawy całkowicie zakazującej alkoholu, to wszyscy, którzy nie optowali za totalną prohibicją, byliby określani jako ludzie słabej woli albo ci, co biorą udział w rozpijaniu narodu. Tak – niestety – wygląda współczesna debata.

Z jaką refleksją się rozstaniemy?

– Dziś coraz częściej odmawia się nam prawa do rozkoszy, do zwyczajnych życiowych przyjemności. Musimy nieustannie nad sobą pracować. Być jak asceci, jak trenerzy samych siebie, jak zawodnicy w wielkim wyścigu życia.

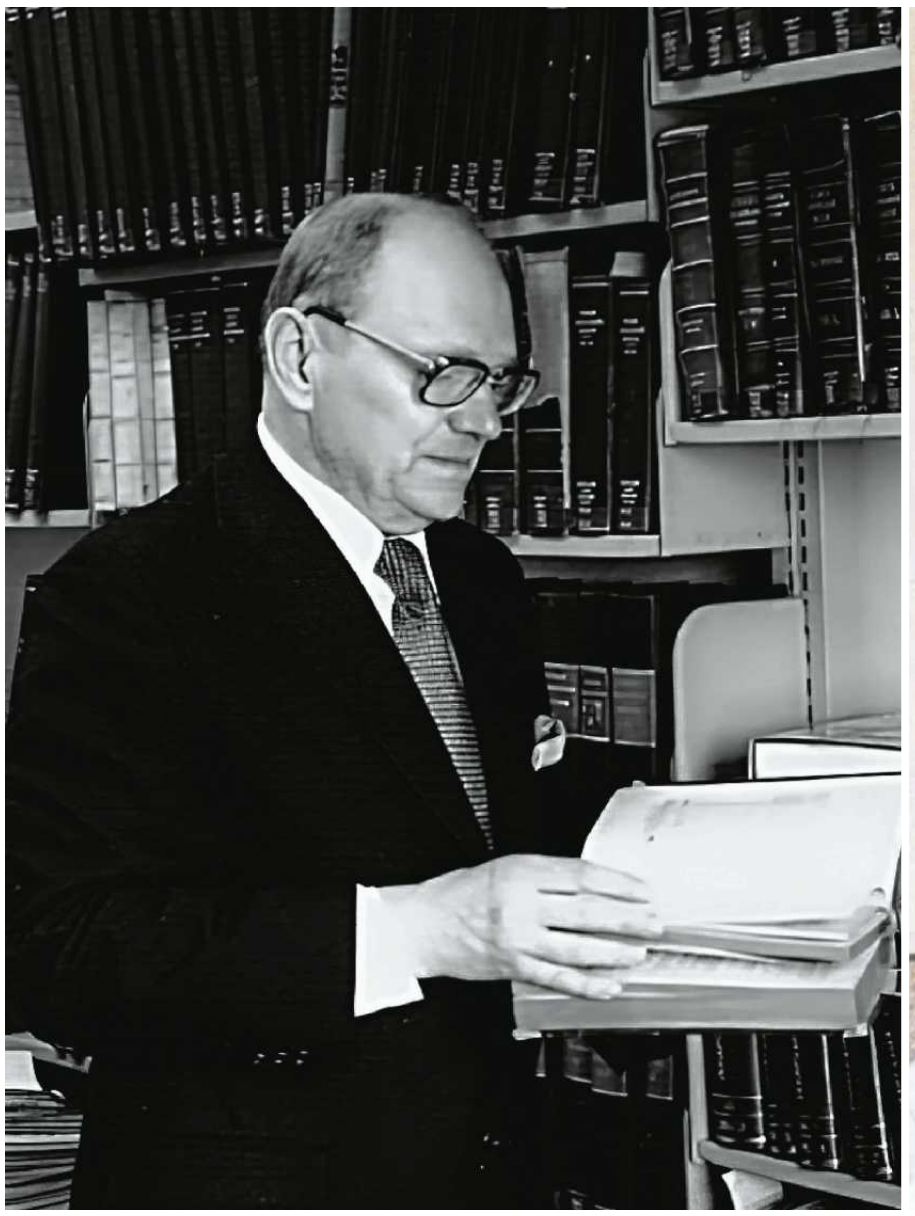
Mnie ten zdrowizm martwi jako kolejny kamyczek do ogródka kultury, która nieustannie nas odspołecznia – zmusza do skupienia na samym sobie, zamiast na wspólnotowych aktywnościach. Ta etyka jest już nawet nie tyle indywidualistyczna, co narcystyczno-egoistyczna.

Jest w tym wszystkim też sporo rozpaczy. Ta rytualna wiara w optymalizację własnego ciała w gruncie rzeczy opiera się na przekonaniu, że skoro przyszłość jest tak niepewna, to niech chociaż ciało będzie na różne warianty przygotowane. ●

eprasa.pl b47d9d91db

POLECA ADAM MICHNIK

Profesor Tornado i Redaktor z Lafitu



• **Omelan Pricak, twórca ukrainistycznego ośrodka na Uniwersytecie Harvarda, początek lat 60. XX wieku** FOT. INTERNET ENCYCLOPAEDIA OF UKRAINE



• **Jerzy Giedroyc w Maisons-Laffitte. Redakcja paryskiej „Kultury", październik 1998 r.** FOT. PIOTR WÓJCIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Narody nie dorastają same z siebie, trzeba je uczyć myślenia.
Niekiedy wbrew nim samym.
Jak Omelan Pricak i Jerzy Giedroyc

Oleksandr Avramchuk*

Gdy w „Zeszytach Historycznych" paryskiej „Kultury" (nr 88) ukazały się „Rozmowy o braciach", przyszłość Ukrainy wciąż pozostawała niejasna. Był rok 1989: sowieckie imperium już się chwiało, ale jeszcze nie upadło.

Wymowny był sam dobór ukraińskich „braci". Nie byli to działacze starej, zapatrzonej w siebie emigracji, lecz Frank Sysyn i Roman Szporluk – przedstawiciele młodszego, wychowanego na Zachodzie pokolenia ukraińskich intelektualistów. Dla nich dialog polsko-ukraiński nie był już tylko sprawą emocjonalnego przywiązania, lecz także przedmiotem namysłu historycznego, pracy uniwersyteckiej i wyznacznikiem przyszłości Europy Środkowo-Wschodniej.

Było w tym wyborze coś bardzo bliskiego Jerzemu Giedroyciowi. Od początku lat 50. Redaktor szukał ukraińskiego partnera: najpierw wśród emigrantów wywodzących się z sowieckiej Ukrainy, liberalnych intelektualistów na miarę np. Jurija Ławrinenki; później w kręgu sowietologów: Bohdana Osadczuka i Borysa Łewyćkiego; wreszcie także wśród młodszego pokolenia historyków-realistów.

Czasem znajdował autora, z którym mógł korespondować latami, kłócić się i godzić, znów prosić o tekst, by potem narzekać na brak odpowiedzi. Najpełniej udało się chyba z Osadczukiem, wieloletnim publicystą „Kultury" i wiernym obywatelem lafickiej Rzeczypospolitej Epistolarnej. Ale Osadczuk, błyskotliwy „Berlińczyk", dziennikarz, pośrednik, polityczny nerw dialogu, nie stworzył wokół siebie trwałej formacji intelektualnej.

Nie zawsze miał ukraińskich partnerów

Giedroyc długo szukał ukraińskiego Maisons-Laffitte, choć dobrze rozumiał złożoność zadania. Potrzebował nie tyle doraźnych sojuszników w walce z rosyjskim imperializmem, ile partnerów: środowiska zdolnego mówić do Ukraińców równie wymagająco, jak on sam mówił do Polaków.

W tym sensie monachijska „Suczasnist'", związana z kręgiem dawnych, stawiających dziś na liberalizm działaczy OUN, była najbliższym kandydatem. I największym rozczarowaniem. Miała znakomite pióra, stabilność finansową, kontakt z krajem i bliskie Giedroyciowi wyczucie spraw wschodnich. Nie miała jednak tego, co czyniło „Kulturę" „Kulturą": niemal dyktatorskiej autonomii redaktorskiej, odwagi, by być niewygodną dla swoich, i zdolności przekształcenia pisma w ośrodek myśli politycznej.

„Suczasnist'" była pismem istotnym, być może najważniejszym ukraińskim periodykiem epoki, ale nie stała się ukraińską „Kulturą". Jej wolność ograniczały polityczne patronaty, zależność od amerykańskiego finansowania, konflikt między intelektualną uczciwością a partyjną lojalnością; wszystko to utrudniało otwartą rozmowę o ciemniejszych kartach historii.

Giedroyc nigdy nie wszedł do rady „Suczasnosti" i nie znalazł w niej – ani właściwie w żadnym innym emigracyjnym ośrodku – intelektualnej samodzielności, którą uważał za warunek poważnej pracy politycznej. Frustrację wyrażał nieraz w listach. Po kolejnych przypadkach ukraińskiego milczenia pisał, że „po tylu latach wysiłków i przykrości chciałoby się, by był jakikolwiek odzew i z drugiej strony". Nie była to tylko skarga zniecierpliwionego redaktora. W tym zdaniu odsłaniał się głębszy deficyt: Giedroyc miał ukraińskich rozmówców, ale nie zawsze miał ukraińskiego partnera.

A jednak partnerów znalazł. Nie zawsze tam, gdzie szukał, i nie zawsze takich, jakich sobie wyobrażał. Po II

eprasa.pl b47d9d91db

wojnie światowej szczególne miejsce na ukraińskiej scenie emigracyjnej zajął Omelan Pricak – wybitny orientalista, historyk i twórca ukrainistycznego ośrodka na Uniwersytecie Harvarda. Człowiek, który dla ukraińskiej tradycji intelektualnej odegrał rolę pod pewnym względem analogiczną do roli Giedroycia w tradycji polskiej.

Obaj próbowali instruować swoje wspólnoty: wyprowadzić je z prowincjonalności, odwieść od języka resentymentu, nauczyć kategorii racji stanu i chłodnej kalkulacji politycznej. Obaj krytykowali narodowe upiory i zostawili po sobie schedę, która do dziś wyznacza kontury dialogu polsko-ukraińskiego. Byli ludźmi o silnym charakterze, gotowymi iść pod prąd opinii większości. Potrafili mówić o swoich rodakach z bezlitosną surowością.

Giedroyc pisał wprost, że „Polacy to okropny naród", by zaraz dodać, że nie widzi innego wyjścia niż walczyć, „by był inny". Pricak ukraińskie emigracyjne instytucje nazywał „kpiną i zhańbieniem ukraińskiego imienia", a o stanie nauki emigracyjnej mówić miał słowami mniej akademickimi niż przystoi profesorowi Harvardu. W jego otoczeniu powtarzano nawet powiedzonko, będące ukraińską parafrazą przypisywanej Wielopolskiemu frazy: „Można dużo zrobić dla Ukrainy, ale bez Ukraińców".

Nie byli nacjonalistami, ale nie byli też kosmopolitami. Nie znosili skrajnych ideologii, lecz nie mylili umiarkowania z brakiem kręgosłupa. Od innych wymagali niemal tyle, ile od siebie, i pozostawili po sobie ogromną spuściznę. Wiele ich projektów pozostało na kartach listów; obu łączyła ambicja, która sięgała dalej niż dostępne środki.

Trudna lekcja II RP

Na pierwszy rzut oka dzieliło ich niemal wszystko: 13 lat różnicy, pochodzenie społeczne, język, tożsamość narodowa. Giedroyc, urodzony w 1906 r. w Mińsku, był arystokratą polsko-litewskiego pogranicza; Pricak, urodzony w 1919 w Galicji, był – jak mówili nawet życzliwi – bardziej podobny do upartego chłopa niż do salonowego intelektualisty. A jednak obaj dojrzewali w tym samym pękniętym świecie przesuwających się granic, totalitarnych ideologii i rozmaitych skrajności. W świecie po roku 1918, gdy imperia już się rozpadły, ale nowy porządek nie potrafił jeszcze okrzepnąć.

Dlatego tak ważne okazało się dla nich doświadczenie trudnego polsko-ukraińskiego współistnienia w międzywojennej RP.

Pricak, wychowany w gimnazjum państwowym w Tarnopolu, gdzie chodził do jednej klasy z przyszłym kardynałem Władysławem Rubinem, należał do tej części ukraińskiej młodzieży, która nie uciekała od polskości. Znała polską kulturę, czytała polskie książki, rozumiała polskie kody kulturowe, a zarazem nie miała złudzeń co do fatalnych skutków polityki narodowościowej państwa. Giedroyc z kolei dość wcześnie zrozumiał, że kwestii ukraińskiej nie da się sprowadzić do problemu mniejszościowego.

Obaj mieli rzadką umiejętność patrzenia na własną tradycję cudzymi oczami; nie dotyczyło to zresztą tylko polityki. Interesowali się historią, lecz żaden z nich nie chciał czytać jej wyłącznie w narodowym zwierciadle. Postacią łączącą był tutaj Myron Korduba. Giedroyc, jako jeden z nielicznych polskich studentów, chodził na jego zajęcia na Uniwersytecie Warszawskim.

Pricak podziwiał Kordubę jako historyka gotowego rewidować odziedziczone schematy historii narodowej i wychodzić ze śmiałymi tezami, nawet wtedy, gdy pozostawały one poglądami wybitnie mniejszościowymi. Jemu samemu pomagało w tym jeszcze jedno zamiłowanie wyniesione z międzywojnia: orientalistyka. Skłaniała go do patrzenia na Ukrainę nie tylko przez pryzmat rodzimej Galicji.

Źródłem tej rewizjonistycznej postawy była również inna, wspólna obu szkoła politycz-

I Giedroyc, i Pricak próbowali instruować swoje wspólnoty: wyprowadzić je z prowincjonalności, nauczyć kategorii racji stanu i chłodnej kalkulacji politycznej. Obaj krytykowali narodowe upiory

na. I Pricak, i Giedroyc szukali trzeciej drogi w epoce, która bezlitośnie spychała ludzi ku skrajnościom. Rozczarowaną liberalizmem międzywojenną Europę kusiły faszyzm i komunizm. Narody pozbawione stabilnej państwowości szczególnie łatwo ulegały obietnicom radykalnej odnowy.

Giedroyc i Pricak wybrali inną ścieżkę. Należeli raczej do nurtu konserwatywnego, jeśli rozumieć konserwatyzm jako dyscyplinę myślenia. Dlatego obaj mieli swoje figury założycielskie. Dla Giedroycia był nią Piłsudski: symbol myślenia państwowego, nadrzędności racji stanu i polityki prowadzonej ponad interesem partyjnym.

W przypadku Pricaka podobną rolę odgrywał Pawło Skoropadski – hetman Państwa Ukraińskiego z 1918 r., generał armii carskiej, arystokrata, postać dla ukraińskiej tradycji istotna. Jego hetmanat trwał zaledwie pół roku, ale dla ukraińskich państwowców miał się stać znakiem porządku, ciągłości i niechęci wobec romantycznej improwizacji.

Za Skoropadskim stała jeszcze jedna tradycja: konserwatywna, państwowa myśl Wiaczesława Łypyńskiego. Dla Pricaka – ale też dla całej grupy późniejszych ukraińskich zimnowojennych emigrantów Łypyński stał się czymś w rodzaju szczepionki na radykalizm, który zdobywał serca młodych galicyjskich Ukraińców zaczytujących się w Doncowie [Petro, ideolog nacjonalizmu]. Uczył, że naród bez elit, bez odpowiedzialności klas przywódczych i bez lojalności wobec państwa silniejszej niż partyjna łatwo zamienia się w tłum uprawiający niebezpieczną demagogię. Uczył zarazem, że historia Ukrainy nie należy do jednej grupy etnicznej: składają się na nią wszystkie narodowości zamieszkujące kraj, a przynależność do ukraińskiego narodu politycznego jest skutkiem świadomego wyboru, nie prostą konsekwencją pochodzenia.

Giedroyc dochodził do podobnych wniosków inną drogą. Rozpoczynając swoją redaktorską karierę w „Buncie Młodych", a potem w „Polityce", obracając się w kręgu Myśli Mocarstwowej i ruchu prometejskiego, już wtedy rozglądał się za pozytywną formułą polsko-ukraińskiego współżycia. Nie była to jeszcze gotowa doktryna, raczej poszukiwanie wyjścia z politycznej pułapki radykalizmów, które coraz częściej czyniły narody wschodu Europy zakładnikami groźnych mitów.

Lepiej nie czekać na gest Waszyngtonu

II wojna światowa tylko wzmocniła ten sposób myślenia, a zarazem zniszczyła wielonarodowy świat, w którym obaj się wychowywali. Zmusiła ich też do emigracji, choć nie poprowadziła tą samą drogą. Giedroyc znalazł się na Bliskim Wschodzie wraz z polskim wojskiem i politycznym uchodźstwem. Pricak trafił do świata niemieckiej akademii, gdzie w Berlinie, Getyndze, a później w Hamburgu stał się uznanym w świecie specjalistą od języków ałtajskich.

Żaden z nich nie przeszedł doświadczenia wojny tak, jak mieszkańcy okupowanych przez dwa totalitaryzmy „skrwawionych ziem". Ale wojna utwierdziła ich w przekonaniu, że narody bez własnej rachuby politycznej prędzej czy później zostają dopisane do cudzych rachunków.

W pojałtańskiej rzeczywistości przekonanie to stało się osią ich dojrzałego realizmu. Dla Giedroycia oznaczało uznanie powojennych granic, rezygnację z mitu organicznej polskości Kresów i szukanie porozumienia z Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami – słynne ULB – jako przyszłymi podmiotami polityki wschodniej.

Turkolog Pricak rozumiał Wschód inaczej, szerzej i głębiej historycznie; z programem „Kultury" łączyła go jednak niechęć do emigracyjnego zapatrzenia w klęskę i do perspektywy zawężonej do własnego, galicyjskiego podwórka. Trzeba było myśleć o całej Ukrainie: także sowieckiej, przemysłowej, miejskiej, zarazem zrusyfikowanej, niepodobnej do emigracyjnych wyobrażeń, ale realnie istniejącej.

Siłą tego realizmu była właśnie niechęć do polityki prowadzonej z pozycji petenta: do emigracyjnej zapobiegliwości wobec obcych stolic i czekania na łaskawy gest Waszyngtonu, Paryża, Watykanu. Giedroyc potrafił ostro krytykować zachodnią politykę wobec bloku socjalistycznego, a jego stosunek do Kościoła pozostawał daleki od nabożności. Bywał antyklerykalny, domagał się wyraźnego rozdziału Kościoła od państwa, ale nie oznaczało to ślepoty na polityczne znaczenie religii.

Podobnie Pricak, choć miał bliskie kontakty z ludźmi Kościoła – od Rubina po Karola Wojtyłę – nie był człowiekiem kościelnej wyobraźni. Dał temu wyraz w 1969 r., odmawiając podpisu pod memoriałem w obronie unitów skierowanym do Pawła VI: autorzy formułowali postulaty zbyt uniżenie zamiast domagać się wprost równoprawności Kościołów wschodnich.

Religia interesowała go jako siła instytucjonalna, nie jako przedmiot wiary. Właśnie dlatego część środowiska zarzucała mu, że kontakty z Wojtyłą traktuje instrumentalnie: miał „blefować", że zdoła uzyskać ustępstwa dla grekokatolików, choć sam pozostawał w gruncie rzeczy agnostykiem. Nie było więc sprzeczności między krytyką watykańskiej Ostpolitik a późniejszymi nadziejami wiązanymi z Janem Pawłem II. W obu przypadkach chodziło nie o pobożną ufność wobec Rzymu, lecz o trzeźwe rozpoznanie, że Kościół jest jednym z aktorów polityki wschodniej.

Pricak chciał nauczyć Ukraińców myślenia kategoriami państwa. Giedroyc chciał zmusić Polaków do myślenia wbrew inercji własnej wyobraźni historycznej

Opowiedzieć światu o ważnych zmianach

Dlatego i Giedroyc, i Pricak trzymali się po wojnie z dala od nieprzejednanego uchodźstwa. Rozumieli fatalną dla narodów Europy Środkowo-Wschodniej koniunkturę międzynarodową i każdy po swojemu uprawiał zimnowojenną dyplomację bez listów uwierzytelniających: Giedroyc przez Kulturę, Pricak przez Naukę. Obaj pojmowali je jednak w nierozdzielnym związku z Polityką – choć nie zawsze jako narzędzia polityce podporządkowane.

Możliwe, że właśnie przedwojenne szukanie umiarkowanej trzeciej drogi ułatwiło im odnalezienie się po roku 1945. Budując instytucje – Giedroyc Instytut Literacki w Paryżu od 1947 r., Pricak Ukraiński Instytut Naukowy na Harvardzie od 1968 – obaj pozostawali elastyczni w programie działania.

Wyniesione z przedwojnia państwowe myślenie łączyli, pod wpływem międzynarodowych realiów, z wrażliwością na niestalinowską lewicowość. Ani Giedroyc, ani Pricak nie wierzyli oczywiście w komunizm. Obaj rozumieli jednak, że w świecie po Jałcie nie wystarczy potępiać go z bezpiecznej emigracyjnej odległości. Trzeba było czytać rzeczywistość uważniej: odróżniać Moskwę od Warszawy i Kijowa, dogmat od rewizjonizmu, oficjalny język socjalizmu od pragnień ludzi żyjących w jego cieniu.

Stąd brała się późniejsza linia instytucji, które tworzyli. „Kultura" nie była pismem antykomunistycznej ortodoksji. Harvard Pricaka nie miał być schronieniem dla patriotycznej nauki. Zakotwiczone na Zachodzie, obie instytucje patrzyły w stronę Kraju. Interesowały się rewizjonizmem, fermentem intelektualnym, który w latach 60., w warunkach odwilży, coraz wyraźniej dawał o sobie znać, i pęknięciami w pozornie monolitycznym bloku socjalistycznym. Szukały szczelin, przez które można było przesłać książki, idee, ale też inny sposób rozmowy o przeszłości i przyszłości.

Giedroyc robił to przez publicystykę, korespondencję, druk tekstów krajowych i rozmowę z ludźmi, których część emigracji uważała za skażonych komunizmem. Pricak – przez tworzenie akademickiej ukrainistyki na najwyższym poziomie, publikacje, stypendia, zaproszenia dla uczonych i pisarzy zza żelaznej kurtyny, przez próbę wprowadzenia Ukrainy sowieckiej do obiegu światowej nauki. Korzystał zarówno ze względnej otwartości Ukrainy czasów niespełnionego „ukraińskiego Gomułki" – I sekretarza Petro Szelesta – jak i z alibi naukowych wymian epoki odprężenia.

W tym samym czasie, gdy w murach Harvardu pojawiały się młode głosy ukraińskiego odrodzenia, poeci Iwan Dracz i Dmytro Pawłyczko, Maisons-Laffitte stawało się miejscem pielgrzymek polskiej młodzieży opozycyjnej – Adama Michnika i jego pokolenia, ludzi szukających nie tyle błogosławieństwa, ile kontaktu z Zachodem, obrzydzanym przez oficjalną propagandę komunistyczną.

Z tego rozpoznania sytuacji brały się inicjatywy wydawnicze, które były zarazem niebanalnymi gestami politycznymi i dobrze pokazują pokrewieństwo ich stylów myślenia. Giedroyc wystąpił z propozycją wydania antologii „Rozstrzelane odrodzenie" (1959), pró-

eprasa.pl b47d9d91db

bując wydobyć z zapomnienia ukraiński renesans kulturowy lat 20. Pricak w 1966 r. zgłosił do literackiej Nagrody Nobla ukraińskich pisarzy z USRS: Pawła Tyczynę, Iwana Dracza i Linę Kostenko.

Obaj, każdy dostępnymi sobie metodami, próbowali opowiedzieć światu o kulturalnych, społecznych i politycznych przesunięciach dokonujących się w sowieckiej Ukrainie.

Byle nie propaganda

Odgłosy dochodzące zza żelaznej kurtyny utwierdzały obu w przekonaniu, że przyszłość wschodu Europy będzie rozstrzygać się w Warszawie i Kijowie, nie zaś w Paryżu i Bostonie. Śmiałe, demokratyczne i coraz wyraźniej uniwersalne – także przez odwołania do praw człowieka – hasła antytotalitarnej opozycji trafiały do zachodniej debaty przy wyraźnym wsparciu emigracyjnych realistów. Nie znaczyło to, że emigracja miała zastąpić kraj. Przeciwnie: jej rola polegała raczej na tym, by przetłumaczyć, wzmocnić i wprowadzić w obieg międzynarodowy to, co rodziło się po drugiej stronie żelaznej kurtyny.

Tu spotykały się ich drogi. Kultura i nauka były dla nich narzędziem polityki, ale nie propagandą. Giedroyc przez „Kulturę" i „Zeszyty Historyczne" próbował zmienić polski sposób myślenia o historii, sąsiadach i narodowych imponderabiliach. Pricak przez Harvard chciał wprowadzić Ukrainę do nauki światowej nie jako temat folklorystyczny czy wąsko narodowy, lecz jako pełnoprawny podmiot historii powszechnej. Obaj wiedzieli, że bez pracy nad przyszłymi elitami nie dojdzie do żadnego przełomu. Za najskuteczniejsze narzędzie realizacji programów uznali więc nowe instytucje, bez których idee rzadko przeżywają własnych autorów.

Harwardzki cud

„Ukraińcy są naprawdę imponujący. Jak mizernie na tym tle wygląda Polonia i emigracja" – pisał Giedroyc do literaturoznawcy Wiktora Weintrauba kilka miesięcy po tym, jak na Harvardzie powstał Ukraiński Instytut Naukowy.

Dla redaktora „Kultury" ukraiński Harvard miał znaczenie podwójne. Dowodził, że emigracja pozbawiona państwa może stworzyć instytucję światowego formatu. Zarazem przypominał, że emigracja polska, mimo większego kapitału kulturalnego, dłuższej obecności na Zachodzie i rozleglejszych kontaktów akademickich, podobnego przedsięwzięcia nie podjęła. Nie był to więc tylko sukces Ukraińców, był to także argument przeciwko Polakom.

Weintraub tłumaczył Giedroyciowi ten awans szczególnym instynktem samozachowania kulturalnego. Ukraińcy – pisał – „na terytorium amerykańskim biją nas o kilka długości tak swoją działalnością literacką, jak – przede wszystkim – naukową. Kiedym się ich pytał, jak to potrafili zorganizować, odpowiedzieli mi, że oni uważają, iż dla ich sprawy najważniejszą rzeczą jest zabezpieczenie bytu pisarzy i naukowców, a nie ma nieszczęścia, jeśli politycy myją w restauracjach talerze. Polacy zaś mają w tych sprawach odwrotną skalę wartości".

Trudno o trafniejsze ujęcie różnicy. Ukraińcy, niemający państwa i prawie niewidoczni w zachodniej hierarchii akademickiej, wcześniej niż Polacy zrozumieli, że infrastruktura naukowa może stać się formą politycznego istnienia. Komitety na wygnaniu mogły się kłócić, partie tracić znaczenie, politycy przegrywać kolejne spory. Jeśli jednak przetrwali uczeni, pisarze i instytuty, Ukraina nie znikała z pola widzenia.

Polityka naukowa Pricaka interesowała Giedroycia również z innego powodu. Pricak nie traktował Polaków jako konkurentów, widział w nich sojuszników. Ukraiński Harvard od początku nie miał być etnicznie zamkniętym azylem,. Był raczej próbą stworzenia respublica litteraria – środowiska, w którym sprawa ukraińska zostanie wprowadzona do szerszego obiegu: polskiego, żydowskiego czy amerykańskiego.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Andrzej Titkow*

Zapis z 2 czerwca 1975 roku

Ci, co skazują mnie na nieistnienie –
sami już martwi.
Ci, co nakazują mi milczenie –
sobie także gipsują usta.
Ci, co naklejają etykietki
i wpychają do ciasnych szuflad
mój mózg, mój język, tłoczące krew serce –
sami wpadają w przepastną szufladę.
Ci, co skazują mnie na zapomnienie –
zapomnieli swych imion.
Zapach ściętej trawy tyle dla nich znaczy
co jęk padającego pod toporem drzewa.



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Andrzej Titkow.** Ur. w 1946 r. Reżyser, scenarzysta i producent, poeta. Autor kilkudziesięciu filmów dokumentalnych, a także filmów fabularnych, spektakli teatralnych i telewizyjnych. Wiersz z jego tomu poezji „Pieśń pod pieśniami", Wyd. Austeria, Kraków – Budapeszt 2016.

Powstanie tego środowiska wiązało się z działalnością ludzi wywodzących się z polskiego albo polsko-żydowskiego świata kultury: Weintrauba czy Richarda Pipesa. Stawało się to skutecznym sposobem wyjścia z izolacji: aby wydobyć Ukrainę z cienia Rosji, Pricak sięgał po ludzi, którzy imperialny sposób opowiadania rosyjskiej historii rozpoznawali z własnego środkowoeuropejskiego doświadczenia.

Na zaproszenie Ukraińców

Rzecz nie kończyła się wszakże na polskim kręgu Harvardu. Kiedy w 1971 r. banderowcy zaatakowali Pricaka za zaproszenie warszawskiego historyka Kozaczyzny Zbigniewa Wójcika, zwrócił się on o pomoc do Giedroycia. Prosił o wsparcie w odparciu kampanii „skrajnego odłamu nacjonalistów ukraińskich". Liczył na autorytet „Kultury" w środowisku ukraińskich nacjonalistów, a poparcie Giedroycia uważał za ważny argument w walce umiarkowanych emigrantów „przeciwko ciemnej hołocie".

Istotnie ukraińskiemu Harvardowi było wówczas znacznie bliżej do Warszawy niż do Kijowa. Po 1972 r. znaczenie kierunku polskiego jeszcze wzrosło. Sowiecka Ukraina coraz szczelniej się zamykała. Nauka historyczna w USRS znalazła się pod nowym nadzorem ideologicznym. Kijów przestawał być dla Pricaka realnym partnerem. Polska natomiast, mimo peerelowskich ograniczeń, stawała się drogą do archiwów, źródeł, naukowych – i nie tylko – przyjaźni. Była nie tyle sąsiadem, ile korytarzem badawczym prowadzącym do samej Ukrainy.

Stąd niespotykana obecność polskich historyków w orbicie Harvardu. Andrzej Sulima-Kamiński, Aleksander Gieysztor, Józef Gierowski należeli do tych, z którymi harwardzka ukrainistyka zbudowała trwałe relacje. Polski wymiar miały również tematy dysertacji jej doktorantów.

Pod kierunkiem Weintrauba George Grabowicz pisał o miejscu Ukrainy w polskim i rosyjskim romantyzmie. Frank Sysyn podczas wyjazdów do PRL-u korzystał z pomocy Wójcika. Na obronie dysertacji Oresta Subtelnego oficjalnym recenzentem był Gierowski. Andrzej Sulima-Kamiński pomagał doktorantom otwierać drzwi do polskich archiwów, a swoim radykalnie przemyślanym spojrzeniem na dzieje Rzeczypospolitej wielu narodów uosabiał otwartość polskiej nauki na perspektywę ukraińską.

Giedroyc przyglądał się temu z zainteresowaniem, ale i ze zdziwieniem. Pytał Weintrauba: „Ciekaw jestem, dlaczego Ukraińcy tak ściągają polskich historyków?".

Pytanie było retoryczne tylko częściowo. Redaktor dobrze wiedział, że nie chodziło tu o brak ukraińskich kadr. Pricak bowiem rozumiał, że studia nad Ukrainą nie zyskają uznania, jeśli pozostaną przedsięwzięciem wyłącznie ukraińskim. Naród uważany przez wielu za „niehistoryczny" trzeba było wpisać w historię regionu, Europy i świata. Ukraiński Instytut nie miał być „gettem etnicznym" przy prestiżowej uczelni amerykańskiej, lecz instytucją środkowoeuropejską par excellence.

W tym punkcie Pricak spotykał się z Giedroyciem: obaj rozumieli, że o Ukrainie nie da się myśleć w oderwaniu od Polski, Rosji, Białorusi czy państw bałtyckich. Parafrazując klasyka: cóż wiedzą o Ukrainie ci, którzy znają tylko Ukrainę?

Tyle że poszczególne kierunki tej polityki nie dawały tych samych efektów. Linia polsko-ukraińska, mimo wszystkich obciążeń historycznych, okazała się najpłodniejsza. Z tej naukowej przyjaźni ponad podziałami zimnej wojny narodziły się nie tylko kolejne spotkania i kontakty, lecz przede wszystkim nowy sposób mówienia o miejscu Ukrainy w dziejach wczesnonowożytnej Rzeczypospolitej.

Rosyjska ścieżka była znacznie trudniejsza. Giedroyc marzył o osobnej harwardzkiej komórce, która zajęłaby się przemyśleniem stosunków polsko-ukraińsko-rosyjskich, bo w jego wizji przyszłość Europy Środkowo-Wschodniej zależała nie tylko od tego, co stanie się w przestrzeni ULB, lecz także od postawy Warszawy i Moskwy wobec tej przestrzeni. Dlatego i on, i Pricak szukali partnerów wśród rosyjskich demokratów.

Rezultaty były jednak ograniczone. Kontakty z Sołżenicynem, podobnie jak w przypadku Giedroycia, nie przyniosły zasadniczego przełomu. Autor „Archipelagu GUŁag" widział w Pricaku raczej człowieka, który mógłby tonować antyrosyjską retorykę ukraińskiego wychodźstwa niż partnera w przebudowie rosyjskiego spojrzenia na Ukrainę. Tu właśnie ujawniała się granica dialogu: Rosjanin mógł być przeciwnikiem komunizmu, a mimo to pozostawać więźniem rosyjskiego wyobrażenia o przestrzeni imperialnej. Mówiąc dosadniej, Rosjanie nie mieli swojego Giedroycia.

Ukraiński Kissinger

Otwartość na dialog nie wynikała z czystego sentymentu. Giedroyc nie był ukrainofilem w prostym znaczeniu tego słowa, tak jak Pricak nie był naiwnym polonofilem. Dialog polsko-ukraiński interesował ich nie jako ćwiczenie ze szlachetności, lecz jako część racji stanu. Pojednanie miało sens o tyle, o ile pomagało wyprowadzić Polaków i Ukraińców z niewoli własnych kompleksów, a w konsekwencji prowadzić politykę możliwą, nie tylko moralnie słuszną.

W tym sensie ukraińska elita akademicka była dla Giedroycia partnerem naturalnym. Mimo to ścisły dialog między Maisons-Laffitte a Harvardem nigdy naprawdę nie powstał: Giedroyc nie znał Ameryki. Był człowiekiem polityki, akademia zaś działała na własnych zasadach, rządziła się innymi procedurami i konwencjami, często wymykała się prostemu przełożeniu na politykę. Stąd narzekania Giedroycia i Osadczuka na nadmierną intelektualizację konferencji polsko-ukraińskich.

Ukraiński odpowiednik Instytutu Literackiego powstał jednak na Harvardzie; nie jako ośrodek wydawniczy, lecz instytut naukowy. Wynikało to z różnicy sytuacji. USRS nie była PRL-em. Polska, nawet podporządkowana Moskwie, zachowywała stosunkowo szeroką autonomię kulturalną oraz gęstą sieć powiązań z Zachodem, także z emigracją. Ukraina wymagała najpierw elementarnego wprowadzenia do światowego obiegu akademickiego.

Nie wystarczyło „redagować" jej politycznej wyobraźni. Trzeba było jeszcze udowodnić, że posiada własną historię. Giedroyc zresztą też nie zredagował Polski. Zredagował jednak myślenie znacznej części elit, które później znalazły się w orbicie „Solidarności", a po 1989 r. współtworzyły wolną Polskę. Pricak, poprzez Ukraiński Instytut na Harvardzie, swoich uczniów i stworzone przez siebie instytucje, wywarł istotny wpływ na ukraińskie życie umysłowe po 1991 r.

Pricak za swoją niestrudzoność otrzymał pseudonim „profesor Tornado", a za gotowość rozmowy nawet z przeciwnikami politycznymi nazywano go „ukraińskim Kissingerem". Giedroycia nazywano Redaktorem, Księciem z Maisons-Laffitte, kanclerzem Rzeczypospolitej Czterech Narodów, czasem – szarą eminencją polskiej polityki emigracyjnej. On sam lubił mówić o sobie jako o człowieku, który woli działać z cienia, otaczając się ludźmi mądrzejszymi od siebie.

Jeśli Pricak chciał nauczyć Ukraińców myślenia kategoriami państwa, a nie odziedziczonego po XIX-wiecznym ruchu narodnictwa, to Giedroyc chciał zmusić Polaków do myślenia wbrew inercji własnej wyobraźni historycznej.

Obaj zostawili po sobie nie tylko idee, lecz także środowiska zdolne kontynuować rozmowę po śmierci założycieli [Giedroyc zmarł w 2000 r., Pricak w 2006]. Choć dzieliły ich biografie, temperamenty i narzędzia działania, zbliżało ich coś ważniejszego: przekonanie, że narody nie dorastają same z siebie. Trzeba je uczyć myślenia. Niekiedy – wbrew nim samym. ●

Tytuł i śródtytuły - „Wyborcza".



FOT. UNIWERSYTET WARSZAWSKI

***dr Oleksandr Avramchuk**

• Ur. w 1993 r., historyk. Tematy jego badań to m.in. stosunki polsko-ukraińskie, historia myśli politycznej w Europie Środkowo-Wschodniej i dzieje emigracyjnych intelektualistów z tego regionu. Pracuje w Instytucie Historii UW.

eprasa.pl b47d9d91db



DLACZEGO POLSKĄ NIE RZĄDZĄ oligarchowie

30 lat temu zakończyła się dystrybucja Powszechnych Świadectw Udziałowych. Gwarantowały obywatelom uczestnictwo w Programie Powszechnej Prywatyzacji, czyli w podziale majątku po upadłym komunistycznym państwie.

Witold Gadomski

eprasa.pl b47d9d91db

Przejście od gospodarki upaństwowionej i centralnie sterowanej do systemu rynkowego było operacją bez historycznego precedensu. Najpierw należało stworzyć prywatną własność przedsiębiorstw w kraju, w którym brakowało zarówno dużych kapitałów w rękach obywateli, jak i rozwiniętego rynku finansowego. Sama zmiana właściciela nie wystarczała. Ważne było ukształtowanie się klasy przedsiębiorców zdolnych efektywnie zarządzać majątkiem, konkurować, oceniać ryzyko i ponosić odpowiedzialność za swoje decyzje.

W latach 80. równolegle do działalności politycznej „Solidarności” rozwijał się w Polsce niezależny ruch środowisk gospodarczych i liberalnych, które zastanawiały się nad odbudową własności prywatnej i rynku.

LIBERAŁOWIE W CZASACH KOMUNY

W Krakowie wokół Mirosława Dzielskiego, Tadeusza Syryjczyka i grupy naukowców i przedsiębiorców powstało Krakowskie Towarzystwo Przemysłowe, oficjalnie zarejestrowane w 1987 roku.

W Warszawie od 1986 roku działało bez zezwolenia władz Towarzystwo Gospodarcze, a w grudniu 1988 roku przedstawiciele kilku podobnych organizacji utworzyli Akcję Gospodarczą, która przygotowywała propozycje reform rynkowych.

W Gdańsku Janusz Lewandowski, Jan Szomburg, Jan Krzysztof Bielecki, Donald Tusk i inni autorzy skupieni wokół „Przeglądu Politycznego” łączyli rozmyślania o liberalizmie z praktycznym wspieraniem rodzących się prywatnych firm.

Działały liberalne periodyki wydawane poza cenzurą, wspierające idee wolnego rynku, między innymi: miesięcznik „Niepodległość”, kwartalnik „Przegląd Polityczny” oraz chrześcijańsko-liberalne pismo „13”. Dyskutowano w nich o prywatyzacji, konkurencji i tworzeniu klasy przedsiębiorców. Pod koniec dekady władze przymykały oko na niezależne debaty i spotkania, takie jak ogólnopolski zjazd Towarzystwa Gospodarczego w auli SGGW w styczniu 1987 roku, I Gdański Kongres Liberałów w grudniu 1988 roku, I Krajowy Zjazd Towarzystw Gospodarczych i Środowisk Liberalnych w czerwcu 1989 roku. Szczególne znaczenie miała konferencja „Prywatny sektor pozarolniczy w gospodarce PRL” zorganizowana w kwietniu 1987 roku w Kazimierzu Dolnym przez Sekcję Ekonomii Wydziału Nauk Społecznych KUL, podczas której przyjęto zainicjowaną przez profesora Stefana Kurowskiego Kartę Prywatnej Przedsiębiorczości Gospodarczej.

W listopadzie 1988 roku Janusz Lewandowski i Jan Szomburg przedstawili na konferencji w Szkole Głównej Planowania i Statystyki referat „Uwłaszczenie jako fundament reformy społecznej”. Proponowali przekształcenie własności państwowej w indywidualne, zdecentralizowane i zbywalne prawa. Każdy dorosły Polak otrzymałby imienny bon majątkowy o nominale dwóch milionów ówczesnych złotych przeznaczony wyłącznie na zakup akcji prywatyzowanych przedsiębiorstw. Sam miał wybierać spółki i moment inwestycji.

Pomysł Szomburga i Lewandowskiego był realizowany w kilku krajach, które podobnie jak Polska z trudem wydobywały się z systemu komunistycznego.

PRYWATYZACJA PO ROSYJSKU

W Rosji od października 1992 do połowy 1994 roku rozdano około 144 mln voucherów, które można było sprzedawać bezpośrednio lub poprzez giełdę. Kurs kształtował się na poziomie 20 dolarów za sztukę, co oznaczało, że rosyjska gospodarka dysponująca ogromnymi zasobami ropy, gazu, złota i metali została wyceniona na absurdalnie niską cenę – niespełna 3 mld dol. Większość Rosjan, przyciśnięta biedą i nieświadoma potencjalnej wartości bonów, sprzedawała je za 5-10 dolarów. Przechodziły przez ręce drobnych pośredników, hurtowników i inwestorów, aż tworzyły pakiety pozwalające przejmować przedsiębiorstwa. Rosyjska ulica prywatyzację voucherową nazwała „prichwatizacją”. „Prichwatit” to po rosyjsku „zagarnąć”, „chapnąć”.

Przebieg rosyjskiej masowej prywatyzacji opisał amerykański inwestor Bill Browder w książce „Czerwony alert”. Browder, pracując dla Salomon Brothers, a następnie własnej firmy Hermitage Capital, zrozumiał skalę okazji, gdy poproszono go o wycenę Murmańskiej Floty Rybackiej. Jej pracownicy mogli kupić 51 procent akcji za 2,5 miliona dolarów. Tymczasem flota dysponowała 100 statkami, które, choć używane, można było sprzedać za łączną sumę blisko miliarda dolarów.

Browder rozpoczął od zakupu dziesięciu tysięcy voucherów po 19,85 dolara. Szybko odkrył, że w chaotycznym systemie najcenniejszym kapitałem była informacja o miejscu i terminie aukcji na sprzedaż majątku. Niekiedy konkurentów nie dopuszczali do aukcji uzbrojeni gangsterzy. Rosjanie otrzymali vouchery, lecz kontrolę nad gospodarką zdobyli najlepiej poinformowani, najbogatsi i najbardziej bezwzględni gracze. Ogromna większość nie odniosła żadnych korzyści z masowej prywatyzacji.

OLIGARCHOWIE I WŁADZA

Konsekwencją było powstanie klasy oligarchów. Było to specyficzne zjawisko społeczno-polityczne, charakterystyczne dla części państw postkomunistycznych, w których słabe instytucje nie potrafiły oddzielić władzy publicznej od prywatnych interesów. W Rosji zalążki przyszłych fortun powstały jeszcze podczas pierestrojki. Najbardziej przedsiębiorczy korzystali z okazji, jaką stwarzała tolerowana przez Gorbaczowa „gospodarka dwóch prędkości”.

Wciąż dominowały państwowe molochy, ale pozwolono na tworzenie spółdzielni, które były faktycznie prywatnymi firmami. Spółdzielnie kupowały od państwowych molochów towary, surowce i maszyny po stałych, niskich cenach i sprzedawały je na wolnym rynku – wielokrotnie drożej. Kupowały po niskim kursie w banku dolary, sprowadzały z zagranicy samochody, komputery lub dobra luksusowe i sprzedawały po wysokich cenach na rosyjskim rynku. Nowi przedsiębiorcy opanowali te sposoby, a przede wszystkim wiedzieli komu i w jakiej wysokości zapłacić łapówki. Potem mieli pieniądze, by kupować duże pakiety voucherów i zamieniać je na udziały w konkretnych przedsiębiorstwach.

Decydujący okazał się program „pożyczki za akcje” z 1995 roku. Prywatne banki finansowały wydatki niewydolnego państwa, otrzymując w zastaw udziały w największych koncernach naftowych, metalurgicznych i surowcowych. Aukcje organizowano tak, aby zwyciężali uczestnicy związani z Kremlem. Za niewielką część rzeczywistej wartości przejęto między innymi Jukos, Sibnieft i Norylski Nikiel. W zamian nowi właściciele wsparli Borysa Jelcyna w wyborach w 1996 roku. Tak powstał układ, w którym bogactwo dawało władzę polityczną, a polityczne poparcie gwarantowało kolejne majątki.

A W UKRAINIE POWSTAŁY KLANY

W Ukrainie rząd rozdał obywatelom „majątkowe certyfikaty prywatyzacyjne”. Każdy dokument był imienny. Nie można go było legalnie sprzedać, lecz można było wymienić na akcje podczas aukcji albo przekazać funduszowi inwestycyjnemu.

System miał ochronić ludzi przed skupowaniem certyfikatów za grosze, ale nie ochronił. Kilkadziesiąt największych funduszy i trustów przejęło kontrolę nad większością certyfikatów. Miliony Ukraińców zostały formalnie współwłaścicielami narodowego majątku, ale o jego losach decydowała wąska grupa pośredników, dyrektorów i ludzi powiązanych z polityką.

Aukcje na masową skalę rozpoczęły się dopiero w styczniu 1995 roku. Do 1998 roku sprywatyzowano w ten sposób około dziewięciu tysięcy średnich i dużych przedsiębiorstw. Nie powstał sprawny rynek kapitałowy ani skuteczny nadzór właścicielski. Rozdrobnieni akcjonariusze byli bezsilni wobec zarządów, które znały przedsiębiorstwa, kontrolowały informacje i miały polityczne zaplecze oraz dostęp do urzędników państwowych.

Część majątku została wydzierżawiona przez dyrekcje i załogi przedsiębiorstw. Menedżerowie wykupywali je na preferencyjnych warunkach. Sprzedaż atrakcyjnych firm blokowały ministerstwa, parlament i władze regionalne. Strategiczne przedsiębiorstwa pozostały państwowe. Prywatyzacja rozproszyła własność tylko na papierze. W praktyce utorowała drogę układom biznesowo-politycznym i przyszłym oligarchom. Powstały regionalne klany: doniecki oparty na górnictwie i hutnictwie oraz dniepropietrowski, silny w energetyce, finansach i metalurgii.

Oligarchowie, tacy jak Rinat Achmetow, Ihor Kołomojski czy Wiktor Pinczuk, finansowali partie, wprowadzali swoich ludzi do parlamentu i kupowali telewizje. Prezydent Leonid Kuczma utrzymywał równowagę między rywalizującymi grupami, zamiast podporządkować je prawu.

ZA KULISAMI I NA ŚWIECZNIKU

Obywatele Czechosłowacji otrzymywali akcje przedsiębiorstw bezpośrednio lub za pośrednictwem funduszy inwestycyjnych. Pierwsza fala z 1992 roku objęła 1491 firm, dzięki czemu duża część gospodarki przeszła w prywatne ręce. Wadą była dominacja funduszy powiązanych z bankami, co osłabiało prywatny nadzór właścicielski. Czeska prywatyzacja kuponowa otworzyła drzwi do fortun, ale silne sądy, sprawna administracja i perspektywa integracji europejskiej ograniczały możliwość całkowitego zawłaszczenia państwa. Najlepiej pokazuje to historia Petra Kellnera.

Przed 1991 rokiem nie był dyrektorem państwowego kombinatu ani człowiekiem komunistycznej nomenklatury. Ukończył ekonomikę przemysłu, pracował jako asystent produkcji w studiu Barrandov, a po aksamitnej rewolucji sprzedawał kserokopiarki Ricoh. Miał 27 lat, gdy założył PPF, czyli Pierwszy Fundusz Prywatyzacyjny. Nie posiadał wielkiego kapitału. Finansowego wsparcia udzieliła mu państwowa huta szkła Sklo Union. PPF ruszył do walki o kupony obywateli, obiecując, że zamieni je w dochodowe inwestycje. Fundusz kupił udziały w ponad 200 przedsiębiorstwach,

• **Katowice, 22 listopada 1996 rok, kolejka przed punktem wydawania Powszechnych Świadectw Udziałowych w ostatnim dniu ich dystrybucji**
FOT. ELIZA OLEKSY / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Powszechne Świadectwo Udziałowe, które każdy obywatel mógł odebrać za 20 złotych**
FOT. SKARB PAŃSTWA RP / WIKIPEDIA



eprasa.pl b47d9d91db

a następnie przejął kontrolę nad ubezpieczycielem Česká Pojišťovna. To był przełom. Z funduszu uczestniczącego w prywatyzacji powstało międzynarodowe imperium obecne w finansach, telekomunikacji, mediach, nieruchomościach i przemyśle. W 2025 roku jego aktywa wynosiły 42,6 miliarda euro.

Kellner unikał kamer i nie założył partii, lecz utrzymywał bliskie relacje z prezydentami Václavem Klausem i Milošem Zemanem. PPF lobbował za dobrymi stosunkami z Chinami, gdzie rozwijał firmę specjalizującą się w finansowaniu ratalnych zakupów Home Credit. Przejęcie TV Nova zwiększyło także możliwości oddziaływania grupy na debatę publiczną. Jego siła wynikała z połączenia pieniędzy, strategicznych przedsiębiorstw, dostępu do władz i własnych mediów. Nie był oligarchą w stylu rosyjskim czy ukraińskim, ale kimś w rodzaju amerykańskich tycoons – wielkim biznesmenem, którego interesów czescy politycy nie mogli ignorować. Zginął w wypadku helikoptera na Alasce w 2021 roku.

Oligarchą można natomiast nazwać czeskiego premiera Andreja Babiša. Zbudował koncern Agrofert, przejął wpływowe media, stworzył ruch ANO, a następnie objął stanowisko premiera. Kellner wolał oddziaływać zza kulis, poprzez kontakty z władzami i lobbing, natomiast Babiš sam wszedł do polityki, łącząc role miliardera, medialnego potentata i szefa rządu.

Na Słowacji rząd Vladimíra Mečiara rozdawał przedsiębiorstwa biznesmenom związanym z władzą, często finansowanym przez państwowe banki. W Rumunii dawni dyrektorzy, politycy i osoby związane z Securitate wykorzystywali prywatyzację, tworząc kapitalizm klientelistyczny oraz wpływowe imperia medialne.

WAŁĘSA OBIECUJE STO BANIEK

W Polsce prywatyzacja przebiegała inaczej niż w Rosji, Ukrainie czy Czechach. Ustawa prywatyzacyjna została uchwalona 13 lipca 1990 roku, a podpisał ją Wojciech Jaruzelski, który przez większość życia zwalczał kapitalizm. Jeden z artykułów ustawy stwierdzał: „Bony prywatyzacyjne […] są przydzielane nieodpłatnie w równej ilości wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej Polskiej zamieszkałym w kraju".

A więc byliśmy o krok od kuponowej prywatyzacji w wersji rosyjskiej lub co najmniej czeskiej. Nalegał na nią Lech Wałęsa, od grudnia 1990 prezydent Polski. W kampanii wyborczej obiecał przekazanie każdemu dorosłemu Polakowi czeku na 100 milionów złotych, którym można by było zapłacić za akcje przedsiębiorstw lub nieruchomości. Warto pamiętać, że działo się to w warunkach wciąż bardzo wysokiej inflacji, która sprawiała, że pieniądz szybko tracił wartość. Po denominacji, do której doszło 1 stycznia 1995 roku, owe 100 milionów zostało zamienione na 10 tysięcy złotych.

Ale Polacy „czeków" na 100 milionów nie dostali. Wałęsowska obietnica stała się przedmiotem żartów, śpiewał o niej Kazik Staszewski. Janusz Lewandowski, który był dwukrotnie ministrem przekształceń własnościowych – w 1991 roku w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego oraz w latach 1992-93 w rządzie Hanny Suchockiej – zamienił ambitny i nierealny program prywatyzacji bonowej na znacznie skromniejszy program Narodowych Funduszy Inwestycyjnych (NFI).

Państwo utworzyło 15 NFI i przekazało im akcje 512 przedsiębiorstw. Obywatel mógł za 20 złotych odebrać Powszechne Świadectwo Udziałowe, sprzedać je albo wymienić na pakiet zawierający po jednej akcji każdego funduszu. Prywatyzacja miała być szybka, powszechna i sprawiedliwa. Dystrybucja świadectw rozpoczęta w październiku 1995 roku, zakończyła się w listopadzie 1996. NFI mogły posiadane akcje spółek sprzedawać, dokonywać fuzji lub – co się często zdarzało – likwidować, przejmując pozostawiony majątek.



• **Twórcy polskiej transformacji, minister finansów Leszek Balcerowicz i minister przekształceń własnościowych Janusz Lewandowski, zdjęcie z 1991 roku**

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

ACH, GDYBYM WÓWCZAS SPRZEDAŁ...

Wprawdzie za ówczesne 20 złotych można było kupić tyle, ile za dzisiejsze 80 złotych, ale i tak szału nie było. Mimo to świadectwa przez krótki czas stały się ulubioną lokatą wielu inwestorów giełdowych. Jednym z nich był Piotr Kuczyński, dziś znany analityk finansowy Domu Inwestycyjnego Xelion.

– Z wykształcenia jestem inżynierem elektronikiem, a finansami zajmuję się od 1993 roku – mówi Kuczyński. – We wrześniu 1993 roku kupiłem akcje Sokołowa. Straciłem 700 złotych i zrozumiałem, że to nie jest takie proste. Po pierwszej stracie zmądrzałem i mówię to każdemu – niewielka strata się przydaje, żeby zrozumieć, że na giełdzie nie zawsze wygrywamy. Cztery-pięć lat byłem aktywnym inwestorem, mając linię kredytową – 150 procent kapitału własnego. Super sukcesów nie miałem, czasami utrzymywała mnie żona. Na giełdzie tak naprawdę najważniejsze jest szczęście. Kupowałem trochę akcji i czekałem, czy będą rosły. Jak rosły, kupowałem więcej. Dzięki temu miałem zyski, choć nieduże i nie ponosiłem strat. Po kilku latach mój apetyt na ryzyko się stępił i ograniczyłem się do pasywnego inwestowania. W 1995 roku dostałem od rodziny kilka świadectw udziałowych – sześć, może siedem. Za mało, żeby można było dużo zarobić. Byli wówczas inwestorzy, którzy masowo kupowali świadectwa bezpośrednio od ludzi. Płacili za nie 40 zł, więc dla sprzedającego zysk wynosił 100 proc., a konkretnie 20 zł. Ja kupowałem i sprzedawałem na giełdzie.

W czerwcu 1996 roku świadectwa zostały zdematerializowane – papierowy dokument zastąpił elektroniczny zapis w domu maklerskim. Miesiąc później rozpoczęły się notowania giełdowe. Pierwszy kurs giełdowy wyniósł 104 złote za jedno świadectwo, a szczyt nastąpił pod koniec lutego 1997 roku.

– Doskonale to pamiętam – cena świadectwa doszła do 175 zł – kontynuuje opowieść Piotr Kuczyński. – Jak ktoś dobrze trafił, mógł sporo zarobić. Ja niestety, przegapiłem okazję. Miałem ponad 1000 świadectw. Gdybym wówczas sprzedał, miałbym zysk 9000 zł. A tak cały zysk z obrotu świadectwami wyzerowałem.

Kurs zaczął spadać. Najniższy poziom – 52 zł – odnotowano 19 października 1998 roku, a ostatnia sesja z udziałem świadectw odbyła się 28 grudnia 1998 roku.

POD BANKAMI, W KANTORACH I NA ULICY

Małe transakcje zawierano w rodzinach, przed bankami, w kantorach i bezpośrednio na ulicy. Sprzedający podpisywał dokument, otrzymywał banknoty, a nabywca dokładał kolejną sztukę do pakietu. Nie istniał obowiązek przeprowadzania takich operacji na giełdzie. Rynek był więc płynny, ale mało przejrzysty. Nazwisk większości prywatnych skupujących nie sposób dziś ustalić, ponieważ transakcji nie rejestrowano w publicznej bazie. Przypisywanie zakupu wielkich pakietów znanym polskim biznesmenom bez dokumentów jest zatem ryzykowne.

Skalę detalicznego handlu dobrze pokazuje badanie CBOS z grudnia 1996 roku. Świadectwa zatrzymało wówczas 47 procent respondentów. Pozostali sprzedawali je obcej osobie, w banku, kantorze albo krewnym; część przekazywała dokument bliskim bezpłatnie. Szczególnie często sprzedawali ludzie najubożsi, bezrobotni, mieszkańcy wsi oraz osoby z niższym wykształceniem. Dla nich odległa perspektywa akcji NFI przegrywała z rachunkiem za prąd lub codziennymi zakupami.

Nawet aktywniejsi drobni inwestorzy nie budowali wielkich portfeli. Spośród osób, które zachowały świadectwo, 13 procent posiadało więcej niż jedno, ale zazwyczaj nie więcej niż pięć. W próbie CBOS tylko jeden respondent zgromadził 50 świadectw.

Do 1998 roku swoje świadectwa sprzedało około 12 milionów osób, a blisko trzy miliony trafiły do inwestorów zagranicznych. Największym ujawnionym nabywcą był nowojorski dom inwestycyjny Arnhold and S. Bleichroeder. Zgromadzony przez niego portfel miał po wymianie zapewniać prawie 5 procent akcji każdego z piętnastu NFI. Była to już inwestycja pozwalająca nie tylko liczyć na wzrost kursu, ale również wpływać na głosowania akcjonariuszy.

Duże pakiety zgromadziły także PZU, Bank Pekao SA oraz PKO BP. Ten ostatni był jednocześnie dystrybutorem świadectw, pośrednikiem i nabywcą. W listopadzie 1998 roku prezes PKO BP Andrzej Topiński informował o wstrzymaniu skupu, ponieważ bank chciał policzyć posiadany portfel.

PLUSY DODATNIE, PLUSY UJEMNE

W 1997 roku Radio Maryja ogłosiło akcję ratowania bankrutującej Stoczni Gdańskiej. Zaapelowało do słuchaczy o pieniądze i Powszechne Świadectwa Udziałowe, które miały zasilić stocznię. Dla wielu słuchaczy była to nie tylko zbiórka, lecz patriotyczny gest solidarności z kolebką „Solidarności" i pracownikami zagrożonymi utratą zatrudnienia w stoczni. Na udostępnione przez rozgłośnię subkonto wpłynęło ponad 7 milionów złotych. Komitet zebrał też około tysiąca świadectw. Zdematerializowano je za pośrednictwem rachunku Radia Maryja. Do ratowania stoczni jednak nie doszło. Rozgłośnia umożliwiła darczyńcom odzyskanie wpłat i świadectw po okazaniu dowodów, lecz część osób pozostawiła pieniądze Radiu. Trafiły na giełdę i były inwestowane, między innymi w akcje późniejszego bankruta ESPEBEPE (Szczecińskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego). Zbiórkę badali śledczy, ale prokuratorzy różnych szczebli odmawiali wszczęcia postępowania.

Z dzisiejszej perspektywy program NFI można uznać za potrzebną, lecz źle wykonaną próbę szybkiego sprywatyzowania setek przedsiębiorstw w warunkach niedostatku krajowego kapitału. Jego zaletami były: przyspieszenie zmian właścicielskich, włączenie milionów obywateli do prywatyzacji, rozwój giełdy oraz znalezienie prywatnych inwestorów dla wielu państwowych zakładów. Minusy okazały się jednak poważne – rozmyta odpowiedzialność właścicielska, wysokie wynagrodzenia zarządzających, nieprzejrzyste transakcje, liczne bankructwa i niewielkie korzyści finansowe dla posiadaczy świadectw, co potwierdzała Najwyższa Izba Kontroli.

Nie są dokładnie opisane losy 512 przedsiębiorstw włączonych do programu NFI. Można szacować, że działa dziś połowa ich bezpośrednich następców. Żaden z 15 funduszy nie funkcjonuje już formalnie jako NFI, ale po połączeniach, zmianach nazw i profilu działalności jest kilku ich następców prawnych, między innymi notowane na giełdzie: Magna Polonia, Octava, Imperio ASI, BBI Development, MDI Energia i Novavis Group.

Polska prywatyzacja nie stworzyła klasy oligarchów zdolnej rządzić państwem, lecz wyłoniła pojedynczych potentatów działających na pograniczu biznesu i polityki, jak Zygmunt Solorz czy Jan Kulczyk.

UWŁASZCZENIE SZEROKIE, NIE BEZ WAD

Mimo braku wielkiego programu masowej prywatyzacji miliony Polaków w różny sposób i w różnym stopniu uwłaszczyło się na majątku państwowym. Nie był to jeden spektakularny akt, lecz rozciągnięty na lata proces. Jego skala pozostaje niedoceniana, ponieważ nie da się go opisać jedną ustawą ani zestawić w jednej tabeli.

Jedną z najważniejszych dróg była prywatyzacja bezpośrednia, nazywana początkowo likwidacyjną. Przedsiębiorstwo państwowe formalnie likwidowano, a jego majątek sprzedawano, wnoszono do spółki albo oddawano do odpłatnego korzystania. Często spółkę tworzyli dyrektorzy i pracownicy. Tak powstawały przedsiębiorstwa pracownicze, spłacające wartość przejętego zakładu w ratach. Załoga nie dostawała fabryki za darmo, lecz otrzymywała szansę przejęcia firmy bez kapitału, którym na początku transformacji prawie nikt nie dysponował. Nie wszystkie takie spółki przetrwały. Część nie potrafiła inwestować, inne przegrywały konkurencję, ale wiele stało się zalążkiem prywatnego biznesu.

Pracownicy korzystali również z prywatyzacji kapitałowej. Po przekształceniu przedsiębiorstwa w spółkę mogli nieodpłatnie objąć część jego akcji, z czasem nawet do 15 procent pakietu należącego do skarbu państwa. Dawało im to udział we własności, choć najczęściej nie zapewniało wpływu na zarządzanie. Wielu szybko sprzedawało akcje, wybierając natychmiastowy dochód, zamiast ryzyka długoterminowej inwestycji.

Jeszcze szerszy był oddolny przepływ drobnego majątku. Prywatni przedsiębiorcy za pół darmo kupowali lub dzierżawili sklepy, lokale usługowe, magazyny, samochody, maszyny i wyposażenie upadających zakładów. Te niepozorne transakcje dostarczyły tysiącom firm pierwszych lokali i narzędzi. Państwowe zasoby, zwykle źle wykorzystywane, zaczęły pracować w handlu, usługach i produkcji.

Najbardziej powszechne uwłaszczenie dokonało się poza przedsiębiorstwami. Gminy i zakłady sprzedawały najemcom mieszkania z wysokimi bonifikatami, niekiedy sięgającymi 90-95 proc. wartości. Dotyczyło to także mieszkań zakładowych oraz lokali w osiedlach po likwidowanych PGR-ach. Dla wielu rodzin był to pierwszy znaczący składnik prywatnego majątku. Mieszkanie można było sprzedać, przekazać dzieciom albo wykorzystać jako zabezpieczenie kredytu. Proces ten przyspieszył rozwój przedsiębiorczości i stworzył prywatny majątek klasy średniej. Polskie uwłaszczenie było zatem szerokie – demokratyzowało własność, choć nie zapewniało równego dostępu do prywatyzowanego majątku. ●

eprasa.pl b47d9d91db

Okruchy historii

Rumuńska akcja „Wisła”

„Czym jest wolność?”, rumuński film Andrei Zinca powinien być lekturą obowiązkową wszystkich badaczy środkowoeuropejskiego stalinizmu.

Motyka



To przejmująca opowieść o deportowanych wprost z weselnych uroczystości na pustynną równinę Baragan. W skrajnie niesprzyjających warunkach na życie obok siebie skazano kilka różnych rodzin: jedna miała niemieckie korzenie, głową drugiej był prawosławny duchowny, „winą” kolejnej była przynależność do kułaków, czyli warstwy bogatszych chłopów. Panoramę filmowych postaci uzupełnia filolożka zafascynowana „burżuazyjnym” językiem francuskim, której towarzyszy mąż wierzący w komunistyczne ideały oraz przedsiębiorczy kolejarz pakujący się w kolejne kłopoty.

Żeby przetrwać, wysiedleńcy musieli zbudować prymitywne szałasy, a później domki z gliny. Nędzne pożywienie zapewniły im kozy kupione od wędrujących pasterzy za naprędce zabraną z domów biżuterię. Wzajemna solidarność pozwoliła osadzonym przeżyć kolejne lata, choć tęsknoty za utraconym światem akademickim nie wytrzymała romanistka. „To nasza Syberia, to nasz koniec” – zawyrokowała załamana już w pierwszą noc spędzoną na miejscu zsyłki. Wiary w komunizm nie utracił natomiast jej mąż, który sam siebie przekonał do słuszności partyjnego planu zagospodarowania niegościnnego regionu rękami deportowanych. Stało się to do tego stopnia jego idee fixe, że informacja o amnestii zamiast radości wywołała w nim irracjonalny gniew.

Scenariusz filmu powstał na podstawie opowiadania „Projekty przeszłości” wybitnej rumuńskiej poetki Any Blandiany, która sama przeżyła komunistyczne represje. Głęboko przekonana o konieczności upamiętnienia ofiar reżimu zajęła się jedną z najczarniejszych kart stalinizmu. Bo deportacja na równinę Baragan faktycznie miała miejsce. Wobec narastającego konfliktu między Stalinem a Tito rumuńska rada ministrów 15 marca 1951 roku przyjęła uchwałę nr 344 o oczyszczeniu ziem pogranicznych z Jugosławią ze wszystkich „niepożądanych elementów”, rzekomo „zagrażających budowie socjalizmu w Rumuńskiej Republice Ludowej”. Chodziło w pierwszej kolejności o osoby należące do serbskiej, węgierskiej i niemieckiej mniejszości narodowej oraz o najbogatszych rolników.

W prawosławne Święto Zesłania Ducha Świętego nocą z 17 na 18 czerwca 1951 roku w trybie nagłym wyciągnięto z domów ponad 40 tysięcy ludzi bez patrzenia na ich wiek i płeć, po czym wywieziono na bezludzie Baraganu. Zostali tam osadzeni w wioskach widmach, czyli na kawałku stepu, na którym sami musieli zbudować sobie domy z gliny, błota i słomy, czyli z tego, co było pod ręką. Nawet na tym odosobnieniu deportowani nieustannie odczuwali ścisły nadzór słynnej tajnej policji politycznej – Securitate. Pod groźbą kary nie wolno im się było oddalać na więcej niż 15 km od miejsca osadzenia. Dopiero w 1956 roku pozwolono deportowanym powrócić do rodzinnych miejscowości, lecz nie do skonfiskowanych domów, bo w nich żyli już nowi mieszkańcy. Władze komunistyczne wykorzystywały Baragan także później – wysyłano tam na przymusowe osadzenie zwolnionych z aresztów więźniów politycznych. Nic dziwnego, że Baragan do dziś często jest nazywany „rumuńską Syberią”.

Wzorem dla wywózki w 1951 roku były sowieckie deportacje narodowościowe, ale nie tylko. Rumuńscy komuniści mogli się też odwoływać do przymusowych wysiedleń Węgrów w Czechosłowacji (osadzano ich przymusowo w Sudetach) oraz polskiej akcji „Wisła”. Przyjrzenie się tym wypadkom represji pokazuje dobitnie, że przymusowe migracje były częścią stalinowskiej polityki narodowościowej, a nie żadnym wypadkiem przy pracy czy też jedynym możliwym sposobem na zduszenie zbrojnego oporu. W liberalno-demokratycznych państwach nawet wobec najbardziej nieufnych obywateli prowadzi się politykę przekonywania i negocjowania wspólnych interesów i wartości. Tymczasem w stalinowskiej wizji priorytetem była brutalna anihilacja wybranych grup społecznych, arbitralnie uznanych za wrogie i pasożytnicze.

Jak pokazuje przykład filmu „Czym jest wolność?”, w Rumunii uznano zbrodniczość deportacji, nie patrząc na to, że uzasadniano je narodową retoryką. W Polsce, czego dowodem są spory o akcję „Wisła”, niestety wciąż znajdują się osoby, które gotowe są w imię nacjonalistycznych ideałów usprawiedliwić oczywiste komunistyczne zbrodnie. ●

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

Historia krzepi

Pokonanie endecji warte mszy

Po zamachu majowym Piłsudski poprawił stosunki z Kościołem katolickim, który wspierał obóz Dmowskiego.

Nałęcz



Szybko wygasło zainteresowanie zamachem majowym wywołane jego setną rocznicą. A przecież był on tylko wstępem do walnej rozprawy, którą marszałek Józef Piłsudski, ruszając z wojskiem na Warszawę, wydał Narodowej Demokracji i jej wizji Polski, zdominowanej przez etnicznych Polaków i spojonej nacjonalizmem. Wierzył bowiem święcie, że odrodzone państwo będzie silne i bezpieczne tylko wtedy, kiedy wszyscy jego obywatele będą korzystać z takich samych praw, bez zważania na to, jakim kto mówi językiem, jaką religię wyznaje, jakiej jest płci i jakie ma przekonania.

Piłsudski wiedział, że nawet po zwycięstwie czeka go trudna walka. Ścierał się przecież z endekami i ich liderem Romanem Dmowskim od ćwierć wieku, ponosząc więcej porażek niż sukcesów. Dlatego po przejęciu władzy odrzucił forsowany przez lewicowych sprzymierzeńców plan rozwiązania parlamentu i przeprowadzenia wyborów. Bał się wygranej endecji. Wolał pójść drogą systematycznego podcinania korzeni jej wpływów.

Ku oburzeniu lewicowych sprzymierzeńców sam obsadził się w roli protektora warstw posiadających, chroniących się do tej pory pod skrzydłami endeków. Tym odwróceniem sojuszy pozbawił obóz Dmowskiego części pieniędzy, bez których trudno uprawiać politykę.

Drugi manewr polegał na poprawie stosunków z hierarchami bardzo wpływowego w społeczeństwie Kościoła katolickiego, mocno wspierającymi endeków. Dość powiedzieć, że czołowi dostojnicy: biskup krakowski Adam Sapieha i arcybiskup lwowski Józef Teodorowicz, zostali w 1922 roku senatorami z listy endeckiej. Wiernych sojuszników miała też endecja w duchowieństwie parafialnym, agitującym za nią z ambon.

Wedrzeć się do tej twierdzy nie było łatwo. Wyłomu w jej murach Piłsudski dokonał, wykorzystując dobre relacje, które w latach 1918-1921 miał jako naczelnik państwa z nuncjuszem apostolskim w Warszawie Achillesem Rattim, od 1922 roku papieżem Piusem XI. Zaraz po zamachu majowym przekazał dyskretnie do Rzymu zapewnienie, że będzie przestrzegał zawartego przez endeków w 1925 konkordatu, a pozycja Kościoła nie dozna uszczerbku. Na reakcję nie czekał długo. Już 26 maja 1926 roku prasa katolicka poinformowała: „W dniu wczorajszym premier Bartel odwiedził kardynała Aleksandra Kakowskiego, który powrócił z Rzymu. Wizyta trwała blisko godzinę. Dowiadujemy się, że kardynał A. Kakowski przywiózł błogosławieństwo papieskie dla marszałka Piłsudskiego i dla rządu p. Bartla”.

W czerwcu 1926 nowym arcybiskupem gnieźnieńskim i prymasem Polski na miejsce zmarłego w lutym kardynała Edmunda Dalbora został biskup katowicki August Hlond, stroniący od polityki, zwłaszcza w jej agresywnym, endeckim wydaniu. W sierpniu 1926 roku zgodnie z nauczaniem Piusa XI obradował w Warszawie zjazd świeckich katolików, na którym zdecydowano o organizowaniu życia społecznego poza strukturami partyjnymi, co rzecz jasna najmocniej godziło w endecję. Zwieńczyło te działania na początku grudnia 1926 roku publiczne zapewnienie prymasa Hlonda o lojalności Kościoła wobec władz państwowych.

W odpowiedzi 9 grudnia 1926 ukazało się rozporządzenie ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego wprowadzające obowiązkową naukę religii katolickiej dla uczniów tego wyznania we wszystkich szkołach powszechnych, średnich ogólnokształcących oraz seminariach nauczycielskich. Zobowiązywało też ono uczniów do uczestniczenia w życiu religijnym pod kontrolą nauczycieli. Rozszerzało to postanowienia konkordatu i zwiększało wpływ Kościoła na życie szkoły i wychowanie młodzieży.

Pikanterii sprawie dodawał fakt, że wspomnianym ministrem był Kazimierz Bartel, od października 1926 wicepremier w rządzie Piłsudskiego, wolnomyśliciel i mason, wcześniej zwolennik rozdziału Kościoła i państwa, ostro zwalczany przez biskupów i endecję. Oczywiście działał z polecenia Piłsudskiego, który jak kiedyś król Henryk IV doszedł do wniosku, że pokonanie endecji warte jest mszy.

Kościół przestał być wiernym sojusznikiem endecji. Na własną rękę nadal wspierało ją wielu duchownych, ale nie przeważało to już szal wielkiej polityki.

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

eprasa.pl b47d9d91db

Grzechotnik na wojnie kulturowej

Znaleziona u sprawcy zamachu w Krakowie flaga z wężem, wymyślona na potrzeby amerykańskiej rewolucji, współcześnie służy za emblemat skrajnej prawicy.



Robert Stefanicki

W mieszkaniu Michała Oksińskiego, który 7 listopada zastrzelił w centrum Krakowa sześć osób i zranił 15, a wcześniej zabił swoich rodziców i siostrę, śledczy znaleźli żółtą flagę przedstawiającą zwiniętego, gotowego do ataku grzechotnika, z napisem „Don't Tread on Me", czyli „Nie depcz mnie". Czy może to pomóc w ustaleniu poglądów i motywacji sprawcy?

Twórcą flagi był Christopher Gadsden (1724-1805) – generał brygady armii kontynentalnej, delegat Karoliny Południowej na Kongres Kontynentalny oraz lider organizacji Sons of Liberty (Synowie Wolności) w Charleston. Obie te instytucje odegrały istotną rolę w walce o wyzwolenie amerykańskich kolonii spod władzy korony brytyjskiej.

Synowie Wolności to tajna organizacja powstała w 1765 roku w proteście przeciwko podatkowi stemplowemu, który Londyn nałożył na kolonie. Hasło ruchu brzmiało: „No taxation without representation" (Żadnego opodatkowania bez reprezentacji w parlamencie). To właśnie członkowie tej grupy przebrani za Indian zorganizowali w grudniu 1773 roku słynną herbatkę bostońską, wrzucając do morza ładunek herbaty należący do Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Drugi Kongres Kontynentalny rozpoczął obrady w maju 1775 roku, już po wybuchu pierwszych starć zbrojnych, i przejął funkcje rządu narodowego. Powołał armię z George'em Washingtonen na czele. Stworzył też marynarkę oraz Korpus Piechoty Morskiej mający przechwytywać brytyjskie statki z zaopatrzeniem dla wojska. Christopherowi Gadsdenowi, który zasiadał w komitecie nadzorującym wyposażenie tej eskadry, przypisuje się zaprojektowanie żółtego sztandaru dla pierwszego dowódcy floty, komodora Eseka Hopkinsa.

W tym czasie w Filadelfii werbownicy piechoty morskiej nosili żółte bębny z namalowanym grzechotnikiem i napisem: „Don't Tread on Me", co najprawdopodobniej zainspirowało Gadsdena.

SYMBOL DUCHA AMERYKI

Wybór grzechotnika na symbol jedności, oporu i odrębności amerykańskich kolonii wobec Starego Świata nie był przypadkowy. Tego gada można znaleźć wyłącznie w Ameryce. Ćwierć wieku wcześniej Benjamin Franklin – jeden z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, uwieczniony na banknocie studolarowym – po raz pierwszy wspomniał o grzechotniku w satyrycznym komentarzu opublikowanym w „The Pennsylvania Gazette". Ponieważ brytyjski parlament nakazał wysyłać skazanych przestępców do kolonii w Ameryce Północnej, Franklin zasugerował, aby Amerykanie w zamian wysyłali grzechotniki do Wielkiej Brytanii.

W 1754 roku Franklin zamieścił na tych samych łamach drzeworyt przedstawiający węża pociętego na osiem części symbolizujących kolonie, z podpisem: „Join, or Die" (Połącz się albo zgiń), które początkowo odnosiło się do zjednoczenia przeciwko Francuzom i Indianom, a później zostało hasłem rewolucji. Było to nawiązanie do ludowej legendy, jakoby przecięty wąż mógł ożyć, jeśli jego części zdążą się połączyć przed zachodem słońca.

W grudniu 1775 roku Franklin opublikował w „Pennsylvania Journal" esej, w którym przekonywał, że grzechotnik to doskonały symbol ducha amerykańskiego. Gad jest czujny, bo nie ma powiek i nigdy nie zamyka oczu. Nie atakuje pierwszy i się nie poddaje, gdy już podejmie walkę. Zawsze ostrzega przed atakiem, dając przeciwnikowi szansę na wycofanie się. Ma na ogonie 13 grzechotek – tyle, ile jest zbuntowanych kolonii. Grzechotki te są różne i niezależne od siebie, a zarazem mocno połączone, tak że nie da się ich rozdzielić inaczej niż przez zniszczenie. Podobnie kolonie osobno nie znaczą wiele, lecz razem zyskują siłę i respekt.

Grzechotnik „niezorientowanym wydaje się najbardziej bezbronnym ze zwierząt – kontynuował polityk. – Broń, którą obdarzyła go natura, skrywa w podniebieniu, jakby obawiał się prowokowania walki. Nawet obnażona, wydaje się słaba i godna pogardy. Jednak rany, jakie zadaje, chociaż niewielkie, są śmiertelne. Świadomy tego, zanim zrani, zawsze daje wyraźny sygnał, także swojemu wrogowi, ostrzegając przed niebezpieczeństwem, jakie spowoduje nadepnięcie go. Czyżbym się mylił, będąc przeświadczonym, że jest to wyraźny obraz temperamentu i zachowania Ameryki?".

ORZEŁ POKONAŁ WĘŻA

Nie był to odosobniony przypadek, gdy zwierzę ucieleśniało rewolucyjny etos. Walczące o wyzwolenie spod panowania hiszpańskiego narody w Andach uczyniły symbolem wolności kondora – potężnego ptaka potrafiącego wznieść się ponad najwyższe szczyty. Afrykańskie ruchy wyzwoleńcze brały na sztandary słonia, lamparta, antylopę. Zwierzęciem najpowszechniejszym w heraldyce europejskiej był orzeł, wykorzystywany zarówno przez imperia, jak i tych, którzy pragnęli się spod ich jarzma wyzwolić. W kontrze do czarnego, dwugłowego orła rosyjskiego polscy powstańcy i konspiratorzy przedstawiali go jako białego, jednogłowego ptaka z szeroko rozłożonymi skrzydłami, a gdy po II wojnie światowej władze komunistyczne usunęły koronę z godła państwowego, jednym z symboli podziemia antykomunistycznego stał się przedwojenny wzorzec orła.

Ostatecznie na awersie Wielkiej Pieczęci – oficjalnego symbolu Stanów Zjednoczonych, pełniącego funkcję godła – znalazł się bielik amerykański trzymający w szponach gałązkę oliwną i strzały, co miało ucieleśniać wolność, siłę i czujność. Dlaczego nie grzechotnik? Powodów było kilka. Ojcowie założyciele i inni członkowie komisji heraldycznej byli wykształceni w kulturze antycznej. Orzeł od tysiącleci – począwszy od starożytnego Egiptu, przez rzymskie legiony, aż po europejskie imperia – był uniwersalnym symbolem potęgi, suwerenności i władzy. Większość nowo powstających państw dążyła do tego, aby ich godło wyglądało dostojnie na dyplomatycznych dokumentach. Orzeł spełniał te kryteria idealnie. Tymczasem grzechotnik, choć świetnie sprawdzał się jako symbol buntu, to w powszechnej świadomości budził lęk i odrazę. Tradycja chrześcijańska kojarzy go z szatanem, podstępem, grzechem i fałszem. Wielu purytańskich obywateli uznałoby umieszczenie grzechotnika w godle za niestosowne, wręcz bluźniercze.

Sam Benjamin Franklin w liście z 1784 roku do swojej córki Sarah wyraził niezadowolenie z wyboru bielika. „To ptak o złych obyczajach moralnych, nie zarabia na życie uczciwie. Widziałaś go bowiem siedzącego na martwym drzewie, gdzie, zbyt leniwy, by samemu łowić ryby, obserwuje pracę rybołowa, który po trudnym pościgu wyciąga zdobycz z wody, a gdy ten ptak w końcu ją niesie, bielik rusza za nim, odbiera mu ją przemocą i sam zjada".

eprasa.pl b47d9d91db



Beniamin Franklin pisał, że grzechotnik to doskonały symbol ducha amerykańskiego. Jest czujny, bo nie ma powiek i nigdy nie zamyka oczu. Nie atakuje pierwszy i się nie poddaje, gdy już podejmie walkę. Zawsze ostrzega przed atakiem, dając przeciwnikowi szansę na wycofanie się

Franklin zdawał się sugerować, że pod względem moralnym bielik przypomina raczej europejskich monarchów żyjących z pracy poddanych niż uczciwego amerykańskiego republikanina, a ponadto ptak ten bywa tchórzliwy i łatwo daje się przepędzić przez znacznie mniejszego ptaszka zwanego – nomen omen – tyranem. Franklin w godle wolałby... indyka, równie rdzennego dla Ameryki, którego uważał za bardziej odważnego i pracowitego.

CZY TA FLAGA ŁAMIE KONSTYTUCJĘ?

Grzechotnik zyskał swoje drugie polityczne życie w latach 70. XX wieku, kiedy to ruch libertariański wyciągnął z lamusa flagę Gadsdena jako symbol indywidualizmu, wolnego rynku, prawa do posiadania broni i ograniczenia władzy rządu federalnego. Była ona równie naturalnym wyborem dla powołanej w 2009 roku frakcji Tea Party – prekursora MAGA i ery Donalda Trumpa, której nazwa wprost nawiązuje do herbatki bostońskiej.

Żółta flaga z wężem zaczęła się też pojawiać na marszach skrajnej prawicy, np. na proteście przeciwko usunięciu pomnika generała Konfederacji Roberta E. Lee w Charlottesville w 2017 roku, gdzie doszło do zamieszek i staranowania kontrmanifestantów samochodem. Flagę Gadsdena widziano w tłumie szturmującym Kapitol 6 stycznia 2021 roku, po przegranych przez Trumpa wyborach.

Kilka razy zajmowały się nią sądy. W 2016 czarnoskóry pracownik poczty federalnej złożył skargę, twierdząc, że noszenie przez jego współpracownika czapki z flagą Gadsdena tworzy „wrogie środowisko pracy” o podłożu rasowym. Argumentował, że Christopher Gadsden był właścicielem niewolników, a flaga została współcześnie przejęta przez grupy białych suprematystów. W odpowiedzi Federalna Komisja ds. Równych Szans w Zatrudnieniu (EEOC) stwierdziła, że flaga powstała w kontekście wojny o niepodległość i sama w sobie nie jest symbolem rasistowskim. Jednocześnie komisja uznała, że w pewnych okolicznościach, np. w połączeniu z innymi zachowaniami, jej eksponowanie może być badane pod kątem nękania w miejscu pracy. Niektórzy krytykowali to orzeczenie jako groźny precedens ograniczający ekspresję polityczną w pracy.

Druga głośna sprawa rozegrała się w Colorado Springs. W sierpniu 2023 roku 12-letni uczeń został wyprowadzony z lekcji z powodu naszywek na plecaku, wśród których znajdowała się flaga Gadsdena. Przedstawiciele szkoły argumentowali, że symbol może być kojarzony z niewolnictwem. Sprawa wywołała ogólnokrajową dyskusję o granicach wolności słowa w szkołach i trafiła do sądu federalnego. W kwietniu 2025 roku sędzia odrzucił wniosek szkoły o oddalenie pozwu zarzucającego jej naruszenie pierwszej poprawki (zapewnia wolność religii, słowa, prasy, petycji i zgromadzeń), nie przesądził jednak, czy doszło do pogwałcenia konstytucyjnych praw ucznia.

BROŃ MAGA W WALCE Z WOKE

W niektórych amerykańskich stanach i miastach władze zakazały wywieszania flagi Gadsdena na budynkach publicznych i pojazdach służbowych, uznając ją jako symbol partyjny lub potencjalnie konfliktogenny w środowisku zróżnicowanym etnicznie. Z drugiej strony kilkanaście stanów oferuje tablice rejestracyjne z tym wzorem, a dochód z ich sprzedaży wspiera lokalne organizacje patriotyczne lub weteranów. Grzechotnik Gadsdena i hasło „Don’t Tread on Me” były oficjalnymi motywami na strojach i gadżetach reprezentacji USA w piłce nożnej podczas mistrzostw świata w 2006 i 2010 roku.

W 2002 roku Marynarka Wojenna USA zastąpiła US Naval Jack (tradycyjny proporzec podnoszony na dziobie wszystkich okrętów podczas postoju) proporcem First Navy Jack, który jest wersją flagi Gadsdena – przedstawia węża z tym samym mottem „Don’t Tread on Me” na tle 13 biało-czerwonych pasów. Decyzję tę zmieniono w 2019 roku, pozostawiając First Navy Jack jedynie na najstarszym okręcie w czynnej służbie. Konserwatywni publicyści i politycy skrytykowali to jako ustępstwo wobec poprawności politycznej.

W środowisku MAGA postuluje się pełną rehabilitację symboliki okresu rewolucji jako elementów amerykańskiego patriotyzmu. W istocie jest to broń w wojnie kulturowej z lansowanym przez lewicę zjawiskiem woke (przebudzenia), którego ważną częścią są rewizjonizm historyczny w duchu postępowym oraz programy różnorodności, równości i inkluzywności w siłach zbrojnych i instytucjach federalnych, tak znienawidzone przez Donalda Trumpa i jego otoczenie.

Przeciwnicy flagi Gadsdena podważali jej uniwersalny, wolnościowy przekaz, zwracając uwagę, że jej projektant był zamożnym plantatorem i kupcem posiadającym niewolników, a nawet zarządzał nabrzeżem swego imienia w Charleston, przez które przeszły dziesiątki tysięcy zniewolonych Afrykanów. Dla drugiej strony takie podejście stanowi naganny przykład prezentyzmu, czyli oceniania historycznych postaci przez pryzmat współczesnych norm. W końcu niewolników mieli również George Washington i inni ojcowie założyciele.

• Grupa zwolenników Tea Party przed Kapitolem w Waszyngtonie w czasie kampanii przed wyborami połówkowymi w listopadzie 2010 roku. Uczestnicy wiecu obok flagi Stanów Zjednoczonych eksponują historyczną flagę Gadsdena

FOT. PAP/EPA/JIM LO SCALZO

SOSNA I APEL DO NIEBIOS

Zawieszenie flagi Gadsdena we własnym mieszkaniu nie musi świadczyć o wyznawaniu konkretnej ideologii. Tak jak założenie koszulki z Mao Zedongiem nie dowodzi automatycznie popierania ideologii i zbrodni maoizmu, lecz jest jedynie demonstracją popkulturowego buntu. A wymachiwanie flagą Konfederacji na Pikniku Country w Mrągowie to zwykle tylko manifest sympatii dla kultury amerykańskiej.

Poza USA flagi z wężem pojawiały się podczas manifestacji prawicowych zwolenników Javiera Mileia i Jaira Bolsonaro w Argentynie i Brazylii, ale też w zmodyfikowanej formie – w barwach niebiesko-żółtych – jako symbol oporu Ukrainy przeciwko rosyjskiej inwazji.

Kilka innych symboli historycznych budzi współcześnie podobne spory. W okresie, w którym powstała flaga Gadsdena, zbuntowani koloniści w Massachusetts wybrali na banderę dla swoich okrętów patrolujących wybrzeże Nowej Anglii wizerunek białej sosny opatrzony napisem „An Appeal to Heaven” (Apel do niebios). Hasło pochodzi z „Dwóch traktatów o rządzie” filozofa Johna Locke’a, który pisał, że gdy władza staje się tyrańska, a na ziemi nie ma już sprawiedliwego sędziego, ludowi pozostaje jedynie odwołać się do Boga. Wybór sosny też był celowy. Z pni tych drzew budowano maszty dla brytyjskiej Royal Navy i Londyn zakazał wycinki najlepszych okazów w innym celu. Umieszczenie sosny na fladze było więc atakiem na ekonomiczny monopol metropolii i deklaracją: nasze zasoby należą do nas.

Przez ponad dwa stulecia flaga ta była traktowana wyłącznie jako zabytek z czasów rewolucji, lecz w ostatniej dekadzie liderzy ruchu chrześcijańskiego nacjonalizmu zaadaptowali ją jako symbol dążenia do oparcia prawa USA na zasadach biblijnych. Machali nią też uczestnicy zamieszek na Kapitolu z 2021 roku.

W 2024 roku „The New York Times” ujawnił, że sosnowa flaga powiewała przed letnim domem sędziego Sądu Najwyższego USA Samuela Alito w New Jersey. Wywołało to żądania wyłączenia sędziego z orzekania w sprawach dotyczących kwestionowanych przez Donalda Trumpa wyborów z 2020 roku i jego immunitetu. Alito odmówił, tłumacząc, że flagę wywiesiła jego żona z pobudek patriotycznych i religijnych. Co znamienne, tuż po tej aferze władze San Francisco usunęły flagę „Appeal to Heaven” sprzed ratusza, gdzie wisiała nieprzerwanie od 1964 roku, podczas gdy sąsiednią flagę Gadsdena pozostawiono na maszcie.

ZAKAZANY KRZYŻ POŁUDNIA

Jeszcze bardziej kontrowersyjny jest Krzyż Południa, czyli „flaga Konfederacji”, która oryginalnie była sztandarem bojowym Armii Północnej Wirginii. W przeciwieństwie do flag z wężem czy sosną symbolizuje bunt nie przeciwko zewnętrznej tyranii, lecz przeciw rządowi Stanów Zjednoczonych, w obronie niewolnictwa. Jej ponowna popularność w XX wieku wiązała się bezpośrednio z działalnością Ku Klux Klanu oraz oporem przeciwko ruchowi praw obywatelskich w latach 50. i 60. Dlatego też flaga ta jest traktowana przez amerykańskie sądy i instytucje surowiej niż symbole rewolucyjne.

W 2015 roku Sąd Najwyższy uznał, że stan Teksas ma prawo odmówić wydawania specjalnych tablic rejestracyjnych z Krzyżem Południa, ponieważ tablice są formą „wypowiedzi rządu”, a nie obywatela i nie podlegają ochronie pierwszej poprawki. Tablice z flagą Gadsdena są w Teksasie legalne i popularne.

Pięć lat później Pentagon oraz Korpus Piechoty Morskiej oficjalnie zakazały eksponowania flagi Konfederacji we wszystkich bazach wojskowych, na okrętach i w pojazdach służbowych. Flaga Gadsdena nie została objęta takim zakazem.

Sądy federalne wielokrotnie potwierdzały prawo szkół publicznych do zakazywania uczniom noszenia ubrań z Krzyżem Południa, uznając, że bezpośredni związek tego symbolu z niewolnictwem i segregacją rasową wywołuje „istotne zakłócenia” w procesie edukacji. Natomiast na posesjach prywatnych czy w przestrzeni publicznej poza budynkami rządowymi flaga Konfederacji nadal pozostaje chroniona pierwszą poprawką.

Częsta obecność flag Gadsdena obok flag Konfederacji sprawiła, że organizacje monitorujące ekstremizm, jak Anti-Defamation League, zaczęły klasyfikować tę pierwszą jako symbol „często wykorzystywany przez ekstremistów”, choć z zastrzeżeniem, że większość jej użytkowników nie ma poglądów rasistowskich. ●

eprasa.pl b47d9d91db



• Jedyne zachowane zdjęcie pociągu sanitarnego imienia Pracowników Warszawskiej Dyrekcji Kolei Państwowyc
FOT. POLONA

Pociąg, który ratował życie

Podczas wojny polsko-bolszewickiej warszawscy kolejarze z własnej inicjatywy i na swój koszt zbudowali pociąg sanitarny. Był gotowy tydzień przed Bitwą Warszawską.

Joanna Banaś

3 lipca 1920 roku w imieniu Rady Obrony Państwa Józef Piłsudski wydał słynną odezwę mobilizującą naród do walki „Obywatele Rzeczypospolitej! Ojczyzna w potrzebie!". Cztery dni później bolszewickie wojska Frontu Zachodniego dowodzone przez Michaiła Tuchaczewskiego rozpoczęły ofensywę na Wilno, Mińsk i Warszawę. Pierwsze z tych miast zajęły 14 lipca, co dla Polaków było szokiem.

Tego dnia Maria Dąbrowska zanotowała w swoich „Dziennikach": „Naród pod wpływem klęski obudził się nareszcie. Odezwa Rady Obrony Państwa (m.in. mnie kazano pisać projekt) i Piłsudskiego postawiły wszystkich na nogi i pod broń. (...) Ulice Warszawy rozbrzmiewają marszem ochotników, głosem trąbek, każdego przechodnia na ulicy obowiązują teraz trzy znaki: białego krzyża, czerwonego krzyża i pożyczki państwowej".

Do nowo tworzonych oddziałów wojska wstąpiły w ciągu sześciu tygodni ponad 164 tysiące ochotników i ochotniczek – podaje Adam Zamoyski w książce „Warszawa 1920".

KOLEJARZE FUNDUJĄ POCIĄG

Bić bolszewików chcieli wszyscy, nie wszyscy jednak mogli walczyć z bronią w ręku. Na przykład kolejarze znacznie bardziej potrzebni byli za linią frontu, gdyż utrzymanie ciągłości transportu miało znaczenie strategiczne. Mimo to prezes Warszawskiej Dyrekcji Kolei Państwowych inżynier Władysław Jakubowski po odezwie Piłsudskiego zwołał naradę, podczas której uchwalono, że kolej będzie ułatwiać swoim pracownikom „spełnienie najświętszego obowiązku względem zagrożonej Ojczyzny". Dołoży jednak starań, aby „brak ustępującego personelu w niczem nie odbił się ujemnie na sprawności kolei". Ci, którzy pozostali na swoich stanowiskach, musieli pracować więcej i wydajniej.

W atmosferze patriotycznego zrywu Jan Glass, wiceszef Wydziału Finansowego Dyrekcji, zaproponował, by kolejarze wysłali pociąg sanitarny na pomoc polskim żołnierzom rannym w walkach z bolszewikami. Po ustaleniach z ministerstwami Komunikacji oraz Spraw Wojskowych 8 lipca prezes Jakubowski ogłosił: „Postanowiliśmy uformować z własnych funduszów pociąg sanitarny złożony z 40 wagonów dla rannych, wyekwipować go należycie i utrzymywać własnym kosztem podczas całej akcji".

Pomysł mógł się wydawać szalony – aby, jak zakładano, cały skład był gotowy w ciągu miesiąca, pracownicy warsztatów musieliby przebudowywać codziennie więcej niż jeden wagon. A przecież nie tylko tym się zajmowali.

WSZYSTKICH OGARNĄŁ ENTUZJAZM

Zawiązany błyskawicznie Komitet Organizacyjno-Gospodarny Pociągu Sanitarnego Pracowników Warszawskiej Dyrekcji oszacował koszty remontu wagonów oraz wyposażenia pociągu na dwa-trzy miliony marek. Sami kolejarze mieli decydować, jaką część swoich wypłat przeznaczą na ten cel.

„Wśród pracowników Warszawskiej Dyrekcji Kolejowej zawrzało, wszystkich ogarnął entuzjazm i zapał. W biurach i po stacjach odbyły się zebrania, na których uchwalono opodatkować swoje uposażenie takim lub innym procentem" – relacjonował Jan Glass w spisanej przez siebie historii pociągu.

Jednak w lipcu kasa Komitetu była pusta, bo nie zdążyły do niej wpłynąć zadeklarowane składki. Z rozpoczęciem prac nie można było jednak czekać, dyrekcja zgodziła się więc skredytować remont wagonów.

Dzięki doświadczeniu z czasów Wielkiej Wojny inżynier Eugeniusz Pancer, naczelnik warsztatów stacji Warszawa-Główna, w ciągu zaledwie jednej doby zdołał przygotować modelowy wagon przeznaczony dla ośmiu leżących rannych. Nazajutrz kolejowa komisja na czele z prezesem Jakubowskim uznała model za idealny, zaleciła jedynie poprawę sprężyn, aby „ranny nie odczuwał zbyt dotkliwych wstrząśnień".

OD BIELIZNY PO SALĘ OPERACYJNĄ

Kluczowe dla funkcjonowania pociągu sanitarnego jest jego wyposażenie. Z jego skompletowaniem też trzeba było się śpieszyć. Z pomocą przyszedł Główny Zarząd Czerwonego Krzyża, który uznał kolejowy Komitet za swój oddział, co pozwoliło na korzystanie z zawartości magazynów tej organizacji. Komitet zwrócił się też do kilku warszawskich firm handlowych i produkcyjnych z prośbą o dary.

Największą obawę budziło wyposażenie sali operacyjnej. Ale tu niespodzianka! Jan Glass relacjonował: „Bez wezwania pospieszyła z pomocą znana firma w Warszawie Jodłowski i S-ka. Właściciel firmy p. August Jodłowski ofiarował bezinteresownie wszelkie niezbędne akcesorja wraz z narzędziami chirurgicznemi, prosząc zarazem o przyjęcie go na sanitariusza".

Składnica Wojskowo-Sanitarna zgodziła się sprzedać bieliznę i koce po kosztach nabycia ich we Francji. W ten sposób Komitet zaoszczędził dużą sumę na różnicy ceny, jaką musiałby za te przedmioty zapłacić na wolnym rynku, zwłaszcza że niektóre z nich były deficytowe.

Komitet apelował do warszawskich kolejarzy nie tylko o gotówkę: „Niech każdy z pracowników ofiaruje dla pociągu coś w naturze: bieliznę, płótno, perkal, pościel, koce, talerze, szklanki, noże, widelce, łyżki, kubki itp., jednem słowem niech znosi wszystko, co jest potrzebne dla rannego żołnierza".

Kolejarze pomyśleli nie tylko o bezpiecznych posłaniach dla rannych, materiałach opatrunkowych i narzędziach chirurgicznych, ale także o zapewnieniu zapasów mąki, cukru, kakao i papierosów dla żołnierzy.

PIERWSZY KURS NA FRONT

Personel pociągu sanitarnego składał się z 42 osób. Początkowo planowano, że cała załoga będzie kolejarska. Ostatecznie komendant pociągu, załoga oraz część pielęgniarek miała być wyznaczona przez władze wojsko-

eprasa.pl b47d9d91db

we. Większość sióstr, kilku sanitariuszy i cały personel gospodarczy został sformowany z pracowników kolejowych, którzy jednak uprzednio musieli bądź wstąpić do wojska (sanitariusze), bądź zapisać się do Czerwonego Krzyża (sanitariuszki). Komendantem pociągu został Władysław Jastrzębski (1882-1931), lekarz w stopniu kapitana, który pracę w miejskim szpitalu łączył z posadą w ambulatorium kolejowym.

7 sierpnia 1920 roku o godz. 17 pociąg sanitarny w pełnym składzie przybył na stację Warszawa-Towarowa. 30 wagonów służyło do przewozu 240 ciężko rannych. W pozostałych dziesięciu mieściły się: sala operacyjna, wagon dezynfekcyjny, kąpielowy, kuchnia, lodownia, dwa wagony dla personelu medycznego – osobno dla lekarzy i pielęgniarek, wagon dla załogi kolejowej. Skład wiózł też zapasy wody i opału.

Na stację błyskawicznie przywieziono wyposażenie: bieliznę, pościel, lekarstwa, urządzenia i przyrządy. Do nocy wszystko było gotowe. Nazajutrz w południe pociąg na stacji Warszawa-Osobowa został uroczyście poświęcony i przekazany władzom wojskowym. „Pociąg wprowadził zebranych w podziw zarówno pod względem zewnętrznego wyglądu, jak i wewnętrznego urządzenia” – odnotował z satysfakcją Glass.

Pociąg imienia Pracowników Warszawskiej Dyrekcji Kolei Państwowych wyruszył w pierwszy kurs 10 sierpnia o godz. 17.

Jeszcze tego samego dnia Komitet zaapelował o opodatkowanie się wszystkich kolejarzy na rzecz jego utrzymania, w tym także na dodatkowy prowiant. „Ranny, dzielny żołnierz w pociągu naszym powinien posiadać wszystko, co jest koniecznem dla chorego. Chcąc to wszystko uskutecznić, prócz dobrych chęci, potrzeba przede wszystkiem jak najwięcej pieniędzy”.

Poproszono o jeden procent poborów. Wniosek zaakceptowały związki zawodowe, zastrzegając, że jeśli ktoś nie chce wziąć udziału w akcji, może złożyć stosowne oświadczenie. Odpisy wpływały na konto Komitetu przez trzy miesiące, do końca grudnia, gdy zakończono akcję. Wpływy pozwoliły nie tylko pokryć wydatki i stworzyć fundusz na potrzeby pociągu, ale nawet dały pewną nadwyżkę.

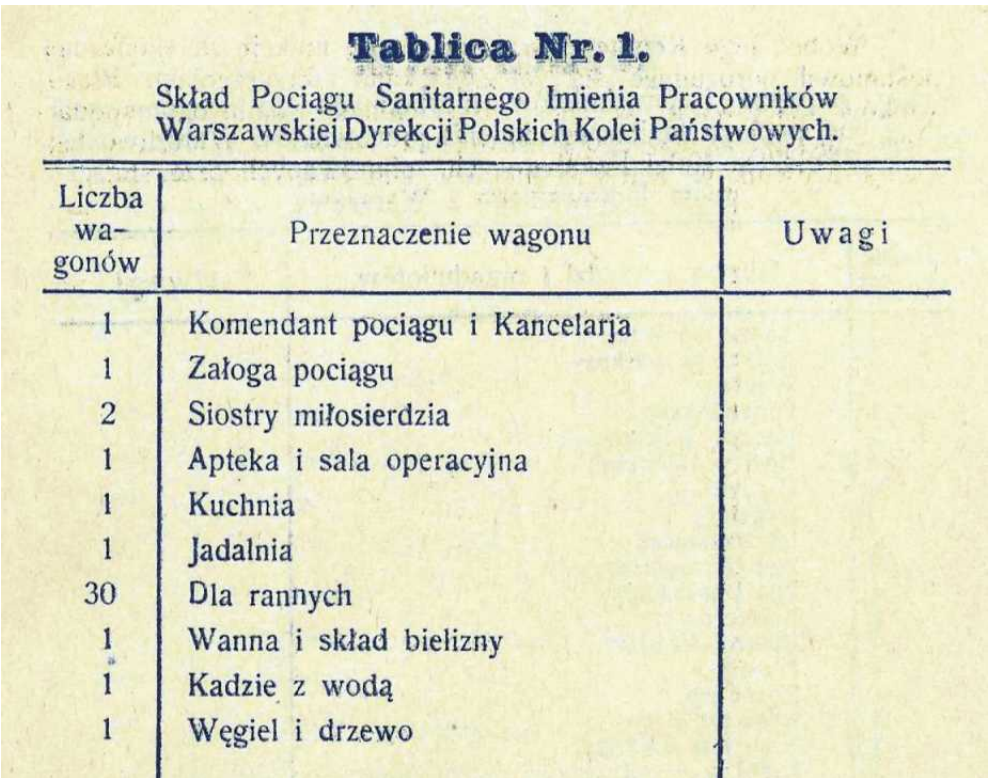
A PO WOJNIE JEDZIEMY NA KOLONIE

Po zakończeniu działań wojennych Komitet zwrócił się 1 lutego 1921 roku do prezesa Dyrekcji, by podjęła starania w sprawie zdemobilizowania pociągu. Ostatecznie władze wojskowe, „skutkiem konieczności wysłania pociągu do Rumunii oraz innych przyczyn”, zrobiły to dopiero 2 maja. Tego dnia rozpoczęło się zdawanie wagonów Dyrekcji, a inwentarza – jako własności pracowników – Komitetowi.

Ten postanowił kontynuować akcję społeczną. Mając do dyspozycji niemal 3 mln marek oraz bieliznę, pościel, koce, nosze, łóżka, naczynia stołowe i kuchenne – wszystko warte około 2 mln marek – zdecydował, że mienie to posłuży do stworzenia ośrodka kolonijnego dla dzieci kolejarzy oraz miejsc odpoczynku, w tym sanatoriów dla pracowników i ich rodzin. 30 marca 1922 roku powołane zostało Towarzystwo Kolonij Letnich Pracowników Warszawskiej Dyrekcji Kolei Państwowych.

Ostateczne zestawienie wpływów i wydatków Komitet poznał dopiero 11 maja 1922 roku. Składki kolejarzy wyniosły 4 750 824,82 marek, a remont wagonów kosztował 1 636 817,71 marek. Po spłaceniu wyposażenia pociągu przekazanego m.in. przez Składnicę Sanitarną Ministerstwa Spraw Wojskowych oraz Czerwony i Biały Krzyż na koncie Komitetu zostało 2 875 608,65 marek polskich będących własnością ogółu pracowników.

Komitet rozliczył się z każdego przedmiotu. Z raportów wiemy, że kupił



Tablica Nr. 1.

Skład Pociągu Sanitarnego Imienia Pracowników Warszawskiej Dyrekcji Polskich Kolei Państwowych.

Liczba wagonów	Przeznaczenie wagonu	Uwagi
1	Komendant pociągu i Kancelarja	
1	Załoga pociągu	
2	Siostry miłosierdzia	
1	Apteka i sala operacyjna	
1	Kuchnia	
1	Jadalnia	
30	Dla rannych	
1	Wanna i skład bielizny	
1	Kadzie z wodą	
1	Węgiel i drzewo	

900 prześcieradeł, a 300 pożyczył z magazynów Czerwonego Krzyża, podobnie jak 21 emaliowanych kaczek, 15 szklanych (pięć się potłukło), 10 wiader cynkowych czy trzy gumowe fartuchy lekarskie. Kupił dla żołnierzy także 300 par kalesonów i 300 koszul, ale 445 par skarpet pożyczył (oddał 423 pary).

Towarzystwo Kolonij Letnich, do którego wstąpiło 7500 kolejarzy gotowych płacić składki, od razu zaczęło organizować kolonie letnie oraz pobyty sanatoryjne w dwóch murowanych domach udostępnionych przez Dyrekcję w Aleksandrowie Kujawskim, blisko Ciechocinka z jego cennymi źródłami solankowymi. W pierwszym roku działalności Towarzystwa na kolonie pojechało tam 222 dzieci.

Mimo że po wprowadzeniu w Polsce nowej waluty (29 kwietnia 1924 roku) liczba chętnych do płacenia co miesiąc 1 złotego stopniała do 4125 osób, projekt pięknie się rozwinął – sześć lat później w ośrodku kolonijnym wypoczęło już 910 kolejarskich dzieci.

Pomysłodawca pociągu i wiceprzewodniczący jego komitetu Jan Glass w 1928 roku otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Polonia Restituta. ●

• Zestawienie wagonów pociągu sanitarnego ufundowanego przez kolejarzy
FOT. NAC

Korzystałam z: opracowania Jana Glassa „Przyczynek do historji pociągu sanitarnego imienia Pracowników Warszawskiej Dyrekcji Kolei Państwowych 1920-1921 r.”, albumu „Wojna o wolność 1920” Ośrodka Karta w oprac. Agnieszki Knyt; „Sprawozdania z pierwszego dziesięciolecia działalności Dyrekcji Kolei Państwowych w Warszawie (1918-1928)” i artykułów „Selbstverständlich fällt dem Eisenbahntransport hier die größte Rolle zu”, André Müllerschön (Military-medicine.com) oraz „Ambulance Trains – From the Crimean War to Ukraine”, Sanders Marble, Justin Barr (Jamanetwork.com).

Ratunek dla rannych

Mobilne lazarety na frontach wojen

Do połowy XIX wieku rzadko udawało się ewakuować rannych żołnierzy z linii frontu. Jeszcze tydzień po Bitwie Narodów w 1813 roku na polu pod Lipskiem leżeli ranni, których dopiero rozwożono na taczkach do szpitali polowych.

Podczas wojny krymskiej (1853-56) prywatna brytyjska spółka wybudowała tzw. Wielką Krymską Kolej Centralną (Grand Crimean Central Railway), wojskową linię kolejową łączącą czarnomorski port w Bałakławie z linią oblężenia Sewastopolu. W ciągu zaledwie siedmiu tygodni od dostawy pierwszych materiałów ukończono około 11 km torów. Eszelony przewoziły tą trasą codziennie ponad 100 ton materiałów z doków na front, skąd zabierały setki rannych. Nowatorski system pozwolił na stosunkowo bezpieczną i masową ewakuację rannych. Odtąd pociągi sanitarne (szpitalne) były używane na wszystkich wojnach.

W czasie wojny secesyjnej (1861-64) obie strony konfliktu wykorzystywały rozbudowaną amerykańską sieć kolejową do transportu rannych żołnierzy, po raz pierwszy w 1861 roku, po bitwie nad Wilson's Creek w stanie Missouri. Początkowo rannych przewożono w zwykłych wagonach towarowych, których wnętrze wyścielano słomą lub igliwiem – nie umiano jeszcze bezpiecznie umieścić noszy pod sufitem wagonu. W drugim roku wojny spółka kolejowa Wilmington and Baltimore Railroad zbudowała pierwszy specjalistyczny pociąg sanitarny: nosze zawieszono na gumowych pierścieniach, które pełniły funkcję amortyzatorów. W trakcie wojny szybko udoskonalano konstrukcje, aż po kraju zaczęły kursować pociągi sanitarne wyposażone w kuchnie, apteki, zapasy wody i gabinety zabiegowe – niemal szpitale na torach.

Kolejny etap ewakuacji rannych obejmował transport wstępnie opatrzonych żołnierzy do szpitali w głębi kraju, by zwolnić łóżka dla kolejnych uczestników walk. Nie udało się to podczas wojny prusko-austriackiej w 1866 roku – podejmowano wprawdzie próby transportu rannych pociągami do placówek na tyłach, ale otwarte wagony towarowe, ledwie pokryte słomą, nie miały żadnej amortyzacji, przez co ranni odnosili podczas jazdy dodatkowe urazy i potwornie cierpieli.

Podczas wojny francusko-niemieckiej (1870-71) do transportu rannych wykorzystywano głównie wagony pasażerskie IV klasy, które bez dużych nakładów można było przystosować do przewozu „sprężynowych noszy”. Istniały także specjalnie pociągi szpitalne, finansowane i obsługiwane przez cywilne stowarzyszenia i organizacje pomocowe. Składały się nie tylko z wagonów dla rannych, towarzyszyły im wagony apteczne i zaopatrzeniowe: kuchenny, z wodą, opałem. Osobne wagony miał do dyspozycji personel medyczny, który tworzyli lekarze, sanitariusze, pielęgniarki i aptekarze.

W grudniu 1876 roku car Aleksander II w obliczu konfliktu z imperium osmańskim wydał dekret o utworzeniu 14 wojskowych pociągów sanitarnych. Pierwszy z nich wyruszył na tory już kilkanaście dni po wybuchu wojny rosyjsko-tureckiej, w kwietniu 1877 roku.

W 1907 roku armia Cesarstwa Niemieckiego zdecydowała o zakupie własnych pociągów szpitalnych, które przydzieliła poszczególnym korpusom. Były coraz lepiej wyposażone – o ile podczas wcześniejszych wojen nie dało się wykonywać zabiegów chirurgicznych w czasie jazdy, o tyle w specjalistycznych wagonach operacyjnych chirurdzy mogli pracować niemal cały czas, choć bardziej skomplikowane zabiegi przeprowadzano raczej podczas postoju. Podczas Wielkiej Wojny Niemcy dysponowały aż 238 pociągami sanitarnymi. ●

OGŁOSZENIE
Kraj/34461719

KOLEJ na KOLEJ
wyborcza.pl wyborcza.biz

PATRONAT HONOROWY
Minister Infrastruktury
PATRONAT
IGTL
SPONSOR
HITACHI

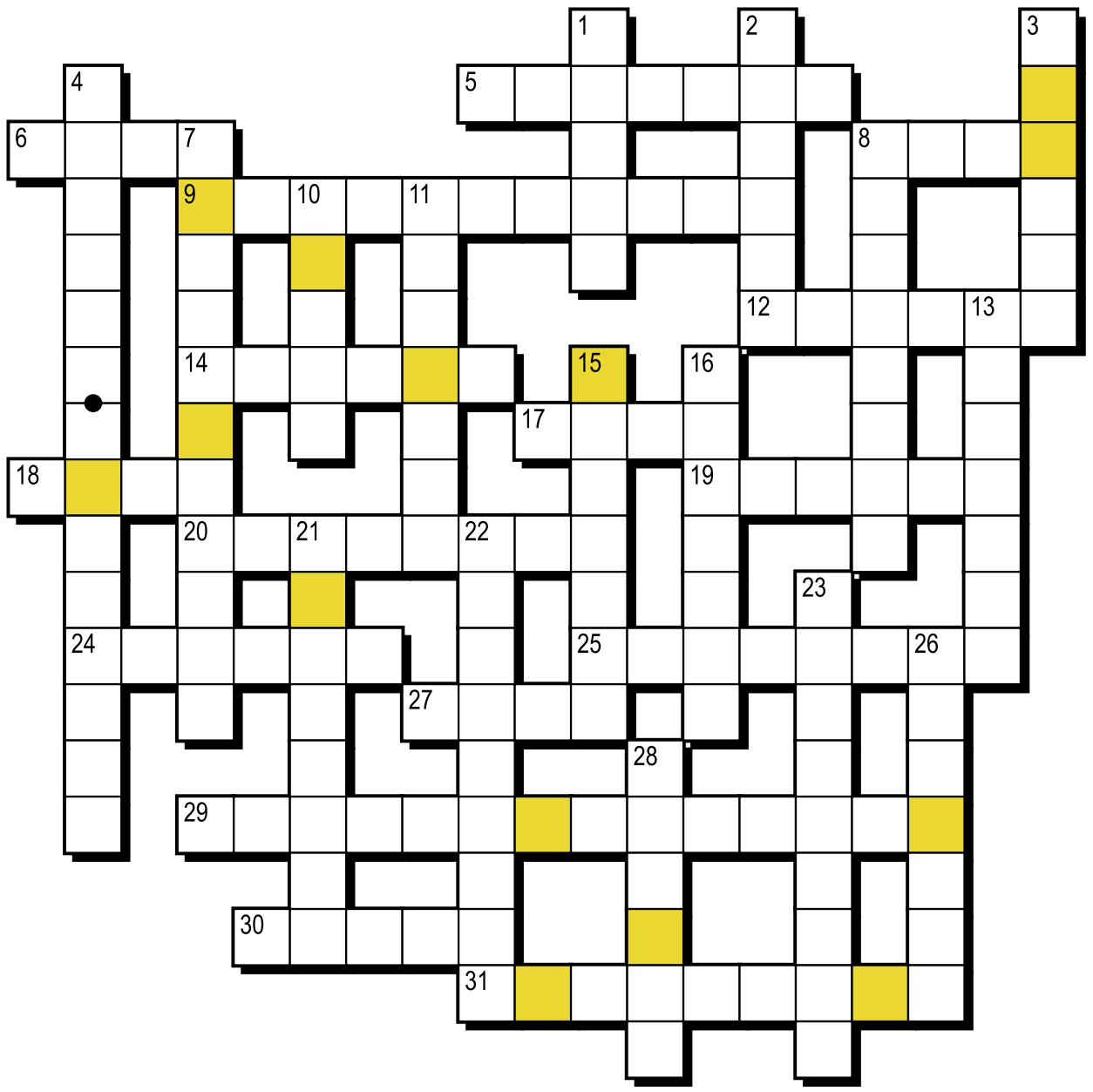
REKLAMA

PARTNER GŁÓWNY
PKP POLSKIE LINIE KOLEJOWE S.A.

PARTNERZY
PKP POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE Spółka Akcyjna
200 LAT KOLEI 100 LAT PKP
DOLNY ŚLĄSK
Koleje Dolnośląskie
lat Kolei Śląskich

eprasa.pl b47d9d91db

weekendówka nr 231



CYRK PRZYJECHAŁ!

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
5) to, co cyrkowcy przygotowali dla widzów
6) Buffalo ..., w 1883 r. zorganizował widowisko cyrkowe „Wild West Show"
8) elemencik „dywaniku" na cyrkowej arenie
9) wyciąga króliki z cylindra, a zza pazuchy gołębie
12) doskonała ..., czyli wielka frajda
14) największe ssaki, spotykane na arenach
17) akrobata, akrobata i akrobatka
18) cyrkowy siłacz w tytule prozy Henryka Sienkiewicza
19) dzieło literackie takie jak 18 poziomo
20) woltyżerzy, akrobatki, połykacze ognia, balansiści...
24) z ruchomymi ostrzami, niby że połykane na arenie
25) kobieta występująca z tygrysem, psiakami
27) ssak kręcący piłkę na nosie
29) dyscyplina sztuki cyrkowej obejmująca ćwiczenia i akrobacje wymagające zachowania równowagi
30) synonim 9 poziomo
31) ... się wokół własnej osi, czyli piruet

Pionowo:
1) rozśmiesza publikę; żartowniś, pajac, klaun
2) Georges Seurat („Cyrk") lub Pablo Picasso („Rodzina Saltimbanques")
3) „La ...", „cyrkowy" film Felliniego
4) chłop, który w ramach walki z germanizacją w zaborze pruskim zamieszkał w wozie cyrkowym
7) z balansem pod kopułą cyrku
8) dźwięk tego instrumentu poprzedzi efektowną ewolucję (zdrobniale)
10) składany publiczności przez artystę
11) w górach – to np. cyrk lodowcowy
13) krótki przerywnik między kolejnymi numerami
15) występuje na scenie
16) piłeczki, maczugi, pochodnie śmigają w jego dłoniach
21) wszystko to, co rozwesela, bawi, uprzyjemnia czas
22) rewia, show
23) imię klauna z czechosłowackich i NRD-owskich filmów
26) drwią z innych; prześmiewcy
28) popis artysty przed publiką

Leszek Rydz

Rozwiązania weekendówki nr 230 (krzyżówka „Tu się kryją strusie")

POZIOMO:
1) właściwość 5) kazuary 6) śmiech 8) anioł 9) pęk 13) Korczak 17) rodzina 18) epidemia 20) polityka 21) stepy 23) ferma 25) poezja 27) ptaki 28) Australia 29) pióra 30) żołądek 31) Tunezja

PIONOWO:
1) wdzięk 2) Wójcik 3) jaja 4) Jarosław 7) Maciej 10) Koziołek Matołek 11) Struś Pędziwiatr 12) hodowla 14) Anita Lipnicka 15) miasto 16) seans 19) kamyki 22) tradycja 24) emu 26) nandu 27) piasek

HASŁO: Dzika natura

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34454980

DO 23 LISTOPADA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej"

na grudzień u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



CENA 199,99 zł**



Dostęp także do Wyborcza.pl*

*Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej". Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej". Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-16). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. **Cena sugerowana.

1 RP

eprasa.pl b47d9d91db

DODATEK PROMOCYJNY ZAWIERA WYŁĄCZNIE MATERIAŁY PRZYGOTOWANE I POCHODZĄCE OD WARSAW PRESS

// WARSAW PRESS.

nr 13 / LISTOPAD 2026

DIAGNOZA: NOWOTWÓR

www.eksperciozdrowiu.pl



Jestem przekonany, że jeśli krok po kroku rozwiążemy problemy związane z energią komórek i z opornością na leczenie, zdołamy opanować nawet najtrudniejsze nowotwory.

Prof. Tasuku Honjo

Wybitny immunolog, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny

str. 5

Szczepionka na raka

Ochrona przed nawrotem szyta na miarę

str. 3

Nowotwory głowy i szyi

Objawów nie wolno bagatelizować

str. 4

Rak szyjki macicy

Test HPV – nowoczesna profilaktyka

str. 7

Fot. Nobel Media AB / Alexander Mahmoud

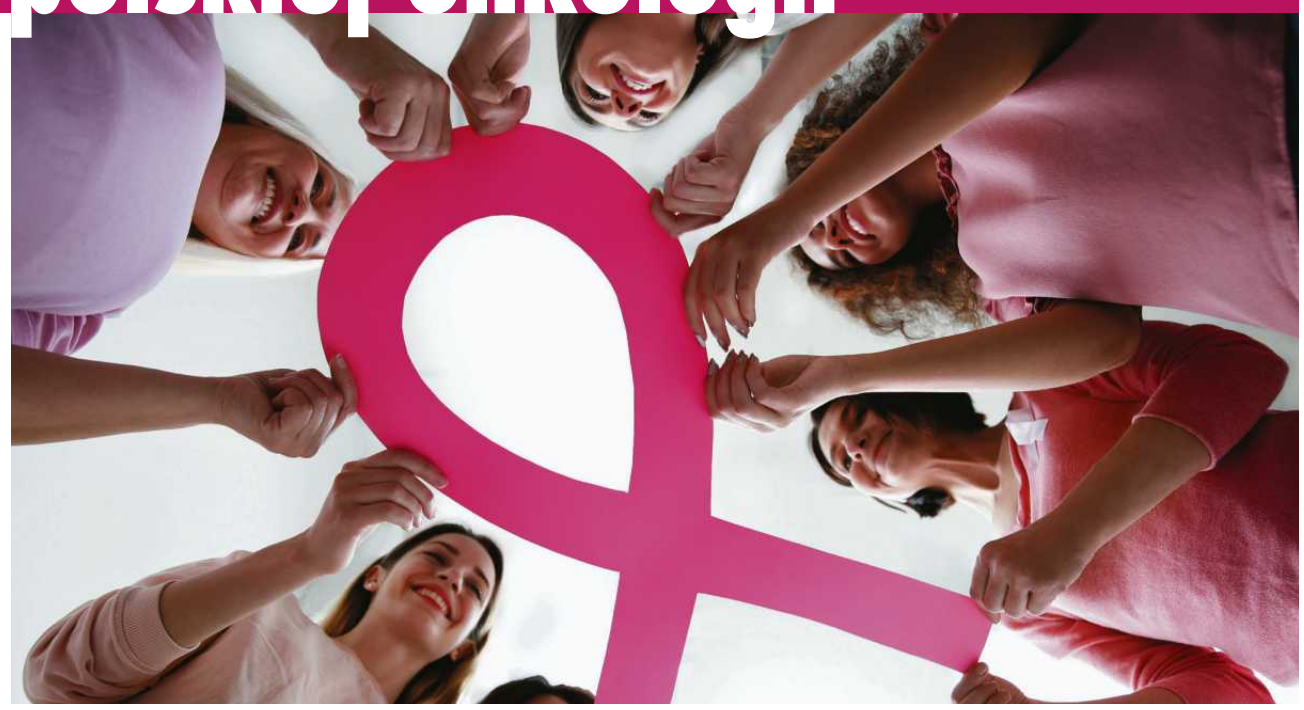
eprasa.pl b47d9d91db

PTO a kwestia polskiej onkologii



Prof. dr hab. n. med. Andrzej Rutkowski
Przewodniczący Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Onkologicznego

Dbamy, aby plany i aktywności Polskiego Towarzystwa Onkologicznego (PTO) były spójne z szeroko zakrojonymi działaniami związanymi z Narodową Strategią Onkologiczną a zarazem z Krajową Siecią Onkologiczną.



Zależy nam, aby system opieki nad pacjentami z czynną chorobą nowotworową lub będącymi w okresie obserwacji mógł przynieść jak najlepsze efekty wynikające z jego wprowadzenia. Jako PTO mamy duże możliwości współpracy z różnymi specjalistami przy realizacji zadań organizacyjnych w systemie opieki zdrowotnej, jak i związanych z celami statutowymi PTO (m.in. upowszechnianie informacji o nowoczesnych metodach leczenia nowotworów i aktualnych rekomendacjach onkologicznych).

PTO blisko spraw bieżących

PTO działa na rzecz poprawy dostępności specjalistów, gdyż sprzyja to przyspieszeniu ścieżki leczenia. Jedna z sekcji Towarzystwa zaangażowana jest w organizację opieki nad pacjentami onkologicznymi po zakończonym leczeniu. Dotychczas najczęściej pozostawali oni pod opieką placówek onkologicznych, ale wielu mogłoby przejść pod opiekę lekarzy POZ – bez uszczerbku na jakości tej opieki. Byłoby to korzystne dla pacjentów (mniej dojazdów i czekania w kolejce na wizytę) oraz dla onkologów i ośrodków onkologicznych, gdyż zwiększyłaby się ich dostępność dla pacjentów ze świeżo rozpoznanym nowotworem bądź będących w trakcie diagnozowania choroby nowotworowej. Tu jednak konieczne jest określenie, przy jakim stopniu zaawansowania nowotworu chorzy trafialiby ewentualnie pod opiekę lekarzy rodzinnych oraz co pacjenci mogliby bezpiecznie zrobić we własnym zakresie. Te działania wiążą się z planowanym na 1 stycznia 2027 r. wdrożeniem w całym kraju karty e-DiLO.

PTO stale działa w kierunku edukowania – również personelu lekarskiego. Co roku organizujemy Forum Polskiej Onkologii, a raz na cztery lata – Kongres Onkologii Polskiej (najbliższy odbędzie się w 2028 r. w Warszawie). Współdziałamy też z organizatorami różnych akcji informacyjnych, skierowanych także do pacjentów, dlatego udzielamy swojego patronatu i wsparcia merytorycznego w tego typu działaniach. Staramy się też być najbliżej, jak to możliwe, bieżących spraw i problemów związanych z onkologią w różnych rejonach kraju – dzięki istnieniu oddziałów terenowych PTO, których działanie jest dla Zarządu Głównego bardzo ważne.

Usprawniać i unowocześniać polską onkologię

Wiele działań w polskiej onkologii trzeba skoordynować ze zmianami zachodzącymi w systemie opieki zdrowotnej. Włączamy się w to – głos naszego środowiska jest obecny w dyskusjach nad wprowadzaniem w życie określonych rozwiązań. W ciągu ostatnich lat znacząco zmniejszyliśmy dystans między możliwościami onkologii w Polsce i w krajach Europy Zachodniej. Brakuje nam jeszcze kilku rzeczy, niemniej onkologia jest już u nas na tak dobrym poziomie, że znajduje to odzwierciedlenie w danych epidemiologicznych – mimo wzrostu zachorowalności na różne typy nowotworów poprawiają się wyniki leczenia mierzone czasem przeżycia pacjentów, także nawrotowych czy z chorobą o wysokim stopniu zaawansowania.

Problemem pozostaje dostępność świadczeń onkologicznych. Jest wiele do zrobienia, m.in. w kwestii dystrybucji chorych bądź rozmieszczenia specjalistycznych ośrodków onkologicznych, co zapewni odpowiedni dostęp do wysokospecjalistycznej opieki (obecnie jest on nierównomierny). Konieczne jest też usprawnienie samego leczenia onkologicznego oraz usystematyzowanie w skali kraju terapii konkretnego nowotworu w określonym stopniu zaawansowania, aby leczyć zgodnie z aktualnymi rekomendacjami. Istnieją jednak indywidualne sprawy związane z konkretnym pacjentem (np. choroby współistniejące, stan sprawności chorego) niedające się opisać rekomendacjami, lecz o decydującym wpływie na leczenie. Dlatego konsylium wielodyscyplinarne podejmujące decyzję o sposobie leczenia powinno patrzeć nie na chorobę nowotworową u pacjenta, lecz na pacjenta z jego konkretnymi problemami.

Kolejnym wyzwaniem jest leczenie młodych chorych – trzeba podejmować działania, dzięki którym zapewni się im po zakończeniu leczenia onkologicznego możliwość posiadania własnego potomstwa. Nowego podejścia wymaga też personalizacja leczenia onkologicznego, bo często dochodzi do jej „spłaszczenia", czyli do dopasowania jedynie odpowiednich leków celowanych na podstawie badań molekularnych, podczas gdy wymagane jest też uwzględnienie indywidualnych potrzeb chorego – społecznych, rodzinnych – i wpływu terapii na jakość jego życia, co jest bardzo istotne szczególnie u pacjentów kierowanych na przewlekłe leczenie onkologiczne.

Wiele do zrobienia jest wciąż w obszarze profilaktyki. Świadomość społeczeństwa się poprawia, ale zależy nam na wzmacnianiu sygnału o roli zapobiegania, przełamywaniu barier, takich jak strach i wstyd, które powodują, że unikamy badań, i poprawie oferty i dostępności badań profilaktycznych.

Polska onkologia z perspektywy pacjenta



Elżbieta Markowska
Prezes Zarządu Fundacji Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych

Sytuacja pacjentów onkologicznych w Polsce poprawia się, ale dzieje się to powoli. Do refundacji wchodzą nowe metody diagnostyki i leczenia, jednak wszyscy chcielibyśmy, aby dostęp do nich był szybszy i łatwiejszy. Pacjenci mają coraz większą wiedzę na temat nowoczesnych terapii i chcą być leczeni równie skutecznie jak chorzy w krajach Europy Zachodniej. Dotyczy to również mieszkańców mniejszych miejscowości – kod pocztowy nie powinien dziś decydować o możliwościach diagnostycznych, terapeutycznych ani rokowaniu pacjenta. Z danych NFZ wynika, że w drugim kwartale 2026 r. wydłużył się czas oczekiwania na część świadczeń. Dużym problemem pozostaje dostęp do diagnostyki patomorfologicznej i molekularnej oraz czas oczekiwania na opisy wyników różnych badań, co dodatkowo wydłuża proces diagnostyczny. Tymczasem sprawne, dokładne rozpoznanie podtypu nowotworu i identyfikacja określonych zmian molekularnych mają często kluczowe znaczenie dla wyboru optymalnego leczenia. Nierównomierny dostęp do diagnostyki nowotworów nieraz powoduje, że pacjenci sami muszą szukać ośrodka, często oddalonego o wiele kilometrów, aby wykonać dane badanie jak najszybciej. Przybywa też pacjentów ze skierowaniami w trybie pilnym m.in. na rezonans magnetyczny, tomografię komputerową i kolonoskopię oraz PET-CT – niezbędne do oceny stopnia zaawansowania choroby, wykrycia przerzutów czy oceny skuteczności leczenia.

Zdarza się wciąż, że operacje onkologiczne wykonują szpitale, które nie mają wystarczającego doświadczenia w leczeniu określonych nowotworów. Bywa też, że lekarzom POZ brakuje wiedzy i doświadczenia w pracy z chorymi onkologicznymi. Poprawy wymagają także komunikacja między specjalistami, opieka koordynowana i wsparcie psychologiczne dla pacjentów i ich bliskich. Zdarza się, że pacjent nie otrzymuje odpowiedniego wsparcia ze strony koordynatora czy w szpitalu onkologicznym brakuje psychologa.

Mamy nadzieję, że sytuacja pacjentów onkologicznych poprawi się dzięki karcie e-DiLO, która od stycznia 2027 r. będzie wystawiana wyłącznie w formie elektronicznej. Trzeba jednak pamiętać, że sama cyfryzacja nie wystarczy – potrzebne są również odpowiednie zasoby kadrowe, diagnostyczne i organizacyjne.

PATRONAT NAD KAMPANIĄ OBJĘLI

PARTNERZY STRATEGICZNI

// WARSAW PRESS.

Kontakt: biuro@warsawpress.com **Redakcja:** Bartosz Danel, Katarzyna Kieś-Kokocińska
Fotografie: Alexander Mahmoud, Adobe Stock, zasoby własne **Warsaw Press, ul. Kaleńska 5, 04-367 Warszawa, NIP: 6772320883**

eprasa.pl b47d9d91db



Prof. dr hab. n. med. Piotr Rutkowski
Kierownik Kliniki Nowotworów Tkanek Miękkich, Kości i Czerniaków NIO-PIB

Wielki potencjał szczepionki na raka

Szczepionka na raka nie jest preparatem o działaniu profilaktycznym – nie spowoduje, że nowotwór się nie pojawi, ale zapewni ochronę przed nawrotem choroby.



Szczepionka na raka to bardzo nowoczesne i wysublimowane w działaniu rozwiązanie, w którym wykorzystujemy najnowszą wiedzę na temat biologii komórek nowotworowych, biosyntezy białek i funkcjonowania układu odpornościowego. Stosuje się ją po usunięciu nowotworu, gdy istnieje duże ryzyko nawrotu choroby.

Szczepionka na raka – jak to działa?

Każda komórka nowotworowa ma na swojej powierzchni charakterystyczne dla niej białka, które nazywamy neoantygenami. Różnią się one genetycznie od białek znajdujących się na powierzchni zdrowych komórek danego organizmu i są niczym „odcisk palca" nowotworu u konkretnego chorego.

Z DNA tkanki nowotworu pobranej podczas biopsji lub operacji, za pomocą techniki NGS (sekwencjonowanie nowej generacji) izolowane są mutacje charakterystyczne dla neoantygenów. W oparciu o nie przygotowuje się szczepionkę bazującą na mRNA – informacyjnym RNA (messenger RNA), kwasie nukleinowym, który stanowi matrycę do produkcji określonego białka. Co istotne, na matrycy konkretnego mRNA może powstać kilkadziesiąt różnych neoantygenów, które są charakterystyczne dla konkretnego nowotworu. Chory otrzymuje więc preparat spersonalizowany, precyzyjnie „uszyty" na miarę neoantygenów nowotworu, z którym się zmaga.

Szczepionkę tę podaje się pacjentowi w kilku dawkach, co powoduje, że zapobieganie nawrotowi nowotworu ulega utrwaleniu. Wraz z nią stosuje się standardową immunoterapię. Działa ona nieswoiście, aktywując układ immunologiczny do walki z nowotworem. Podanie szczepionki mRNA powoduje zaś, że organizm zaczyna produkować białka charakterystyczne dla nowotworu chorego, co aktywuje swoistą odpowiedź immunologiczną – wycelowaną precyzyjnie w ten właśnie nowotwór. Równoległe podanie immunoterapii standardowej i szczepionki na raka zwiększa istniejącą już aktywność układu odpornościowego, a na dodatek generuje nową odpowiedź komórkową ze strony limfocytów T, które precyzyjnie namierzają i zabijają komórki nowotworowe.

Zastosowanie szczepionki na raka nie powoduje dodatkowej toksyczności immunologicznej, jeśli dołączy się ją do standardowego leczenia. Mogą wystąpić objawy niepożądane – jak po innych szczepionkach: symptomy grypopodobne, ból w miejscu podania, osłabienie, gorączka.

Szczepionek na raka nie należy jednak podawać za długo, bo wówczas tworzymy tolerancję immunologiczną, a nie odpowiedź układu odpornościowego.

Badania potwierdzają sukces

Niecałe pół roku temu przedstawiono wyniki badania II fazy, z których dowiedzieliśmy się, że po pięciu latach, w odniesieniu do przeżyć i przerzutów odległych, korzyść z zastosowania szczepionki na raka w porównaniu do standardowego leczenia adjuwantowego wynosiła prawie 20%. W tym roku przedstawiono też wyniki badania III fazy, w którym porównano dwie duże grupy chorych na czerniaka o wysokim ryzyku, z przerzutami do węzłów chłonnych lub odległymi, będących już po leczeniu chirurgicznym nowotworu. Pacjenci z jednej grupy otrzymywali szczepionkę i immunoterapię anty-PD-1, a z grupy drugiej – placebo i immunoterapię. Leczenie immunoterapią rozpoczynano od 12. tygodnia od operacji, a indywidualnie przygotowaną dla każdego pacjenta szczepionkę aplikowano po ok. 6 tygodniach od rozpoczęcia immunoterapii. Większość tych szczepionek zawierała aż 34 neoantygeny (pokazuje to, jak bardzo komórki czerniaka różnią się od prawidłowych komórek organizmu, a także jak różne są czerniaki u chorych). Bardzo obiecujące wyniki pojawiły się już po dość krótkim czasie obserwacji (ok. 20 miesięcy) – różnica przeżyć wolnych od nawrotu wyniosła w tym okresie ponad 12%, a szczepionka – przy dość dużym wpływie standardowego leczenia adjuwantowego – zredukowała też o 42% względne ryzyko nawrotu choroby i o 38% względne ryzyko przerzutów odległych.

Znakomite perspektywy i nadzieja dla chorych

Badania nad szczepionką mRNA na raka toczą się w odniesieniu do różnych nowotworów. Być może już niebawem otrzymamy uniwersalny preparat tego typu na raka pęcherza, raka płuca, raka nerki. Prowadzone są też prace w kierunku różnych możliwości stosowania szczepionek mRNA. Prowadzimy jedną z nich – nad uniwersalną szczepionką „z półki", której zadaniem będzie wytwarzanie odporności na mechanizmy powodujące z kolei odporność na immunoterapię. Jeden mechanizm w takim preparacie jest związany z białkiem PD-L1, a drugi – z białkiem IDO-1.

Możliwości wykorzystania szczepionek mRNA w onkologii jest bardzo dużo, dlatego przyszłość przyniesie pewnie wiele nowych pomysłów na spożytkowanie tego potencjału. Leczenie z użyciem preparatu mRNA na raka będzie dostępne jednak tylko w przygotowanych do tego ośrodkach – z uwagi na skomplikowane procedury pozyskania materiału biologicznego i wytworzenia z niego szczepionki.

Bardzo cieszy, że różne firmy chcą inwestować w badania nad szczepionkami na raka – także w Polsce – bo pojawia się nadzieja na to, że w przyszłości leczenie onkologiczne z zastosowaniem tych preparatów będzie bardziej niż obecnie przystępne cenowo i dostępne dla wielu chorych.



Jarosław Gośliński
Redaktor naczelny portalu onkologicznego www.zwrotnikraka.pl

Onkologia w sieci
- od wyszukiwarki do wspólnej decyzji

Świadomy swojej choroby pacjent lepiej przygotowuje się do wizyty u lekarza i podejmuje trafniejsze decyzje. Zamiast więc przestrzegać przed „doktorem Google", warto uczyć się bezpiecznego korzystania z wiedzy dostępnej w internecie.

Od 2012 roku, kiedy powstał portal zwrotnikraka.pl, obserwuję, jak zmienia się internetowa edukacja onkologiczna. Do wyszukiwarek i tradycyjnych forów dołączyły grupy pacjenckie w mediach społecznościowych, webinary i modele sztucznej inteligencji. Zmienia się też zakres poszukiwań: obok objawów i rokowania ważne są nowe możliwości leczenia, badania molekularne i udział w badaniach klinicznych. To zrozumiałe - rozwój onkologii otwiera przed częścią chorych możliwości, których wcześniej nie było.

Korzyści z dobrego przygotowania pacjenta mają potwierdzenie w badaniach. Przegląd Cochrane z 2024 roku, obejmujący 209 badań i ponad 107 tysięcy osób, wykazał, że narzędzia wspierające podejmowanie decyzji, np. materiały porównujące opcje i pomagające określić własne priorytety, zwiększają wiedzę i pomagają trafniej rozumieć korzyści oraz ryzyko. Lekarz wnosi wiedzę medyczną, a pacjent swoje potrzeby i priorytety - to podstawa wspólnego podejmowania decyzji.

Mam wrażenie, że zbyt łatwo wrzucamy wszystkie źródła internetowe „do jednego worka". Google deklaruje, że w tematach zdrowotnych szczególną wagę nadaje wiarygodności i wiedzy eksperckiej. Wyszukiwarka prowadzi w zdecydowanej większości zapytań do wartościowych materiałów instytutów, towarzystw naukowych czy redakcji medycznych. Oczywiście wysoka pozycja nie jest jednak certyfikatem jakości: warto wejść na stronę i przeczytać tekst, zamiast poprzestać na nagłówku lub automatycznym podsumowaniu. Większe wyzwanie widzę w mediach społecznościowych, gdzie emocje i popularność łatwo pomylić z wiarygodnością. Grupy pacjenckie dają cenne wsparcie i praktyczne wskazówki, ale historia jednej osoby nie przesądza o skuteczności terapii u innej. Anonimowy wpis może ułatwić rozmowę o trudnych sprawach, ale utrudnia ocenę i intencje jego autora. Im większa społeczność, tym bardziej jej moderacja wymaga czasu, zasad i dostępu do fachowej wiedzy. Same dobre intencje administratora nie wystarczą.

Duży potencjał mają modele AI: mogą tłumaczyć trudne terminy prostym językiem, porządkować informacje i pomagać przygotować pytania na wizytę. Warto poprosić je o wyjaśnienie konkretnego, sprawdzonego materiału. Odpowiedź trzeba jednak zweryfikować, także w podanych źródłach, bo model może popełniać błędy. Nie należy na jej podstawie samodzielnie zmieniać leczenia ani udostępniać chatbotowi danych pozwalających zidentyfikować pacjenta.

Jak szukać mądrze w internecie wiedzy o zdrowiu? Sprawdzajmy autora, datę aktualizacji, źródła i to, kto odpowiada za publikację. Sięgajmy do stron ośrodków onkologicznych, instytucji publicznych i serwisów eksperckich z jawną redakcją. Szukajmy informacji dotyczących konkretnego rozpoznania i stadium choroby. Świadomie oddzielajmy wyniki badań od materiałów promocyjnych, a zapowiedź nowej terapii od jej faktycznej dostępności w Polsce.

Nowość nie zawsze oznacza najlepszy wybór. Dobra edukacja pomaga zrozumieć, które możliwości faktycznie dotyczą danej osoby i wspólnie z lekarzem podjąć decyzję.



eprasa.pl b47d9d91db



Nowotwory głowy i szyi można leczyć

Apeluję do społeczeństwa, lekarzy pierwszego kontaktu i stomatologów: nie wolno bagatelizować objawów zapalnych, gdyż mogą być pierwszymi oznakami rozwijającego się nowotworu głowy i szyi.



Prof. dr hab. n. med. Andrzej Kawecki
Klinika Nowotworów Głowy i Szyi, NIO-PIB w Warszawie

Nowotwory głowy i szyi to najczęściej raki, nowotwory pochodzenia nabłonkowego. To zróżnicowana pod względem przebiegu i podatności na leczenie grupa chorób. Kliniczny przebieg zależy od podtypu i stopnia zróżnicowania raka oraz od złożoności anatomicznej regionu głowy i szyi, w którym nowotwór jest zlokalizowany, gdyż różnice anatomiczne przekładają się na sposób naciekania nowotworu na tkanki sąsiednie.

Objawy, które dezorientują

Wczesne objawy nowotworu głowy i szyi mogą być mylone z przewlekłymi stanami zapalnymi. Tymczasem utrzymujące się ponad 3 tygodnie zgrubienia czy owrzodzenia w jamie ustnej, uczucie dyskomfortu w tym obszarze czy ciała obcego w gardle, okresowe trudności w przełykaniu, wystąpienie chrypki, która nie ustępuje po leczeniu przeciwzapalnym, pojawienie się guza w obrębie szyi, powinny skłonić do wizyty u lekarza. Nie zawsze ma to miejsce.

Późne rozpoznanie choroby wynika też tego, że niektóre z nowotworów głowy i szyi rozwijają się w przestrzeniach anatomicznie otwartych (np. zatoki oboczne nosa), gdzie zmiana może relatywnie długo rosnąć, nie dając żadnych objawów. Kiedy zaś dojdzie do naciekania sąsiednich struktur, choroba jest już w znacznym stopniu zaawansowania.

Ponieważ przebieg choroby nowotworowej głowy i szyi i jej objawy na wczesnym etapie rozwoju utrudniają postawienie rozpoznania, nadzwyczaj istotne są tu: rola lekarzy pierwszego kontaktu (POZ i stomatologów) i niebagatelizowanie objawów.

Więcej nowotworów głowy i szyi z powodu zakażeń wirusowych

Nie zgadzam się z twierdzeniem, że obecnie mamy epidemię nowotworów głowy i szyi bądź lawinowy wzrost zachorowalności na nie – na przestrzeni ostatnich dekad wzrost zachorowań jest co najwyżej średniego stopnia; nie jest tak dynamiczny jak dla raka gruczołu krokowego czy raka piersi. Natomiast wyraźnie zmieniły się trendy zapadalności na poszczególne nowotwory głowy i szyi zależnie od lokalizacji zmian. Kiedyś zdecydowanie dominowały raki krtani i jamy ustnej zależne od tradycyjnych czynników kancerogennych: ekspozycji błon śluzowych na wysokoprocentowy alkohol lub dym papierosowy oraz uszkodzenia w obrębie jamy ustnej powodowane np. ułamanymi zębami czy źle dopasowanymi protezami. Obecnie rośnie udział nowotworów głowy i szyi związanych z zakażeniem wirusowym, a głównym czynnikiem kancerogennym jest tu – podobnie jak w przypadku raka szyjki macicy – wirus brodawczaka ludzkiego, Human Papilloma Virus (HPV). W nowotworach nosowej części gardła czynnikiem etiologicznym w dużej części przypadków jest wirus Epsteina-Barr (EBV).

> **„W rakach narządów głowy i szyi pierwsze leczenie przesądza o losach chorego. Jeśli terapię przetrwa choćby jedna komórka nowotworowa, ma ona już wypracowaną oporność.**

Zachorowalność na nowotwory warunkowane tradycyjnymi czynnikami spada; głównie dotyczy to dymu papierosowego – obniżenie odsetka osób palących przełożyło się na stopniowy spadek zachorowań na raka krtani u mężczyzn (ale nie u kobiet).

Im szybsza diagnoza, tym lepiej

Wczesne rozpoznanie raka głowy i szyi jest niezmiernie ważne, gdyż w leczeniu choroby w 1-2 stopniu zaawansowania, bez zmian w węzłach chłonnych, od lat dysponujemy dwoma skutecznymi metodami – chirurgią i radioterapią. Stosowane osobno lub w skojarzeniu, umożliwiają uzyskanie wyleczalności przekraczającej nawet 90%. Ponadto leczenie chirurgiczne we wczesnych stadiach zaawansowania nowotworu nie powoduje okaleczeń, co jest bardzo korzystne dla zachowania czynności i estetyki leczonego obszaru.

Niestety, nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach Europy, także wysokorozwiniętych, nowotwory głowy i szyi diagnozowane są późno – u ok. 60-70% chorych dopiero na etapie choroby miejscowo zaawansowanej. Pacjenci wymagają wówczas agresywnego leczenia chemioradioterapią bądź stosowania rozległych zabiegów operacyjnych.

Poza bagatelizowaniem wczesnych objawów nowotworu głowy i szyi poważny problem stanowi również wypieranie tych faktów. Wskutek tego chory zgłasza się do lekarza, gdy objawy stają się tak dokuczliwe, że utrudniają codzienne funkcjonowanie. Z kolei u lekarza pierwszego kontaktu niepotrzebnie przedłuża się leczenie pacjenta lekami przeciwzapalnymi czy kolejnymi antybiotykami, podejrzewając błędnie, że problemem jest np. angina przechodząca w formę przewlekłą.

Pierwsze leczenie determinuje sukces

W leczeniu pacjenta z nowotworem głowy i szyi wymagana jest współpraca zespołu wielu specjalistów. W składzie zespołu powinien być chirurg głowy i szyi (chirurg onkolog, chirurg szczękowo-twarzowy, otolaryngolog), oprócz tego – specjaliści radioterapii onkologicznej i onkologii klinicznej, a w konsultacji – specjalista radiodiagnostyki i patomorfolog. Jeśli planowane są zabiegi wpływające na funkcjonowanie czynnościowe pacjenta warto, żeby już na wstępnym etapie udział w konsultacjach mieli też logopeda czy fizjoterapeuta.

Rola wielodyscyplinarnego konsylium wzrasta wraz z zaawansowaniem nowotworu, bo w leczeniu będą wykorzystywane wszystkie dostępne metody: radioterapia, leczenie systemowe, chirurgia. Nawet jeśli pacjent z chorobą średnio zaawansowaną kwalifikowany jest do chemioradioterapii, musi istnieć zabezpieczenie chirurgiczne, bo gdy nie dojdzie do wyleczenia, stosuje się ratujący zabieg operacyjny.

W rakach narządów głowy i szyi pierwsze leczenie przesądza o losach chorego, gdyż jeśli daną terapię przetrwa choćby tylko jedna komórka nowotworowa, to ma ona już wypracowaną oporność i z czasem może doprowadzić do nawrotu choroby. Na razie nie potrafimy ze 100% pewnością powiedzieć, czy z organizmu pacjenta wyeliminowane zostały wszystkie komórki nowotworowe, gdyż metody obrazowania: tomografia komputerowa, badanie PET i rezonans magnetyczny wychwytują tylko zmiany mierzalne. Jeśli po intensywnym leczeniu zostaje jedynie niewielka liczba komórek nowotworowych, nie potrafimy tego wykryć dostępną diagnostyką.

Leczenie skojarzone to przyszłość

Przez lata uważano, że w nowotworach głowy i szyi skuteczne jest tylko leczenie miejscowe – chirurgiczne i radioterapia. U pacjentów z nowotworem zaawansowanym wyniki były niezmiennie złe. W tego typu nowotworach leczenie systemowe zaczęto wdrażać w latach 90. XX w. Najpierw była to chemioterapia, a z czasem odkryto, że skojarzenie jej i napromieniania zwiększa wyleczalność o kilkanaście punktów procentowych. U części pacjentów z nawrotami lub przerzutami odległymi takie leczenie skutkuje wydłużeniem czasu przeżycia i (do pewnego stopnia) poprawą jakości życia. Leki ukierunkowane molekularnie były kolejnym przełomem. Ich skojarzenie z chemioterapią tradycyjną bądź radioterapią okazało się skuteczniejsze od samej chemioterapii bądź napromieniania. Wielki sukces w leczeniu nowotworów głowy i szyi związany jest z wdrożeniem immunoterapii. Obecnie jest ona stosowana w przypadku nawrotów lub przerzutów odległych w pierwszej linii leczenia, o ile w komórkach nowotworowych występuje ekspresja białka PD-L1 – ligandu dla receptora programowanej śmierci komórki (PD-1), gdyż warunkuje to odpowiedź na immunoterapię. W drugiej linii leczenia stosowana jest u chorych, u których doszło do progresji po chemioterapii stosowanej w pierwszej linii leczenia.

Immunoterapia także okołooperacyjnie

Immunoterapia znalazła również zastosowanie w leczeniu okołooperacyjnym u chorych kwalifikowanych do zabiegu chirurgicznego. Możliwość jej zastosowania zależy m.in. od stopnia zaawansowania nowotworu oraz ekspresji białka PD-L1 w komórkach nowotworowych. Leczenie rozpoczyna się przed operacją, a następnie jest kontynuowane po zabiegu chirurgicznym jako leczenie uzupełniające, w połączeniu z chemioradioterapią lub samą radioterapią, a później jako samodzielna immunoterapia. W leczeniu tym wykorzystywane jest przeciwciało monoklonalne będące inhibitorem receptora PD-1.

Zastosowanie immunoterapii w schemacie okołooperacyjnym przekłada się na blisko dziesięcioprocentową poprawę wyleczalności i przeżycia całkowitego. Ma to szczególne znaczenie w grupie chorych, u których mimo intensywnego leczenia ryzyko nawrotu pozostaje wysokie, a możliwości terapeutyczne przez wiele lat pozostawały ograniczone. Schemat kojarzenia immunoterapii z zabiegami operacyjnymi i chemioradioterapią jest już metodą zarejestrowaną w Europie. Obecnie jednym z oczekiwań środowiska klinicznego jest wprowadzenie zmian, które umożliwią dostęp do tej formy leczenia również polskim pacjentom. Wśród wyzwań systemowych w odniesieniu do opieki wielodyscyplinarnej nad chorymi z nowotworami głowy i szyi i leczenia tych nowotworów istotne jest uświadamianie w temacie czynników ryzyka, a przede wszystkim – konieczności wczesnego rozpoznawania raków głowy i szyi, co wymaga zwiększenia czujności lekarzy POZ i stomatologów. Ponadto trzeba usystematyzować system opieki nad chorym onkologicznym – przede wszystkim udrożnić przepływy chorych i ujednolicić standardy postępowania, co w nowotworach głowy i szyi jest niesłychanie ważne. Wyzwaniem systemowym jest też współpraca między ośrodkami, ponieważ np. wiadomo, że rozległe operacje, resekcje w obrębie narządu w głowie czy w szyi, wiążą się ze złożonymi rekonstrukcjam i muszą być przeprowadzane w ośrodkach o najwyższej referencyjności, zaś zabiegi małe – już nie.

eprasa.pl b47d9d91db

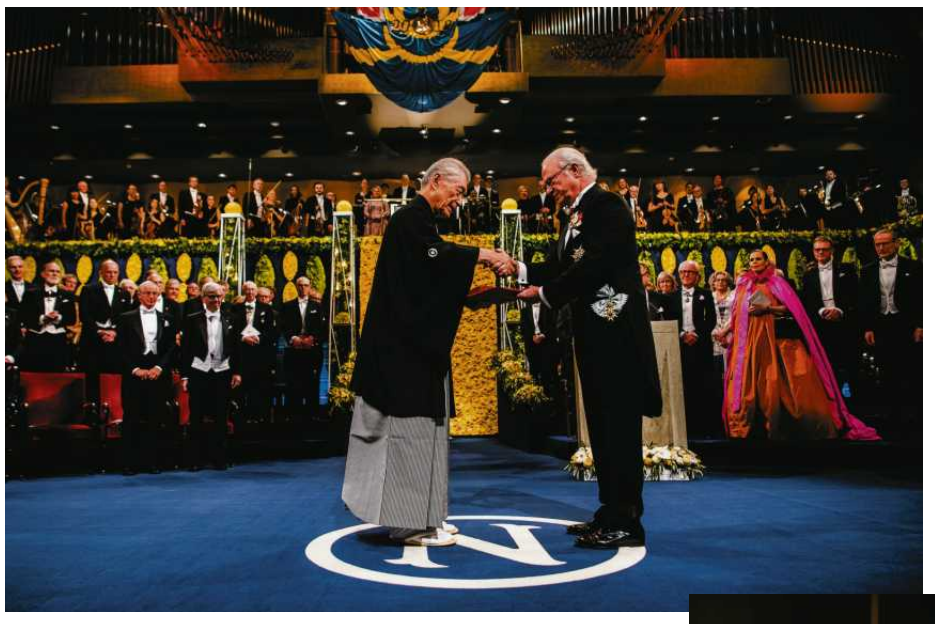
Jestem badaczem, który wybiera ciekawość



Prof. Tasuku Honjo
Immunolog, dyrektor Centrum Immunoterapii Nowotworów i Immunobiologii (CCII) Uniwersytetu w Kioto, laureat Nagrody Nobla 2018

Prof. Tasuku Honjo nie szukał leku na raka. W 1992 roku jego zespół z Uniwersytetu w Kioto badał umierające komórki i przypadkiem natrafił na gen PD-1. Dopiero po latach okazało się, że kodowany przez niego receptor działa jak hamulec układu odpornościowego, a komórki nowotworowe potrafią ten hamulec wciskać, by powstrzymać atakujące je limfocyty T. W 2018 roku japoński immunolog otrzymał za te badania Nagrodę Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny. Leki blokujące receptor PD-1 trafiają dziś co roku do setek tysięcy chorych.

Wywiad przeprowadził: **Bartosz Danel**



Panie Profesorze, gen PD-1 nie został odkryty podczas poszukiwań nowej terapii przeciwnowotworowej. W 1992 roku Pana laboratorium zidentyfikowało go w umierających komórkach, w których się włączał. Przez lata nikt nie wiedział, do czego właściwie służy. Co sprawiło, że wciąż zajmował się Pan czymś o nieznanej funkcji, zamiast wybrać projekt, który szybciej przyniósłby wyraźniejsze rezultaty?

Odkrycie genu PD-1 było czystym szczęśliwym trafem. Nie szukaliśmy go celowo, ale postanowiliśmy nie porzucać tego tematu. Byłem przekonany, że gen PD-1 musi odgrywać kluczową rolę, bo zauważyliśmy, że włącza się tylko w określonych komórkach i w bardzo ograniczonych warunkach. Dlatego wyhodowaliśmy myszy z wyłączonym genem PD-1 i badaliśmy, jakie zmiany się u nich pojawią. W ten sposób chcieliśmy ustalić, do czego ten gen służy. Gdy nieoczekiwane wyniki wciąż budzą w nas iskrę zainteresowania, czy odrzucamy je, bo nie trafiły w pierwotny cel? Czy raczej idziemy za ciekawością? Ja jestem i zawsze byłem badaczem, który wybiera ciekawość.

Od odkrycia genu PD-1 do zrozumienia, że kodowany przez niego receptor działa jak hamulec układu odpornościowego, minęły lata. Czy był w tym czasie konkretny moment, w którym po raz pierwszy przeczuł Pan, że to odkrycie może mieć znaczenie daleko wykraczające poza Pana laboratorium?

Przełom nastąpił, gdy zauważyliśmy, że u myszy z wyłączonym genem PD-1 rozwijają się choroby autoimmunologiczne. To dowiodło, że cząsteczka PD-1 działa jak „hamulec" układu odpornościowego. Co ważne, brak tego hamulca nie zabijał myszy od razu, ale wystarczał, by wywołać reakcję autoimmunologiczną. Dlatego byłem przekonany, że ten hamulec ma podstawowe znaczenie dla odporności całego organizmu. Od tej chwili było jasne, że sterowanie tym hamulcem, czyli jego włączanie i wyłączanie, może otworzyć drogę do wielu zastosowań w medycynie. Ostatecznie najbardziej obiecującym z nich było leczenie nowotworów.

Co właściwie oznacza leczenie nowotworu immunoterapią? Jeśli receptor PD-1 działa jak pedał hamulca, który komórki nowotworowe uczą się wciskać, żeby ukryć się przed układem odpornościowym, to jak leki podawane pacjentom zwalniają ten hamulec?

Mówiąc najprościej, terapia oparta na blokowaniu immunologicznych punktów kontrolnych zwalnia „hamulce" żołnierzy naszego układu odpornościowego, czyli komórek odpornościowych. Dzięki temu mogą one atakować nowotwór, korzystając ze swojej naturalnej siły. Chirurgia i chemioterapia bezpośrednio usuwają lub zabijają komórki nowotworowe. Ta terapia natomiast wykorzystuje do walki z nowotworem własny układ odpornościowy pacjenta. Komórki nowotworowe są niezwykle sprytne. Gdy żołnierze układu odpornościowego, czyli limfocyty T, ruszają do ataku, komórki nowotworowe potrafią uruchomić w nich „hamulec". Wtedy limfocyty T przestają atakować. Jednym z tych ważnych hamulców jest receptor PD-1. Tu właśnie wkraczają inhibitory immunologicznych punktów kontrolnych. Leki te działają jak tarcza, która zakrywa receptor PD-1, więc nowotwór nie może uruchomić tego hamulca. Dzięki temu limfocyty T mogą pozostać aktywne i dalej atakować komórki nowotworowe.

> **Nawet jeśli jakaś terapia nie pomaga danemu pacjentowi, nie znaczy to, że powinniśmy przestać szukać lepszych metod. Nauka wciąż idzie naprzód, a my będziemy dalej pracować nad tym, by pacjenci dostawali nowe, skuteczniejsze terapie.**

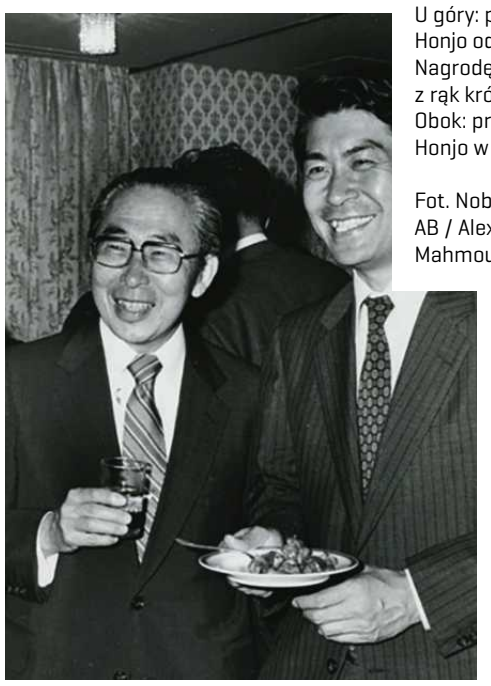
Wielu chorych na nowotwory to osoby starsze. Mimo to w badaniach klinicznych nad immunoterapią było ich dotąd zbyt mało. Badania Pana laboratorium wykazały, że z wiekiem coraz trudniej pobudzić układ odpornościowy do walki z nowotworem. Czy jest nadzieja, że uda się przywrócić mu tę zdolność?

Spermidyna, znana z właściwości przeciwstarzeniowych, aktywuje także komórki odpornościowe. W badaniach na zwierzętach potwierdziliśmy, że w połączeniu z przeciwciałami blokującymi receptor PD-1 odmładza ona stare komórki odpornościowe i poprawia wyniki leczenia nowotworów. Uważamy, że tę metodę w dużym stopniu da się przenieść na ludzi. Robimy wszystko, by jak najszybciej udostępnić ją pacjentom.

Jedną z największych zmian ostatnich lat jest stosowanie immunoterapii zarówno przed operacją, jak i po niej. Dlaczego warto leczyć wcześniej, gdy guz jest jeszcze w organizmie? I jak, Pana zdaniem, zmienia to rolę immunoterapii w leczeniu nowotworów, które da się jeszcze usunąć chirurgicznie?

Dziś nowotwór rozpoznaje się zwykle dopiero wtedy, gdy komórki nowotworowe namnożą się na tyle, że tworzą guz, który da się wykryć. Jednak nawet jeśli guz pierwotny wydaje się ograniczony do jednego miejsca, w innych częściach organizmu mogą już być mikroskopijne ilości komórek nowotworowych. To jeden z powodów, dla których nowotwór może wrócić po operacji. Immunoterapia może być szczególnie skuteczna, dopóki widoczny guz nie został usunięty. Guz może bowiem być źródłem antygenów nowotworowych, które pomagają układowi odpornościowemu rozpoznawać i atakować komórki nowotworowe w całym organizmie. Co ważne, część pobudzonych w ten sposób limfocytów T może przetrwać jako komórki pamięci immunologicznej także po usunięciu guza. Mogą one wtedy na długo chronić przed nawrotem. Dlatego uważam, że wcześniejsze leczenie nowotworów immunoterapią ma duży potencjał.





Na zdjęciach
U góry: prof. Tasuku Honjo odbiera Nagrodę Nobla z rąk króla Szwecji; Obok: prof. Tasuku Honjo w młodości.

Fot. Nobel Media AB / Alexander Mahmoud

Pana centrum badawcze wyznaczyło sobie imponujący cel: do 2050 roku opanować dzięki immunoterapii niemal wszystkie nowotwory. Immunoterapia odmieniła już wyniki leczenia takich nowotworów jak czerniak i rak płuca. Inne, w tym glejaki i rak trzustki, jak dotąd prawie w ogóle na nią nie reagują. Czy jest jakiś konkretny przełom, na który Pan czeka? A może taki, który już rysuje się w laboratoriach, ale jeszcze nie dotarł do pacjentów?

Właśnie dlatego nigdy nie przestajemy rozwijać naszych badań. W laboratorium widzimy wiele bardzo obiecujących przełomów, a niektóre z nich trafiają już do badań klinicznych. Na przykład kluczową przeszkodą jest to, że podczas długiej walki z nowotworem komórkom odpornościowym kończy się energia. Szukając sposobu, by temu zaradzić, odkryliśmy, że dodanie do leczenia spermidyny, o której wspominałem wcześniej, radykalnie zwiększa odsetek wyleczeń w naszych modelach doświadczalnych. Obecnie aktywnie zbieramy dane z badań na ludziach, aby to odkrycie stało się terapią stosowaną w praktyce. Jestem przekonany, że jeśli krok po kroku rozwiążemy problemy związane z energią komórek i z opornością na leczenie, zdołamy opanować nawet najtrudniejsze nowotwory.

Na koniec: co chciałby Pan powiedzieć pacjentom onkologicznym w Polsce i ich rodzinom, którzy czytają ten wywiad?

Immunoterapia nowotworów zmieniła już życie wielu pacjentów, ale to dopiero początek tego, co może dać to podejście. Jej skuteczność zależy od rodzaju nowotworu i od konkretnego pacjenta. Wciąż czeka nas wiele wyzwań. Zwracam się do pacjentów w Polsce i ich rodzin, którzy stoją dziś przed trudnymi decyzjami: proszę otwarcie rozmawiać ze swoim lekarzem o możliwościach leczenia, swoich nadziejach i celach. Nawet jeśli jakaś terapia nie pomaga danemu pacjentowi, nie znaczy to, że powinniśmy przestać szukać lepszych metod. Nauka wciąż idzie naprzód, a my będziemy dalej pracować nad tym, by pacjenci dostawali nowe, skuteczniejsze terapie.

Czy wiesz, że?

Nagrodę Nobla w 2018 roku prof. Honjo dzielił z Amerykaninem Jamesem P. Allisonem, odkrywcą innego „hamulca" odporności – CTLA-4. Pierwszy lek blokujący PD-1 zarejestrowano w Japonii w 2014 roku.

eprasa.pl b47d9d91db

Suchość pochwy – skutek leczenia onkologicznego

Suchość pochwy to częsty skutek leczenia onkologicznego. Z tego powodu stałym elementem kompleksowej opieki nad pacjentką onkologiczną powinna być troska o komfort kobiety, jej zdrowie intymne i regenerację śluzówki pochwy.



Prof. dr hab. n. med. Krzysztof Nowosielski
Ginekolog, onkolog, Śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach

Leczenie chorób nowotworowych w obrębie miednicy małej może skutkować atrofią (zanikiem) komórek nabłonka pochwy produkujących śluz i wynikającą z tego suchością pochwy. Nieprawidłowości te mogą być powodowane każdym rodzajem leczenia onkologicznego: chemio- i radioterapią, leczeniem chirurgicznym, a także hormonoterapią.

Leczenie onkologiczne uderza w poczucie kobiecości

W przypadku ogólnoustrojowej chemioterapii większość leków w mniejszym lub większym stopniu powoduje przejściowe uszkodzenie jajników. Może być tak, że po zakończeniu chemioterapii funkcja tych narządów wraca, a kobieta zaczyna na nowo miesiączkować. Po leczeniu chirurgicznym skutkującym wycięciem jajników takiej możliwości nie ma. Z kolei zastosowanie radioterapii, np. w raku sromu czy w raku szyjki macicy, powoduje, że jajniki będą znajdowały się w polu oddziaływania naświetlania, co doprowadzi do zahamowania ich funkcjonowania.

Jeśli u pacjentki przestaną działać jajniki, wówczas śluzówka pochwy pozbawiona jest dostaw naturalnych hormonów, które warunkują prawidłową jędrność tej tkanki i wydzielanie substancji stanowiących pożywkę dla mikrobiomu waginalnego. Radioterapia dodatkowo uszkadza fizycznie nabłonek pochwy – w wyniku napromienienia komórki tego obszaru przestają się dzielić i stają się atroficzne, zwłókniałe, przez co nie mogą produkować odżywczego dla mikrobiomu pochwy śluzu. Hormonoterapia dotyczy raków endometrium oraz raka piersi – stosowane tu leki modulują pracę receptorów dla estrogenów bądź całkowicie hamują produkcję i przekształcanie testosteronu w estrogeny.

Niedostatek estrogenów powoduje, że pacjentka – nawet jeśli jest bardzo młoda – wchodzi w menopauzę. Ponadto komórki pochwy nie mogą produkować odpowiedniej ilości śluzu. Wskutek tego kobieta zaczyna odczuwać suchość w pochwie. Możemy temu zapobiegać, gdyż potrafimy odciągnąć jajniki od macicy i przesunąć je poza pole promieniowania, dzięki czemu zachowują one swoją biologiczną funkcję, a kobieta nie będzie później odczuwała dolegliwości w obrębie pochwy. Kiedy jednak naświetlany jest cały rejon miednicy małej (a więc również okolice intymne), w obszarze tym pojawi się atrofia, a w ślad za nią – suchość pochwy, która przełoży się niekorzystnie na codzienne funkcjonowanie kobiety, gdyż powoduje ból i dyskomfort, utrudnia chodzenie i siedzenie. Utrudnia też kontakty seksualne, bo przy niedostatku śluzu waginalnego pojawiają się mikrootarcia, które powodują mikrourazy, co z kolei pogłębia dolegliwości bólowe. Rodzi to lęk przed bliskością i spadek libido.

Atrofia i suchość pochwy – zapobiegać i leczyć

Jeśli pacjentka spełnia kryteria, czyli nie ma przeciwwskazań związanych np. z nowotworami hormonozależnymi, można zastosować u niej terapię hormonalną. Jeśli jednak zmaga się z tym rodzajem nowotworu (np. rak piersi, rak endometrium), podanie leków hormonalnych może powodować wzrost ryzyka wznowy tego nowotworu, ponieważ na jego komórkach znajdują się receptory dla estrogenów.

Na szczęście dysponujemy rozwiązaniami, które można zastosować także u takich pacjentek. Na początku wykorzystuje się niehormonalne dopochwowe preparaty medyczne o charakterze nawilżającym. Zawierają one między innymi kwas hialuronowy. Związek ten może występować w różnych postaciach, ale w ginekologii najlepiej sprawdza się w formie drobnocząsteczkowej. Ponieważ bardzo dobrze wiąże wodę, powoduje, że poprawia się turgor (jędrność) komórek śluzówki pochwy. Takie działanie ma duże znaczenie podczas kontaktu intymnego, gdyż znika suchość pochwy, a zaopatrzone w wodę komórki tworzą miękką poduszkę, dzięki czemu nie dochodzi do otarć delikatnej śluzówki waginalnej.

Preparaty z kwasem hialuronowym mają formę globulek bądź żelu; można je stosować raz dziennie, głównie na noc, co sprzyja nawilżeniu i regeneracji śluzówki pochwy. Pacjentki onkologiczne sygnalizują, że dzięki nim odzyskały poczucie kobiecości oraz wracają do aktywności seksualnej. Aby zwiększyć komfort podczas kontaktów intymnych, kobieta może dodatkowo wykorzystywać lubrykanty czy żele mające właściwości poślizgowe, które są bezpieczne także dla prezerwatyw. Jeśli działanie niehormonalne nie wystarczy, podejmuje się leczenie hormonalne. Pacjentka powinna przedyskutować schemat terapii pod kątem korzyści i zagrożeń z lekarzem ginekologiem onkologiem, który w porozumieniu z onkologiem klinicznym podejmie decyzję, czy takie leki włączyć – miejscowo bądź ogólnoustrojowo.

Ważne, żeby pacjentka rozmawiała też z lekarzem prowadzącym o swoim życiu intymnym. Bo im wcześniej podejmie się działania zaradcze, tym większe prawdopodobieństwo, że kobieta będzie mogła czerpać satysfakcję z kontaktów seksualnych mimo terapii onkologicznej.



eprasa.pl b47d9d91db

Nowoczesna profilaktyka *raka szyjki macicy*

Sednem profilaktyki raka szyjki macicy jest niedopuszczenie do przetrwałego zakażenia HPV, gdyż chroni to organizm przed rozwojem stanów patologicznych w obrębie szyjki macicy – przednowotworowych i nowotworowych.

Prof. dr hab. n. med. Witold Kędzia
Kierownik Kliniki Ginekologii Ginekologiczno-Położniczego Szpitala Klinicznego Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu

Zakażenie wirusem brodawczaka ludzkiego (HPV – Human papillomavirus) jest przenoszone drogą płciową. Najczęściej organizm samodzielnie eliminuje patogen, ale u niektórych osób zakażenie przechodzi w postać przewlekłą. Profilaktyka raka szyjki macicy sprowadza się przede wszystkim do zapobiegania zakażeniom tym wirusem, bo jest on onkogenny – 99% raków szyjki macicy to nowotwory HPV-zależne, które rozwijają się wskutek trwającego minimum 12 miesięcy zakażenia tym patogenem.

Profilaktyka pierwotna i wtórna

Profilaktyka raka szyjki macicy obejmuje prewencję pierwotną i wtórną. W profilaktyce pierwotnej wykorzystuje się szczepienia przeciw zakażeniu HPV. Są one dedykowane głównie populacji nastolatek i nastolatków w wieku 9-14 lat (ponieważ chcemy zaszczepić osoby, które jeszcze nie są aktywne płciowo), ale ze szczepień tych mogą również korzystać kobiety i mężczyźni w każdej grupie wiekowej.

Profilaktyka wtórna raka szyjki macicy przeznaczona jest dla kobiet w wieku 25+. Polega na okresowym wykonywaniu odpowiednich badań – do zeszłego roku była to cytologia z rozmazem, przeprowadzana co 3 lata w ramach programu refundacyjnego NFZ, a obecnie proponujemy zastąpienie jej testem HPV, nowoczesnym badaniem, które umożliwia sprawdzenie, czy dana kobieta jest zarażona wirusem brodawczaka ludzkiego. Test ten w porównaniu do cytologii jest znacznie bardziej czuły, dzięki czemu możemy ze zdecydowanie wyższą niż dotychczas dokładnością identyfikować osoby HPV-pozytywne, które są potencjalnie narażone na patologię szyjki macicy. Czułość testu HPV wynosi znacznie powyżej 95% – zbliżamy się do około 100%. Testy te, refundowane przez NFZ, to dobrej jakości badania z certyfikatami amerykańskim i europejskim. Wyniki są wiarygodne i nieobarczone błędem ludzkim, gdyż testy przeprowadzane są przez maszynę zwaną analizatorem molekularnym.

Test HPV co 5 lat

Wymaz do testu HPV może być wykonany przez pracownika służby zdrowia bądź samodzielnie przez kobietę (na rynku dostępne są zestawy przeznaczone do tego celu). Próbkę z wymazu przesyła się do laboratorium molekularnego, gdzie w pierwszej kolejności sprawdza się, czy pochodzi ona od człowieka. Dalsze badanie przeprowadza maszyna – szuka materiału genetycznego wirusa HPV. Takie postępowanie wyklucza pomyłki, ponieważ próbka biologiczna niemająca pochodzenia ludzkiego zostanie zdyskwalifikowana.

Negatywny wynik testu HPV oznacza, że w próbce pobranej z szyjki macicy nie ma materiału genetycznego wirusa brodawczaka ludzkiego. Wynik testu jest tak silny diagnostycznie, że kolejne badanie w kierunku HPV wykonane zostanie u danej kobiety za 5 lat. Częstsze testowanie uznaje się za wadliwe – jest nieopłacalne i naraża pacjentkę na niepotrzebne wizyty. Jeśli w okresie między testami kobieta zostałaby zainfekowana HPV i zakażenie nabrałoby charakteru przetrwałego, 5 lat to za krótko, aby doszło do rozwoju poważnej patologii w obrębie szyjki macicy. Mogą pojawić się jedynie zmiany łagodne, nienowotworowe, a prawdopodobnie nawet nie przednowotworowe i zmiany w morfologii komórek nabłonka płaskiego, sygnalizujące obecność wirusa brodawczaka ludzkiego.

Profilaktykę raka szyjki macicy warto wspierać

Dodatni wynik testu HPV to wskazanie do wykonania płynnej cytologii – żeby sprawdzić, czy w próbce biologicznej występują nieprawidłowe komórki. Jeśli zostaną one zaobserwowane, kobietę kieruje się na badanie kolposkopowe, podczas którego pod powiększeniem oceniany jest wygląd szyjki macicy. W razie wykrycia zmian powodowanych przez zakażenie HPV, wykonuje się ich biopsję. Pozyskany materiał oceniany jest przez patologa. Wysokiego stopnia stany przedrakowe podlegają usunięciu. Niskiego stopnia stany przedrakowe nie wymagają usunięcia, a jedynie obserwacji – kobieta otrzymuje zalecenie zgłaszania się na okresowe wizyty kontrolne. W okresie pomiędzy wizytami można samodzielnie wspierać organizm w działaniach przeciw zakażeniu HPV i jego skutkom. Na rynku są dostępne dedykowane temu wyroby medyczne, zawierające składniki wspomagające w sposób naturalny spontaniczną eliminację wirusa brodawczaka ludzkiego z organizmu oraz cofanie się (regresję) zmian na szyjce macicy, które powstały wskutek przetrwałego zakażenia tym patogenem. Zastosowanie takiego preparatu, np. w postaci dopochwowego żelu adsorbującego patogeny, stanowi wsparcie dla organizmu zaangażowanego w eliminację wirusa HPV. Preparaty dopochwowe wspomagające samoistną regresję wirusa nie mają 100% skuteczności, dlatego po ich zastosowaniu należy upewnić się, czy patogen został wyeliminowany z organizmu i kontrolować szyjkę macicy podczas okresowych badań.

Czy wiesz, że?

Prawie wszystkie przypadki raka szyjki macicy wywołuje wirus HPV. Związek wirusa z tym nowotworem odkrył niemiecki lekarz Harald zur Hausen i otrzymał za to w 2008 roku Nagrodę Nobla.



eprasa.pl b47d9d91db



Marta Sikorska
Koordynatorka ds. komunikacji i PR, Alivia Onkofundacja

Nowe zasady finansowania *paraliżują diagnostykę*

Po siedmiu miesiącach od wprowadzenia nowych zasad finansowania badań diagnostycznych kolejki w całej Polsce wyraźnie się wydłużyły.

1 kwietnia 2026 r. weszły w życie nowe zasady finansowania badań diagnostycznych przez Narodowy Fundusz Zdrowia. Choć badania formalnie pozostają nielimitowane, za świadczenia wykonane ponad wartość określoną w umowie NFZ płaci placówkom jedynie 50 proc. stawki w przypadku tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego oraz 60 proc. w przypadku gastroskopii i kolonoskopii. W praktyce oznacza to mniejszą opłacalność wykonywania badań i może skłaniać placówki do ograniczania liczby przyjmowanych pacjentów.

Kolonoskopia: setki dni czekania na podstawowe badanie

Kolejki wydłużyły się zarówno w przypadku kolonoskopii bez znieczulenia, jak i w znieczuleniu. Na badanie bez znieczulenia pacjenci czekają obecnie 358 dni w trybie normalnym – o 121 dni dłużej niż przed wprowadzeniem nowych zasad. W trybie pilnym czas oczekiwania wynosi 272 dni, czyli o 104 dni więcej niż wcześniej.

Jeszcze dłużej trzeba czekać na kolonoskopię w znieczuleniu. W trybie normalnym średni czas oczekiwania wzrósł z 407 do 586 dni, czyli o 179 dni. W trybie pilnym pacjenci czekają obecnie 485 dni – o 142 dni dłużej niż przed zmianą.

Do czasu oczekiwania na samo badanie należy dodatkowo doliczyć czas potrzebny na wykonanie i otrzymanie wyniku badania histopatologicznego, który może wynosić nawet 31 dni.

Na gastroskopię pacjenci czekają miesiącami

Podobnie sytuacja wygląda w przypadku gastroskopii. Na badanie bez znieczulenia pacjenci czekają obecnie 220 dni w trybie normalnym – o 87 dni dłużej niż wcześniej. W trybie pilnym czas oczekiwania wynosi 171 dni, czyli o 77 dni więcej niż przed wprowadzeniem nowych zasad.

Jeszcze bardziej niepokojąco wygląda sytuacja w przypadku gastroskopii w znieczuleniu. W trybie normalnym średni czas oczekiwania wzrósł z 384 do 528 dni, czyli aż o 144 dni. Oznacza to, że pacjent może czekać na badanie nawet ponad 17 miesięcy.

W trybie pilnym czas oczekiwania zwiększył się z 333 do 465 dni, czyli o 132 dni. To ponad 15 miesięcy oczekiwania na badanie określane jako pilne.

Badania endoskopowe, czyli gastroskopia i kolonoskopia, to jedne z podstawowych badań wykorzystywanych w diagnostyce nowotworów i innych chorób układu pokarmowego. Tak długi czas oczekiwania może oznaczać istotne opóźnienie całego procesu diagnostycznego i często poważne konsekwencje dla pacjentów – mówi Aleksandra Ciompała, Koordynatorka ds. programów pomocowych w Onkofundacji Alivia.

Nie tylko endoskopia. Problem dotyczy także badań obrazowych

Wydłużają się również kolejki do dwóch podstawowych badań obrazowych – rezonansu magnetycznego i tomografii komputerowej. Na rezonans magnetyczny pacjenci czekają obecnie średnio: 143 dni w trybie normalnym – o 58 dni dłużej niż przed wprowadzeniem nowych zasad i 110 dni w trybie pilnym – o 46 dni dłużej niż wcześniej.

W przypadku tomografii komputerowej średni czas oczekiwania wynosi 80 dni w trybie normalnym – o 29 dni dłużej oraz 60 dni w trybie pilnym – o 24 dni dłużej.

Do czasu oczekiwania na samo badanie trzeba doliczyć również czas potrzebny na przygotowanie jego opisu. W przypadku rezonansu magnetycznego może on wynosić nawet 28 dni, a tomografii komputerowej – 23 dni.

Ministerstwo reaguje, ale problem dostępu do diagnostyki pozostaje

W czerwcu 2026 r., po sygnałach dotyczących konsekwencji nowych zasad, Ministerstwo Zdrowia zdecydowało o wyłączeniu pacjentów onkologicznych z ograniczeń finansowania części badań diagnostycznych. Pełnym finansowaniem objęto m.in. tomografię komputerową, rezonans magnetyczny, gastroskopię i kolonoskopię wykonywane u osób pozostających w trakcie diagnostyki z kartą DILO lub leczenia onkologicznego oraz wymagających regularnych kontroli po jego zakończeniu.

To ważna zmiana, ale nie rozwiązuje problemu dostępu do diagnostyki. Z danych Narodowego Funduszu Zdrowia dotyczących realizacji szybkiej ścieżki onkologicznej wynika, że nie wszyscy pacjenci onkologiczni mają wystawianą kartę DiLO (Diagnostyki i Leczenia Onkologicznego) na etapie badań diagnostycznych. 17% pacjentów, a w niektórych województwach nawet ponad 30%, otrzymuje ją dopiero na etapie leczenia szpitalnego, po potwierdzeniu nowotworu złośliwego. Oznacza to, że zanim karta zostanie wystawiona, diagnostyka tych pacjentów odbywa się poza szybką ścieżką onkologiczną.

Tymczasem pacjent, który nie ma jeszcze rozpoznania, ale ma objawy lub podejrzenie choroby nowotworowej, potrzebuje diagnostyki właśnie po to, aby tę chorobę potwierdzić lub wykluczyć. Jeśli nie zostanie odpowiednio wcześnie objęty ścieżką DiLO, jest zmuszony do korzystania z badań diagnostycznych na zasadach ogólnych i oczekiwania w zwykłych kolejkach. W efekcie pacjent, który powinien jak najszybciej otrzymać diagnozę i rozpocząć odpowiednie leczenie, może miesiącami czekać na badania, od których zależy jego dalsza ścieżka leczenia.

Fundacja zapowiada dalsze śledzenie zmian i publikowanie danych pokazujących, jak ograniczenia w finansowaniu wpływają na dostęp pacjentów do diagnostyki.



eprasa.pl b47d9d91db

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

14 / Herstoria

Polki na hiszpańskiej wojnie

18 / Psychologia

Czy mądrość przychodzi z wiekiem?



NADIA MURAD

Noblistka marzy o salonie *piękności*

– rozmowa Joanny Wróżyńskiej

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 46 (1417) SOBOTA – CZWARTEK, 21-26 LISTOPADA 2026

Marzenie o tańcu



PAULINA REITER

Gisèle Pelicot jest zakochana. Ogłosiła to publicznie – opisała nową miłość w książce „Hymn do życia", która właśnie ukazała się po Polsku. Za chwilę usłyszycie to zapewne zresztą z jej ust – odwiedzi Polskę na dwa dni, 24 i 25 listopada. Jej wybrankiem jest Jean-Loup, wdowiec, poznała go przez wspólnych znajomych. Takie aranżowane związki czasem się udają! Poznała go w pewien czerwcowy wieczór, w czasie, gdy trwało śledztwo dotyczące gwałtów na niej (aranżował je jej były mąż). Dała się przyjaciołom zaciągnąć do Java des Baleines na wyspie Île de Ré, wielkiego namiotu przypominającego cyrkowy, gdzie można wypić drinka, coś chrupnąć, pogadać, posłuchać muzyki, potańczyć. „Zawsze uwielbiałam tańczyć i śpiewać, a teraz potrzebowałam tego bardziej niż kiedykolwiek" – napisała w książce. Potem umówili się do opery, on ją odprowadził do domu i pocałował. „Byłam szczęśliwa. Chciałam znów kochać. I nie bałam się" – pisze Pelicot. A jeszcze potem zdecydowała się, że mu zaufa i choć miała wiele lęków o to, jak jej ciało doświadczone krzywdą i traumą to przeżyje, zdecydowała się z nim kochać. Pisze o tym niesłychanie szczerze i otwarcie, ćwicząc radykalną szczerość w służbie wspierania innych kobiet. Bo każda z nas chce wierzyć, że horror story można zmienić w love story. Że miłość i dobro zwyciężą, a zło zostanie pokonane. Chcemy wierzyć, że na ziemiach wyniszczonych wojną można odbudować miasta i wioski, że zrujnowane, wyjałowione ziemie odżyją i znów zakwitną, że ludzie, którzy zostali zniszczeni, znajdą siłę w sobie i wsparcie w innych, by się odbudować. Chcemy wierzyć, że nie da się nas złamać – że jeśli spotyka nas zło, to na koniec dobro zwycięży. Tak nas uczono w dzieciństwie, takie historie nasze matki i ojcowie czytali nam do snu.

Nie jestem naiwna. Nie jest moim celem wmawiać komuś, że teraz, gdy się zakochała, Gisèle może już zapomnieć, co było i żyć długo i szczęśliwie. Sądzę, że jej życie faktycznie może być długie i że zazna (życzę jej tego z całego serca!) wielu chwil szczęścia, ale sądzę, że zło, które ją dotknęło, odcisnęło piętno na zawsze.

W tym numerze „Wysokich Obcasów" Joanna Wróżyńska rozmawia z Nadią Murad, laureatką Pokojowej Nagrody Nobla. Jestem pod wrażeniem, z jakim taktem porusza ten temat – rozmawia o gwałtach i przemocy, których poziom wykracza poza skalę tego, co – wydawałoby się – człowiek jest w stanie przeżyć, i robi to tak, by uświadomić nam bezmiar zła, którego doświadczyła Nadia, a jednocześnie, by jej ponownie nie traumatyzować. Wzrusza mnie, gdy Murad – aktywistka, którą zna cały świat, bo z walki z gwałtem wojennym uczyniła swoją misję – mówi, że marzy o tym, by prowadzić salon piękności. Marzenie, które miała już jako dziecko.

Mam nadzieję, że to marzenie się spełni. Noblistka pracująca w salonie piękności? Kobieta taka jak Gisèle, która stała się światową ikoną feminizmu, na tańcach w namiocie, w ramionach ukochanego mężczyzny? Tak, to wspaniałe. Niech znajdą swój spokój, swoje zwykłe życie.

To, że te dwie kobiety nie przestają marzyć, pozwala nam wszystkim wierzyć w to, że z cierpienia, smutku, traumy da się wyjść i jeszcze zatańczymy. ▲

Paulina Reiter – redaktorka prowadząca



NOWE „WYSOKIE OBCASY EKSTRA" GRUDZIEŃ 2026

■ **NA OKŁADCE:** Katarzyna Warnke: Cieszy mnie przekora ■ **TEMAT NUMERU:** Longevity: Trend czy przełom. O sposobach na długie życie mówią Beata Ścibakówna, Beata Sadowska, Robert Korzeniowski ■ **PSYCHOLOGIA:** • Randkowanie dojrzałych • Ból poza kontrolą: jak potwór w horrorze • Matki roboty się wypalają • Seks: Męskość pod presją • Dziewczynki z ADHD ■ **MODA:** Tajemnica ciepła: swetry z wełny i kaszmiru

www.wysokieobcasy.pl **wysokieobcasy** **wysokieobcasy.pl** **listy@wysokieobcasy.pl**

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Paulina Reiter

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Klaudia Koźlińska

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTOR SPRZEDAŻY:
Bartosz Wysocki
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 3, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 46 (1417)
NA OKŁADCE:
NADIA MURAD
FOT. NADIA'S INITIATIVE




#NieMaMnieTutaj
Nasze dzieci są obok.
Ale coraz częściej
nie ma ich tutaj
CZYTAJ NA WYBORCZA.PL/NIEMAMNIE
wyborcza.pl
GAZETA.PL
wysokieobcasy.pl



NADIA MURAD

Żeby gwiazdy znów *zatańczyły*

Należę do globalnej społeczności osób, które przeżyły przemoc seksualną. Myślę, że jeśli będziemy działać razem, mamy szansę zapobiec takim sytuacjom w przyszłości



Nadia Murad wygłasza wykład po otrzymaniu Pokojowej Nagrody Nobla w grudniu 2018 r. Murad została wyróżniona wraz z Denisem Mukwegem „za wysiłki mające na celu zaprzestanie używania przemocy seksualnej jako narzędzia wojny i konfliktów zbrojnych”

Z **NADIĄ MURAD**, AKTYWISTKĄ, LAUREATKĄ POKOJOWEJ NAGRODY NOBLA, ROZMAWIA **JOANNA WRÓŻYŃSKA**

I

Latem 2014 r. bojownicy Państwa Islamskiego (ISIS) zaatakowali zamieszkany m.in. przez mniejszość jezydzką rejon Sindżaru na północy Iraku. W ciągu trzech lat zamordowali około pięciu tysięcy jezydów, a ponad 10 tys. jezydzkich kobiet i dzieci wzięli do niewoli, co powszechnie uznaje się za ludobójstwo. Jedną z uprowadzonych kobiet była 21-letnia wówczas Nadia Murad. Przez trzy miesiące była przetrzymywana w niewoli przez dżihadystów. Zmusili ją do przejścia na islam, wielokrotnie gwałcili i bili. Udało jej się uciec i z pomocą lokalnej rodziny przedostać poza teren kontrolowany przez ISIS, do obozu dla uchodźców w Dahuk w Regionie Kurdystanu. W 2015 r., korzystając z programu dla uchodźców niemieckiego regionu Badeni-Wirtembergii, wyjechała do Niemiec, gdzie mieszka do dzisiaj. W tym samym roku po raz pierwszy opowiedziała swoją historię przed Radą Bezpieczeństwa ONZ. Od tego czasu nieustannie działa na rzecz pomocy ofiarom gwałtów wojennych i szerzy świadomość na temat ludobójstwa jezydów. Sekretarz generalny ONZ mianował ją specjalną ambasadorką ONZ do spraw ofiar handlu ludźmi, a w 2018 r. otrzymała razem z Denisem Mukwegem Pokojową Nagrodę Nobla „za wysiłki mające na celu zaprzestanie używania przemocy seksualnej jako narzędzia wojny i konfliktów zbrojnych".

Bojownicy ISIS zabili jej mamę, sześciu rodzonych i przyrodnich braci, ukochaną siostrzenicę i wielu członków bliższej i dalszej rodziny.

Co jest według ciebie największą wartością w życiu?
– Czas, bo nie mamy go zbyt wiele. Często wydaje nam się, że mamy go mnóstwo, ale wiem z własnego doświadczenia, że tak nie jest. Dlatego mam nadzieję, że ludzie będą go wykorzystywali najlepiej, jak potrafią, bo jest naprawdę cenny i nie da się go odzyskać. Spędzajmy go właściwie, z odpowiednimi osobami, róbmy coś dobrego dla siebie i dla świata.

Urodziłaś się w małej wiosce na północy Iraku, należysz do religijnej mniejszości jezydów. Opowiedz o tym, jak wyglądało wasze życie przed sierpniem 2014 r., czyli przed atakiem ISIS na twoje rodzinne Koczo.
– Irak jest domem dla wielu niewielkich społeczności i mniejszości, takich jak jezydzi, chrześcijanie i wiele innych grup. Kiedyś był to kraj niezwykle zróżnicowany, ale niestety sytuacja się pogarsza i stopniowo traci tę różnorodność.

Dla nas, jezydów, Irak zawsze był domem. Tutaj znajduje się nasza ojczyzna, miejsce, z którym jesteśmy związani od pokoleń, choć nigdy nie odgrywaliśmy znaczącej roli w irackim rządzie, gospodarce czy innych obszarach życia. Jesteśmy po prostu niewielką mniejszością religijną. Na przestrzeni dziejów społeczność jezydów wielokrotnie stawała się celem ataków właśnie z powodu swojej religii. Wielokrotnie musieliśmy walczyć o przetrwanie, ale pozostawaliśmy w naszej ojczyźnie i za każdym razem próbowaliśmy odbudować to, co zostało zniszczone.

Mamy własny język, własną religię i własne tradycje. Wiedliśmy skromne życie, wielu z nas zajmowało się rolnictwem. Także moja rodzina, która mieszkała w niewielkich wioskach na północy Iraku, przy granicy z Syrią. Przed rokiem 2000 niewielu z nas uczęszczało do szkoły, zapewnienie edukacji było poza zasięgiem wielu rodzin. Później sytuacja nieco się zmieniła i rodziny, takie jak moja, mogły pozwolić sobie na to, żeby posłać do szkoły przynajmniej jedno dziecko.

Życie jezydów nigdy nie było jednak łatwe, ponieważ nieustannie towarzyszył nam strach, że staniemy się celem ataków.

Spodziewaliście się tego?
– Tak, bo nawet jeśli wcześniej nie dochodziło do ludobójstwa czy masowych ataków, wielu jezydów ginęło na przykład podczas wyjazdów do Bagdadu. Wielu mężczyzn zostało zabitych podczas służby wojskowej tylko ze względu na to, jaką religię i tożsamość mieli wpisaną w dokumentach.

Spodziewaliśmy się, że coś może się stać i żyliśmy w strachu. Nie pomagało to, że nawet nasi sąsiedzi uważali, że nie jesteśmy „Ludem Księgi" i byliśmy postrzegani jako „inni". Gdybyś odwiedziła wioskę taką jak moja, zauważyłabyś, że wszyscy wracają do domów przed zmrokiem, bo później robiło się niebezpiecznie.

Upatruję tu porażki społeczności międzynarodowej. Wiedziano przecież, że w takich miejscach jak Irak niektóre społeczności są nieustannie prześladowane ze względu na swoją religię i pochodzenie. Nawet po 2003 roku, kiedy Stany Zjednoczone dokonały inwazji na Irak, nie było żadnych gwarancji, że mniejszości takie jak jezydzi zostaną objęte ochroną. Sytuacja była jasna dla każdego, kto znał realia życia w tej części świata i widział, jak bezbronne są tamtejsze mniejszości. Mimo to nie podjęto żadnych działań, by nas chronić lub by skłonić iracki rząd do zapewnienia nam bezpieczeństwa.

Mówiąc, że jezydzi nie są „Ludem Księgi", masz na myśli to, że nie mają świętej księgi, takiej jak Biblia czy Koran.
– Nasza religia opiera się na przekazie ustnym. Przez stulecia przekazywaliśmy naszą wiarę i tradycje z pokolenia na pokolenie w formie opowieści. Ludzie bali się je spisywać. Właśnie dlatego potrafię mówić w języku kurmandżi, moim języku ojczystym, ale nie umiem w nim czytać ani pisać. Nigdy nie uczyłam się go w szkole, nauczyła mnie go moja mama, którą z kolei nauczyła jej mama i babcia.

Podobnie było z naszymi świątyniami i miejscami kultu. W wioskach nie ma ich wiele, ponieważ obawialiśmy się, że jeśli będą widoczne, ktoś może nas zaatakować. Dlatego wiele z nich budowano wewnątrz gór, tak aby pozostawały ukryte. Nie mamy świętej księgi, ale mamy swoją historię.

Wychowałaś się w Koczo, małej wiosce w dystrykcie Sindżar na północy Iraku. Jak wyglądało twoje życie przed 2014 r.?





Na górze: Nadia Murad pozuje do selfie na Young Activists Summit w Genewie (2019 r.) Poniżej: z prezydentem Donaldem Trumpem podczas spotkania z ofiarami prześladowań religijnych (lipiec 2019 r.)

– Było bardzo proste. Pochodzę z bardzo licznej rodziny, moja mama miała 11 dzieci, a ja byłam najmłodsza. Odeszła od naszego ojca i wychowywała nas sama, pracując na niewielkiej farmie. Miałam ośmiu braci, którzy pozakładali rodziny, a moimi najlepszymi przyjaciółkami były moje siostrzenice. Miałam szczęście, bo w przeciwieństwie do moich starszych sióstr, mogłam chodzić do szkoły, gdzie uczyłam się arabskiego. Uwielbiałam lekcje historii. Kiedy nie byłam w szkole, pracowałam na farmie. Wieczorem zbieraliśmy się wszyscy w domu, siadaliśmy razem do posiłku i rozmawialiśmy o tym, jak minął nam dzień. Opowiadałam o swoich marzeniach i o tym, czego uczyłam się w szkole. Najważniejsi byli dla mnie ludzie, których miałam wokół, którzy mnie kochali i wspierali.

To było intensywne życie, czasami ciężkie, ale pełne sensu. Jedzenie przygotowywaliśmy z plonów, które dawała nam farma, ubrania szyliśmy w domu. Mieliśmy dużo owiec. Sami robiliśmy jogurty, sery i wiele innych rzeczy. Każdego dnia budziliśmy się z poczuciem celu.

O tym, co spotkało cię ze strony bojowników Państwa Islamskiego, mówiłaś m.in. na forum ONZ, w wielu wywiadach, napisałaś też o tym dwie książki. Czy możesz podzielić się tą częścią swojej historii, która pozwoli lepiej zrozumieć kobietę i aktywistkę, którą zostałaś?

– Pierwszą rzeczą, którą zawsze podkreślam, jest to, że nigdy nie nazywałam siebie ofiarą. Nie opowiadałam wciąż na nowo tej historii po to, żeby ludzie mi współczuli. Dzieliłam się nią, ponieważ chciałam, żeby świat zaczął działać, żeby podobne rzeczy już nigdy nie przydarzały się kolejnym kobietom i dziewczętom. Nie sądzę, żebym w tym celu musiała dzielić się tymi najtrudniejszymi fragmentami, opisami rzeczy, których żadna ludzka istota nie powinna przeżywać wciąż na nowo.

To, co mnie spotkało, opisałam szczegółowo w mojej pierwszej książce „Ostatnia dziewczyna. O mojej niewoli i walce z Państwem Islamskim". Nie wstydzę się tego, że przeżyłam gwałt. To nie wydarzyło się w tajemnicy, tylko na oczach całego świata, kiedy ISIS uprowadziło ponad sześć tysięcy kobiet i dzieci i zmusiło je do niewolnictwa seksualnego, przejścia na islam, noszenia określonych ubrań, malowania się, układania włosów i robienia wielu innych rzeczy. Handlowano kobietami i dziewczynkami, nawet dziewięcioletnimi. Osoby, które przeżyły takie doświadczenia, nie powinny musieć wciąż na nowo przez nie przechodzić, żeby im uwierzono i żeby otrzymały wsparcie.

Wiele osób, które przeżyły przemoc seksualną, przestało opowiadać swoje historie. Niektóre z moich przyjaciółek przestały się angażować, bo miały poczucie, że świat interesuje się wyłącznie tą chwilą, kiedy zostały zgwałcone, a nie tym, czego naprawdę potrzebują, żeby odzyskać siebie. Ludzi nie interesowało też, dlaczego w ogóle zdecydowały się opowiedzieć o swoich doświadczeniach. Ja to zrobiłam, bo na początku nie wiedziałam, że gwałty podczas wojny są tak powszechne. Myślałam, że to dotyczyło wyłącznie mojej społeczności.

Ale tak naprawdę opowiedziałam swoją historię głównie ze względu na moją siostrzenicę, która była jednocześnie moją najlepszą przyjaciółką i wciąż znajdowała się w niewoli, a ja chciałam, żeby ją uwolniono. Dorastałyśmy razem, po porwaniu nas rozdzielono, ale wiedziałam, przez co przechodzi.

Później zaczęłam podróżować po świecie i uświadomiłam sobie, że moja historia jest jedną z wielu podobnych. Na świecie jest mnóstwo kobiet i dziewcząt, a nawet mężczyzn, którzy przeżyli gwałt i którzy pochodzą z różnych grup społecznych. Czasami sprawcami są żołnierze, innym razem osoby z ich własnych społeczności, a niekiedy nawet członkowie ich rodzin.

Należę do globalnej społeczności osób, które przeżyły przemoc seksualną. Myślę, że jeśli będziemy działać razem, mamy szansę zapobiec takim sytuacjom w przyszłości.

Za swoją działalność w 2018 r. otrzymałaś Pokojową Nagrodę Nobla. Myślisz czasami o świecie, w którym nie byłabyś Nadią Murad, aktywistką, laureatką Nagrody Nobla, tylko Mardeline, jak zwracają się do ciebie bliscy z Koczo?

– Każdego dnia. Ludzie często pytają mnie, czy jestem tą samą osobą, którą byłam kiedyś. Nie, nie jestem. Patrząc na moją historię, na wszystko, przez co przeszłam, co straciłam, czego doświadczyłam, jak mogłabym nią być? Ale ludzie, których kocham, życie, które sobie wyobrażałam, a także wartości i lekcje, które wyniosłam z domu rodzinnego – to wszystko noszę w sobie.

Mieszkam w Niemczech, są tu też moi siostrzeńcy i siostrzenice, którzy zupełnie nie przejmują się tym, czym się zajmuję. Wiedzą tylko, że wiele przeszłam. Nikt z nich nie mówi do mnie: „Nadia", nazywają mnie Maddie, to skrót od Mardeline. Spędzam z nimi czas, robimy sobie makijaż, zajmuje-

FOT. ERIK VALEST RAND/WIREIMAGE/GETTY IMAGES; SALVATORE DI NOLFI/KEYSTONE VIA AP/EAST NEWS; JABIN BOTSFORD/THE WASHINGTON POST VIA GETTY IMAGES

my się zwykłymi rzeczami. Przez wiele lat zaniedbywałam tę część swojego życia, skupiałam się na pracy i opowiadaniu swojej historii. Wydawało mi się, że nie mogę odmawiać, kiedy ktoś prosi, żebym podzieliła się opowieścią o tym, co przeszłam. Czasami opowiadałam to samo cztery razy dziennie. Miałam poczucie, że stopniowo zatracam się w świecie aktywizmu, wierzyłam, że żeby coś zmienić, trzeba poświęcić wszystko, oddać temu całe swoje życie. Ale w pewnym momencie doszłam do punktu, w którym poczułam się bezużyteczna, moje ciało przestało mnie słuchać. Zrozumiałam, że aby być dobrą aktywistką, dobrym człowiekiem, ciocią, żoną czy siostrą, muszę poświęcić też czas sobie. Być dla siebie dobrą i robić rzeczy, które sprawiają mi radość.

Najlepsi przywódcy i aktywiści, których spotkałam, to właśnie ci, którzy potrafili również cieszyć się życiem i znaleźć czas dla siebie.

Czasami nie doceniamy roli, jaką nasi najbliżsi i przyjaciele odgrywają w naszych życiach. Bywa, że to właśnie dzięki nim się odnajdujemy.

– Masz rację. Myślę, że to dlatego, że oni naprawdę nas znają. Moje siostry również przeżyły gwałt i wiedzą, jak trudno jest mówić o takich doświadczeniach. Ale znają mnie też z czasów, zanim to się wydarzyło, pamiętają dziewczynę, którą byłam przedtem, która miała wielkie marzenia, mimo że dorastała w małej, odległej wiosce. Chciałam otworzyć salon kosmetyczny. Ludzie się z tego śmiali, bo biorąc pod uwagę okoliczności, wydawało im się to niemożliwe.

Młodym ludziom, którzy do mnie podchodzą i mówią: „Chcę zostać aktywistą, jak mogę coś zmienić na świecie?", odpowiadam zawsze, że muszą zacząć od małych rzeczy. Oni często chcą od razu czegoś wielkiego – prestiżowej nagrody, globalnej platformy, wielu obserwujących, a to tak nie działa. Ale najważniejsze to otaczać się właściwymi ludźmi.

No właśnie, co byś powiedziała komuś, kto by do ciebie podszedł i powiedział, że boi się, że w pojedynkę nie jest w stanie zmienić niczego na świecie? Że pojedynczy głos nie ma znaczenia.

– Teraz chyba wszyscy zadajemy sobie pytanie, czy naprawdę jesteśmy w stanie zmienić świat i wpłynąć na to, co się w nim dzieje. Wydaje się, jakby wszystko się rozpadało, a my nie mamy żadnej mocy, żeby wpłynąć na bieg wydarzeń. Ale zawsze powtarzam, że przede wszystkim trzeba spróbować. Naprawdę wierzę, że kiedy odważysz się zabrać głos, możesz być zaskoczony tym, jak wielką masz siłę. Jeśli ciągle powtarzasz sobie, że jesteś tylko jedną osobą, nigdy nie dowiesz się, ile jeszcze jest na świecie takich osób jak ty, które czekają, aż ktoś zrobi pierwszy krok, żeby móc do niego dołączyć. Tak było w moim przypadku.

Byłam tylko jednym głosem, jedną osobą, która przeżyła gwałt i przesiedlenie do obozu. Później wyjechałam do innego kraju, nie znając języka, nie mając pieniędzy ani żadnych znajomości. Ludzie mnie wykorzystywali, posługiwali się moją historią dla własnych celów. Ale do tego, co chciałam osiągnąć, nie prowadziła żadna droga na skróty. Wiedziałam, że jeśli chcę zapobiec używaniu gwałtu jako broni wojennej, będę musiała ponieść pewne ofiary. Musiałam opowiedzieć swoją historię, znaleźć w sobie siłę, by mówić o tym raz za razem. I wiedziałam, że są gdzieś dobrzy ludzie, tylko muszę ich odnaleźć. Dwanaście lat później wciąż próbuję i udało mi się wielu takich znaleźć.

Czasami spoglądam wstecz na tamtą młodą dziewczynę i nie mogę uwierzyć, że udało mi się przetrwać uwięzienie i wszystko to, co spotkało mnie ze strony ISIS. A jednak przetrwałam. Udało mi się, ponieważ miałam swoją historię i wierzyłam w nią równie mocno, co w swój głos.

Piszesz w swoich książkach, że byłaś na początku zaskoczona, że świat tak opieszale i mało efektywnie reagował na twoje słowa. I że gwałt wciąż stosowany jest jako broń także np. na froncie w Ukrainie. Byłaś zawiedziona tą reakcją?

– Kiedy zaczynasz robić coś, co ma sprawić, że świat stanie się lepszy, rozczarowanie staje się nieodłączną częścią tej drogi. Spotykasz ludzi, opowiadasz im swoją historię i myślisz, że ta wpływowa osoba coś zmieni. A potem przychodzi rozczarowanie. Ale próbujesz raz za razem.

Wierzę, że kiedy odważysz się zabrać głos, *możesz być zaskoczony tym, jak wielką masz siłę*

W Ukrainie spotkałam osoby, które przeżyły gwałt w 2014 roku, czyli w tym samym czasie, kiedy sama zostałam zgwałcona. Uświadomiłam sobie wtedy, że świat, wielkie instytucje i społeczność międzynarodowa od dziesięcioleci dysponują dowodami i zeznaniami osób, które przeżyły przemoc seksualną w różnych miejscach na świecie, a mimo to nic z tym nie robią. Odwlekanie wymierzenia sprawiedliwości sprawcom daje im szansę na popełnianie tych samych zbrodni kolejny raz. Dlatego wciąż rozczarowują mnie ludzie, po których spodziewamy się, że będą czynić dobro i pomagać innym, a tego nie robią. Myślę jednak, że czasami rozczarowanie przywódcami pomaga nam również zrozumieć, jak działa świat. Uświadamiamy sobie, że jeśli chcemy doprowadzić do zmian, nie możemy polegać wyłącznie na rządach i instytucjach. To ludzie tacy jak my mogą doprowadzić do prawdziwych zmian, bo nie mamy w tym żadnego ukrytego interesu, tylko po prostu zależy nam na ludzkości.

Co może zrobić ktoś, kto czyta tę rozmowę i chce pomóc?

– Chciałabym, żeby opowiedział o niej kolejnej osobie. Bardzo ważne jest, żebyśmy wiedzę o tym, co się wydarzyło, przekazywali dalej. Jeśli jesteś dziennikarzem, zwykłym obywatelem, pracujesz w jakiejś organizacji albo jesteś nauczycielem, proszę, podziel się tym tekstem z innymi. Im bardziej będziemy zwiększać świadomość tragedii jezydów,

tym bliżej będziemy wymierzenia sprawiedliwości, zapewnienia ofiarom należnego im zadośćuczynienia i zapobiegania podobnym sytuacjom w przyszłości.

Od dekady staram się też współpracować z rządami różnych państw i dużymi organizacjami działającymi na rzecz praw człowieka i nie tylko. Przekonuję je do wspierania innych organizacji, zwłaszcza tych kierowanych przez osoby, które same doświadczyły przemocy. Wiele podmiotów zarządzanych przez kobiety zmaga się z poważnym niedofinansowaniem i ma problem z kontynuowaniem działalności. Tymczasem to właśnie one są często najbliżej lokalnych społeczności i najlepiej wiedzą, czego im potrzeba.

Nadia's Initiative, założona przeze mnie organizacja non profit, działa obecnie w Ugandzie, Ukrainie, Kambodży i Iraku. Kobiety, z którymi współpracujemy, naprawdę zmieniają rzeczywistość na miejscu, ponieważ doskonale znają lokalne problemy, bo same są częścią tych społeczności. Potrzebujemy jednak większego międzynarodowego wsparcia.

Jak zachowujesz równowagę pomiędzy pamięcią o tym, co cię spotkało w przeszłości, a niedopuszczeniem do tego, żeby te wydarzenia determinowały twoją teraźniejszość i przyszłość?

– Napisałam o tym w mojej nowej książce „I Choose My Beginning". Przez wiele lat pozwalałam przeszłości całkowicie zawładnąć moim życiem. Żyłam nią, wciąż do niej wracałam, opowiadałam o niej innym i mówiłam to, co chcieli usłyszeć. Ale to nie jest zdrowe. W pewnym momencie musiałam zadać sobie pytanie: jaki sens ma to, że udało mi się przetrwać, jeśli nadal mam żyć przeszłością?

Wyszłam za mąż, poszłam na studia, nawiązałam przyjaźnie, założyłam własną organizację. Zmieniłam życie wielu ludzi. Ale moja przeszłość zawsze będzie częścią mnie, muszę nauczyć się z nią żyć i pogodzić się z tym, co się wydarzyło. Chcę jednak, żeby za każdym razem, kiedy ją przywołuję, miało to jakiś większy sens, żeby pomagało innym. Nie chcę wracać do niej bez powodu, bo takie powroty bywają traumatyczne i sprawiają ogromny ból.

Bardzo ciężko pracuję nad tym, by to, co mnie spotkało, nie definiowało mnie w całości. Chcę prowadzić również zwyczajne życie: pójść na spacer, zrobić sobie makijaż, jeśli mam na to ochotę, znaleźć czas dla przyjaciół.

Moja przeszłość jest trudna, a przeżycia straszne, ale to nie dotyczyło tylko mnie. Byli wtedy przy mnie ludzie, których kochałam najbardziej. Dlatego czasami muszę wrócić pamięcią do czasu niewoli, np. kiedy chcę przypomnieć sobie ostatnią rozmowę z mamą albo z moją siostrzenicą Katherine, ostatni uścisk, który wymieniłyśmy. I zawsze będę to robić, żeby o nich pamiętać, ale muszę jednocześnie dbać o to, by nie zadawać sobie jeszcze więcej bólu.

Wspomniałaś o swoich książkach. Pamiętam z nich między innymi fragment, w którym pisałaś, że mama i inne kobiety z wioski przestrzegały cię, żebyś nie myślała przed snem o dobrych rzeczach, bo jak ci się przyśnią, to nie powtórzą się już na jawie. Trzymasz się tej zasady? O jakich dobrych rzeczach dzisiaj marzysz?

– Tak, wciąż się tego trzymam, bo naprawdę wierzę w to, czego nauczyły mnie inne kobiety, a przede wszystkim moja mama. W to, że trzeba chronić swoje marzenia i nie dzielić się nimi zbyt pochopnie. A moje obecne sny... cóż, zależą od tego, co dzieje się w moim życiu.

Byłam niedawno w Iraku, żeby zidentyfikować szczątki jednego z moich braci i go pochować. Kiedy jedziesz do Koczo, widzisz tylko cmentarz, a sama wioska jest opustoszała. Przez cały tydzień miałam koszmary.

Błogosławieństwem mojego życia są przede wszystkim moim bliscy, mój mąż, moje siostrzenice i siostrzeńcy. Ale też moi przyjaciele, zdrowie i poczucie bezpieczeństwa, które zyskałam w Niemczech. To, że w każdej chwili mogę wyjść na spacer. Bardzo to sobie cenię i codziennie jestem za to wdzięczna.

Poruszające były fragmenty, w których pisałaś o tym, jak całą rodziną leżeliście na dachu domu w Koczo i wpatrywałaś się w gwiazdy. Zdarza ci się nadal spoglądać w niebo, szukać gwiazd i wracać myślami do dzieciństwa?

– To było moje ulubione zajęcie. Po całym dniu pracy wychodziliśmy na dach, patrzyliśmy w niebo, a mama opowiadała nam różne historie. Odkąd zabrano mnie z domu, nie robiłam tego ani razu. W obozach mieszkaliśmy w małych, ciasnych domkach, z których nie mogliśmy swobodnie wychodzić na zewnątrz.

W Niemczech jest inaczej. Czasami po prostu patrzę w niebo. Mąż się ze mnie śmieje, kiedy wychodzimy, a ja zatrzymuję się na chwilę i zadzieram głowę. Czasami kładę się na trawie, podziwiam zachody słońca i patrzę w gwiazdy. Niebo przypomina mi dom i mamę. Ale w domu wyglądało inaczej. Gwiazdy sprawiały wrażenie, jakby tańczyły. Mogliśmy wybierać te, które najbardziej nam się podobały, wskazywać nasze ulubione. Wtedy byłam z ludźmi, których kochałam, dziś patrzę w niebo, żeby sobie o nich przypomnieć.

Zastanawiasz się czasami, jak wyglądałaby sprawiedliwość dla ciebie i dla społeczności jezydów? Jest możliwa?

– Dążenie do sprawiedliwości to proces, który wymaga czasu, obawiam się, że niektórzy jej nie zaznają. Mnie samej najbardziej zależy na tym, żeby wreszcie położyć kres takim tragediom. Jak dotąd świat mnie jednak rozczarowuje, bo dopuszcza do podobnych sytuacji w Ukrainie, Sudanie, Kongu i wielu innych miejscach. Sprawiedliwość jest możliwa, ale musi być ku temu wola polityczna, a dzisiaj jej nie ma.

Minęło 12 lat, a skazano zaledwie pięć czy sześć osób. Pięć czy sześć osób spośród dziesiątek tysięcy. Właśnie dlatego tak trudno mówić o sprawiedliwości w przypadku rodzin takich jak moja – rodzin, które straciły wielu bliskich albo których bliscy wciąż pozostają zaginieni, są w niewoli lub ich szczątków nadal nie zidentyfikowano.

Gdybyśmy spotkały się znowu za pięć lat, o jakich zmianach masz nadzieję, że mogłabyś mi wtedy opowiedzieć?

– Chciałabym, żeby więcej osób doczekało się sprawiedliwości, o którą walczą, zadośćuczynienia i uznania swoich krzywd. One i ich rodziny. A prywatnie... mam nadzieję, że będziemy mogły porozmawiać o moim salonie piękności i nowym domu w Niemczech, z płaskim dachem, żebym mogła na nim spać i patrzeć w gwiazdy. ▲

NADIA MURAD będzie jedną z panelistek konferencji Impact'27, która odbędzie się w dniach 12-13 maja 2027 r. w Poznaniu

Marcin rysuje *dom*

Przez ostatnie lata spałam po cztery godziny na dobę. Zdarzało się, że jechałam z Marcinem ze szkoły i na parkingu zatrzymywałam samochód, żeby się przespać

Z **KATARZYNĄ**,
MATKĄ SYNA Z AUTYZMEM,
ROZMAWIA **ALEKSANDRA PEZDA**

Marcin nie potrafi mnożyć, a chodzi do klasy biologiczno-chemicznej, z przyszłymi lekarzami. Jak przekonałaś do tego szkołę?

– Napisałam, że syn może nawet nie ukończy tej drugiej klasy, a wtedy odejdziemy. Albo jak pozwolą, zostaniemy jeszcze na powtórkę drugiego roku. To już i tak będzie bliżej osiemnastki. I poprosiłam, żeby go zostawili w szkole, warunkowo. Podanie zostało odczytane na radzie pedagogicznej i cała rada się zgodziła. A mogli się nie zgodzić.

Warunkowo czyli?

– Z matematyki miał jedynkę. Ma zaległości z poziomu podstawówki, nie umie mnożyć. Poszłam z tym do matematyczki w liceum, a ona mówi: niech mi pani wybaczy, ale ja nigdy nie miałam kontaktu z takimi uczniami i nie umiem z nim pracować. To było takie szczere, że naprawdę to szanuję.

Przez całe wakacje brał korepetycje. I nie wystarczyło. Na egzaminie poprawkowym nic nie napisał. Mógł przejść do drugiej klasy tylko warunkowo. Teraz szkoła zorganizowała mu indywidualne lekcje – jeden na jeden. To dla nas bardzo dużo znaczy.

Dlaczego tak ci zależy, żeby został w tej szkole?

– Jako matka czuję, że to jest ostatni moment na kontakt Marcina z rówieśnikami. I to w bezpiecznym środowisku. W tym liceum się zaadaptował. Mimo że ma tam bardzo trudno, bo dla niego nauka w liceum to tak, jakbym ja poszła na studia po chińsku.

On miał fobię szkolną, groził, że się zabije, a do szkoły nie pójdzie. A do tego liceum idzie bez protestów. To jedyne miejsce poza domem, gdzie może uczyć się życia. Wiem, że dla niego ukończenie tej szkoły jest mało realne. Może coś się tu dla niego otworzy, co da mu szansę na samodzielną przyszłość?

Co mu idzie dobrze?

– Z informatyki ma piątkę. Nauczycielka angielskiego powiedziała, że jeżeli utrzyma ten poziom, zda maturę z jej przedmiotu. Z fizyki miał czwórkę.

No i z wuefu miał piątkę. Wytłumaczyłam mu: nie jesteś dobry z chemii czy matematyki, spróbuj dać z siebie wszystko na wuefie. No i Marcin na każde zajęcia się stawiał i zawsze miał białą koszulkę, granatowe spodenki, buty – tak jak mnie w domu nauczono. Wyniki miał słabe, ale dostał piątkę za to, że zawsze był, i to przygotowany.

Kiedy się okazało, że Marcin nie jest typowy?

– W drugim roku zerówki. Już wcześniej miał objawy, jak się później okazało, bardzo charakterystyczne. Jednak żaden lekarz ani psycholog nie wypowiedział słowa „autyzm". Marcina leczyliśmy somatycznie. To było trudne, zwłaszcza zanim zostałam pielęgniarką, bo Marcin nie pozwalał się dotknąć. On nie założy czapki. Albo lukier z pączka – został mu na brodzie, ale tego nie czuje. Wytrzeć nie pozwoli, bo nie daje się dotykać. W kąpieli – zawsze za ciepła woda, choć według mnie prawie zimna. Nie pozwalał się czesać, krzyczał. Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Dlaczego pięcioletnie dziecko o północy wstaje, otwiera drzwi na klatkę schodową i krzyczy z całych sił. Sąsiedzi podejrzewali mnie o przemoc domową. Byłam akurat po rozwodzie i ukrywałam się przed byłym mężem.

A teraz jesteś pielęgniarką?

– Od dwóch lat pracuję w szpitalu psychiatrycznym. Dużo się tu uczę, i to mi pomaga w pracy z synem. Przez pół roku zresztą pracowałam w psychiatrii młodzieżowej. Tam były dzieci takie jak mój Marcin. Marzyłam o psychiatrii, gdy zaczynałam pielęgniarskie studia, ale nie wierzyłam w swoje siły. Nie wierzyłam w siebie. Ja zawsze robiłam coś tylko dla kogoś – dla dziecka, dla męża, dla rodziców. Aż tu, po praktyce licencjackiej w Tworkach, dostałam ofertę pracy.

Ile miałaś lat, gdy zaczęłaś studia pielęgniarskie?

– Pięćdziesiąt. Musiałam coś wymyślić, miałam tylko maturę. Prowadziłam sklep z zaopatrzeniem medycznym, ale nie byłam w stanie z niego wyżyć, utrzymać mieszkania i sklepu ani zajmować się dzieckiem. Do południa byłam z Marcinem, który miał lekcje na różne godziny, potem szłam do firmy na kilka godzin. Bywało tak ciężko, że jedliśmy sam ryż przez tydzień.

Potem znalazłam pracę w rejestracjach medycznych. I dorabiałam. Na przykład na taśmie w fabryce słodyczy. Było ciężko, do tego bardzo silny mobbing. Przez ostatnie pół roku przed dyplomem pracowałam jeszcze w piekarni. W dzień szpital, w nocy piekarnia, w weekendy studia.

Przez ostatnie lata spałam po cztery godziny na dobę. Zdarzało się, że jechałam z Marcinem ze szkoły i na parkingu zatrzymywałam samochód, żeby się przespać. On nie chciał czekać, musiałam mu tłumaczyć, że coś takiego się dzieje w naszym życiu i musimy to wytrzymać. O tym, że czasem nie miałam na jedzenie, wiedział tylko mój starszy syn. Przez pięć lat pomagał mi spłacać studia.

A ojciec Marcina?

– Wyszłam za mąż, gdy miałam 39 lat. Za alkoholika. Zupełnie nieświadomie. Mimo że znałam wiele osób, które to o nim wiedziały. Nikt mi nie powiedział, o co mam do dzisiaj wielki żal. Kiedyś odkryłam w szafie na korytarzu zapas jego puszek po wysokoprocentowym piwie. Wychodził do toalety, tam je spijał. Gdy wstawałam do pracy, był trzeźwy, wracałam wieczorami, nie widziałam, że już jest pijany.

Uciekłaś?

– W asyście policji. To był bardzo dobrze zbudowany mężczyzna. Nie pozwalał mi



FOT. GETTY IMAGES

od siebie odejść. Nieraz przez całą noc walczyłam z nim fizycznie. Szarpał, podduszał. Czekałam tylko na świt. A rano jechałam do pracy. Bywałam tak zmęczona, że nie byłam w stanie wykonać telefonu czy złożyć prostego zamówienia. Tej ostatniej nocy zamknęłam przed nim drzwi do mieszkania. Wziął ogromną donicę z kwiatem i je wybił. Spakowałam podstawowe rzeczy, narzuciłam kurtkę, wzięłam dokumenty, torbę i dziecko na ręce. Zadzwoniłam na policję. Pani sierżant, która już odbierała ode mnie zgłoszenia, postawiła na nogi policjantów z trzech okolicznych posterunków. Od drzwi dzieliły mnie strome schody. Bałam się, żeby mnie z dzieckiem z tych schodów nie zrzucił. Marcin miał wtedy roczek. Mąż stanął nam na drodze, próbowałam go ominąć, przytrzymał ubrania. Bałam się, że mi dziecko wypadnie z rąk, ale udało mi się zrzucić z siebie kurtkę, została mężowi w rękach, a ja pobiegłam otworzyć policji drzwi.

Trzy razy próbował mnie zabić. Dostał za to wyrok w zawieszeniu i zakaz zbliżania się.

Rozwód trwał rok. Rodzice mi pomagali, a on mnie szukał, nachodził ich, groził, że przyjdzie do nas w nocy. Mógł spotykać się z synem tylko przy kuratorze i na trzeźwo. Nigdy się na to nie zdobył. Nigdy też nie zapłacił alimentów.

Starszego syna też wychowywałaś sama?
– Ojciec mojego pierwszego syna zerwał z nami kontakt. Odeszłam od niego, gdy syn miał 16 lat. Nie byliśmy małżeństwem. To było bardzo trudne rozstanie.

Ze starszym synem jednak nie miałam najmniejszego problemu w wychowaniu ani w nauce. Nikt na niego nie narzekał, zawsze był bardzo kulturalny. Ma zainteresowania informatyczne i dużą wiedzę o świecie. Wyjechał z domu na studia, a potem do Anglii i tam sam sobie świetnie poradził. Najpierw ciężko pracował na taśmie produkcyjnej, dzisiaj jest menedżerem.

Marcin sobie nie radził w podstawówce?
– To szkoła sobie nie radziła z nim. Integracyjna, teoretycznie przygotowana na dziecko w spektrum. Ale psycholożka ciągle miała do mnie pretensje. Bo on jej wchodzi pod biurko. Bo zatyka sobie uszy. Nie miała pojęcia o pracy z dziećmi autystycznymi.

Szkoła mnie notorycznie wzywała. Nie uprzedzając, o czym będzie mowa. Siedziałam sama, naprzeciwko mnie kilka osób: dyrekcja, psycholożka, wychowawca, nauczyciele. Słuchałam, jak moje dziecko źle się zachowuje. Dlaczego on z nimi nie chce rozmawiać i zamyka oczy? Musiałam bronić syna przed światem.

Słabo pisał, słabo czytał. Skończył trzecią klasę i przyszła pandemia. Potem znalazłam mu miejsce w szkole specjalnej.

Nie było lepiej w szkole specjalnej?
– Wyobrażałam sobie, że będzie lepiej. Ale się pomyliłam. To była klasa przeznaczona dla autystów! Czteroosobowa. Z wyciszonymi dźwiękami. Niby idealne warunki. Tylko że z nieidealnymi ludźmi.

Dlaczego on nie chce przyjść do szkoły? Dlaczego się kładzie na ławce? Dlaczego się wyłącza z lekcji? I znowu siadanie przed kilkoma osobami i opracowywanie sposobów na Marcina. Bardziej dla komfortu nauczycieli i szkoły niż dziecka.

Co się tam działo?
– Był krzyk, dzieci się biły. W klasie miał dziewczynkę, której piszczenia i nieskoordynowanych ruchów nie tolerował. Popadali w konflikty, ona mówiła, że go zabije.

> Zawsze robiłam coś dla kogoś: dla męża, *dla dziecka, dla rodziców*

Z jej rodzicami na szczęście się rozumieliśmy. Ale szkoła sobie z tym nie radziła.

Marcin dostał bardzo silnej fobii szkolnej i wpadł w stany depresyjne. Groził, że się zabije, jeżeli go natychmiast nie zabiorę. Zaczął się kaleczyć różnymi przedmiotami. Gdy to zauważyłam, już nie było opcji, żeby dalej tam chodził.

Siódmą i ósmą klasę skończył na nauczaniu indywidualnym online. Wtedy już mieszkaliśmy daleko od rodziców. Tych lekcji było mało. Ja pracowałam i studiowałam, kiedy byłam, to byłam. A Marcin siedział non stop w domu i uzależniał się od komputera.

Dlaczego się przeprowadziłaś?
– Poznałam kogoś online. Mówił, że do szczęścia brakuje mu tylko rodziny. Pomógł mi się przeprowadzić, miał firmę transportową. Zamieszkałam u niego. Myślałam, że to nowy start.

Pierwszy sygnał alarmowy: jego matka zaproponowała, żeby Marcina poddać egzorcyzmom. Oczywiście się nie zgodziłam. Aż tak nie tonęłam, żeby ulegać wiejskim zabobonom.

Szybko zrozumiałam, że to znowu nie moje miejsce. Ale ciężko było się wyrwać, bo Marcin zaczął żyć wyobrażeniami domu. Pierwszy raz w życiu narysował dom.

No, ale jaki to był dom. Mieszkaliśmy w warsztacie samochodowym, częściowo zaadaptowanym na mieszkanie. Ciemna kuchnia, salon i biuro. Na placu dziesiątki samochodów. Jak wjeżdżali klienci, dom przestawał istnieć. Nie miałam gdzie rozpakować rzeczy. Zyskałam rolę służącej, sekretarki, księgowej, organizowałam przetargi. I jeszcze sama zajmowałam się dzieckiem.

I znowu przemoc psychiczna. Nie dawał mi odejść. Zastawiał samochód swoim ciałem, krzyczał, że chcę go rozjechać. Więc każdego dnia, kiedy wyjeżdżałam z Marcinem do szkoły, zabierałam jeden kartonik w bagażniku. W półtora miesiąca wywiozłam wszystko do znajomej pielęgniarki. Pewnego dnia po prostu zniknęłam z jego życia.

Znowu byłam poszukiwana. Ścigał mnie samochodem, kiedy jechałam do pracy. Zastawiał drogę, dzwoniłam na policję.

Przeprowadziłam się do innego miasta. Wynajmuję tu mieszkanie już ósmy rok. Gdy skończyłam studia pielęgniarskie, okazało się, że z jednej pensji mogę zapłacić za mieszkanie i nie muszę już dorabiać nocami.

O której wstajesz?
– Najbezpieczniej jest jak wstanę przed piątą rano. Muszę nakarmić zwierzęta, przygotować Marcina do szkoły i siebie do pracy. Mamy czternaście adopciaków. Pięć świnek, pięć szynszyli, trzy koty i jednego psa. Pies jeździ ze mną do szpitala, został psem amatorsko-terapeutycznym – wyciąga pacjentki z oddziału, chodzą z nim na spacery albo do sklepu. Bardzo dobrze im to robi.

Na 40 metrach kwadratowych to trochę ciasno, ale synowi te zwierzęta są bardzo potrzebne. Mnie nie przytula, nie daje się dotykać, ale zwierzęta przytula. Pomagają mu rozładować napięcie.

Marcin zdał egzamin ósmoklasisty?
– Nie zdawał. Był zwolniony.

To jak się dostał do liceum?
– Byłam wtedy w ciężkiej depresji, pod opieką psychiatry. Nie byłam w stanie szukać dla niego szkoły. To są takie stany, kiedy człowiek jest tak zmęczony i umordowany. Odpuściłam. Pomogła mi lokalna fundacja ALEKla-

sa z Piaseczna. Gdyby nie zapytali: „Jak tam u was ze szkołą?", przegapiłabym to liceum. Był koniec sierpnia. Około dwadzieściorga dzieci autystycznych nie miało miejsca w szkołach średnich w powiecie. Dyrektorzy się odżegnywali, szkoły są nadzwyczajnie przepełnione. Pomogli starosta i wydział edukacji. I tak Marcin trafił do klasy biologiczno-chemicznej w prestiżowym liceum.

Jak układa mu się z klasą?

– Zgrzeszyłabym, narzekając na tę klasę. To duża grupa, głównie dziewczęta, ale zaakceptowali go. Czasem powiedzą do niego „gruby". Gdyby był neurotypowy, pewnie odebrałby to jako żart. Ale naprawdę przez rok nie było nic, na co by Marcin narzekał, nawet pomaga koleżankom z informatyki. Tylko izoluje się na przerwach. Siedzi w telefonie. Chciałabym, bo to mi też nauczyciele podpowiadają, umówić się z nim, żeby na przerwach nie korzystał z telefonu. Może nawiąże wtedy relacje. Tylko że na niego źle działają zakazy. Wtedy się buntuje i zamyka jeszcze bardziej.

Staram się z nim dogadywać na zasadzie partnerstwa, zrozumienia sytuacji. Czasem go nagradzam. Na przykład jedziemy do sklepu po lego albo idziemy na pizzę. W końcu on podejmuje ogromny wysiłek.

Co robisz, kiedy się nie dogadujecie?

– Zależy, co w danej chwili zadziała. Czasem to jest typowy rodzicielski szantaż: że mu zabiorę komputer, tego typu rzeczy. Na szczęście on odchodzi od komputera bez problemów, to jest dla mnie bardzo ważne. Nie każde dziecko uzależnione cyfrowo to potrafi.

To jest 16-latek. W tym wieku dzieci zakładają pary, dziewczyny zachodzą w ciążę, piją alkohol, palą papierosy. A Marcin jest domatorem. Wie, co się dzieje na świecie, bo czyta w komputerze, ale w tym nie uczestniczy.

Nikt nie miał pretensji, że zajmuje w liceum miejsce jakiegoś dziecka, które się nie dostało?

– Nie mam kontaktu z innymi rodzicami. Na zebraniach byłam dwa razy, chodzę raczej na indywidualne spotkania z nauczycielami. Ale gdyby ktoś miał taki zarzut, podjęłabym dyskusję. Empatycznie.

Nie czułby się lepiej w szkole branżowej?

– Proponowałam mu różne szkoły i rozmaite zajęcia, niczego nie poczuł. Szkoły branżowej zresztą bym się obawiała. Tam są niebezpieczne zachowania, alkohol i narkotyki. On by sobie z tym nie dał rady. Choć wiadomo, że ja wiecznie żyć nie będę. Dobrze, gdyby się w miarę usamodzielnił. Chociaż na tyle, żeby pracować i mieszkać osobno. Czy założy rodzinę? Nie wiem. Gdzie mógłby pracować? Ostatnio widzę, że ma zdolności stolarskie. Spróbuję znaleźć stolarza, który by mu zechciał pokazać, jak ta praca wygląda. Kupiłam mu wkrętarkę, skręca teraz meble w domu. Więc jest to jakieś zainteresowanie, oprócz komputera. Fantastycznie układa lego, robi niesamowite rzeczy, bez instrukcji. Tworzy własne zestawy z tego, co ma. Ma zestawów, zaraz on to liczył – ponad dziewięćdziesiąt. Małych i dużych. Całe życie zbiera. No, ale za układanie lego nie chcą płacić. ▲

Imię bohatera zostało zmienione

OGŁOSZENIE





Maryśka (Miriam) Gothelf (Melchior) w 1934 roku. Obok Wiśka Wełykanowicz (Kanner) z synem, Francja, lata 40.

Zakazane *rewolucjonistki*

Latem 1936 roku 81 kobiet, ryzykując wszystko, przedziera się z Polski do Hiszpanii, by wziąć udział w wojnie domowej

TEKST **AGATA PYZIK**

Nie wszystkie zawarte w książce „Bezgraniczne" historie były dotychczas nieznane, ale reporterka Aleksandra Lipczak nareszcie połączyła je w jedną całość. Jej 81 bohaterek – Polek głównie pochodzenia żydowskiego – w latach 30. XX wieku, wobec nasilającego się antysemityzmu i faszyzmu polskiego państwa (numerus clausus, prześladowanie Żydów w życiu publicznym), garnie się do socjalizmu lub komunizmu albo po prostu nie jest dłużej w stanie znieść niesprawiedliwości przenikającej życie w Polsce międzywojennej. Latem 1936 roku, czasem z ogromnymi problemami i ryzykując wszystko, jadą one do Hiszpanii. Dlaczego? Dochodzi tam do puczu wojskowego: prawicowi generałowie, wśród nich Francisco Franco, nie mogąc znieść równościowego, lewicowego rządu Frontu Narodowego – koalicji partii socjalistycznych, komunistycznych i republikańskich – postanawiają wystąpić przeciwko niemu, a zarazem przeciwko ludności cywilnej. Inicjują tym samym jeden z najbrutalniejszych konfliktów w nowoczesnej historii Europy: hiszpańską wojnę domową.

Starsi czytelnicy być może pamiętają przymusowe uczczenie oddziałów dąbrowszczaków w komunistycznej szkole i w nazwach ulic. Od lat 90. wszelkie ślady ich obecności były jednak systematycznie usuwane z polskiej świadomości i przestrzeni publicznej. Od kilku lat to się zmienia: artystka Zuzanna Hertzberg czy historyk Jeremi Galdamez Muñoz starają się przywrócić ich pamięć. Byli to polscy ochotnicy Brygad Międzynarodowych, czyli oddziałów uformowanych przez Komunistyczną Międzynarodówkę (Komintern) jako wsparcie lewicowego rządu Frontu Ludowego, który wygrał wybory w lutym 1936 roku, ale był solą w oku konserwatywnych, patriarchalnych i antynowoczesnych środowisk przedwojennej Hiszpanii. Elita wojskowa do spółki z prawicowymi partiami chciała widzieć Hiszpanię jako bastion katolicyzmu i tradycyjnych wartości. W rzeczywistości opcja ta, niechętna mniejszościom, komunistom i emancypacji kobiet, od początku chciała zdusić lewicową rewolucję w zarodku, wpisując się w postępującą wówczas faszyzację całej Europy.

Do tej pory udział Polek w hiszpańskim zrywie w obronie republiki nie był dobrze udokumentowany. Cokolwiek współczesny czytelnik myśli o komunizmie, w latach 30. XX wieku jego zeuropeizowana wersja była dla wielu nie tylko obietnicą lepszej, bardziej równej przyszłości, ale czasem po prostu jedyną opcją. Była sposobem na zatrzymanie piętrzących się sił faszyzmu w Europie, które przypieczętowała wygrana partii nazistowskiej i Hitlera w Niemczech w 1933 roku. Obrona legalnie wybranego lewicowego rządu w Hiszpanii była więc dla ideowców z całej Europy, zwłaszcza tych, którzy należeli do prześladowanych grup etnicznych, w tym polskich komunistek, anarchistek, lewicowych dziennikarek i artystek, koniecznością i ostatnią deską ratunku, zanim faszyzm ogarnie resztę kontynentu. Brygady rozsławili co prawda Ernest Hemingway, George Orwell i W.H. Auden, ale to dziesiątki tysięcy ochotników i ochotniczek z całego świata oddawało za sprawę życie.

HISTORIA SIĘ POWTARZA

Z Polski było ich ogółem 5200, z czego 81 stanowiły kobiety. Można powiedzieć – liczba znikoma. Czy w ogóle warto się nimi zajmować? Książka „Bezgraniczne" udowadnia, że te historie są dziś absolutnie niezbędne. Nie tylko dlatego, że żyjemy ponownie w czasach tłamszenia naszej wolności i zagrożenia skrajną prawicą. „Bezgraniczne" to mozaika kilkudziesięciu losów, z których każdy był niemożliwie skomplikowany, która pokazuje, jak historia nieustannie się powtarza.


Rosa Coutelle w Hiszpanii

W latach 30. XX wieku w Polsce członkostwo zarówno w KPP (Komunistycznej Partii Polski), jak i w każdej innej organizacji o komunistycznej proweniencji było zakazane. Lipczak pokazuje, jak młodzież – zwłaszcza żydowska, a szczególnie kobiety – mogła w sytuacji zacieśniających się kręgów przemocy wybierać ideowy komunizm. Pogromy i antysemityzm na każdym kroku uniemożliwiały Żydom robienie karier i wykluczały z życia społecznego. Organizacje komunistyczne były właściwie jedynymi, które ich przyjmowały.

Byłoby jednak uproszczeniem powiedzieć, że KPP była najpopularniejszą organizacją wśród młodych Żydów. Wbrew fantazjom spod znaku żydokomuny o wiele większe były organizacje syjonistyczne, takie jak Ha-Szomer Ha-Cair, a także prodemokratyczny, socjalistyczny Bund. Pogromy i niedole asymilacji przekonały wiele z nich, że trzeba szukać drogi emancypacji gdzie indziej. Wśród komunistów w Polsce było wielu Żydów, chociaż niewielu było komunistów wśród polskich Żydów – zaledwie ułamek procenta ponadtrzymilionowej społeczności. Część z nich zdążyła przed 1936 odwiedzić Mandat Palestyny i wielu z nich już wtedy nie podobało się podrzędne traktowanie ludności arabskiej, w czym niektóre bohaterki Lipczak widziały odwzorowanie traktowania Żydów w Polsce. Nie chciały w tym uczestniczyć.

PRZYDAĆ SIĘ NA FRONCIE

Większość z bohaterek „Bezgranicznych" to lekarki, pielęgniarki lub naukowczynie. To dlatego wiedzą, że mogą się przydać na froncie, choć przypadają im głównie tyły: opieka nad rannymi i chorymi, ratowanie życia. Na takie wyedukowanie swoich córek mogły sobie pozwolić głównie mieszczańskie rodziny zasymilowane, jak rodzina Wiśki Wełykanowicz-Kanner, inteligenckiej panny z dobrego domu ze Lwowa. Ale były też panny z niezamożnych rodzin, jak Rosa Süssmann (Coutelle), Liza Namiot czy Dora Goldszajder, której ojciec był malarzem pokojowym, a zarazem zasłużonym działaczem ruchu robotniczego w Kielcach. Inne, jak Maryśka Gothelf, z żydowskiej rodziny kupieckiej, od nastoletniości działają w KPP, za co są więzione przez władze sanacyjne.

FOT. ZE ZBIORÓW RODZINNYCH, DZIĘKI UPRZEJMOŚCI AUTORKI



Dora Lorska w Pradze z synem Józefem

Maryśkę, jak również wiele innych dziewcząt, rodzice wysyłają na studia medyczne za granicą, żeby ocalić je przed prześladowaniem przez polskie państwo. Wiele z nich ma „dobry przykład z domu", inne muszą rodzinę okłamywać, żeby móc wyjechać. Jeszcze inne nie mają wyjścia: Zofia Szleyen, chemiczka, musi ukrywać męża, Mietka, redaktora łódzkiego magazynu, oskarżonego przez polskie władze o konspirację w KPP „dla zmiany przemocą ustroju państwa polskiego". Uciekają z Polski. Kiedy przekraczają słowackie Tatry latem 1936 roku, dochodzi do wybuchu wojny. Nie mając wiele do stracenia, decydują: jedziemy.

Do Hiszpanii dostają się z ogromnym trudem. Lipczak opisuje ich odyseję, głównie przez Francję, która od końca I wojny światowej była najpopularniejszym kierunkiem emigracji dla osób z całej Europy, jako kraj względnie tolerancyjny. Robią to najczęściej w grupach, pod osłoną nocy, jako że działalność KPP jest nielegalna. Docierają do Pragi, a tam już przejmują ich działacze związani z Brygadami. Po wybuchu wojny domowej większość krajów europejskich podejmuje fatalną decyzję o nieinterweniowaniu, co w praktyce oznacza niechęć do tysięcy lewicowców, którzy nie powinni wpaść w oko żadnym urzędnikom ani służbom. Niektórym zabrania jechać sama partia: Wiśka Kanner słyszy, że „unosi się romantyką barykad" i „specjalistów poślemy natychmiast, a ty jesteś kobietą". Partia zresztą przyczyni się w ogromnym stopniu do niszczenia bohaterek, od początku krzywo patrząc na ich działalność w Hiszpanii, a potem, w kolejnych latach wojny, kiedy zmieni się balans samej władzy, a zwolennicy republiki zaczną przegrywać, będzie tropić u nich trockistowskie skrzywienie.

NIE TAKA EMANCYPACJA

Rewolucję w Hiszpanii często się romantyzuje: miała przynieść kobietom emancypację, w rzeczywistości kobiety właściwie nie zostały dopuszczone do walki na froncie. Słynne zdjęcie 18-letniej rewolucjonistki Mariny Ginestà autorstwa niemieckiego fotografa Hansa Gutmanna, zrobione w lipcu 1936 roku podczas powstania w Barcelonie, uchwyciło ostatni moment, w którym miała przy sobie broń. Na froncie i w miejskich milicjach kobiety dopuszczane były do broni tylko na początku wojny i bardzo skąpo (1000 osób w skali całego kraju). Piękne rewolucjonistki świetnie wyglądały na plakatach, malował je sam Pablo Picasso i fotografowała słynna para fotoreporterów – Robert Capa z Gerdą Taro, jednak przeważnie była to fikcja. Szybko armia republikańska została sformalizowana do wyłącznie męskiego formatu, jak za dawniejszych lat, a genderowa rewolucja w armii dobiega końca. Kobiety z rzadka były dowódczyniami w milicji, raczej przydzielano je do prac porządkowych, miejskich i związanych z pracą opiekuńczą. Ktoś musi na nowo zorganizować życie codzienne w czasie wojny i robią to głównie kobiety.

Młode Polki, które biorą udział w wojnie, nie zważają na trudy i możliwość śmierci: spełniają się w pracy na rzecz nowej rzeczywistości. Wedle świadectw ochotniczki uwielbiają Hiszpanię mimo ciężkich warunków, wielokrotnie chwaląc zwykłych, ubogich Hiszpanów za odwagę i ogromną godność. Jako pielęgniarki i lekarki widzą, jak pokornie akceptują najgorsze fizyczne cierpienie. „Uspołeczniają i kolektywizują fabryki, komunikację miejską i kolej, hotele, zakłady fryzjerskie, kina, sklepy i restauracje. (...) Kolektywy organizują dystrybucję żywności i przetwórstwo mleka. Powstaje sieć świeckich, koedukacyjnych i demokratycznych szkół, dzięki którym potraja się liczba uczących się dzieci".

Uczestniczy w tym intensywnie Dora Goldszajder, potem Lorska, która – żeby tylko dostać się do Hiszpanii – zawiera fikcyjne małżeństwo z Czechem i nazywa się przez chwilę Dobroslava Kleinová. W 1937 roku udaje jej się zebrać fundusze i kupić karetkę, którą przewozi do słynnego z utopijnych, równościowych wartości szpitala w Benicàssim. Jako „Slavka" opiekuje się najciężej chorymi pacjentami po zabiegach chirurgicznych. Tam poznaje przyszłego męża Andrzeja Lorskiego (prawdziwe nazwisko Hirsz Loberbaum), „doktora Andre", i wstępuje do Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Uczy dzieci pisać, jest niezwykłą podporą szpitalnej społeczności, opanowuje szybko hiszpański. Zaprzyjaźnia się ze słynnym czechosłowackim antynazistowskim pisarzem Egonem Erwinem Kischem. Oddana bezgranicznie pacjentom – nawet kiedy front przesunął się pod Benicàssim i nakazano jej ewakuację, zostaje z nimi do ostatniej chwili.

PODWÓJNE UWIKŁANIE

Jednym z najtrudniejszych zadań każdego, kto próbuje opisać losy hiszpańskich lojalistów, jest przedstawienie ogromu przeciwności, z jakimi musieli się mierzyć. W pierwszych miesiącach wojny stalinowska Rosja dostarcza broniącym się republikanom broń, po tym jak reszta Europy odmówiła wsparcia, co natychmiast powoduje skręt lewicowej rewolucji w złowrogim kierunku. Rewolucja coraz bardziej kontrolowana jest przez Związek Radziecki, co oznacza, że wszelcy nieortodoksyjni komuniści, a zwłaszcza odłam trockistowski, do którego należało mnóstwo naszych bohaterek, znajdują się w ogromnym zagrożeniu.

Spotkało to na przykład Wiśkę Wełykanowicz-Kanner, gorącą komunistkę i lekarkę, jedną z najbarwniejszych bohaterek Lipczak, przed wojną wielokrotnie osadzaną przez polskie państwo w więzieniu za poglądy. Trafia do prowincjonalnej Orihueli, gdzie zostaje zastępczynią dyrektora szpitala, w którym przebywa tylu Polaków, że nazywany jest polskim. Radzi sobie świetnie, jednak

podczas terroru stalinowskiego w 1937 roku Komunistyczna Partia Polski, do której należy, zostaje rozwiązana, a jej członkowie są od tej pory bacznie obserwowani w Hiszpanii. Nadgorliwi koledzy piszą na nich donosy. Wiśka jest w potrzasku – choć składa wielostronicowe samokrytyki, towarzysze nie dają jej spokoju. Kiedy jest już na skraju wytrzymałości, faszyści kładą kres cierpieniom zadawanym jej przez stalinistów, natychmiast wystawiając ją na kolejne. Większość naszych bohaterek kończy w szpitalach w Katalonii na północy, najbliżej Francji – to najsilniejszy przyczółek lewicowych rewolucjonistów, który najdłużej się broni. Chorych i zabitych jest coraz więcej. Faszyści jednak dochodzą do Barcelony, stolicy Katalonii, trzeba podjąć decyzję o niezwłocznej ewakuacji.

KONIEC MARZEŃ

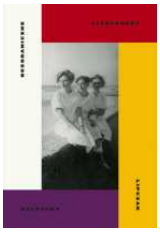
To koniec marzeń o spełnionej rewolucji. Do Francji musi jakoś przejść pół miliona osób. W ciągu dwóch miesięcy naszym bohaterkom udaje się przedostać do francuskiej granicy. Tam panuje już profaszystowski rząd Vichy, który przed wojną stworzył obozy internowania dla antyfaszystów i lewicowców. Ludzie trafiają do nieogrzewanych baraków w samym środku zimy, gdzie prawie nie dostają pożywienia, a niemowlęta umierają. Wiele z nich, jak Wiśka, spędzi lata w obozach we Francji. Dora Goldszajder-Lorska zostanie aresztowana we Francji i trafi do obozu koncentracyjnego Birkenau, gdzie będzie pracować jako lekarka i doczeka końca okupacji. Kobiety uwięzione we Francji doczekają wolności po wyzwoleniu Paryża w 1944 roku i będą mogły wrócić do domu. Ale jaki to dom? Polska przez ten czas została niemal kompletnie zniszczona. Warszawa po powstaniu jest zrównana z ziemią. Wiśka na podstawie urodzenia we Lwowie jest nagle obywatelką ZSRR, ale nie chce korzystać z amnestii, żeby jechać do Moskwy. Wybiera, jak wiele z nich, Polskę.

TRUDNE POWROTY

Polskie władze komunistyczne świetnie rozumieją, że „hiszpanki" są doskonale wyszkolone i odważne. Łudzą je karierami. Jedna z nich Maryśka Gothelf, nosząca teraz nazwisko Melchior po mężu – również rewolucjoniście z Brygad Międzynarodowych – dosłuży się stopnia kapitana w Wojsku Polskim, ale w okresie stalinizmu trafi do więzienia. Podobnie Wiśka – prześladowana przez komunistyczne władze, w 1968 roku, podczas nagonki antysemickiej, zrozpaczona skapituluje i wyjedzie do Izraela, wobec którego była krytyczna. Teraz będzie jego największą orędowniczką.

Wiele z nich staje się osobami ważnymi dla powojennej Polski i swoich społeczności. Zofia Szleyen będzie pisarką zajmującą się spuścizną wojny w Hiszpanii. Najdramatyczniejszy los ma Dora Lorska. Przerzucana przez kilka obozów koncentracyjnych, po wyzwoleniu jako lekarka eskortuje więźniów do czeskiej Pragi. W latach 50. wróci do Polski, gdzie czekają ją cztery lata więzienia stalinowskiego za domniemane szpiegostwo. Po tak wielu traumach powróciła do leczenia (była wybitną specjalistką od chorób nerek), choć przypłaciła to zdrowiem i przedwczesną śmiercią. A nie wspomnieliśmy nawet o tym, że zeznawała w powojennych procesach o prześladowanie ofiar w obozach.

To tylko kilka wątków z prawie 400-stronicowej narracji Lipczak. Tym, co zachwyciło mnie najbardziej, jest rozmach narracji. Bo nie jest to książka tylko o samym zaangażowaniu Polek w obronę wolności i wartości demokratycznych w Hiszpanii. Jest to historia Polski przedwojennej i szans w niej na życie młodych kobiet – dość marnych szans, jeśli były bojowymi antyfaszystami i Żydówkami. Jest to opowieść o Europie ogarniętej postępującym faszyzmem, o ponadludzkiej odwadze młodych kobiet, które porzucają wygodę mieszczańskiego życia, bo i tak wiedzą, że w przedwojennym polskim systemie pseudodemokratycznym i tak nie mają szans. Postanawiają więc skorzystać z innej szansy, może trudniejszej, ale dającej przynajmniej nadzieję. Cześć i chwała bohaterkom! ▲



ALEKSANDRA LIPCZAK
„Bezgraniczne", wyd. Karakter

OGŁOSZENIE





Dziewięć części *milczenia*

Wydaje nam się, że ludzie starsi są mądrzejsi, ale jest takie powiedzenie, że głupcy też się starzeją. Na mądrość składa się wiele elementów

Z PSYCHOLOŻKĄ, PSYCHOTERAPEUTKĄ **SYLWIĄ SALITRĄ**
ROZMAWIA **ANNA WOŹNIAK**
RYSUNEK **KAMILA SZCZEŚNIAK**

Mówi się, że wielkim plusem dojrzałości i starości jest życiowa mądrość. Zawsze przychodzi z wiekiem?

– Powszechnie tak jest przyjęte. Chociażby w filmach czy bajkach mądre osoby przedstawiane są jako starcy, najlepiej z siwą brodą, np. Dumbledore, Gandalf, papa Smerf. I zazwyczaj są to postacie męskie.

Wprawdzie z wiekiem poniekąd nabywamy mądrości, ale jak to w psychologii bywa – wszystko zależy od konkretnego człowieka.

Badania pokazują, że największy przeskok w stronę mądrości zaczyna się między 15. a 20. rokiem życia. Do około 25.-30. roku życia rozwijają się płaty czołowe i kora przedczołowa, odpowiedzialna m.in. za postrzeganie abstrakcyjne, empatię oraz analizę przyczynowo-skutkową. W tym czasie rzeczywiście zyskujemy sporo mądrości w porównaniu z poprzednim okresem życia.

Gdy już nabierzemy pewnej mądrości we wczesnej dorosłości, utrzymujemy ten poziom mniej więcej do siedemdziesiątki.

Trochę zaskakujące, bo myślałam, że im więcej człowiek zdobywa doświadczeń, tym staje się mądrzejszy.

– Wydaje nam się, że ludzie starsi są mądrzejsi, ale jest takie powiedzenie, że głupcy też się starzeją. Na mądrość składa się wiele elementów i jeśli nie mamy ich rozwiniętych wcześniej, czyli w dorosłości, to na starość raczej nie pojawią się tylko dlatego, że mamy skończone np. 60 lat. Z wiekiem nasz mózg jest mniej neuroplastyczny, a my mniej pokorni, by pewnych sposobów myślenia o świecie się uczyć.

Mówi pani o elementach mądrości. Co się na nią składa? Jak ją można zdefiniować?

– Nie ma jednej definicji mądrości, łatwiej rzeczywiście mówić o tym, co się na nią składa. Trudno ją też zmierzyć, w odróżnieniu do inteligencji.

Słownik języka polskiego mówi, że mądrość to wiedza nabyta przez naukę lub doświadczenie i umiejętność jej wykorzystania.

Psychologia jest świeżą nauką, a mądrością zajmuje się od około 40 lat, czyli niedługo. Ale np. w filozofii temat mądrości jest obecny od początku jej istnienia, czyli od starożytności.

Profesor Igor Grossmann, znany badacz mądrości, mówi, że ma ona cztery filary. Pierwszy to szeroka perspektywa, czyli umiejętność patrzenia na sprawy, zjawiska, ludzi z różnych punktów widzenia i bez klapek na oczach. Drugim filarem jest pokora intelektualna, czyli takie sokratejskie „wiem, że nic nie wiem". Chodzi o to, by mieć świadomość, że nie jest się osobą nieomylną. Mogę się mylić, umiem podważać własne przekonania. Trzecia rzecz to świadomość i akceptacja zmienności. Lubimy zakładać, zwłaszcza gdy jest nam dobrze, że tak już będzie zawsze. A przecież nic nie jest stałe w czasie. Praca, relacja, zdrowie – wszystko się zmienia, nie zawsze na lepsze. I ostatnia rzecz – dążenie do porozumienia, czyli nastawienie na to, żeby z ludźmi współpracować, nie rywalizować. To najbardziej relacyjny aspekt teorii Grossmanna.

Czy jeśli ogarniam trzy z czterech filarów tej mądrości, jest szansa, że będzie mi się żyło łatwiej?

– Nie wiem, czy łatwiej, ale myślę, że spokojniej. Jeśli rozumiem pewne rzeczy, zaakceptuję je i nie buntuję się przeciwko sprawom, na które nie mam wpływu, to żyje mi się spokojniej. Nie zawsze łatwiej, bo bywa, że życie nie jest dla nas łaskawe, a do tego szeroka perspektywa wymaga sporego wysiłku intelektualnego. Trzeba te wszystkie spostrzeżenia i punkty widzenia posklejać w coś sensownego. Mądrość życiowa przydaje się do dobrego życia. Nie tylko z sobą samym, ale i z innymi. Jest taka maksyma o tym, że mądry człowiek to taki, który mądrze kieruje własnym życiem. Dodałabym, że jest też źródłem mądrych rozwiązań dla innych, czyli tak naprawdę jest ekspertem do spraw sztuki życia. Bo czy mądrość nie jest właśnie o głębokim rozumieniu sensu życia?

Jakie są jeszcze koncepcje mądrości, oprócz tej Grossmanna?

– Paul Baltes z berlińskiego Instytutu Maxa Plancka mówił o pięciu kryteriach mądrości. Pierwsze to wiedza teoretyczna, przez którą rozumiał poznanie ludzkiej natury, etapów życia czy norm społecznych. Drugim aspektem jest praktyczne wykorzystanie tej wiedzy, by analizować przeszłość, reagować na teraźniejszość i planować przyszłość. Kolejna sprawa – świadomość wewnętrznych i zewnętrznych ograniczeń, czyli godzenie się z tym, że wszystko przemija, i akceptowanie tego, na co nie mamy wpływu. Następnie relatywizm wartości – rozumiany nie jako cynizm, lecz raczej jako umiejętność dostrzegania, że różni ludzie oraz odmienne kultury kierują się w życiu własnymi systemami wartości, priorytetami i celami. I ostatnia rzecz – tolerowanie niepewności.

Są jeszcze dwie ważne teorie amerykańskich badaczek. Monika Ardelt, profesorka socjologii, mówi o trzywymiarowej mądrości. Jest to według niej integracja sfery poznawczej – wiem, jak działa świat, refleksyjnej – umiem patrzeć na sprawy z różnej perspektywy, i emocjonalnej – jestem empatyczna/empatyczny i mam pozytywne uczucia wobec innych.

W 2020 roku Sareh Karami zrobiła metaanalizę różnych badań, sprawdzając, które cechy czy właściwości mądrości najczęściej się powtarzają. W ten sposób powstał wielościan mądrości. Mamy w nim – powtarzającą się w każdej definicji – wiedzę o życiu, a dalej: dystans i perspektywę, samoregulację, czyli kontrolowanie swoich zachowań pod wpływem emocji. A także altruizm i dojrzałość etyczną, czyli za-

chowania prospołeczne, takie jak empatia, życzliwość czy przyjazne nastawienie do ludzi. Kolejny element wielościanu mądrości to otwartość i tolerancja, w tym tolerowanie niepewności, zdrowy osąd, decyzyjność, logiczne myślenie. Ostatnie ogniwo to synteza i zastosowanie tych wszystkich wcześniej wymienionych cech w praktyce. Czyli po prostu praktyczne radzenie sobie w życiu.

Czy spotkała pani kiedyś człowieka, który teoretycznie wszystko wie, jest inteligentny, oczytany, pięknie mówi, ale kiedy patrzymy na jego życie, to mamy zgrzyt? Z całą rodziną pokłócony, pracowników źle traktuje, twierdzi, że wszyscy wokół niego są podli i niegodziwi. U takiej osoby brakuje tego ostatniego, ale jakże ważnego elementu wielościanu mądrości, czyli praktycznego korzystania ze swoich zasobów.

Mówi pani, że mądrość nie zawsze przychodzi z wiekiem, ale znam dużo kobiet po czterdziestce, po pięćdziesiątce, które opowiadają, że teraz w końcu czują spokój. Nie muszą już wszystkiego udowadniać. Ich racja nie musi być już zawsze na wierzchu. Odpuszczają i świetnie się z tym czują.

– Widzę tu pokorę intelektualną i szerszą perspektywę, o której mówi Grossmann. Mogę nie mieć racji, może inni mają powody, żeby uważać inaczej. Do tego z czasem zmieniają się nam wartości. Teraz mam taki czas, że nie muszę już wszystkiego wszystkim udowadniać. Mogę schować dumę do kieszeni.

Jest powiedzenie: „Chcesz mieć rację, czy relację?". Myślę, że w pewnym wieku kobiety wiedzą, że relacje są ważniejsze, nawet najważniejsze.

Czyli jednak mądrość przychodzi z czasem i można się jej nauczyć?

– W wielu koncepcjach raczej patrzymy na to, czy człowiek ma więcej, czy mniej mądrych zachowań. Nie na mądrość jako cechę.

Takie podejście daje nam optymistyczną perspektywę, że możemy się nauczyć mądrego myślenia i mądrego działania.

A jak się tego nauczyć? Najlepiej przez obserwację, i to od najmłodszych lat. Jeśli od dziecka są wokół nas mądrzy ludzie – rodzice, dziadkowie, nauczyciele – jest szansa, że przejmiemy pewne wzorce. I nie mówię tu tylko o osobach wykształconych, bo klasyczna edukacja nie zawsze idzie w parze z mądrością. Owszem, badania pokazują, że osoby po studiach wyższych mają większe szanse na odnalezienie mądrości, ale nie jest to regułą. Nauka akademicka jest swojego rodzaju treningiem dla mózgu, a jak już wiemy, mądrość wymaga od nas pracy intelektualnej i moralnej.

Nauka mądrości polega na obserwowaniu świata i wyłapywania dla siebie tego, co najlepsze?

– Trochę tak to wygląda. Społeczeństwo się zmienia i coraz częściej ludzie dzielą się ze sobą myślami. Wcześniej zazwyczaj rozmawialiśmy o tym, co zrobiliśmy, widzieliśmy, co zamierzamy zrobić. Tylko z bliskimi mówiliśmy o tym, co czujemy, czy myślimy. Teraz różne osoby, także publiczne, zwierzają się ze swoich przemyśleń, przeżyć, lęków i tego, jak sobie radzą z problemami. Można pooglądać to myślenie, porównać ze swoim. Sprawdzić, czy może jakieś inne rozwiązania są nam bliskie.

Trudna sprawa z tą autorefleksją, bo często zakłamujemy rzeczywistość.

Wszyscy lubimy o sobie dobrze myśleć i chronimy dobre zdanie o sobie

Możliwości są spore, jeśli tylko chcemy, możemy trenować się w mądrości. Co się więc dzieje, że patrzymy na dwie dojrzałe siostry, które miały podobne przeżycia, i jedna psioczy na wszystko i wszystkich, nie lubi świata, a druga jest oazą spokoju i optymizmu. Lubi ludzi, a ludzie lubią ją.

– Zapewne są to siostry, które od dzieciństwa bardzo się różniły. Swoją osobowość tworzymy przez lata, ale jej podstawą jest temperament, z którym się rodzimy i który trudno poddaje się modyfikacjom. Temperament można nazwać biologiczną pobudliwością układu nerwowego. Jedno dziecko rodzi się z wysoką reaktywnością emocjonalną, czyli łatwo się denerwuje, złości, cieszy. Te emocje są bardzo intensywne.

Drugie dziecko, z tych samych rodziców, ma niską reaktywność emocjonalną, trudno je wyprowadzić z równowagi. Gdy mu coś nie wychodzi, odkłada tę zabawkę w kąt i zajmuje się czymś innym. Rzadko płacze, chętnie podejmuje nowe wyzwania.

Na tym temperamencie, pod wpływem życiowych doświadczeń, kształtuje się osobowość. Najbardziej powszechna teoria pięciu czynników osobowości, czyli tzw. wielka piątka stworzona przez Costę i McCrae, pozwala opisać praktycznie każdego człowieka. Mamy więc ekstrawersję, stabilność emocjonalną, ugodowość, sumienność oraz otwartość na doświadczenie.

Za ekstrawersją kryją się towarzyskość, serdeczność, asertywność, poszukiwanie nowych doznać. Tacy ludzie radzą sobie w relacjach i łatwiej jest im w życiu.

Na przeciwnym biegunie stabilności emocjonalnej jest neurotyczność. A ta pcha nas raczej w stronę trudnych emocji, depresyjności, wrogości wobec innych i dużej lękowości.

Z kolei ugodowość to zaufanie do innych ludzi, nastawienie na współpracę, życzliwość, altruizm, nawet skromność tu się mieści.

Sumienność, czyli porządne podchodzenie do swoich obowiązków.

Obowiązkowość łączy się z samodyscypliną i rozwagą. No i ostatnia rzecz to otwartość na doświadczenia, czyli ciekawość świata, wyobraźnia czy kreatywność.

Sprawdzono, jak te składowe ludzkiej osobowości mają się do życiowej mądrości. Jak pani myśli, który wychodzi na pierwszy plan?

Ugodowość?

– Dokładnie tak. Wysoka ugodowość, czyli przyjazny stosunek do ludzi, chęć niesienia pomocy, serdeczność sprawiają, że jesteśmy w stanie z każdym się dogadać, znaleźć rozwiązanie. Nie tworzymy problemów. Czy nie na tym m.in. polega życiowa mądrość?

Wracając do sióstr i ich życiowej postawy. Nawet jeśli mają podobne doświadczenia, wyciągają z nich różne lekcje i inaczej budują swoje nastawienie do świata i ludzi.

A nie jest tak, że każde doświadczenie, nawet przykre, coś nam daje? Coś, z czego można budować życiową mądrość.

– Nie z każdego złego doświadczenia można wyciągnąć lekcję. Czego dobrego uczy się ofiara przemocy albo osoba wykorzy-

stywana seksualnie? To są doświadczenia, z których nie płynie dla człowieka nic dobrego. Podobnie jak nagła, przedwczesna śmierć bliskiej osoby.

Mówienie komuś w takiej sytuacji: „Wyciągnij z tego coś dobrego", jest okrutne. To niezrozumienie istoty cierpienia i absolutnie nie jest mądre.

To mocne przykłady, ale na szczęście częściej spotykają nas miłosne zawody, problemy w pracy czy inne życiowe kryzysy. I to jest materiał do nauki, ale przede wszystkim musimy być na to gotowi, czyli muszą opaść emocje. Dopiero wtedy jesteśmy w stanie zobaczyć szerszą perspektywę, przywołać rozwiązania poprzednich konfliktów i sensownie przemyśleć całą sytuację.

A jeśli będziemy potrafili odtworzyć, co tak naprawdę się wydarzyło, i szczerze, nawet krytycznie, spojrzeć na siebie, to jest szansa na autorefleksję. Czy w naszym związku tylko on był tym, który zawodził? Czy straciłam pracę, bo szef jest głupi? Czy może były sytuacje, kiedy mówił mi, że powinnam coś robić inaczej, dokładniej?

Tylko że z tą autorefleksją to trudna sprawa, bo często zakłamujemy rzeczywistość. Wszyscy lubimy dobrze o sobie myśleć i za wszelką cenę chronimy dobre zdanie o sobie.

Najtrudniej jest być szczerym wobec siebie?

– Tak, dlatego ważna jest tu także pokora. Rozumiana nie jako uniżenie, bicie się w piersi, lecz złapanie balansu. Już sama świadomość, że wina może być także po mojej stronie, daje szansę na wyciągnięcie jakichś wniosków. I znowu przydadzą się elastyczność intelektualna, szukanie innych perspektyw, dystans. Przecież wiemy, że w życiu nic nie jest zero-jedynkowe.

Zgodzi się pani ze mną, że są momenty albo sytuacje, kiedy zapominamy o całej naszej mądrości? Na przykład przy świątecznym stole. A wtedy przydałaby nam się najbardziej.

– Pyta pani, jak się zachować, gdy usłyszymy niefajne teksty? Czy raczej, jak ich nie posyłać innym? Ale w sumie w obu przypadkach przyda się trochę refleksji. Jakiś czas temu usłyszałam pytanie, które mnie olśniło: „Kiedy możemy dawać rady innym ludziom?" Tylko wtedy, gdy o nie poproszą. W każdym innym momencie jest to po prostu narzucanie się. I jest nieprzyjemne dla odbiorcy, nawet jeśli robimy to z troski.

Mówi się, że mądrość to dziewięć części milczenia i jedna część mówienia. Trzymajmy się tego przy świątecznym stole. A gdy jesteśmy ciekawskimi gadułami, zanim coś powiemy, zadajmy sobie pytania: „Czy to, co powiem, coś ważnego wniesie?", „Czy zrobi coś dobrego drugiej osobie?". Czy naprawdę potrzebuję wiedzieć, dlaczego siostrzenica nie ma chłopaka, a ciocia nie schudła, mimo iż mówiła, że jest na diecie?

A gdy wujek znowu wyskoczy z mało zabawnym żartem w naszym kierunku?

– Dobrze by było umieć regulować swoje emocje na tyle, żeby po prostu zamilknąć. Choć wiem, że niektóre słowa mogą być tak bolesne, wchodzić w nasze najbardziej miękkie kawałki, że nawet jeśli umiemy się regulować emocjonalnie, to w tym momencie wszystko się sypie. Czasem powiedzenie czegoś całkowicie od czapy zamknie symbolicznemu wujkowi buzię. Na przykład: „Dziękuję za troskę" – ale bez sarkazmu. To zbija z pantałyku. Ktoś może i chciałby jeszcze „wykazać się troską", ale zwyczajnie nie wie już, co ma dodać.

Ale przecież mówimy o świętach. A wtedy ludzie naprawdę zachowują się najlepiej, jak potrafią. Nawet ten nieszczęsny wujek po kieliszeczku wódki rzucający rubaszne żarty stara się być miły. Gdyby umiał zachować się inaczej, to by się zachował. Gdyby umiał przemyśleć, że komuś swoimi słowami sprawi przykrość, pewnie by tego nie robił.

Czasem z góry przypisujemy innym złe intencje. Przypuszczam, że w święta nikt nie chce nikogo celowo obrazić czy urazić, bardziej chce się poczuć fajny, zabawny, mądrzejszy. I jeszcze jedna sprawa. Wbrew temu, co krzyczą do nas co roku reklamy, nie wszyscy w święta są szczęśliwi. Nie dla wszystkich jest to piękny czas. Coraz częściej mówi się o tym, że jesteśmy zmęczeni przygotowaniami i presją przeżycia magicznych świąt. Pewnie wiele osób chce je po prostu mieć z głowy i tylko czeka, żeby się zaszyć z książką albo przed telewizorem. Dajmy więc może wszyscy sobie na ten czas święty spokój.

Spotkała się pani w życiu zawodowym albo prywatnym z osobami, które powiedziały, że są już w tym momencie, że mogą o sobie powiedzieć, że są mądre?

– Jeśli ktoś mówi, że osiągnął życiową mądrość, to jestem bardzo ostrożna. Skoro tak twierdzi, to brakuje mu pokory, a bez niej raczej trudno mówić o mądrości. Mądry człowiek nie mówi o tym, że jest mądry.

Bardziej ujmuje mnie dojrzałość, dochodzenie do pewnych wniosków i ten moment, kiedy ludzie mówią, że jest im lżej. Widzę to u moich pacjentów. Przychodzą do gabinetu i narzekają na rodziców, na partnerów. Widzą tylko ich winę i swoją krzywdę. Źle się z tym czują. Po pewnym czasie zaczynają inaczej patrzeć na rzeczywistość, pojawia się refleksja, że rodzice też mieli swoje problemy, nie mieli edukacji emocjonalnej, a ich rodzice nie poświęcali im czasu, bo wiecznie pracowali. Mówią: „Łatwiej mi się żyje, kiedy mogę inaczej o nich pomyśleć". Oprócz smutku i żalu wobec rodziców czy partnera/partnerki pojawia się na przykład współczucie.

Badania pokazują, że im większa dywersyfikacja emocji, czyli im więcej czujemy w kontekście jednej sytuacji, tym łatwiej o mądre zachowania. Bywa tak, że zalewa nas fala smutku, żalu czy złości i wydaje nam się, że już nic więcej w nas nie ma. A tam zwykle coś jeszcze jest.

Może zamiast mówić o tym, że czujemy się mądrzy, lepiej powiedzieć: „Poukładało mi się w głowie".

– Często słyszę to w terapii od pacjentów. Czasem żartują, że w sumie to łatwiej im było myśleć po staremu, kiedy mieli jeden punkt widzenia i nie musieli brać tyle innych rzeczy pod uwagę.

Rozumieją istotę zjawiska, jego przyczyny i skutki, mają szeroką perspektywę i akceptują stan rzeczy. Nie zawsze się z nim godzą, ale akceptują go takim, jakim jest. I czują większy spokój. ▲



SYLWIA SALITRA

– psycholożka, certyfikowana psychoterapeutka poznawczo-behawioralna. Ukończyła studia z zakresu seksuologii klinicznej, psychodietetyki oraz psychogeriatrii. Pracuje z osobami dorosłymi w prywatnym gabinecie oraz w Klinice Terapii Poznawczo-Behawioralnej Uniwersytetu SWPS w Warszawie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



LAIA CASANOVAS

– absolwentka reżyserii dźwięku w Escola Superior de Cinema i Audiovisuals de Catalunya. Pracowała m.in. przy serialu „Veneno" Javiera Ambrossiego i Javiera Calva czy filmach Pedra Almodóvara (za „Matki równoległe" była nominowana do nagrody Goya). Za reżyserię dźwięku do filmu „Sirât" otrzymała m.in. nagrodę Goya i nominację do Oscara

Dźwięk *dinozaura*

Jeśli nie widzisz kobiet pracujących w danej branży, trudniej jest ci wyobrazić sobie, że również możesz odnaleźć w niej swoje miejsce

Z **LAIĄ CASANOVAS**, REŻYSERKĄ DŹWIĘKU, ROZMAWIA **JOANNA WRÓŻYŃSKA**

Na planie filmowym pełnisz stanowisko sound designera, co na polski najłatwiej przetłumaczyć jako reżyser dźwięku. Czym się dokładnie zajmujesz?

– Jeśli chodzi o udźwiękowienie filmu, ludzie często błędnie myślą, że to wyłącznie techniczny proces, który ma sprawić, że wszystko będzie dobrze brzmiało, a dialogi będą zrozumiałe. I że na tym właściwie praca się kończy. Tymczasem zadaniem sound designera jest stworzenie całego środowiska dźwiękowego filmu. Mnóstwo osób zakłada, że wszystkie dźwięki, które słyszą w filmie, pochodzą z planu zdjęciowego. Tak jednak nie jest. Wiele z nich tworzymy dopiero na etapie postprodukcji, żeby przekazać określone emocje i dostarczyć widzom informacji. Sprowadza się to na przykład do znalezienia idealnego brzmienia samochodu czy odpowiedniego dźwięku otoczenia.

Jednym z moich ulubionych przykładów jest ten, że wszyscy mamy w głowie wy-

obrażenie, jak brzmi dinozaur. Ten dźwięk został jednak stworzony właśnie przez reżysera dźwięku, bo przecież nikt tak naprawdę nie wie, jak brzmiały dinozaury. Dokładnie na tym polega ta praca: trzeba sobie wyobrazić, jak coś mogłoby brzmieć, a następnie przenieść tę wizję do filmu.

Jak to robicie? Jest wiele takich dźwięków, które musicie po prostu wymyślić?
– Tak! Są też takie dźwięki, które znamy z codziennego życia, ale w filmie musimy je dodatkowo podkreślić. Znów spróbuję podać przykład. Inaczej brzmi strzał z broni palnej w filmie akcji, inaczej w komedii, a jeszcze inaczej w horrorze. Sposób opracowania tego samego dźwięku jest w każdym z tych gatunków zupełnie inny. Właśnie to mam na myśli, mówiąc o środowisku dźwiękowym – budowanie nastroju, nadawanie charakteru. Dźwięk jest potężnym narzędziem w rękach reżyserów i filmowców, pozwala im tworzyć własny język i styl. Słuchając tylko warstwy dźwiękowej, możemy rozróżnić niektórych reżyserów, np. Quentina Tarantina, ponieważ używa dźwięku w bardzo charakterystyczny sposób.

W filmie całą uwagę kierujemy zazwyczaj na obraz, tymczasem dźwięk może być opowieścią o tym, co dzieje się poza kadrem, przekazywać nam mnóstwo informacji, które nie są pokazane bezpośrednio na ekranie. To niezwykle istotne narzędzie.

Czy są jakieś dźwięki, które wiesz, że będziesz musiała zmienić w postprodukcji, bo ich naturalne brzmienie nie sprawdza się w filmie?
– Z planu filmowego wykorzystujemy głównie dialogi, ale zastępujemy na przykład odgłosy samochodów. Czasami używamy tych samych elementów dźwiękowych, które pojawiły się na planie, ale nagrywamy je ponownie po zakończeniu zdjęć, nadając im dokładnie takie brzmienie, jakie chcemy uzyskać. Jeśli chcemy podkreślić gniew, możemy nadać dźwiękom bardziej agresywny charakter. Wprowadzamy wtedy więcej rytmu i zniekształceń, sprawiając, że cała warstwa dźwiękowa staje się bardziej intensywna.

Dźwięk pomaga nam również budować tożsamość miejsca. Przykładowo, jeśli akcja filmu rozgrywa się w Barcelonie, to miasto nie będzie brzmiało tak jak choćby Nowy Jork czy Londyn. Każde miasto ma swoją własną atmosferę, a my to wykorzystujemy, łącząc różne elementy, żeby oddać wiarygodnie charakter danego miejsca.

Jaki jest twój ulubiony dźwięk?
– Od dziecka lubię odgłos, który powstaje wtedy, kiedy jedziesz samochodem i mija cię jakiś duży pojazd albo gdy szum wiatru nagle na chwilę się urywa, jakby coś go przecinało.

Jak odwzorowałabyś go w filmie?
– W scenie samochodowej łączę odgłos silnika z różnymi dźwiękami mijających pojazdów, a także z szelestem ubrań. Jeśli nagramy taki dźwięk bardzo blisko mikrofonu, uzyskamy charakterystyczną teksturę. Następnie, wykorzystując nagranie silnika, możemy za każdym razem, gdy coś przemyka za oknem, dodawać odpowiedni dźwięk i łączyć go z pozostałymi.

Pracowałaś przy „Ludzkim głosie" i „Matkach równoległych" Pedra Almodóvara, ale podejrzewam, że to praca przy filmie „Sirât" Ólivera Laxe'a, za który byłaś nominowana m.in. do Oscara, najbardziej się wyróżniała?

Kiedy studiowałam, cały kobiecy zespół dźwiękowy był czymś niezwykle rzadkim, *dlatego nie miałam wielu kobiecych wzorców*

– To było bardzo wymagające zadanie przede wszystkim dlatego, że film składał się z wielu elementów. Cała akcja rozgrywa się na pustyni, pojawiło się więc pytanie, jak za pomocą dźwięku zbudować dramaturgię i oddać wszystkie emocje, które chciał przekazać Óliver. Zależało nam na stworzeniu prawdziwie kinowego doświadczenia, a jednocześnie na tym, żeby za pomocą dźwięku oddać emocjonalną podróż bohaterów. Chcieliśmy uzyskać brzmienie, które będzie niemal namacalne i hipnotyzujące. Było to nie lada wyzwanie, bo wszystkie dźwięki miały być naturalne, organiczne w kontraście do syntetycznej muzyki wykorzystanej w filmie. Znalezienie odpowiedniego sposobu na połączenie tych elementów nie było łatwe. Trudność polegała też na tym, że z każdym reżyserem trzeba wypracować nowy język porozumienia, a Óliver zawsze chciał podejmować decyzje, kierując się emocjami – swoimi, ale i widzów. Czasami oznaczało to konieczność obejrzenia całego filmu, a nie tylko pracy nad pojedynczymi scenami. Chodziło o to, aby prześledzić, jak poszczególne emocje narastają w widzu i jak rozwijają się w trakcie całej opowieści, a następnie podejmować decyzje dotyczące dźwięku właśnie z tej perspektywy. To było ryzykowne podejście.

Dlaczego? Z czego wynikało to ryzyko?
– Na przykład z różnicy głośności. Są sceny bardzo głośne, po których nagle następują sceny niemal zupełnie ciche. Zazwyczaj punktem odniesienia stają się w takich przypadkach dialogi, ale w „Sirât" nie ma ich zbyt wiele. Dlatego bardzo trudno było nam znaleźć właściwą równowagę między najgłośniejszymi a najcichszymi momentami filmu oraz zdecydować, które elementy chcemy w danej scenie usłyszeć.

Interesuje mnie ta cisza. Mówiłaś we wcześniejszych wywiadach, że praca na pustyni jest ogromnym wyzwaniem właśnie ze względu na to, że w jednej chwili ekipa zmaga się z burzą piaskową, a chwilę później właśnie z dojmującą ciszą. Czy brak dźwięku też może być dźwiękiem?
– Chodzi raczej o to, żeby cisza nie była brakiem dźwięku. Zależało nam na bogatej, wielowymiarowej warstwie dźwiękowej, co polegało na eksponowaniu subtelnych odgłosów. W cichych scenach słyszymy na przykład, jak wiatr uderza w bohaterów – nie jego wzburzony szum, tylko szelest poruszających się ubrań. Bo właśnie coś takiego słyszymy, kiedy otoczenie jest ciche.

Praca nad „Sirât" trwała dziewięć miesięcy, co chyba nie zdarza się często?
– Tak, ale nie pracowaliśmy non stop, każdego dnia przez dziewięć miesięcy. To był proces w dużej mierze oparty na metodzie prób i błędów, powrotów do montażowni i kompozytora. Zazwyczaj postprodukcja dźwięku zajmuje nam od dwóch do czterech miesięcy, w zależności od filmu, ale w „Sirât" było znacznie więcej elementów i decyzji na poziomie montażu.

Pracowaliśmy więc etapami: przez tydzień zajmowaliśmy się filmem, potem robiliśmy sobie krótką przerwę, a następnie wracaliśmy do pracy. To, że mieliśmy tyle czasu, było prawdziwym luksusem. Mogliśmy spokojnie zastanowić się nad różnymi



Za reżyserię dźwięku do filmu „Sirât" Laia Casanovas, Yasmina Praderas i Amanda Villavieja były nominowane do Oscara

rozwiązaniami i nabrać pewności, podejmując odważne, nieoczywiste decyzje. Niektóre zastosowane przez nas zabiegi nie były bowiem idealne z technicznego punktu widzenia. Pojawiało się na przykład dużo przesterowań i zniekształceń, czyli efektów, których zazwyczaj staramy się unikać podczas miksowania. Tu jednak idealnie pasowały, bo obraz był rejestrowany na taśmie 16 mm i miał charakterystyczne ziarno. Nieco niedoskonałe brzmienie świetnie współgrało z jego wizualną fakturą.

Co daje ci większą frajdę: tworzenie dźwięków przypominających naturę czy tych całkowicie sztucznych?
– Trudno powiedzieć. Tworzenie dźwięku czegoś, co nie istnieje, to zupełnie inny rodzaj pracy. Lubię, kiedy dźwięk ma swoje źródło w czymś organicznym, naturalnym. Na przykład, jeśli mam stworzyć głos potwora, wolę wykorzystać odgłosy różnych zwierząt, zamiast nagrywać człowieka wydającego określone dźwięki, a później poddać nagranie intensywnej obróbce. Naturalne odgłosy wydają mi się bardziej prawdziwe.

Za reżyserię dźwięku do filmu „Sirât" byłaś, razem z Yasminą Praderas i Amandą Villavieją, nominowana do Oscara. Komentatorzy podkreślali wtedy, że to nietypowe, że w zespole były same kobiety.
– Tak. Z Yasminą mam szczęście pracować od początku, zaczynałyśmy jakieś 12 lat temu i można powiedzieć, że razem dorastałyśmy. Amanda jest natomiast bardzo cenioną w Hiszpanii realizatorką dźwięku.

Inaczej brzmi strzał z broni palnej w filmie akcji, inaczej w komedii, *a jeszcze inaczej w horrorze*

Prawdą jest jednak, że kiedy zaczynałam pracę w tej branży, kobiet zajmujących się dźwiękiem było niewiele. Muszę powiedzieć, że jestem bardzo wdzięczna za to, że w Hiszpanii powstał ruch filmowczyń – kobiety z branży się zorganizowały, założyły stowarzyszenie i rozpoczęły rozmowy z politykami. W efekcie, od około 2019 lub 2020 roku, wprowadzono zasady dotyczące przyznawania publicznego dofinansowania na produkcję filmową. Jednym z kryteriów jest odpowiednia reprezentacja kobiet i mężczyzn w ekipie filmowej – zespoły powinny być zrównoważone pod względem płci. To bardzo pomogło kobietom pracującym w branży znaleźć zatrudnienie.

Kiedy studiowałam, cały kobiecy zespół dźwiękowy był czymś niezwykle rzadkim, dlatego też nie miałam wielu kobiecych wzorców. To może stanowić pewną barierę, bo jeśli nie widzisz kobiet pracujących w danej branży, trudniej jest ci wyobrazić sobie, że również możesz odnaleźć w niej swoje miejsce. Dlatego tak ważne jest tworzenie nowych wzorców i pokazywanie kobiet, które z powodzeniem pracują w zawodach uznawanych do niedawna za męskie. To może zachęcić młode kobiety do studiowania realizacji dźwięku, sztuki operatorskiej czy muzyki, a także pomóc im uwierzyć, że mogą realizować w tych dziedzinach zawodowe ambicje.

Dziś kobiecych zespołów jest więcej, ale chcę podkreślić, że zespół złożony w całości z kobiet po raz pierwszy w historii otrzymał nagrodę Goya w kategorii dźwięku właśnie za „Sirât". To kolejny znak, że w branży filmowej zachodzą zmiany.

Masz ulubiony film, nad którym pracowałaś?
– Uwielbiałam pracę nad „Sirât". Innym filmem, który był dla mnie bardzo ciekawym i niezwykle satysfakcjonującym doświadczeniem, jest „Nigdzie" w reżyserii Alberta Pintó. To kolejny film pozbawiony dialogów, w którym ogromną rolę odgrywa narracja prowadzona za pomocą dźwięku, dlatego był bardzo dużym wyzwaniem.

A czy jest jakiś reżyser, z którym chciałabyś pracować?
– Oczywiście, chociaż nie wiem, czy chciałabym z nimi pracować, czy raczej podziwiam to, jak podchodzą do dźwięku w swoich filmach. To Denis Villeneuve czy Edgar Wright.

Szkoda, że Denis Villeneuve domknął już trylogię „Diuny", bo mógłby skorzystać z twojego doświadczenia pracy na pustyni.
– Jestem wielką miłośniczką każdego z jego filmów. Lubię cieszyć się nimi po prostu jako widz w kinie. ▲

Za umożliwienie rozmowy dziękuję organizatorom festiwalu Kamera Akcja w Łodzi, gdzie Laia Casanovas odebrała Nagrodę Specjalną

FOT. MIKOŁAJ ZACHAROW / MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU KAMERA AKCJA

Sprawa dużej *wagi*

Leki na otyłość są dla nas lekcją o tym, jak wiele wspólnego mają jelita, mózg i nasze najbardziej uporczywe pragnienia



FOT. GETTY IMAGES

TEKST **IRENA CIEŚLIŃSKA**

Zanim zniknie tłuszcz albo choć drgnie wskazówka wagi, znika co innego: natrętne myśli o jedzeniu. Kiedy obiad? Czy warto tyle zjeść? Wytrzymam, czy lepiej coś przegryźć? Podgryzanie. Planowanie. Negocjacje. Liczenie. W końcu im bardziej człowiek się odchudza, tym więcej musi myśleć o jedzeniu.

Zastrzyk od tego uwalnia.

OKUPACJA UWAGI

Anglosasi stworzyli nawet nowe określenie: food noise, szum/hałas jedzeniowy. O hałasie zaczęło być naprawdę głośno dopiero wtedy, gdy niektórym nagle ucichło w głowie. Już po pierwszych dawkach ludzie mówią o ciszy i spokoju, o odzyskanej przestrzeni w głowie. Nie chodzi tylko o mniejszy apetyt. Dla części osób największą ulgą jest to, że ustaje nieustanne wezwanie do jedzenia i mogą się skupić na czymkolwiek innym.

Za stałe przypominanie o jedzeniu odpowiada układ, który w czasie naszej ewolucji miał pilnować jednego: żebyśmy nie umarli z głodu. Pusty żołądek wysyła do mózgu grelinę, hormon domagający się pożywienia. Po posiłku jelita uruchamiają całą kaskadę sygnałów sytości: między innymi GLP-1, PYY, cholecystokininę i GIP. Część z nich mówi mózgowi: dość, można przestać szukać. Inne pomagają organizmowi poradzić sobie z tym, co właśnie zjedliśmy.

Semaglutyd, substancja czynna Wegovy i Ozempicu, naśladuje GLP-1, lecz działa znacznie dłużej niż hormon uwalniany po zwykłym posiłku. Wzmacnia sygnał sytości i spowalnia opróżnianie żołądka. Tirzepatyd, czyli Mounjaro, działa podobnie, ale pobudza także receptor GIP. Nie odbierają człowiekowi przyjemności z jedzenia ani nie wszczepiają mu silnej woli. Wzmacniają za to sygnał, który powinien położyć kres posiłkowi: najadłaś się, wystarczy.

IM BARDZIEJ SIĘ STARASZ, TYM BARDZIEJ MUSISZ SIĘ STARAĆ

Dlaczego bez zastrzyku tak trudno schudnąć i nie przytyć z powrotem?

Każdy stracony kilogram jest dla nas źródłem satysfakcji. Nasze ciało ma na ten temat inne zdanie: włącza alarm, bo ubywa zapasów i trzeba je odzyskać. Rośnie więc poziom greliny i głód, słabną sygnały sytości, a ciało zaczyna oszczędniej gospodarować energią. Kolejne próby odchudzania są coraz trudniejsze. Po cyklu: schudnąć, przytyć, znów próbować, nie staje się na starcie z czystą kartą.

Badania bliźniaczek pokazują, że ten efekt może trwać długo. W parach kobiet o tych samych genach silniejszy sygnał głodu częściej miała ta siostra, która wielokrotnie przechodziła przez restrykcyjne diety i powrót wagi.

Nie chodzi więc o brak charakteru. To biologia broni masy ciała. Otyłość nie jest sumą złych wyborów. Jest chorobą, która przez lata po cichu nas wyniszcza. Tkanka tłuszczowa działa jak narząd hormonalny. Wydziela substancje wpływające na ciśnienie, poziom cukru i tłuszczów we krwi, a gdy jest jej za dużo, zwłaszcza wokół narządów wewnętrznych, podtrzymuje stan zapalny w organizmie. Naczynia krwionośne szybciej się niszczą, serce i nerki pracują pod coraz większym obciążeniem. Tłuszcz w okolicy szyi i języka zwęża drogi oddechowe, dlatego podczas snu oddech potrafi zatrzymywać się dziesiątki razy. A stawy każdego dnia muszą dźwigać ciężar, do którego nie są przystosowane.

CO ODZYSKUJE CIAŁO

Nie ma tu pięciu cudów w jednej ampułce, ale kiedy leczenie trafia w samą otyłość, jej powikłania zaczynają po kolei odpuszczać. Statystyki pokazują, że zawały i udary pojawiają się rzadziej, podobnie jak nocne przerwy w oddychaniu. U osób z MASH częściej cofa się zapalenie wątroby, a w moczu rzadziej pojawia się białko, czyli pierwszy sygnał, że nerki dostają w kość. W kwestionariuszach, które nie pytają o cholesterol ani o wątrobę, lecz o zwykłe życie, częściej pojawia się jeszcze jedna odpowiedź: łatwiej jest być we własnym ciele.

Nie wszystko da się odwrócić, nie od razu i nie u każdego tak samo. Ale nie są to dodatkowe supermoce zastrzyku, tylko pozytywne skutki uboczne leczenia choroby otyłościowej, której przez lata pozwalaliśmy niszczyć organizm po kawałku.

CENA CUDU

Zastrzyk jest prosty. A wkrótce również tabletka – firma Novo Nordisk właśnie zapowiedziała polską premierę leków na otyłość i cukrzycę w formie doustnej – to alternatywa dla tych, którzy nie lubią/boją się iniekcji. Ale leczenie – podane w tej czy innej formie – wcale proste nie jest. Im mniej chce się jeść, tym większe znaczenie ma to, co jednak trafia na talerz. Przy leczeniu od początku potrzebni są dietetyk, który pomoże ułożyć posiłki tak, by w małej objętości mieściły się białko, błonnik, witaminy i minerały, oraz fizjoterapeuta albo trener. Podczas chudnięcia nie ubywa wyłącznie tłuszczu. Organizm traci też część beztłuszczowej masy ciała, w tym mięśnie. Celem nie jest więc jeść jak najmniej, lecz schudnąć, zachowując siłę i sprawność. Samo białko nie wystarczy. Mięśnie potrzebują powodu, żeby zostać – potrzebują ruchu, najlepiej treningu oporowego.

A skutki uboczne? Najczęściej buntuje się brzuch: pojawiają się nudności, wymioty, biegunka, zaparcia i ból. Zwykle słabną z czasem, dlatego dawkę zwiększa się powoli. Bywa jednak, że są tak dokuczliwe, iż trzeba leczenie przerwać. Rzadziej kłopot sprawia pęcherzyk żółciowy. Szybkie chudnięcie sprzyja kamicy i jego zapaleniu. Zdarza się też ostre zapalenie trzustki, dlatego silny ból brzucha, który nie przechodzi i promieniuje do pleców, wymaga pilnego kontaktu z lekarzem.

Najpoważniejsze ostrzeżenie dotyczy oczu. Bardzo rzadko semaglutyd może spowodować niedokrwienne uszkodzenie nerwu wzrokowego. Zwykle dzieje się to nagle, bez bólu i w jednym oku: obraz mętnieje, pojawia się zasłona albo znika fragment pola widzenia. Część osób odzyskuje potem trochę widzenia, lecz uszkodzonego nerwu nie da się naprawić, a ubytek może zostać na zawsze. Takiego sygnału nie przeczekuje się do następnego zastrzyku, tylko pilnie idzie do okulisty.

Jest jeszcze jedna niepokojąca, wciąż niewyjaśniona sprawa: tarczyca. W badaniach na gryzoniach semaglutyd zwiększał ryzyko raka rdzeniastego tarczycy. Człowiek nie jest jednak dużą myszą, a u ludzi takiego związku dotąd nie potwierdzono. Mimo to leku nie stosuje się u osób, które chorowały na ten nowotwór albo mają go w rodzinie oraz u osób z zespołem MEN2. Nie dlatego, że wiadomo, iż wywołuje raka, lecz dlatego, że w tej sprawie ostrożność musi wyprzedzać pewność.

BONUS ALKOHOLOWY I INNE NADZIEJE

Najdziwniejsza opowieść o Wegovy nie dotyczy wcale wagi. Ludzie zauważyli, że po zastrzykach nie tylko przestali podjadać. Zapominali też o wieczornym winie. Ktoś, kto zawsze po pracy otwierał piwo, zauwa-

żył, że od tygodni ma pełną lodówkę tego alkoholu. Inny nie przestawał pić, ale kończył na jednym kieliszku, zamiast pić dalej, jak to bywało, zanim zaczął przyjmować lek.

Oczywiście internet pełen jest cudów. Jednego dnia Wegovy leczy otyłość, następnego alkoholizm, palenie, kompulsywne zakupy, a zapewne w piątek usunie też kamień z nerki i naprawi relacje z teściową. Tym razem jednak za tymi opowieściami kryje się całkiem rozsądne wytłumaczenie. Jedzenie i alkohol są czymś całkiem różnym, ale mózg ma dla nich częściowo wspólną szufladę: „To było przyjemne, powtórzmy". Układ nagrody zapamiętuje, że czekolada, papieros albo kieliszek wina przyniosły ulgę, i wysyła ponaglenie. Czasem delikatne, czasem bardzo natrętne: teraz, zaraz, natychmiast. Leki GLP-1 mogą wyciszać również ten sygnał.

Pojawiły się pierwsze wskazówki, że w tych opowieściach jest coś więcej niż internetowa legenda. U osób z otyłością i uzależnieniem od alkoholu semaglutyd ograniczał intensywne picie. Za wcześnie jeszcze, by nazywać go lekiem na alkoholizm. Ale wystarczający powód, by szukać dalej.

Naukowcy zaczęli sprawdzać, czy GLP-1 może wpływać na mózg także w innych chorobach, od depresji po demencję.

W przypadku alzheimera nadzieje były duże, lecz dwie wielkie próby kliniczne przyniosły porażkę: semaglutyd poprawiał niektóre wskaźniki biologiczne choroby, ale nie spowolnił jej postępu ani nie ochronił pamięci. To nie jest więc zastrzyk na demencję. Jest za to fascynującą lekcją o tym, jak wiele wspólnego mają jelita, mózg i nasze najbardziej uporczywe pragnienia.

WYZWOLENIE CZY NOWY OBOWIĄZEK SZCZUPŁOŚCI?

Siłą woli nie da się wzmocnić sygnału sytości, tak jak nie da się zmusić chorej trzustki do produkowania insuliny. Dlaczego więc zastrzyk naśladujący GLP-1 często traktujemy inaczej niż zastrzyk z insuliną?

Bo w naszych oczach zastrzyk zastrzykowi nierówny.

Bo szczupłość wciąż traktujemy nie jak cechę ciała, lecz jak nagrodę za cnotę: samokontrolę, dyscyplinę, umiejętność odmawiania sobie. Bierzesz zastrzyki i chudniesz? W domyśle: „Poszłaś na łatwiznę".

Albo jeśli nie bierzesz i jesteś gruba: „Skoro jest zastrzyk, dlaczego nadal tak wyglądasz?". Nie każda osoba może albo chce brać taki lek. Czasem przeszkadzają przeciwwskazania, działania uboczne, ciąża czy historia zaburzeń odżywiania. Czasem cena, niebagatelna. A czasem lek po prostu nie działa tak samo u każdego. Zastrzyk może zdjąć część biologicznego ciężaru. Nie powinien zmieniać się w kolejny obowiązek: brać, chudnąć i tłumaczyć się z wyniku.

ILE MOŻNA STRACIĆ?

Niech pierwszy sięgnie po pączka ten, kto nigdy nie zadał sobie pytania: dobrze, ale ile właściwie można schudnąć na tych lekach? W badaniu Wegovy uczestnicy po niespełna półtora roku stracili średnio 14,9 proc. wyjściowej masy ciała. Jeśli ktoś ważył 100 kg, oznacza to niemal 15 kg. Co trzecia osoba zrzuciła co najmniej jedną piątą swojej wagi. Mounjaro przesunęło granicę jeszcze dalej. Po 72 tygodniach osoby przyjmujące najwyższą dawkę Tirzepatydu ważyły średnio o 20,9 proc. mniej. A ponad jedna trzecia straciła co najmniej jedną czwartą początkowej masy. Ze 120 kg robi się 90.
Zanim jednak ktokolwiek zacznie obliczać, ile kilogramów dzieli go od dawnego rozmiaru spodni, warto doczytać zastrzeżenie drobnym drukiem: w obu badaniach uczestnicy mieli też jeść mniej i więcej się ruszać.

SZCZUPŁA, SZCZUPLEJSZA I CO DALEJ?

A co, jeśli dzięki zastrzykom bardzo szczupła sylwetka stanie się łatwiejsza do osiągnięcia? Być może poprzeczka znów powędruje wyżej. Szczupła będzie mogła być jeszcze chudsza. A skoro będzie mogła, czy za chwilę nie usłyszy, że powinna?

Po zastrzyki sięgają również osoby z niewielką nadwagą, które chcą zrzucić kilka kilogramów, oraz osoby szczupłe, które chciałyby być jeszcze chudsze. Czemu nie? To uczciwe pytanie. Uczciwa odpowiedź wymaga jednak położenia na jednej szali tych pięciu kilogramów, a na drugiej możliwych działań niepożądanych. Ryzyko, które warto podjąć, żeby leczyć groźną chorobę, może ważyć inaczej, gdy chodzi tylko o luźniejsze spodnie.

Jest jeszcze haczyk: po odstawieniu leku kilogramy mogą wrócić. Kto chciał tylko trochę schudnąć przed wakacjami, może stanąć przed wyborem: pogodzić się z powrotem wagi czy przez kolejne lata płacić za zastrzyki.

POLSKA: TERAPIA CZY LUKSUS

28 września prezes polskiej Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji wydał negatywną rekomendację refundacji Wegovy w leczeniu otyłości. To jeszcze nie jest ostateczna decyzja ministra, ale ważny sygnał. I wcale nie chodziło o zastrzyki dla każdego, kto chce zrzucić pięć kilo przed wakacjami. Wniosek dotyczył osób w bardzo ciężkim stanie: z BMI co najmniej 35 i powikłaniami albo z BMI co najmniej 40, gdy otyłość sprawia, że nie da się już skutecznie leczyć jej następstw, a czasem wręcz przeprowadzić zabiegu ratującego życie, bo pacjenta nie udźwignie stół operacyjny lub diagnostyczny.

Agencja wcale nie zakwestionowała, że lek działa. Napisała wprost o poprawie masy ciała, parametrów kardiometabolicznych i części wskaźników jakości życia. Nawet przedstawiona analiza kosztowa mieściła się poniżej ustawowego progu opłacalności. Rekomendacja jest jednak na nie – z powodu niepewności, co dzieje się po odstawieniu, a przede wszystkim rosnącego rachunku dla NFZ.

To są poważne argumenty. Ale jest też wiele ważnych kontrargumentów. Leku w wielu przypadkach, owszem, nie będzie można odstawić bez konsekwencji w postaci nawrotu otyłości – bo kiedy przestajemy dostarczać lek działający na receptory GLP-1, czyli zmniejszający apetyt, organizm znów nie czuje sytości, wysoka waga wraca, a wraz z nią inne choroby. Tyle że innych leków – na nadciśnienie, wysoki cholesterol, niedoczynność tarczycy czy cukrzycę – również się nie odstawia, bo są to choroby przewlekłe i taka jest specyfika ich leczenia. Tak samo jest z chorobą otyłościową, czyli przewlekłą. Dlatego kluczowe pytanie nie brzmi już: „Czy państwo powinno refundować odchudzanie?". Brzmi: „Czy publiczny system ma leczyć otyłość, czy tylko jej konsekwencje, gdy choroba serca, bezdech senny, ciężka choroba wątroby albo niewydolność nerek wymagają już osobnych, znacznie droższych terapii?

Polska nie jest tu samotną wyspą. Prawie cała Europa wciąż zastanawia się, czy stać ją na leczenie otyłości i czy społeczeństwa będą gotowe finansować je z publicznych pieniędzy. W tej dyskusji pieniądze mieszają się ze starym odruchem, by szczupłość traktować jak nagrodę za charakter, a otyłość jak karę za brak umiaru. Francuzi jako pierwsi odpowiedzieli: państwo zapłaci, ale tylko za leczenie najciężej chorych. Reszta kontynentu wciąż szuka własnej odpowiedzi. ▲

W SPRZEDAŻY

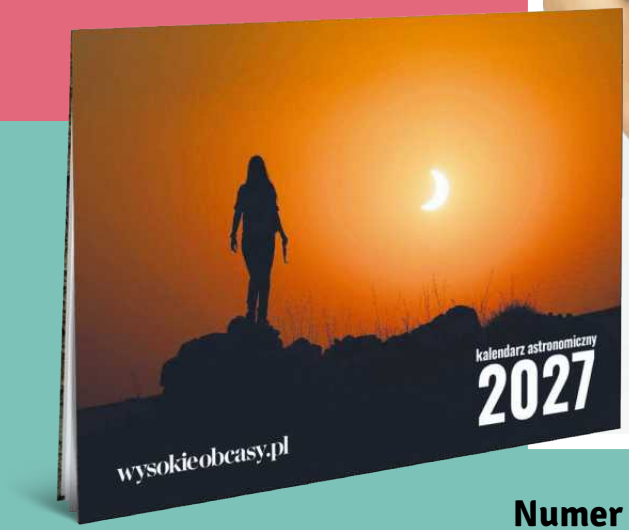
wysokieobcasy extra

Temat numeru:
Longevity – jak żyć dłużej, zachowując pełnię zdrowia, energii i sprawności umysłowej

Sonda:
Jak dbają o zdrowie Beata Sadowska, Robert Korzeniowski, Beata Ścibakówna

Psychologia:
Randkowanie dla dojrzałych





Zamów na prenumerata24.pl
z dostawą do domu lub z bezpłatną dostawą do paczkomatu

Numer dostępny z kalendarzem ściennym na 2027 rok
z pięknymi zdjęciami zjawisk astronomicznych i kalendarium obserwacji nieba